

De II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 153.

— 27 —

[BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1, 19, 1879.] 1 uadw

SERYA V.

Styczeń.

TOM I. — ZESZYT I.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 32 —

Ukończono druk dnia 8 stycznia 1879 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. W sprawie Szczerbca Bolesławowego. Przez Kajotana Kra- szewskiego i Seweryna Smolikowskiego (z tablicami).	1
II. Wpływ dróg żelaznych na ruch ekonomiczny w Rosyji. Przez Jana Blocha.	37
III. Warszawa, jój życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (od 1800—1830 r.). Przez K. Wł. Wójcickiego. . . .	59
IV. Kronika lwowska. Przez Władysława Zawadzkiego.	92
V. Voltaire i Rousseau na polu ekonomii politycznej. Przez J. K. Corvin Piotrowskiego.	108
VI. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Dzieła nagrodzone przez akademią Francuzką: dwie konkursowe rozprawy o Buffonie.— <i>Życiorys kardynała de Retz</i> , p. Chantelause.— <i>Monogra- fia domu Saulx-Tavannes</i> , p. Pingaud.— <i>Historja Guwizyuszów</i> , p. For- neron.— <i>Historja Monteskiusza</i> , p. Vian.— <i>Życiorysy generała Pajol i Klebera</i> , p. Pajol.— <i>Obraz literatury francuzkiej</i> , 1800—1815 r., p. Gustawa Marlot.— <i>Epoka odrodzenia</i> , p. Gobineau.— <i>Historja Ros- syi</i> , p. Al. Ramband.— <i>Szkoły w krajach północnych</i> , p. Hippeau.— <i>Biografia Dawida z Angers</i> , p. Jonin.— <i>O harmonii dźwięku</i> , p. Ram- bosson.—Przekład z angielskiego dzieła <i>O Rosyji p. Makenzie Valla- ce</i> , przez Bellanger'a.— <i>Gramatyka historyczna</i> , p. Desperouse.— <i>Filo- logiczne rozprawy Darmestettera</i> .— <i>Człowiek dawnych czasów</i> , p. Costa de Beauregard.— <i>Montcalm i Kanada francuzka</i> , p. Bouvechosc.— <i>Powieść Dosia</i> , p. Henri Greville.— <i>Wśród pastwisk</i> , Gustawa Levas- seur.— <i>Przy ognisku</i> , Oktawiusza Noel.— <i>Życiorys panny Sauvau</i> , p. Emila Gossot.— <i>Poemata i pieśni</i> p. Blanchemin.— <i>Zarysy krytyki artystycznej</i> , p. Bougot.— <i>Wycieczka na Mont-Blanc</i> , Karola Durier.— <i>Podróż po Egipcie</i> , p. Rhone.— <i>Od bieguna pod równik</i> , p. Dubois.— Doroczne zebranie pięciu wydziałów Instytutu.—Mowa Laboulaya przeciwno ewolucjonistom.—Ustęp odczytany przez Legouvégo z dzieła p. t.: <i>Nasze córki i nasi synowie</i> .—Zbiór poezyi Franciszka Coppée: <i>Les Recits et les Elegies</i> .— <i>Questions d'Art et de Litterature</i> , pośmiertne dzieło Georges Sand, tomów 3. <i>Polieukt</i> , opera Gouno- da, libretto Juliusza Barbier.—Ocenienie narzędzi optycznych p. Praż- mowskiego, przez dr. Pelletan.—Nowe hipotezy o pochodzeniu Aryów, Teodora Poescho.—Filibrowie prowansalscy w Paryżu.— <i>Szczerbiec bez szczytów</i> .—Malarze i rzeźbiarze polscy na tegorocznej wystawie sztuk pięknych w pałacu przemysłowym.—Statystyka nagród otrzymanych przez różne państwa na wystawie powszechnj.	118

(Dalszy ciąg patrz na trzeciej stronie okładki).

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 153.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1879.

— 000 —

Tom pierwszy.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—
1879.



Дс. II. 1.

Доводено Цензурою
Варшаса 26 Декабря 1878 года.

W SPRAWIE
SZCZERBCA BOLESŁAWOWEGO ¹⁾.

I.

SKARBIEC KORONNY.

PRZEZ

Kajetana Kraszewskiego.

Veritas nunquam latet.
(Sen.)

Podana przez sprawozdawcę z wystawy paryżkiej, wiadomość o *Szczerbcu*, we wrześniowym z. r. numerze *Bibl. Warsz.*, sprostowaną i objaśnioną została w numerze następnym, przez znakomitego badacza p. Ernesta Swieżawskiego. Dla ludzi, którzy czują się związanymi z przeszłością kraju, którzy tę przeszłość kochać i szanować umieją, taka pamiątka, jak ów Bolesławowy Szczerbiec, jest nad wszelakie ceny drogim narodowym klejnotem, i wątpić się nawet nie godzi, iż każda, najdrobniejsza bodaj o nim wiadomość, obojętną być nie może. Z tej zasady wychodząc, śpieszę przesłać, o owym sławnym *mieczyku*, jako i o skarbcu koronnym, niejaki historyczne materiały, które udało mi się, bądź z ustnego podania, bądź z przeglądania starych dokumentów, otrzymać.

Najprzód, wraz z panem Swieżawskim, prostujemy mylnie podanie korespondenta, jakoby ów stary miecz zaginął, przed koronacją Augusta II. Szanownemu korespondentowi, sprawiedliwa a zasłużona należy się wdzięczność, za zwrócenie uwagi na ten szacowny zabytek; kwestya jednak podjęta objaśnioną być winna. W istocie: ani August II, ani Leszczyński, nie mieli do koronacyi insygniów koron-

¹⁾ Jednocześnie prawie, nadesłane nam zostały dwie prace, tyczące się Szczerbca Bolesława, które, jako dopełniające się wzajemnie, razem czytelnikom naszym podajemy. Pan Kajetan Kraszewski przysłał nam odpis ciekawego dokumentu, znajdującego się w archiwum Romanowskiém, t. j. akt rewizyi skarbcu koronnego, w r. 1739 dokonanego. Pan Seweryn Smolikowski przywiózł nam z Paryża, wykonany przezeń rysunek miecza, znajdującego się na wystawie przeszlorocznej, a uchodzącego za Szczerbiec Bolesława, oraz opis takowego wraz z krytycznymi uwagami, tyzącemi się całej tej sprawy. Obie te prace, jakkolwiek nie rozwiązują ostatecznie kwestyi sporniej, przecież przyczynić się mogą do pędszego jej wyjaśnienia.

Przyp. Red. Bibl. Warsz.



nych; skoro bowiem napływać zaczęły cały kraj, plądrujące wojska cudzoziemskie, skarbiec koronny, jak mówi Otwinowski (*Pamiętniki*, fol. 95), deponował gdzieś w Szlązku Szembek, natenczas biskup kijowski. Że miecz jednak nie zaginął, ani inne klejnoty, przekonywają nas lustracye skarbcia koronnego, tak z lat poprzedzających, jako i późniejszych, znajdujące się w zbiorze *Pamiętników o dawnéj Polsce*, Niemcewicz (t. III, fol. 40), mianowicie rewizye z lat: 1599, 1633, 1676, dalej 1730 i ostatnia z roku 1792. O téj ostatniej mówi właśnie i p. Swieżawski, cytując słowa naocznego świadka: Czackiego. Niemcewicz, podając tylko wstępny akt téj rewizyi z 1792 r., pisze dalej: „Nie powtarzamy opisu koron, berek, mieczów, jabłek, gdyż właśnie téż saméj (?), jak było (?) w r. 1733. Rewizyi z 1733 r., w zbiorze Niemcewicza niéma wcale: miałyby to być omyłka druku? Autor chciał może odesłać czytelnika do rewizyi z 1730 r., którą, jako przedostatnią podaje. I ta jednak przedostatnią nie jest, posiadamy bowiem w archiwum naszym rękopism, jak się zdaje, Niemcewiczowi nieznaną. Szacowny ten dokument jest aktem całkowitym, rewizyi skarbcia koronnego, z roku 1739, który, jako ciekawy historyczny zabytek, podajemy.

Na tytule wypisano: Komisyja przez *Senatus Consultum* w Warszawie, roku niniejszego, dnia trzeciego M-ca Kwietnia naznaczona, a przy oddaniu Skarbcia Koronnego JW. JMCi Panu Janowi Anzgaremu Czapskiemu Podskarbiemu W. K. Bratyańskiemu, Łąkorskiemu etc. Staroście, odprawiona—1739 r.

Actum.

In arce Cracoviensi, in Conclavi vero Residentiae Custodialis Thesauri Feria Secunda ante Festum Sanctae Mariae Magdalenae proxima die, scilicet, Vigésimu mensis Julij. An. Dom. Millesimo Septingentesimo Trigesimo Nono.

Obserwując *resultatum Senatus consilii* w Warszawie, dnia 3-go M-ca Kwiet. roku niniejszego 1739 *expediti*, tudzież stosując się do prawa Koronnego o oddawaniu skarbu od Ministerium Podskarbstwa należącego a osobliwie do Konstytucyi 1563 r., *titulo* Skarb Koronny. Za deklaracją y denuncyacją przez Najswietlejszego w Bogu Jana Kardynała Lipskiego Biskupa Krakows. Xiążęcia Siewierskiego Commisarza pierwszego listownie intimowaną.

Na terminie dzisiejszym *circa praesentium* JW. JMP. Jana Anzgarego Czapskiego Podskarb. W. K. Bratyańskiego, Łąkorskiego etc. starosty *ex ministerio*, JW. JMP. Antoniego Łodzka Ponińskiego, Wojewody Poznańs. *ad mentem legis*, to jest według Konstytucyi 1576 r. *ad hunc Actum ex Senatoria dignitate* należącego, tudzież JW. JMCi Xiędza Jerzego z Miroszowa Pierószewskiego Kustosza Koronnego Kanonika Kath. Krak. Deputata na Przeswietny Trybunał Lubels. Koronny z Kapituły Krak. *ex officio*.

Z Małej Polski.

Jan Kardynał Lipski Bisk. Krak. Xiążę Siew.
Bogusław z Łubny Łubiński (sic) Kasztel.
Sandomierski *Ex Senatu*.

Z Wielkiej Polski.

Michał Nieborski Płocki, Kazmierz Rudziński Czerski Kasztelanowie przez *Senatus Consilium* do oddania Skarbcza Koronnego y zweryfikowania klejnotów *ex Archivi Regni* naznaczeni Commisarze. Przeczytawszy *punctum Resultati 3-ium etc. etc.*

Przy prezydencyi JWW. Ich Mciow. Xięży:

Michała z Granowa Wodzickiego, Dziekana Kat. y officyała Generalnego Krak. Opata Wąchockiego; Samuela Szwykowskiego, Franciszka Borowskiego, Józefa Bleszyńskiego, Hieronima Wielogłowskiego Kanoników Krakowskich, Woyciecha Ceyplera Dziekana Kolegiaty WW. ŚŚ. w Krakowie y Kieleckiego, Jana Kantego Wosińskiego Kieleckiego, Jana Chrzonowskiego, Zbudzińskiego proboszczów, Kamillego Garardyniego Scholastyka Kolegiaty Krak. WW. ŚŚ., tudzież JW. JMCi Panów Antoniego Nieborskiego Ciechanowskiego Starosty, Jakuba z Działyna Działyńskiego Chorążego Wschowskiego Starosty Powickiego, Franciszka z Dębin Dębińskiego Sędziego Generalnego Wojew. Krak., Stefana y Adama na Zakliczynie Jordanów Wojewodzciców Braclaws., Kazmierza z Łubny Łubińskiego Starosty Jadowickiego rachmistrza Żupp Bocheńskich JKMci, Józefa Czapkiego Kasztellanica Gdańskiego, Krzysztofa z Zagorowa Rogowskiego Burgrabiego Zamkowego Krakowskiego, Stanisława Jaszewskiego Wielkorządęc Krak. Oberszt Leitnanta JKMci, Michała Glińskiego Cześnika Rawskiego, Józefa na Piegłowie Piegłowskiego Cześnika Jana Brzozowskiego Miecznika—Ciechanowskich, Woyciecha Węzyka Rudzkiego Stolnika Łukowskiego, Ludw. Zabłockiego Stolnika Ruskiego, Józefa Węzyka Rudzkiego Czesnika Łabęciowskiego, Ignacego Burgrabiego Płockiego y Antoniego Stolnikowicza Podolskiego—Aremboszów, Jana Józefa na Lipym Lipskiego, Kaspra Radzieckiego Sędzica Ziems. Zakroc., Józefa z Wrzący Brzechffy, Piotra Paprockiego, Tomasza Firleja Konarskiego Kaszt. Bieckiego, Antoniego z Dobni Dobińskiego Burgr. Krak., Antoniego Brzozowskiego Regenta Grodz. Kowalewskiego, Jana y Stanisława Jaszewskich, Ignacego Łonowskiego, Piotra Dłuskiego, Franc. Miklaszewskiego Subdelegata Grodzkiego Podrzęcogo y Sędziego Wielkorządęców Krakowskich, Piotra Gordona Sędziego Wojewodz. Superintendenta Cełł. Rzplitey y Prowincyi Małopolskiej, Francisz. Tadeu. Miklaczewskiego, Stanisława Bedońskiego, Franc. Garlickiego, Stanisl. Korytowskiego, Kazmierza Morawskiego.

Jurysdykcyę naszą Komissarską zafundowawszy do dnia jutrzejszego zalimitowaliśmy.

Actum. Feria Tertia ante Festum Sanctae Mariae Magdalenae etc. (Do przejrzenia archiwów, dokumentów do Ekonomij należących etc. wyznaczono księdza Miroczewskiego Kustosza Koronnego, Franciszka Miklaszewskiego Subdeleg. Grodz. Piotra Gordona i Antoniego Brzozowskiego).

Actum. Feria Quinta ante festum Sancti Jacobi Apostoli. (Dla nieskończonej rewizyi papierów ekonomicznych posiedzenie limitowano).

Actum. In ibidem feria Sexta etc. (widząc, że opis Rewizyi ekonomicznych tak prędko skończonym być nie może, limitowano do dnia 27-go).

Actum. Feria Secunda post Festum Sancti Jacobi Apost. proxima A. D. 1739.

Przy dzisiejszej reasumpcyi Sessyi naszej Komisarzskiej, wysłuchawszy relacyi o rewidowaniu Munimentorum do Ekonomij *spectantium* tudzież wszystkich papierów które się znajdowały w sklepie sub N. 6-to złożone a osobnym rejestrem teraz według zlecenia naszego przez deputowanych *modo supra scripto Summarie*, opisanych. Do rewizyi i weryfikacyi *Clenodiorum Regni totius Archivi* przystąpiliśmy, y kluczami *a successoribus* ś. p. JW. JMP. Moszyńskiego Podskarbiego W. Kor. przysłanemi, sklepy skarbcza koronnego dalsze, osobliwie sklep narożny otworzyć zleciliśmy, *Sepet z Skrzyni* siedmią kłódkami zamknięty, odemknąwszy rewidowaliśmy, które *Clenodia* jako 1731 r. opisane, tak zupełnie *in eodem numero et specie* zostające zweryfikowaliśmy, a tej weryfikacyi tenor takowy.

Korona Pierwsza, Originalis sive Privilegiata nazwana. Od Najjasniejszego Ottona Cesarza Bolesławowi Chrobremu Królowi Polskiemu dana: ta miała porcyi dziesięć. A że jedna porcyą skruszona, z której tylko *in fragmentis* niektóre znajdują się kamienie, zamiast zaś tej porcyi znalazła się sztuka albo ósma porcyą z korony *Reginalis* nazwanej sub N. 7 opisanej. W której według inwentarza 1690 et 1730 siedm tylko porcyi opisano a teraz ósma pokazała się *in fragmentis ejusdem formae* jak te siedm (o czém w inwentarzach pomienionych *nulla mentio*). Dlatego do porcyi trzeciej *Coronae Originalis* tamte fragmenta należeć powinny. Ta zaś porcyą jako *conformis portionibus Coronae Reginalis* tam przystosowana z rozkazu naszego. Tej zaś Korony Oryginalnej porcyę opisują się. (Następuje opis dziesięciu części korony, w których pomieszczone są wielkie i mniejsze rubiny, szmaragdy, szafiry oraz perły z inkrustowanemi kamieniami lub bez takowych w liczbie sztuk 359. Na jednym dużym szafirze wyrżnięty lew).

Te kamienie wszystkie nie slifowane w wszystkich porcyach, zawarcie korony na krzyż szczerozłote, na wierzchu jabłuszko z krzyżkiem, aksamit zbutwiały wyrzucony.

Ta korona włożona teraz w osobne pudło, przy niej włożone jabłko złote *cum sphaera mundi* składane, sztyft przez całe jabłko złoty,

na wierzchu jabłuszko y krzyżyk z pereł czterech y rubinów dwóch zrobiony.

Korona Druga, Szczerozłota, której używają *ad Coronationem* Królowej Polskiej, w sobie ma porcy siedm szczerozłotych, gdyśmy weryfikowali znajduje się ósma w której też same kamienie jako i w innych o czem się już namieniło przy opisaniu Korony Oryginalnej na początku. (Następuje opisanie korony w której znajduje się rubinów 40, szafirów 40, pereł 63).

Ta korona bez zawarcia wierzchu nie mająca, Jabłko złote włożone w pudełku przy tej koronie.

Korona Trzecia, *Homagialis* nazwana, szczerozłota ma w sobie porcy dziewięć (według podanego opisu znajduje się rubinów 45, szafirów 45, pereł 85).

Zawarcie tej korony na krzyż, z krzyżykiem ułamanym, jabłuszko przy teje koronie w pudełko włożone, axamit stary zgnity wyrzucony.

Korona Czwarta, Węgierska, szczerozłota.

Ta korona w jednym cyrkule mająca w sobie kamieni. Szafirów wielkich w tablice szlifowanych *cztery*, rubinów w tablice *cztery*. Jeden tylko na wierzchu połamany tak jak było zdawna.

Fragmentów do niej należących siedm różnych mniejszych i większych, które teraz zaraz włożone w pudło przy teje koronie *cum specificatione*.

Korona Piąta, Szwedzka nazwana w której porcy *wielkich* pięć, zepsuta jedna z nich, fragmenta z osobna w papierze, te na jednym cyrkule wszystkie. (Następuje opis pięciu większych i pięciu mniejszych części korony, w nich: szmaragdów 34, szafirów 20, rubinów 70, dyamentów 28, pereł 141).

Zamknięcie tej korony na krzyż, złote jabłko maleńkie z krzyżykiem odszrubowane wiszące na drócie.

Sceptra, Pierwsze szczerozłote na szyćcie żelaznym pod gałką wierzchnią dyamentów *dwa*, dyamentu jednego nie dostaje. *Item* w tym sceptrum kamieni trzy. Szmaragd skruszony szlifowany 1, szafir szlifowany 1, topaz szlifowany 1, rubiny małe u dołu 3.

Drugie sceptrum małe złote od korony węgierskiej, u góry listki złote, na szyćcie żelaznym.

Trzecie sceptrum srebrne, złociste na wierzchu, w koronie wyszczerbione.

Czwarte sceptrum, srebrne złociste całe.

Pierwsze jabłko szczerozłote na niem *sphaera mundi* rysowana, na szyćtach złotych krzyżyk na niem z pereł czterech i rubinów dwóch złożony. To jabłko włożone do pudła przy koronie oryginalnej.

Drugie jabłko złote z krzyżykiem złocistym, włożone do pudła przy koronie królowej.

Trzecie jabłko srebrne złociste.

Czwarte jabłko srebrne złociste.

Piąte jabłko srebrne złociste z krzyżkami takiemiż.

Łańcuchy „dwa złote drótowej roboty, opisane w dawniej rewizyi Anno 1690, ale teraz nieważone, ponderis czerwonych złotych *sto czterdzieści y dwa, dico auri* 142.

Item, łańcuchy dwa szmelcowane; jeden w rycerskie węzły waży czerwonych złotych *trzysta sześćdziesiąt y jeden dico Aur.* 361. Drugi łańcuch kręcony złoty, waży czerwonych złotych *dwieście osmdziesiąt y ośm, dico Aur.* 288.

Insuper znajdują się fragmenta, które w przeszłym inwentarzu nie są opisane jako to: (opisanie pięciu części różnych złotych w których mieści się szafirów 5, rubinów 3 i pereł 4).

Pas. Ten na axamicie *zgnielłym*, w którym sztuk szesnaście rachując w *przecie* dwie sztuki między którymi aspisowych sztuk pięć, gągatkowa jedna rznięta, inne szczerozłote.

Miecze.

Pierwszy w pochwach srebrno złocistych na kształt koncerza, Sigismundi I, rękowisć (sic) teraz oporzadzona z kapturkiem y krzyżkiem srebrnemi, włożony w skrzynię żelazną wielką w średnim sklepie.

Drugi Szczerbiec nazwany, w pochwie teraz nowo zrobioney, wychędożony, bo dawną pochwę rdza ziadła, krzyż przy nim z rękowisćią włożony na wierzchu *sepetu*—pod klucze senatorskie, o czym *niżej*.

Sztuka jednorożca mało większa nad pół łokcia.

Miedniczka mała suto złocista srebrna z greckim pismem, w środku z portretem N. P. Maryi.

Relikwiarz moskiewski srebrny złocisty, na wierzchu kaszt próżny.

Krzyżek srebrny złocisty otwierający się *unus effigie Christi Crucifixi*.

O Kleynotach Zastawnych.

(Tu następuje opis kleynotów zastawionych królowi Janowi III, na zapłatę wojsku litewskiemu z konstytucyi sejmu *electionis* 1674 r. taki sam jaki podany jest w rewizyi z roku 1730, u Niemcewicza fol. 108, dalej zaś pisze):

Opisanie kleynotów Rzplitej, które *per tractatum Elbigensem* dane są w zastaw *electori brandeburgico A. 1700* (właściwie być powinno 1699).

Korona Moskiewska, sama w sobie okrągła, z blachy złotej trybowaney, wewnątrz nakształt jamułki, u góry cztery pałaki wyniesione z blachy złotej, z wierzchu gałka (wedle opisu szafir gruszkowaty wielki) z krzyżem, okrąg trybowany szmelcowany, zieloną koroną w koło reprezentujący, kasztami z różnych kamieni sadzona.

(Następuje opisanie szczegółowe, w którym wyliczono kamienie następujące: szafirów 23, szmaragdów 70, rubinów 83, dyamentów 48, pereł 468. Dalej wyliczenie innych jeszcze kleynotów mniejszych i *noszeń*).

Z których to kleynotów każda sztuka z osobna w skórę obszyta, a tych sztuk jest sześć i wszystkie w pudełku posrebrzanym porządnie ułożone. Pudełka zaś pieczęcią na wstędze błękitnej obwarowane przez kardynała XJMci prymasa, JMPanów plenipotentów, kurfirsta JMci y komisarza pierwszego na sprowadzenie kleynotów do Krakowa ordynowanego.

Toż samo pudełko pod koronę w puzdro inkludowane, w którym sama korona która pieczęciami XJMci prymasa, JMPanów plenipotentów Kurfirsta JMci Brandeburskiego, JMPanów komisarzów Rzplitey JMXiędza kustosza skarbu koronnego na wstędze czerwonej zapieczętowana y dobrze opatrzona odesłała się. JMPauom komisarzom *ad retraditionem* Elbląga ordynowanym. Dan w Warszawie *Die et Anno ut supra*. Michał Radziejowski Prymas Korony Polskiej y W. X. Lit.

(Dalej następuje: sumaryusz rejestrowy Inwentarzów, tudzież różnych percept y Expens Wielkorządców krakowskich w skarbcu koronnym znajdujących się etc.).

W akcie powyższym na szczególną zasługuje uwagę paragraf zob. tyt. *O klejnotach zastawnych* z tego względu, że rewizorowie z r. 1730 (Niemcewicz, fol. 109) po wymienieniu klejnotów oddanych królowi Janowi III piszą dalej: „o koronie moskiewskiej testamentem od ś. p. Władysława IV Rzplitey legowanej w tymże inwentarzu (1676) specyfikowanej, *nie mogliśmy dość (dojść) żadnego vestigium jako y djamentu wielkiego in anno 1638 w skarbie zaległego.*”

Dziwném się to wydaje, skoro komisarze późniejsi z roku 1739 w rewizji którąśmy z naszego archiwum wyżej podali, najdokładniej powiadomieni są i o owęj koronie i o innych kosztownościach na mocy welawskiego traktatu kurfirstowi brandeburskiemu oddanych, cytując nawet sam akt wręczenia przez prymasa Radziejowskiego podpisany. Tak więc, Szczerbiec, szacowna po Chrobrym pamiątka, wraz z koroną jego, przeleżał aż do czasów ostatnich.

Korrespondent z Wystawy paryżkiej pisze: „niema tu jednak szczyrby i można zaręczyć że nigdy jęj nie było: ostrze bardzo szerokie w proporcją długości nie mogło być o tyle ściętém aby znikły ślady uszkodzenia. Wreszcie sam rozmiar niezgodny z tradycją. Wprawdzie ojcowie nasi używali krótkich orężów, nazywali je *mieczykami*; przejrzyjmy tymczasem kronikarzy, czyż z nich aby jeden zwał mieczykiem szczyrbiec Chrobrego.” Tu, stanowczo zaprzeczyć musimy szanownemu korespondentowi; najprzód bowiem, Szczerbiec jako mający głównię nie wygiętą, nie może się zwać pałaszem, jak go Czacki nieopatrznie mianuje, ani szablą, ani ordynką, ani karabelą; w porównaniu zaś z również jak on prostemi koncerzami i wielkimi mieczami używanymi przez naszych sąsiadów, mógł się zwać *mieczykami* i *był nim w istocie*, skoro w lustracyi skarbcza z roku 1676 pod N. 13

umieszczono *mieczyk Bolesława, alias szczerbik* (Niemcewicz, *Pamięt. o daw. Pol.* t. III, fol. 73).

W numerze 694 *Kłosów* powtórzone są cenne objaśnienia p. Świeżawskiego z opisem Szczerbca jaki Czacki podaje „uważałem że ten pałasz miał szczerbę w środku głowni, ale nie w ostrzu.” Widzimy więc, że w Paryżu mógłby być tym samym, lubo w nim szczerby na ostrzu niema, tu więc trafne jest spostrzeżenie korespondenta. Autor wszelako artykułu w *Kłosach*, robi uwagę, że to określenie Czackiego o szczerbie trudne jest do pojęcia „głownia bowiem, jak mówi, w słownictwie polskiém znaczy to samo co brzeszczot, czyli klinga.”

Tak jest rzeczywiście, ale Czacki przez *środek głowni a nie ostrze*, rozumie *środek szerokości napłask*, gdzie skazę, czyli szczerbę uważał, co jest rzeczą najpewniejszą, gdyż każdy co miał z bronią do czynienia wie dobrze, iż na wielu brzeszczotach *które były w robocie*, podobne szczerby spotykać się dają. Przypuszczając dalej prawdziwość legendy o Szczerbcu, ze wszelkiém prawdopodobieństwem domyślałby się wolno, że owe symboliczne tylko uderzenie w bramę dokonane ręką zwycięzkiego monarchy, uskutecznione zostało *raczej płaszem niż ostrzem*, które, bądź co bądź, szanowane jest przez każdego rycerskiego człowieka. Skaza więc na szerokości głowni byłaby w takim razie rzeczą najzupełniej dającą się wytłumaczyć.

Co do skarbcza koronnego, tradycja ustna podaje dwa szczegóły; odnoszą się one do chwili, kiedy po bitwie pod Szczekocinami, Prusacy podstąpili pod Kraków. Kościuszko, jak wiadomo, Wieniawskiemu powierzył obronę staryj stolicy, lub w ostatecznym razie oddanie jej w ręce Austryaków. Na sam widok zbliżającego się nieprzyjaciela— lubo Prusacy, jak współczesne podają źródła, do dobywania twierdzy, acz słabiej, nie byli wcale przygotowani, Wieniawski straciwszy głowę wymknął się pośpiesznie do obozu austryackiego, gdzie cały dzień ten i następny przesiedział. Tymczasem, podpułkownik Kalk, Wieniawskiego zastępca, nie otrzymawszy od niego żadnych rozporządzeń, targował się niby z nieprzyjacielem aż do dnia 15 czerwca, w którym, niedoczekawszy się powrotu Wieniawskiego z *trzema* (sic) mieszczanami kapitulacją podpisał. W dniu tedy 14 czerwca gdy nieobecność komendanta, a ztąd, zupełny rozstrój słabych sił miejscowej załogi i trwoga powszechna, rokowały już nieuchronne wejście nieproszonych gości, jak wieść niesie, przybyły jakoby z wieczora do zamku dwie osoby opatrzone w klucze od skarbcza, wzięły ztamtąd niektóre insygnia, skarbiec napowrót zamknęły i odjechały. Te więc główne koronacyjne klejnoty, według podania, miały się, czy mają jakoby w rękach jakiejś rodziny, pod pieczęcią tajemnicy, jako depozyt narodowy przechowywać. Według tegoż podania, Prusacy po wejściu do Krakowa, za poradą miejscowego ślusarza, *ślawnego* pijaka, podrąbawszy próg skarbcza wyprzątnęli go do czysta, zrabowawszy kosztow-

ności i wszystko co się w nich znajdowało ¹⁾. Prawdziwość drugiej części tego podania zdaje się nam wątpliwości nieulegać, obecnie bowiem czyniąc właśnie poszukiwania w tym przedmiocie, wpadliśmy niespodziewanie na artykuł niestrudzonego, a tyle zasłużonego badacza naszej przeszłości p. Łepkowskiego (*Encykl. Pow.* t. XV, str. 857), który jako bardzo ciekawy podajemy.

„Oto wyjątek z udzielonych mi pamiątek Ksawerego Kratzer. Ów Kratzer (ur. 1740) pełnił już podczas pobytu Prusaków w Krakowie urząd kantora katedralnego i mieszkał w zamku (ma Kratzer nagrobek w katedrze krakowskiej, właśnie obok ks. Sierakowskiego, a umarł 1818 roku, będąc kantorem lat 54), był więc tego co się działo naocznym świadkiem. Pisze on tak o chwilach owych. Stali Prusacy w Krakowie i okolicy, aż do czasu gdy się ostatni podział Polski zdecydował. Niejaki Zubrzycki, wysłużony kapitan artylerji polskiej był wtedy magazynierem w zamku i żywił się z rodziną swoją przy Prusakach. Gdy widział że mu bięda zagraża, powziął myśl haniebnego zabezpieczenia sobie przyszłości. Uduje się tedy do Ludwika Antoniego von Hoym, tajnego konsyliarza i pełnomocnego komisarza JMci króla pruskiego w Krakowie, oświadczając, że jeśli mu wyjedna urząd dostatni, to wskaże miejsce gdzie skarbiec koronny ukryty... Stało się zadosyć życzeniu, bo Zubrzycki dostał nominacyę na komisarza porządku w Częstochowie, z pensyą roczną 180 talarów i mieszkaniem.

Dopełnia tedy Zubrzycki obietnicy, ostrzegając że trzeba bieglego ślusarza do otwarcia zamku, *a dla uniknienia w mieście tumultu*, lepiej majstra takiego zkądinąd sprowadzić. Posłano więc do Wrocławia po cechmistrza ślusarskiego; tymczasem nadchodzi wiadomość, że wojska austriackie mają zająć województwa: sandomierskie, lubelskie i krakowskie. Trzeba się było śpieszyć. Przybywa wreszcie ów ślusarz z Wrocławia; więc Hoym, sekretarz jego Lang, generał-major Leopold von Rüts i starsi wojskowi udają się na otwarcie wskazanych drzwi. Usiłowania majstra chcącego pilnie służyć, okazały się bezskuteczne. *Pan generał* radził zatoczyć armatę, twierdząc, że jednę kuli dość na otwarcie okutych wrót. Kowalski, murgrabia zamku zreflektował gorących, że wystrzał wstrząśnie i zawali sklepienie. Przywołano tedy krakowskiego majstra ślusarskiego Franciszka Weissa; ten obejrzawszy drzwi, osądził, że innego niema sposobu, tylko spodni węgar wybić, tak, aby się tam człowiek pod nie przecisnął i rygle z wnętrza zasunięte otworzył. Rada praktyczna, więc stanęło na tém i wyrąbano próg kamienny; otworem wpełzał się majster, krzyżowe rygle odsunął i drzwi otwarł. Oddalono przytomnych, a tylko Hoym, Lang, Rüts i murgrabia krakowski weszli do sklepu. *Wzięto zamknięte i zapieczętowane pudro i to karetę gubernatora do miesz-*

¹⁾ Wspomnieliśmy o tém, w opowiadaniu pod tytułem *Skarb stolnikowicza*, drukowaném w *Ognisku domowém*, r. 1876.

kania jego odwieziono. Zubrzycki czekając na dziedzińcu, oświadczył gubernatorowi, że w komnatach królewskich co nieco znaleźć się może. Odebrano tedy Kowalskiemu klucze od pokojów pałacowych, z poleceniem: aby się jutro z domu nie oddalał aż przyjdą. Nazajutrz zrana przybyli znów Hoym, Lang, Rüts i komendant zamku major Mask. Na pokojach Lang prenotował sprzęty a niemi się wedle stopni dzielono. Pozwolono brać i kapitanom i ober- i unter-lejtnantom, feldfeblom, kapralom i knechtom nawet. Gdy zabrano sprzęty, lustra, obicia, opony, stoły i stolki, wyjmowano nawet okna i posadzki, odrywając zamki, zabierając wreszcie drzwi w fasony cięte.

Tak pałac królewski stał się i bez wojny pustką, a rudera jakby po ogniu... Murgrabia Kowalski, drzwi główne wchodowe żelazem okute zamknąwszy, ze zgryzoty zaraz zachorował i umarł. Stróż więc zamkowy Urban, klucz od bramy owęj oddał Prusakom. To wszystko stało się w końcu roku 1795, bo 5 stycznia 1796 r. wojsko austriackie Prusaków obluzowało w Krakowie. Austriackiemu generałowi Foulonowi oddali Prusacy to, czego już zabrać nie mogli; oświadczając: „że zamek zdają jak zastali, nie tknąwszy go.” Z całą uprzejmą grzecznością i wiarą przyjął to oświadczenie austriacki generał.”

Ten pomnikowy dokument najzupełniej aż do szczegółów zgodny z podaniem, któreśmy znali na wiele lat jeszcze przed wydrukowaniem urywka z pamiętników Kratzera, szacowną jest i niewątpliwą wskazówką, a staje się już *niezbitym dowodem* prawdy, zestawivszy go z tém, co spotykamy w pamiętnikach Feliksa Łubieńskiego, gdy opisuje pobyt swój w Berlinie w r. 1797 i przedstawienie u dworu (*Pam. Łub.*, str. 164). „Skoro deputaci otrzymali posłuchanie, Działyński, jak sam sobie życzył, przemawiał do króla, ale zmieszany obecnością mnóstwa osób uprosił Łubieńskiego, aby wystąpił z przemową do królowej. Nie podaję treści tych mów w pamiętniku (mówi wydawca Wł. Chomętowski o Łubieńskim), ale zapisał pewną okoliczność, która nie mało nabawiła go kłopotu. Kiedy królowa odpowiadała na jego mowę, *spozstrzegł starosta w naszyjniku jej i w dyademie klejnoty z koron, które widział niegdyś w skarbcu krakowskim.* Nie mógł ukryć wzruszenia i pomieszania, co nie uszło uwagi królowej; zatem po skończonej audyencji, zapytała przez hrabiego Massau o przyczynę. Rozumié się, że zagadniony Łubieński niechciał z początku wyznać prawdy, atoli nie przestała królowa na pierwszém tłumaczeniu i tak nalegała usilnie, że w końcu przyznał się szczerze, jako przyczyną jego pomieszania było zauważenie podobieństwa klejnotów w jej naszyjniku, do zdobiących korony, które złożone były niegdyś w Krakowie. Poprzestała królowa na tém tłumaczeniu, pisze Łubieński, rozkazała odnieść klejnoty do skarbcu, i odtąd już ich nigdy nie używała.”

Zestawivszy te wszystkie świadectwa, niéma już dziś wątpliwości najmniejszej, że skarbiec koronny dostał się do Berlina. Część więc podania któreśmy wyżej przytoczyli, okazuje się zupełnie prawdziwą. Co do drugiej części tradycyi, czyli ukrycia przed zaborem Prusaków

niektórych koronacyjnych klejnotów, nie tu napewno powiedzieć nie można; a co gorzej, niestety, z opowiadania Kratzerza wnioskować należy, iż główne klejnoty wcale przed tém naruszone nie były, skoro, jak mówi tenże „zapieczetowane puzdro, kareta gubernatora do mieszkania jego odwiezione zostało.” Ztąd nawet daje się jakoby widzieć początek popularnej legendy o owych *nieznanych* osobach, które klejnoty uwieźć miały (z różnicą czasu zdarzenia). *Rabunek* bowiem skarbcza otaczał się, jak widzieliśmy, pewną tajemniczością *dla uniknienia w mieście tumultu* (Kratzer), jakby się białego dnia wstydział, na co, przy odrapywaniu komnat zamkowych *nazajutrz rano* już niezwracano uwagi, jako na rzecz w porównaniu głównej zdobyczy, mało znaczącą.

Z mieczami wszakże które się w skarbcu znajdowały, koncerzem Zygmunta I i Szczerbcem, rzecz się ma wcale inaczej.

Wszystkie rewizye skarbcza koronnego przekonywają nas, że przechowywane tamże pamiątki i kosztowności, układane były i trzymane, zawsze mniej więcej w jednakim, raz przyjętym porządku. I tak, z rękopismu znajdującego się w naszym posiadaniu, lustracyi 1739 r. końcowy ustęp, umyślnie nie podany przez nas wyżej, brzmi jak następuje: *Zamknięcie skarbu*. „*Insignia Regni* wyżej opisane w sepecie tymże w którym *continebatur* ułożywszy, trzema zamkami zamknięte w skrzyni żelaznej z zamkiem i ryglami, z sepetem złożone...” etc. i dalej: „klucz zaś podwoyny od zamku skrzyni żelaznej w której ten sepet *cum insigniis* pieczęciami naszymi stwierdzony włożyć rozkazaliśmy JW Mci Panu Podskarbiemu W-mu Kor. oddaliśmy.” W rewizyi z r. 1730 czytamy: „To wszystko to jest insignia y inwentarze w tymże samym sepecie zamknięte do skrzynki, w której przywiezione z sepetem włożone, *miecze zaś na spodzie w skrzyni pod sepetem włożyliśmy*.” Inwentarz zaś nasz z 1739 r. mówi o mieczach: „koncerz Sigismundi I włożony w skrzynię żelazną wielką, Szczerbiec włożony na wierzchu sepetu” w skrzynię.

Z powyższego więc okazuje się, porównywając rewizye z lat różnych, że przedmioty znajdujące się w skarbcu pakowano w sposób następny. Każda korona z jabłkiem w osobnym pudełku; łańcuchy, berła i drobniejsze rzeczy w innych osobnych pudełkach, to wszystko w sepecie, czyli kuferku jednym zamkniętym i opieczętowanym. Sepet ten, czyli puzdro, złożone było w skrzyni żelaznej, zamczystej, pod kluczami senatorskimi; a że miecze jako przedmioty większe, w sepecie z koronami i klejnotami mieścić się nie mogły, wkładano je do skrzyni żelaznej razem z sepetem, pod spód, albo na wierzch jego.

Ztąd nietylko przypuszczać, ale niemal napewno by twierdzić można, że gdy Prusacy sklep otworzyli, skrzyni żelaznej zabrać do karety nie mogli; odbito więc ją i następnie „sepet, czyli, jak mówi Kratzer, puzdro opieczętowane” z owej skrzyni wyjęto i odwieziono do gubernatora. Miecze zaś leżące w skrzyni *obok sepetu*, bez żadnego już skrupułu mogli sobie *na pamiątkę* (zwłaszcza że w kosztownych opra-

wach) zatrzymać waleczni zdobywcy staréj stolicy, panowie konsyliarze albo generałowie.

Tak więc, gdy korony i berła nasze spoczywając w skarbcu berlińskim, czekają dalszych, a nieznaných przeznaczeń losu; nie byłoby dziwnego, aby szacowniejszy może od nich Szczerbiec Chrobrego, z rąk do rąk od sukcesorów którego z dygnitarzy pruskich przechodząc, zawędrował aż do Paryża, ku ozdobie jakiegoś antykwarskiego składu.

Zewszech miar ciekawe byłyby wiadomości zebrane w tym przedmiocie przez ś. p. Podczaszyńskiego, o których wspomina w *Bibliotece Warszawskiej* szanowny pan Ernest Swieżawski. Sądzymy, że postaranie się o ten rękopism i ogłoszenie go drukiem, na nikogo nie przypada właściwiej, jak na *Bibliotekę Warszawską*. Z wieku jéj i z urzędu ten zaszczyt należy; a nawet śmiemy powiedzieć—obowiązek. *Czteryście pięćdziesiąt sześć tomów* cnéj *Biblioteki Warszawskiej*, które, nawiasem mówiąc, przez zbytnią skromność chyba każą się nazywać zeszytami; ten poważny zbiór najzdrowszego duchowego pokarmu, trzecie już żywiącego pokolenie, stanowi bowiem, sam w sobie, prawdziwy *skarbiec* narodowy, którego nam żaden nawet następca tajnego sekretarza Hoyma odebrać nie może.

w Romanowie, 5 listopada, 1878 r.

II.

OPIS I RYSUNEK MIECZA ¹⁾,

ZNAJDUJĄCEGO SIĘ NA WYSTAWIE PARYŻKIÉJ W ROKU 1878, ORAZ KILKA UWAG W SPRAWIE SZCZERBCA BOLESZAWOWEGO.

PODAŁ

Seweryn Smolikowski.

Reliquias veterumque vides monumenta virorum.

Na wystawie paryżkiéj, w pałacu Trocadero mieścił się dział historyczny, zawierający w sobie cenne nader zabytki minionéj przeszłości, zgrupowane w taki sposób, by mogły widzom naocznie niemal przedstawić barwę i cywilizacyjną doniosłość różnych wieków i różnych krajów. W pośród wielu sal, na cel ten przeznaczonych, mogły każdego zająć drogie dla nas, a ważne dla nauki zabytki i pamiątki, odnoszące się do dziejów naszych. Korrespondent z Paryża opisał je w sposób zajmujący, właściwém sobie, pociągającym i piękném piórem, a co ważniejsza w dziale nienależącym do sali, zawierającej rzeczy polskie, umiał on dopatrzeć miecza, dzieje którego, losy i autentyczność

¹⁾ Dołączone do artykułu niniejszego tabliczo, wykonane zostały w drzeworytni *Kłósów*, podług rysunków p. Smolikowskiego. *Przyp. Red.*

stanowić odtąd będą, o czém przekonani jesteśmy, przedmiot badań archeologów i dociekań historyków.

Mała tarczka z orzełkiem, do miecza tego przyczepiona, zwróciła uwagę korespondenta, a dzięki wiadomościom o mieczu tym, poraz pierwszy w *Bibl. Warsz.*, w miesiącu wrześniu 1878 r. (str. 441) przez podany, sprawa Szcerbca Bolesławowego weszła na stół i czeka obecnie *gruntownego, naukowego* rozwiązania.

Nie potrzebujemy mówić o ważności tej sprawy. Pomijając już pamiątkowe znaczenie jej dla nas, przyczyni się ona zapewne do rozwinięcia u nas zamiłowania do studyów starożytniczych i wzbogaci archeologię krajową.

Sprawa miecza Bolesława będzie też miała i doniosłość w nauce archeologii w ogóle. Miecz bowiem z XI wieku, a może i dawniejszy (jeśli to rzeczywiście jest Szcerbiec), w takim nadto zachowaniu, jak się przedstawia na wystawie, jest przedmiotem tak rzadkim i tak w dziejach sztuki średniowiecznej ważnym, iż sprawa Szcerbca stałaby się powinna sprawą nauki w ogóle, a stwierdzenie autentyczności jego, byłoby zjawiskiem nader doniosłym i zewszecmiar ważnym w dziejach archeologii.

Sprawozdawca z wystawy paryzkiej pierwszy, jak wyżej wspomnieliśmy, zaznaczył zjawienie się na niej danego miecza, z góry jednak uprzedzonym będąc o jego nieautentyczności, nie dał dokładnego opisu, poprzestał tylko na skreśleniu ogólnych cech jego. Nie będąc zresztą biegłym w ocenie tego rodzaju przedmiotów, nie miał zamiaru dać naukowego opisu, t. j. w ogóle opisu, jakiego wymaga się od sprawozdawców w rzeczach archeologii. Dodać przytém musimy, że utrudniony dostęp do przedmiotu badań, niemożność przyjrzenia mu się zblizka, wzięcia go do ręki, z natury rzeczy czynią opisy takowego zbyt ogólnymi, niemającymi cechy zupełnie autentycznej. W rzeczach zaś archeologii trzeba wszystkie niemal zmysły na pomoc przywołać, *pondere, numero et mensura* doświadczać, a przytém chemia gra tam także swoją rolę. Są wypadki sztucznych podrobień, artystycznych niemal naśladowań, a ztąd i omamień bezwiednych. Ztąd też uważamy, że opieranie się na pierwszym tym opisie, nie może być wystarczającym, a zwłaszcza dla snucia hipotez lub budowania całych teorii.

Przystępując obecnie do powtórnego opisanie przedmiotu spornego, zgóry jednak uprzedzić musimy, że niemogąc, z powodów od nas niezależnych, mieć go w rękę, nie rościmy bynajmniej prawa do *najściślejszej* dokładności, zwłaszcza co do wymiarów. Widzieliśmy nieraz dany miecz, wpatrywaliśmy się w niego z uwagą i każdy szczegół w pamięci przechowany, przenosiliśmy następnie na papier; nie mogliśmy jednakże zmierzyć go inaczej jak okiem, a ztąd wymiary, jakie podajemy, są tylko przybliżone. Kształt zato miecza, rysunki i ozdoby na rękojeści, oraz stosunek wymiarów, o ile sądzymy, są wierne. Napisy odczytaliśmy, bo są dość wyraźne; po wypisaniu takowych, sprawdzaliśmy je często, kształty i charakter liter staraliśmy się naśladować.

Otóż nim zdjętą zostanie fotografia i podobizny odtworzone, co jest koniecznym dla dalszych badań, rysunek nasz podajemy prowizorycznie dla tych zwłaszcza, którzy przedmiotu tego przed oczyma nie mieli lub i tych wreszcie, co go już mieć nie będą mogli, z powodu zamknięcia wystawy. Jakkolwiek więc za wymiary, jakie przybliżenie podajemy, nie odpowiadamy w zupełności, gdyż te, jako już wyżej wspomnieliśmy, wzięte są na oko; to przecież z uwagi, że rysunek nasz daje kształt miecza, odtwarza wiernie ozdoby i przedstawia podobizny napisów, a ztąd daje ogólny charakter przedmiotu spornego i szczególności jego: sądzimy, że rozpowszechnienie takowego, jako mogące posłużyć do prędszego wyjaśnienia rodowodu miecza, wystawionego w Trocadero, okaże się pożytecznym dla dalszego toku sprawy Szczerbca Bolesławowego.

Drugi rysunek, jednocześnie z powyższym robiony, złożyliśmy w darze korespondentowi z wystawy, jako pierwszej osobie, która, wzmianką o mieczu tam będącym, dała impuls tej sprawie. Pani S. z Zoch. Duchyńska, sprawę miecza tego wzięwszy do serca, zdoła zapewne nadać jej obrót odpowiedni; stosunki z kołem uczonych paryzkich, ułatwią jej zasięgnięcie zdania archeologów francuzkich i zainteresowanie tym sposobem całego świata uczonego sprawą miecza polskiego. Staraliśmy się też pozyskać dla tej sprawy pana Żm., gorliwego badacza starożytności, który, podczas bytności naszej w Paryżu, przybył tam dla dalszych swych studyów. W tym też celu pan Żm., obiecał rozesłać do uczonych niemieckich podobizny napisów, jakie odczytaliśmy, a to dla zasięgnięcia zdania specjalistów, mogących prędzej i łatwiej niż inni zdefiniować epokę tego zabytku pod względem charakteru i znaczenia napisów, wyjaśniając styl i wiek liter.

Słowem, sprawa miecza spornego niebawem pchniętą zostanie, jakby sądzić należało, na właściwe tory; ludzie dobrej chęci, a co najważniejsza specjaliści, zapewne zechcą wziąć ją w swoje ręce. Że zaś nadto posiadamy w grodzie naszym, podobno nader cenny zabytek, t. j. materyały, odnoszące się do rodowodu i dziejów Szczerbca, w papierach po ś. p. Podczaszyńskim pozostałych, niedługo może rzecz cała da się wyjaśnić. Papiery te przedewszystkiem na widok publiczny wydaćby należało. Łączymy też głos nasz, z odezwą pana Kajetana Kraszewskiego, wzywając szanowną redakcyą *Bibl. Warsz.* do podjęcia tego zadania i wywiązania się tym sposobem ze swego obowiązku względem kraju i nauki.

W materyałach, przez ś. p. Podczaszyńskiego zebranych, mieści się prawdopodobnie klucz do rozwiązania zagadki, *curriculum vitae* miecza Bolesławowego. A tak, historia wypowiedź może swe słowo stanowcze; będzie to przynajmniej pół sprawy wygranej.

Druga połowa przypada na archeologią; ta następnie powinna nam odpowiedzieć przedewszystkiem:

1^o czy miecz na wystawie będący jest autentycznym, t. j. czy jest rzeczywiście z tej epoki, cechy której nosi na sobie, jednym słowem, czy nie jest podrobionym;

2° czy jest mieczem z epoki Szczerbca, a raczej wogóle, z jakiej jest epoki, tak pod względem stylu, jak i napisów i t. d.

Na tém jednak niedosyć. Po twierdzących nawet odpowiedziach historyi i archeologii, t. j. po zaznaczeniu tak historycznego, jak i rzeczywistego istnienia Szczerbca, przywołana w pomoc wyższa krytyka dziejowa, krytyka filozoficzna, krytyka, oparta na charakterze pojęć legendarnych i prawach ogólnych formowania się takowych, posiłkując się zarówno porównawczą metodą, jak i materiałem przez historią i archeologią dostarczonym, rozstrzygnąć powinna: czy prawda dziejowa odpowiada prawdzie legendowej, czy np. nazwa Szczerbca nie powinna się łączyć raczej z postacią Bolesława Śmiałego, niż Chrobrego; czy mianowicie nie nastąpiła tu *transmisja* faktu, a raczej ubarwienie faktu głównego, prawdziwego, przymiotem zapożyczonym od faktu późniejszego, a to siłą skupiania się przymiotów w centrum bardziej znaném i bardziej sympatyczném.

Punkt ten ostatni stawiamy w skutek niektórych danych, jakie niżej rozwiniemy, a które, jak sądzimy, usprawiedliwią ten skrupuł.

Otóż dopiero, po rozwiązaniu pytań powyższych, oraz wielu innych z nich wypływających, sprawa *naukowo* rozstrzygniętą zostanie. Dotąd wolno o niej mówić wszystkim, którzy z nowemi przychodzą wskazówkami lub nowe przynoszą materiały. Owszem, sądzimy, że przy ogólném przedmiocie tym zajęciu się, może ztąd owąd cenny jaki dokument, jako nowe źródło wytryśnie. Z tego też stanowiska wychodząc i autor artykułu niniejszego głos swój słaby i w sprawach tego rodzaju jeszcze mało doświadczony, nie waha się podnieść, a to w nadziei, że może w czémkolwiek bądź do wyjaśnienia tej sprawy przyczynić się zdoła, a przynajmniej opisem stanu rzeczy przyspieszy odpowiedź, jak dotąd milczących jeszcze specjalistów naszych, t. j. archeologów z powołania.

Opis miecza, znajdującego się na wystawie paryzkiej i wyjaśnienie rysunku (tab. I, II, i III, nr. 1—8).

Nim przedstawimy dane, przemawiające za lub przeciw możliwój autentyczności przedmiotu spornego, przedewszystkiém podać zamierzamy opis onego *ex visu*, uprzedzając jednak, że z powodu pozycyi miecza, t. j. zawieszenia go w witrynie przy samej ścianie, widzialną być mogła jedynie jedna strona takowego. (Patrz tab. I, II i III).

Jestto miecz prosty, obosieczny; rękojeść czyli głowica w kształcie krzyża, ramiona nieco w łuk zakrzywione i ku dołowi wygięte, głownia czyli brzeszczot szeroki, płaski, ku środkowi nieco szerszy; brzezi miecza czyli ostrze niezbyt ostre, w pośrodku klingi rowek, czyli wyżłobienie, idące niemal ku samemu końcowi miecza.

Długość całego miecza wraz z rękojeścią, mniejwięcej półtora łokcia, rękojeść, rachując od osady brzeszczota, niema więcej nad 6 cali, ramiona od środka osady po 3½ cala, czyli długość całego łuku wynosi 7 cali. Szerokość klingi przy osadzie mniejwięcej dwa cale; poniżej, w trzeciej części swój długości ma prawdopodobnie nieco więcej.

Rękojeść. Ramiona rękojeści w łuk lekko wygięte, zakończone są rozszerzeniem, w którym mieści się z każdej strony w obwódce rysunek; z lewej (od widza) postać skrzydlata ze zwojem w rękę; z prawej strony orzeł, z rozwiniętymi nieco skrzydłami, ale siedzący. Pierwszy przedstawia zapewne ewangelistę Mateusza, drugi Ś-go Jana. Dziwna rzecz tylko, dlaczego niemają aureoli nad głowami, gdy inne postacie symboliczne na samym trzonku miecza umieszczone w *nimbę* są ubrane. Trzonek czyli sama rączka w rękojeści, długości przeszło $3\frac{1}{2}$ cala, ma kształt graniasty znacznie wydłużonego prostokąta, zwężającego się nieco ku górze i kończącego się zaokrągleniem czyli główką albo gałką o powierzchni ściętej, lecz wystającej dość znacznie nad powierzchnią samego trzonka (tab. I, nr. 1 i 2). Jest to właściwie ów guz o ściętej powierzchni, charakterystyczny we wszystkich ozdobach romańskich, zjawiający się głównie na końcach ramion krzyżów lub na powierzchniach i osadach kielichów kościelnych, monstrancyi i t. p.

Trzonek, którego brzegi, podobnie jak i brzegi ramion rękojeści, ścięte są prostokątnie, jest znacznie grubszy od tych ostatnich; grubość jego przedstawia się oku na $\frac{1}{2}$ cala, podczas gdy ramiona rękojeści nie mają połowy tej grubości.

Na powierzchni trzonka obleczonej obwódką, podobnie jak i powierzchnia ramion oraz główki miecza, i podzielonej na trzy kondygnacje, widzimy: w pierwszym polu od góry, niezgrabnie zrobione zwierzę skrzydlate z *nimbą* nad głową: jest to zapewne lew skrzydlaty, symbol Ś-go Marka ewangelisty; poniżej podobny potwór, lecz z rogami i także z *nimbą*, co znamionuje Ś-go Łukasza; w trzecim polu najniższym, lecz dłuższym nieco od poprzedzających, wyrysowany baranek również z *nimbą* (tab. II); w jednej nóżce, niezgrabnie wygiętej, trzyma on chorągiewkę zakończoną krzyżem; przy nim stoi kielich charakterystycznego kształtu (podstawa równa górnej części i takiżże formy); do tego kielicha wpada strumień krwi, wytryskający z piersi baranka: to znany symbol Chrystusa, średniowieczny *Agnus Dei* a strumień krwi, to ów *zdrój żywota*, który wedle słów Zbawiciela prawdziwym jest napojem, jako ciało Jego, prawdziwym pokarmem. (Symbolistykę Chrystusa pod postacią jagnięcia (Jan, I, 29) znajdujemy już w I w. ery chrz.).

Nie ma wątpliwości, iż rysunek na rękojeści uwydatniony, przedstawia Chrystusa wpośród czterech ewangelistów. Takie otaczanie Chrystusa symbolicznymi zwierzętami ewangelicznymi jest charakterystyką krzyżów romańskich. W ogóle symbolistyka powyższa zwierząt skrzydlatych i anioła (Ezechiel I, 5—11), występuje od nader dawnych czasów w dziejach sztuki chrześcijańskiej. W różnego rodzaju apoteozach Chrystusa widzimy Go zawsze niemal w otoczeniu tych czterech znaków symbolicznych. Zwierzęta skrzydlate występują, jako symbole, zarówno na krzyżach metalowych, jak i na miniaturach książkowych. W kolei wieków, symbolistyka ta utrwaloną została i wszyscy niemal nią się posiłkują, a nawet najznakomitsi malarze, idąc za daną tradycją, jednakowo ją traktują (Rafaël w obrazie przedstawiającym widzenie Ezechiela, a znajdującym się w galerii florenckiej). Utrwalił się

przycém pewien porządek, a mianowicie: ewangeliści grupują się zawsze niemal parami i to tak, że Ś. Mateusz ze Ś. Janem, a Ś. Marek ze Ś. Łukaszem; przycém anioł i orzeł jako istoty górnych stref, umieszczają się zwykle w górze, a w czworokącie po prawej stronie. (Ezechiel, I, 10). Harmonia rysunku także na grupowanie to wpływa; skrzydła anioła i orła, charakterem swoim zbliżone, powodują tę symetrią, zwłaszcza gdy są w narożnikach krzyża lub czworokąta; tak jak postacie lwa i wołu skrzydlatego, stanowią jedność pomiędzy sobą. Podany niedawno w *Tygodniku Ilustrowanym*, w nr. 999 ogólnego zbioru, rysunek krzyża z X wieku, ofiarowanego do kaplicy Ś-go Leonarda na Wawelu przez kardynała Ledóchowskiego, może, między innymi, służyć za wzór traktowania tego rodzaju symbolistyki i ornamentacyi w wiekach średnich. Podobnie jak na tym krzyżu, Chrystus uosobiony jest pod postacią baranka, w pośród czterech postaci symbolicznych; tak samo téż i na rękojeści miecza, o którym mowa, widzimy Chrystusa i czterech ewangelistów.

Wiele takich ugrupowań baranka, w pośród symbolicznych postaci ewangelistów, znajdzie czytelnik w najdostępniejszym dla siebie dziele: *Życie Chrystusa* Veuillot'a, w którym na szczególniejszą uwagę zasługuje miniatura z VIII wieku (Fig. 119), przedstawiająca widzenie apokaliptyczne Ś-go Jana. W tém widzeniu symboliczne postacie ewangelistów występują już w całej pełni swego charakteru. Inna miniatura apokaliptyczna, znajdująca się w rękopiśmie z XIII wieku, w bibliotece Firmin-Didot (Fig. 177 dzieła Veuillot'a), uwydatnia znowu postać baranka wspartego na kolanach Chrystusa. Podobny baranek, trzymający chorągiewkę z krzyżem lub tylko z podniesioną nóżką obok chorągiewki stojący, figurował i na monetach średniowiecznych, głównie zaś francuzkich. Najczęściej w około rysunku biegnie napis: *Agnus Dei qui tollis peccata mundi miserere nobis*. Ciekawe w tym względzie są monety Ludwika X, Filipa V i Karola IV, podobiznę których znajdzie czytelnik w *Słowniku średniowiecznej łaciny* du Cange'a (wydanie 1840 r.), w tomie IV pod nr. 17—18 w VII-jej tablicy numizmatycznej. (Por. *Wykopaliśko głębokie* ks. Polkowskiego, Gniezno, 1876, (str. 74). *Wykop. wielenskie* K. Beyera, Warsz., 1876, (str. 40, nr. 195).

Nadmienić przycém musimy, że na wystawie w sali poprzedzającej salę Bazylewskiego, widzieliśmy krzyż romański z narożnikami zupełnie tegoż charakteru co w opisanym przez nas mieczu. Zaznaczamy fakt ten z powodu wielkiej między przedmiotami temi analogii, a która przy porównawczym badaniu rysunku przydać się może,

Wspomnieliśmy, iż ramiona rękojeści dość są cienkie, rączka zaś, czyli trzonek właściwy znacznie grubszy. Długość ramion i trzonka już oznaczyliśmy; co zaś do szerokości takowych, ta w proporcyi do ich długości tak się przedstawia: ramiona w części zwężającej się, mają nieco więcej nad pół cała szerokości, w części najszerszej, to jest przy końcach swoich przechodzą nieco cal. Rączka sama przy osadzie szeroką jest przeszło na cal, ku górze zwęża się zlekka i zakończoną

jest guzem charakterystycznym, cechującym średniowieczne sprzęty romańskie. Powierzchnia ścięta tej wypukłości, wielkości cała kwadratowego, ozdobiona jest ornamentem roślinnym, przedstawiającym się jakby drzewo dębowe (patrz rysunku mego tab. I, szczegół pod nr. 2). Wokoło guza okolonego wąską, ściętą powierzchnią (tab. I, szczegół nr. 1) biegnie również ornament roślinny (zlekką na nr. 2 zaznaczony); jestto rodzaj girlandy lub listowia, niezbyt kształtnie zrobionego.

Cała ornamentyka rękojeści, czyli wszystkie jej ozdoby na powierzchni są czarne, szmelcowane w ogniu, na tle bronzowo-złocistém i przedstawiają się przeto jako czarna emalia, z tą tylko różnicą, że, gdy ozdoby liściaste, to jest wzmiankowany już rysunek na wypukłości ręczki, oraz podobnegoż kształtu ornament rośliny biegnący wzdłuż ramion rękojeści (tab. II), dalej ozdóbki w narożnikach owalów mieszczących w sobie symbole ś. Matusza i ś. Jana, a nadto i litery napisów, są wypełnione ciemnym tłem (*niette*), a przeto przedstawiają się czarno; to rysunki, jakie opisaliśmy, a które oddzielone od brzegów miecza liniami lekkiego zacięcia, są tylko konturowane a ztąd przedstawiają się jasno.

Kształt klingi (Tab. II). Ostrze szerokie na dwa cale. Długość brzeszczota pięć ćwierci łokcia. Brzegi, ostrze miecza albo *brzuśce*, począwszy od osady klingi łukowato rozszerzają się ku środkowi (rozszerzenie to jednak nader mało akcentowane) a następnie wolno zwężają. Końca samego niewidać, gdyż zasłonięty jest innym przedmiotem w szafie stojącym. Sądząc jednak z ogólnego kształtu klingi, takowa kończyć się musi językowato, w formie przecięcia się dwu łuków. Wzdłuż klingi środkiem wyniosłości miecza czyli jego *grzbietu* biegnie rowek, czyli wyżłobienie dość duże i dokładnie oznaczone. Zpod rękojeści znowu wybiega mały jęczyczek, a raczej listewka metalowa przykuta do miecza a może i na nim w całkowitości wyrobiona. Powierzchnia listewki przedzieloną jest wzdłuż, linią równoległą, na dwie równe części, w których napisy spływają ku dołowi. Koniec listewki zakryty jest małą tarczką metalową (tab. I i II) do miecza drucikiem, albo sznureczkiem metalowym przyczepioną. Tarczka ta zasłania końce napisów na listewce będących, podobnie jak i początek wyżłobienia w klindze. Tarczka wielkości półtora cała kwadratowego, ale kształtu nieco wydłużonego, jest mosiężną, w obwódce mieści się pole brunatnoczerwone ciemne, a na niem orzełek z koroną tak jak na rysunku przedstawiony (tab. I, nr. 3). Obwódka na tarczy wygląda pozłocisto, podobnie jak cała rękojeść miecza, jakkolwiek śladu złocień niema nigdzie; ta pozorna pozłocistość jest cechą dawnego mosiądzu. Styl tarczki zgodny z całością, jednakże rysunek orzełka z późniejszej zdaje się być epoki; widocznie też nie na swoim znajduje się ona miejscu; jeśli zaś należy do całości, to mogła być osadzona jedynie na pochwie i to przy osadzie u góry. Przedewszystkiém więc, trzeba by zbadać odwrotną jej stronę; być może, iż znajdą się tam ślady lutowania lub mechanicznego przymocowywania, co byłoby znaczną wskazówką, Tarczka mogła być ozdobą jednej z pochew, które miecz przechowywały a wtedy i jej charakter późniejszy niż miecza

wyjaśniłby się z łatwością; miecze zmieniały zwykle w skarbcach pochwy jak sukienki, co wynika z natury pochwy, łatwiej zniszczeniu ulegającej, zwłaszcza gdy w miejscach wilgotnych przechowywana bywa, co, nawiasem mówiąc, miało też często miejsce ze skarbcem krakowskim, jak to niżej pokażemy.

Na brzeszczocie, przynajmniej z tej strony cośmy go widzieli niema żadnej skazy, ani szczyrby i to ani na ostrzach jego, ani na głowni w środku. Być może, że u samego końca miecza, niewidzialnym z powodu zasłonięcia go przez inny przedmiot, jest jakie stepienie lub skaza. Czego jednak nieprzypuszczamy, z tego względu, że cała klinga zdaje się być znacznie nowszą niż rękojeść, a przytém przedstawia się w tak dobrém zachowaniu i tak zdrowo, że i o skazy na drugiej stronie, lub na samym jej końcu posądzać ją niema powodu.

Napisy (tab. III). Spotykamy w trzech miejscach miecza napisy: na trzonku samym, to jest na oprawie rękojeści (nr. 1 i 2), na dwu ramionach rękojeści t. j. jelicach (nr. 3 i 4), oraz na listewce (nr. 5 i 6) przy osadzie klingi, czyli brzeszczotu. Litery prostokątne, kanciaste przeważają, są jednak: okrągłe, łukowate, a nawet jedna greckiego kształtu (T).

Na *trzonku* pod lwem i wołem skrzydlatym są dwa napisy odpowiadające znaczeniu tych postaci symbolicznych: *Marcus* i *Lucas*.

Zaznaczyć jednak musimy, iż w każdym z tych wyrazów jedna litera przedstawia pewną wątpliwość. I tak pierwszy wyraz dla oka nieuprzedzonego rysunkiem, zrazu wygląda na *pareus* (nr. 1) a drugi na *luchs* (nr. 2). Prawdopodobnie litera *M* w wyrazie *Marcus* jest okrągłą, złożoną z dwu części, z których pierwsza jest niewyraźna i dlatego druga tylko jest widzialna (w pewnej przynajmniej odległości) i przedstawia się na pierwszy rzut oka jako niewyraźne *P* (nr. 7). Ta jeszcze okoliczność wprowadza czytającego w błąd, iż oko jego nawykłe do symetrii w napisach, nie przypuszcza zrazu, by litera początkowa umieszczoną była przy samym brzegu ściany, gdy po wyrazie jest jeszcze dość pola wolnego. Tymczasem podobne położenie drugiego napisu (*lucas*), który lubo jeszcze krótszy, nie na samym jednak umieszczony jest środku, lecz także ku lewej stronie posunięty, usuwa tę wątpliwość a daje przekonanie, że jej przyczyną jest kształt litery *M* odmienny od kształtu tej litery w napisach poniżej będących, zwłaszcza, że taka mieszanina kształtów w tychże samych literach powtarza się dość często w napisach średniowiecznych. Co zaś do wątpliwiej litery w wyrazie *lucas*, ta jest zapewne niezgrabnym *A*, przytém nieco zatartém, i dlatego przedstawia się oku jako niewyraźne *h* małe (nr. 8). Zresztą rysunek ewangelistów i ogólny charakter miecza ostatecznie skrupuł ten usuwają. Choć jednak przekonani jesteśmy, że wyrazy te oznaczają dwu wzmiankowanych wyżej ewangelistów, podaliśmy je na rysunku, tak jak zrazu w odległości przeszło łokciowej oku naszemu się przedstawiły. Nie bowiem łatwiejszego, jak dodać jaką kręskę, lub ująć jaki punkcik dla uproszczenia odczytania niewyraźnych napisów; ale to droga nader niebezpieczna, bo tym sposobem odpisy przechodząc z rąk do rąk, w koń-

cu, pod wpływem bujnej wyobraźni odczytujących je, zupełnie na inne się zmieniają. Takięj metody trzymano się u nas niestety, dosyć długo. Niechcąc też krępować się napisami, staraliśmy się niezależnie od takowych, dowieść znaczenia rysunków, ustalając przytém w ogóle, przynajmniej, datę téj symbolistyki, témbardziej że napisy często w następstwie czasów zacierały się, lub bywają przeinaczane, a czasem nawet z umysłu podrabiane.

Na *rekojeści* na każdém z ramion krzyża, spotykamy po kilka grup liter łączących się zapewne w jeden napis.

I tak, na prawém ramieniu (od patrzącego) widzimy dwa wyrazy przedzielone kropką i biegnące od osady miecza ku końcowi ramienia: SEDALAI · EBREBEL (tab. III, nr. 4).

Na lewém ramieniu znajdujemy trzy takie grupy liter, także odzielone kropkami:

CON · CIT OMON · · EEVE (tab. III, nr. 3).

Uderzyła nas w tym napisie litera C, która co do kształtu niczém się nie różni od litery D, a przeto zrazu przedstawia się jako D odwrócone, tak, że bierze chęć czytać z prawej ku lewej stronie, od czego wstrzymuje jednak normalne położenie innych liter (E i T a zwłaszcza téj ostatniej), oraz i ten wzgląd, że ta dążność do ujednostajnienia liter, zapewne dla harmonii napisu, cechuje często średnio-wiecznych rytowników ¹⁾.

Zresztą w ogóle w danym napisie ciężkiy łuków, czyli słupki liter są nader wcięte, nader akcentowane, tak, że np. E okrągłe wygląda na B odwrócone.

Łącząc teraz wszystkie grupy liter na ramionach rekojeści wyryte, otrzymujemy ogólny napis:

CON · CIT OMON · · EEVE SEDALAI · EBREBEL ²⁾.

Napis na *listewce* (tab. III, nr. 5 i 6) nie przedstawia się w ca-

¹⁾ Podobną charakterystykę przedstawiają niektóre monety polskie, np. grosz krakowski Kazimierza W., (*Kazimierz Wielki*, przez M. W. Mniszcha, 1805 r. Grosz ten reprodukowal także Czacki w swoim *Zbiorze XIV tablic numizmatycznych*, por. wydanie z 1844 r., Wilno, tab. I, nr. 7), oraz monety wielkich ksiąząt litewskich Aleksandra i Zygmunta, co do liter D i C w wyrazie *ducis* (Czacki, l. c., tab. I, nr. 15—17; a także *grossi cracovienses, kwartniki ruskie* Kazimierza W., rzadki półgroszok księztwa pruskiego bity w Toruniu, i w. i. (por. Bandtkie-Stężyński, *Numizmatyka krajowa*. Warszawa, t. I, 1839 r. Tab. 1, nr. 3—9. Tab. III, IV, nr. 62. Tab. VII, nr. 98). Co zaś do tożsamości liter L i N, za przykład służyć mogą monety jagiellońskie od końca XIV do połowy XV w. (Czacki, tab. I, nr. 9—13). Por. także tab. VII, nr. 114 dzieła dr. Piekosińskiego: *O monecie w Polsce w XIV i XV w. Rozpraw Ak. Krak.* t. IX, co do liter L N i D E; oraz nr. 10 tab. I, broszury J. Tyszkiewicza: *Skorowidz monet litewskich*, Warszawa, 1875, co do charakterystycznego podobieństwa liter D i E. We wszystkich tych monetach, litery powyższe różnią się nie kształtem, ale jedynie kierunkiem.

²⁾ Sebastyan Ciampi Włoch, profesor filologii w byłym uniwersytecie

łości z powodu przykrywającój go tarczki, ztąd trudne zrozumienie całej *legandy*. Zrazu napis ten wygląda na sentencją biblijną. W konkordancyi biblijnej nie znaleźliśmy jednak odpowiedniego mu zdania. *Miles Christi* w wiekach średnich szerokie miał zastosowanie; w Piśmie Świętém wprawdzie raz tylko wyrażenie to jest użytém a mianowicie: *labora sicut bonus miles Christi* (2, Tim. 2, 3) ale kościół sam jako *wojujący* występując, nadawał téż nazwę tę wiernym swoim ¹⁾.

Oto napis na mieczu wzdłuż listewki biegnący:

HIC · GLADIUS · EST · FO MILITIS · XPI · SICVT · GLAD ²⁾.

Warszawskim, miał w ręku rysunek tegoż samego miecza i opisał go w 1819 roku w *Feriae Varsavienses*, wydawanych przezeń naprzemian w Warszawie i Medyolanie w latach 1818, 1819 i 1820. Miecz ten był podówczas w posiadaniu księcia Łabanowa, a rysunek dostarczył mu hr. Wincenty Krasiński, na którego żądanie, Ciampi studyum swoje napisał. Otóż Ciampi czyta powyższy napis w następujący sposób: „*conditor mundi Deus servabit ab rebelione,*” co jak to niżej (str. 34) zobaczymy, jest zbyt dowolném.

¹⁾ Nie przesadzając bynajmniej autentyczności Szcerbca, nawiasowo podajemy następującą wiadomość. Na nagrobku Bolesława Chrobrego, obecnie już nieistniejącym, czytano między innymi: „Tu possessisti Velut verus *athleta Christi* Regnum Sclavorum, Gothorum sive Polonorum etc.” (Bielowski, *Monumenta*, t. I, str. 320). Lelewel nie uważa tego *Epitaphium* za owoczesne, ale odnosi do wieku XIV. (*Grobowy napis Bolesława Wielkiego w Poznaniu* etc. Poznań, 1856, str. 12—15). W każdym razie jednak, Bolesław miał prawo do nazwy *miles Christi*, skoro mianowanym jest i to przez obcych kronikarzy *rex christianissimus* (*Scholiasta* Adama bremeńskiego, u Pertza, VII, 318; Helmold, *Chron. Slav.*, t. I, 15) a w *Liście Matyldy*, córki księcia Swewów Herimana, do Mieczysława II pisany, powiedziano jest o ojcu tego ostatniego: *qui in illa mundi parte, quam regis quasi quidam fons ut origo sanctae catholicae et apostolicae extitit fidei. Nam quos sancti praedicatores corrigere non poterant verbo, ille insecutus est ferro, compellens ad caenam dominicam barbaras ac ferrocissimas nationes.* (Bielowski, *Monumenta*, t. I, str. 324).

²⁾ Być może że sentencya ta znaczy: *Hic gladius est fortis (et bellatoris) militis Christi sicut gladius Gedeoni*. Rzecz ta w przyszłości łatwo da się sprawdzić, gdyż przeszkoda w odczytaniu tego napisu jest czysto przypadkową, a więc usuniętą być może. Nim jednak to nastąpi, nawiasowo zaznaczamy, że Gedeon nazywany był *Jerobaal*, co znaczy mściciel Baala, oraz, że wyraz Baal, często przechodził w Bel a w takim razie może istnieć jaki związek poniędzy napisem na listewce, a ostatnim wyrazem w napisie na rękojeści (I. EBREBEL.)

Wyraz SEDALAI, powyższy wyraz poprzedzający, mimowoli przywodzi nam na pamięć *brakteat wielki* Mieczysława I (?), wzmiankowany w katalogu monet piastowskich Tad. Wolańskiego, dodanym do cennego dzieła p. Kaz. Stronczyńskiego: *Pieniądze Piastów od czasów najdawniejszych do r. 1300*, Warszawa, 1847. Spotykamy tam wyraz SLYLEBAID oznaczający wedle Wolańskiego „Lucius’a Alebanda, pierwszego w r. 965 biskupa Kruszwickiego” (*Katalogu* str. 7). Pan Stronczyński odnosi tego rodzaju brakteaty do czasów Bolesława Krzywoustego i uważa je nie za monety, ale za amulety; co zaś do

Materiał, ogólny charakter miecza, oraz kształt liter. Klinga żelazna kuta, obosieczna, płaska, o powierzchni eliptycznej a nie graniastej, rękojeść mosiężna w ogniu szmelcowana lub czernią (nielle) napuszczana, pola wolne od liter i ozdób, mają kolor i połysk złocisty, lubo śladu złocień nieznac i zapewne nie było, a kolor ten pochodzi od mosiądzu dobrze zachowanego. Ogólny charakter miecza jest ten, iż przedstawia cechy dość estetyczne, cechuje go mianowicie prostota kształtu i ornamentyki; można powiedzieć, że jest pięknym, nie w ozdobach wprawdzie, ale w całkowitym swoim kształcie; linie, czyli zarysy jego, są szlachetne a wymiary harmonijne. Rysunek w figurach niezbyt poprawny, niewykończony, z gruba tylko konturowany (ryty). Ornamentyka roślinna szmelcowana, ztąd przedstawia się czarno. To co zwraca w niej uwagę, to jednostajność listowia, girlandy zdobiącej zarówno ramiona rękojeści jak i zakończenie jej, kształtu guza wypukłego; co mogłoby przemawiać za jednoczasowością tych części mie-

wyrazu SLVLEBAIDI (bo taką formę wyrazu tego znajduje p. Stronczyński na widzianych przez siebie brakteatach) uważa, iż w napisie tym „z małą przemianą porządku liter można znaleźć SADALBEILI, albo SADALBILEI, to jest imię ś. Wojciecha” (*Pieniądże Piastów*, str. 7, przypisek 1, w dodanym tam *Katalogu Wolańskiego*).

Wogóle z porównania napisów numizmatycznych pokazuje się, że napisy oznaczające ś. Wojciecha (podobnie jak się to dzieje z innymi nazwami) nie są jednostajne na monetach z różnych epok, i to nie tylko co do skrótów, ale nawet w pisowni imienia. I tak co do ś. Wojciecha, począwszy od nazwy słowiańsko-łacińskiej *Wociejkus* piszącej się VOCEIKVS a w skróceniu VOCE (patrz monety pod nr. 21, 22 i 23 w dziele Kaz. Wł. Stężyńskiego-Bandtkie: *Numizmatyka krajowa*, Warszawa, t. I, 1839) i prawidłowej łacińskiej *Sanctus Adalbertus*, a w skróceniu SADALBERTVS (Bandtkie-Stężyński *l. c.* na pieniądzach *Krzywoustego*; Stronczyński *l. c.* typ 90 monet piastowskich, str. 322, 203) spotykamy najrozmaitsze fazy pisowni; a mianowicie prócz wzmiankowanych już SADALBEIL i SADALBIL o których wspomina p. Stronczyński, wyczytujemy następujące odmiany imienia ś. Wojciecha na monetach *Trzebunskich*: SADALBIBTVS, SADALBIB, SADLCALBIB, SAALBERTVS, ZADADALBVRTVS (Bandtkie-Stężyński *l. c.* t. I, nr. XXV i dalsze).

Podobnie się dzieje z pisownią innych imion jak *Bolislaw* (Bandtkie *l. c.* na monetach Bol. Chrobrego), *Bolzelau* (Ibid. Bol. Krzywousty nr. XXVI—XXXI), *Voldizlus* a w skróceniu *Volz* (Ibid. Wład. Laskonogi); zamiast *Boleslaus*, *Vladislaus*. Por. *Voldizlaus*, *Voldcit*, *Lodislaus*, *Lodi*.. (Stroncz. 125—127).

Nie są to wprawdzie dostateczne wskazówki dla wyrozumienia napisu, w każdym razie jednak zaznaczamy pewną łączność powyższych dwu ostatnich wyrazów na rękojeści (tab. III, nr. 4) z nazwą Gedcona i ś. Wojciecha oraz niejaki, lubo dalekie, powinowactwo tych ostatnich z wyrażeniem *miles Christi* na listewce brzeszczota wrytym.

Ciampi napisu tego (tab. III, nr. 5 i 6) nieznał, gdyż na rysunku danym mu przez hr. Krasińskiego, miecz ten przedstawiony jest w pochwie. (Tab. IV).

cza. Listewka na klindze ma napis drobniejszy niż na ramionach krzyża i staranniejszy. Wogóle litery lubo dość równolegle ryte, nie przedstawiają co do kształtu swego wielkiej staranności w wykonaniu. Tarczka do miecza przyczepiona a raczej przywiązana, ma kształt nieco podłużny, lubo mało kwadrat przechodzący; w ogóle trzymana jest w charakterze miecza, ma podobnie jak i rękojeść obwódkę zlekką oznaczoną, tylko znacznie szerszą. Brzeg jój i rysunek, to jest orzełek, metalowym swym, połocistym kolorem odbijają od tła samego, brunatno-czerwonego i wyglądającego na emalią. Rysunek orzełka poprawniejszy od reszty rysunku na rękojeści miecza, a zwłaszcza różnica ta widoczną jest przy porównaniu go z symbolem ś. Jana ewangelisty, przedstawiającego także orła lubo w innéj postawie. Co się tyczy kształtu liter, (tab. III, nr. 1—8) przypominamy najprzód, że litera M w wyrazie *Marcus* na trzonku, czyli ręczce rękojeści, jest okrągłą, gdy na jój ramionach i na listewce też litera w innéj występuje postaci, a mianowicie jako prostokątne rzymskie M i tém charakterystyczne, że wewnętrzne ramiona téj litery przecinają się nie u podstawy, ale w połowie wysokości ramion zewnętrznych, czyli jój boków. Toż samo ma miejsce z literą S, która odróżnia się nieco co do kształtu w trzonku przedstawionego, od kształtu téjże litery w miejscach poniżej będących. I tak, gdy na trzonku ma węzły niemal równe, to poniżej przedstawia się wszędzie z górnym zwojem znacznie większym niż dolny. Już to wogóle w napisach tych uderza nas mieszanina kształtów liter. I tak, T na rękojeści jest w stylu greckim, gdy na listewce występuje jako rzymskie T. Litera E znowu na listewce jest kształtu okrągłego, a na rękojeści, lubo takż jój kształt przeważa, bo widzimy ją tam sześć razy pod tą postacią, to jednak zjawia się i w formie prostokątnego E w wyrazie BEL, a cechuje ją dolna nóżka nieco dłuższa, co kwadruje z takimże kształtem litery L i z jedném B o dwu wypukłościach, w którym dolna wypukłość jest wydatniejsza. Drugie B jest o jedném tylko zakrzywieniu. Słowem, mieszanina liter wielka i żaden napis nie odróżnia się swym charakterem stanowczo, tylko w jednym jest przewaga liter okrągłych (na rękojeści), w innym kanciastych (na listewce). Choć i w tym względzie trudno uogólnić, bo litera E w wyrazie BEL oraz G na listewce trzymana w stylu okrągłym litery T będącej na rękojeści, odwracają ten porządek. Na ręczce saméj zaś, litery C różnią się także między sobą w końcach łuków.

Oto opis szczegółowy rysunku miecza, jaki widzieliśmy na wystawie paryżkiej, w sali firmy starożytniczej Bazylewskiego; sądzymy, iż opis ten jest dokładny o tyle przynajmniej, o ile to możliwém było przy nieprzyjajnych warunkach, wśród których rysunek nasz był sporządzanym. Byłoby może najroztropniej na tém poprzestać i nie narzącać się na niechybną ze strony specjalistów krytykę, za zbyt wczesne wnioski co do wieku miecza tego. Nie roszcząc téż bynajmniej

prawa do stanowczego głosu, przedstawimy tylko co z dotychczasowych poszukiwań naszych i to zaledwie rozpoczętych, wynika, nie przeceniając bynajmniej względnej i tymczasowej wartości takowych i nie przesądzając spornej kwestyi miecza tego.

Za znaczną starością miecza (a przynajmniej rękojeści) przemawiają figury. Tego charakteru mistyczne figury, symboliczne postacie, jak ewangeliści na rękojeści, spotykamy często od wieku VIII począwszy w obcych zabytkach starożytnych, jak o tém już wspomnieliśmy (str. 17). Co zaś do zabytków naszej przeszłości, podobne symbole mamy na *pierwszym* kielichu Dąbrówki, w Trzemesznie przechowywanym, a pochodzącym prawdopodobnie z X wieku ¹⁾.

Jeżelibyśmy mieli wnosić z kształtu rękojeści i charakteru figur, oraz rozmieszczenia ich, podobnego jak w krzyżach romańskich, i to niezależnie od napisów, odnieśliśmy wiek miecza przybliżenie do wieku X—XIII, z przewagą prawdopodobieństwa dawniejszego czasu, t. j. X lub XI wieku. Za wskazówkę w tym względzie, służy nam także i symbol Chrystusa, ów *Agnus Dei* na trzonku wyryty, a umieszczony w pośród czterech ewangelistów, podobnie jakto na krzyżach średniowiecznych często spotykamy. Rękojeść bowiem zastępuje tu miejsce krzyża i z tym ostatnim z łatwością porównaną być może. Otóż *Agnus Dei* takiego kształtu, jak na danym mieczu, znajdujemy na krzyżach i monstrancyach przeważnie w X wieku. Od XIII wieku ulega on pewnej zmianie, a mianowicie zmiana ta uzewnętrznia się w sposobie umieszczenia na rysunku chorągiewki. I tak: albo baranek nie trzyma wcale chorągiewki, choć nóżkę ma podniesioną, podobnie jak dawniej i chorągiewka w prostopadłym jest położeniu, ale opartą o podstawę rysunku ²⁾; albo chorągiewka jest pochyloną, ale baranek nie trzyma jej końcem nóżki, tylko w zgięciu, nóżkę zakładając na drzewce. Typową, pod tym względem, jest monstrancya w sty-

¹⁾ *Wzory sztuki średniowiecznej w dawniej Polsce*, A. Przewdzieckiego i E. Rastawieckiego. Mówimy na *pierwszym*, znaczy to na pierwszym z kolei w dziele powyższem reprodukowanym; gdyż istnieją dwa kielichy Dąbrówki. Co do epoki pochodzenia kielicha tego, zdania są różne; wydawcy wspomnianego dzieła pomnikowego odnoszą go do wieku X, a E. Raczyński uważał oba kielichy za dzieło XII lub XIII wieku. *Wspomnienia Wielkopolski* t. II, str. 377. Kielich ten wraz z patyną do niego należącą może służyć za nader ważną wskazówkę przy porównaniu nie tylko symbolów, ale i liter. Jest tam pewne wspólne tło. Znajdujemy także podobne symbole i przy ewangelistach na *Relikwiarzu łęczyckim* z XI w. (*Ibid.*) ale te dodane zostały w znacznie późniejszym czasie.

²⁾ Porównaj monety kapetyńskie, z pierwszej połowy XIV wieku (Ludwika X, Filipa V i Karola IV), jakie podaje Ducange w *Glossarium mediae et infimae latinitatis*. Parisiis, 1840. t. IV, tab. VII, nr. 17, 18 i 19. Porównaj także monety, tamże umieszczone pod nr. 13, tab. IX, nr. 46, tab. XXIII, oraz aiguel Karola VI, tab. IX.

lu gotyckim z XV wieku, w skarbcu katedry akwizgramskiej przechowywana, a mająca w otoku symbolicznego baranka napis, naiwnie w duchu średniowiecznym wierszowany: *Qui crimina tollis agne Dei, miserere mei.*

Otóż, sądząc z samego rysunku danego miecza, zdawałoby się, iż ten ma prawo do wieku X lub XI, a najdalej XIII. Jednakże stanowczo twierdzić tego niemożna, często bowiem w późniejszych wiekach, odtwarzają dawne rzeczy, albo przez poszanowanie tradycyi do przedmiotu jakiego, w pewnych miejscowościach a zwłaszcza w zakonach, przywiązanej, albo mimowoli, bezwiednie, indywidualność artysty zwraca się ku dawniejszym typom, jak również prześciga wyjątkowo w jakim wypadku ogólną jakąś normę, później ustalić się mającą. Czasem znowu względy czysto mechaniczne, że tak powiemy, *architektoniczne*, zniewalają artystę do pewnych odmian w rysunku; i tak na monetach często, dla zrobienia miejsca jakiejś literze, nieodwzajemnej w otoku, odwraca się kierunek broni, lub jako to ma miejsce z *Agnus Dei* przechyla się chorągiewkę. To też np. w krzyżu romańskim z X wieku ¹⁾, widzimy także przy *Agnus Dei* pochyloną chorągiewkę, ale zostaje tam inna, jak się zdaje, cecha wieku, t. j. trzymanie takowej końcem nóżki, a zboczenie chorągiewki, jak w tym przynajmniej okazy, wywołanem zapewne zostało przypadkowo, formą łamaną otoku, w którym mieści się ta symboliczna figura.

Teraz co do liter. Tu większa jeszcze trudność zachodzi w określeniu wieku miecza. Wspomnieliśmy już o pomieszaniu takowych. Otóż, o ile dotąd udało nam się przepatrzyć najróżnorodniejsze napisy z różnych epok, dziwić to nas nie powinno, i dlatego też żadne wzory pisma, jakie zwykle podają archeologowie z oznaczeniem abecadła, jakoby odpowiedniego dla każdego wieku, za bezwzględnie obowiązujące przyjąć nie możemy; więcej zacięcie, styl liter, coś orzekać tu mogą; chociaż i w tym względzie indywidualność artysty, podobnie jak w rysunku (o czem już wspomnieliśmy), uwzględniać należy. Łatwiej jeszcze śledzić styl albo ruch liter w pewnym kraju, w jednakowym środowisku społecznem (*milieu*), bo tu naśladownictwo łatwiejsze; ale czyż niemożna przypuścić, by zdala ktoś wpadł na pewien zakręt wprzód lub później od tego, jaki archeologii służy za typ, niewiedząc wcale o ustalonym takim typie w pewnym kraju. Te nieprawidłowe zboczenia od typów, jeśliby można tak się wyrazić, są tém częstsze, im bliższe nam wieki, t. j. im sztuka wzrasta, a z jej wzrostem i indywidualność artysty wyzwała się bardziej z więzów tradycyi i daje śmielszy polot swojej samodzielności.

Nicorzekając przeto stanowczo wieku napisu, podamy tu, jako wskazówki, pewne dane z porównania napisów na monetach i pieczę-

¹⁾ Krzyż, ofiarowany przez kardynała Ledóchowskiego do kaplicy Ś. Leonarda na Wawelu, a rysunek którego pomieścił *Tygodnik Ilustrowany* w nr. 999 ogólnego zbioru.

ciach, przeważnie naszych wynikłe. Nie mieliśmy pod ręką podobizn napisów obcych, w jaki obfituje zagranica; po bibliotekach naszych nie znaleźliśmy bowiem odpowiednich dzieł, a i nasza literatura archeologiczna nie jest w nich kompletną.

„Pismo wieku Bolesława, wieku X i XI, powiada Lelewel ¹⁾, jest podobniejsze do pisma prostego rzymskiego, pisma wieku XVI i dzisiejszego, aniżeli pismo zakonne, tak zwane gotyckie, wieku XIII.” We wspomnianem już, a szacownem dziele p. Stronczyńskiego, jedynem źródłowem opracowaniu pierwotnych pieniędzy Piastowskich po r. 1300, podane są najrozmaitsze typy tych monet, a z przejrzenia ich wypada, że napisy proste, kanciaste, stanowią ich cechę. Litera E jest przeważnie prostokątną, chociaż spotykamy i E okrągłe, a mianowicie na monetach, przypisywanych Bolesławowi Chrobremu (Stronczyńskiego *Typ* 1, str. 246, *Typ* 3, str. 249), Bolesławowi Krzywoustemu (*Ibid.* str. 203), Bolesławowi Kędzierzawemu (*Ibid.* *Typ* 35, str. 284). Są to jednak wyjątkowe zjawiska; inne litery proste. Toż samo wypada z porównania pierwotnych pieniążków Bolesławowskich, reprodukowanych we wspomnionem już dziele Kaz. Bandtkie-Stężyńskiego: *Numizmatyka krajowa*. Widzimy, że napisy na nich są przeważnie proste, łacińskie, gdzieniegdzie tylko wkłada się e okrągłe, a nadto litery są tam najczęściej ujednostajnione (jak np. l, n, a, na monetach Bolesława Śmiałego, *Ibid.* nr. VII). Wogóle na pierwotnych monetach Bolesławów, a nawet Władysława Hermana i Laskonogiego u, a, v, l są zupełnie podobne, a części je przypominają *poniekąd* kształty pisma klinowego. Porównywając dalej tablice numizmatyczne, przydane do najnowszej pracy d-ra Franciszka Piekosińskiego ²⁾, spostrzegamy, że z rokiem 1333 mniejwięcej, t. j. z początkiem panowania Kazimierza W., litery okrągłe zastępują coraz częściej prostokątne. N wszędzie niemal jest okrągłe; co do M jednakże spotykamy mieszaninę, a najczęściej oba typy na jednym i tym samym pieniążku ³⁾; przytém E okrągłe ustala się i występują na widownię T i G odmienne, pierwsze greckie (jak na danym mieczu w wyrazie CIT), drugie do niego zastosowane (jak tamże w wyrazie *gladius*), lubo i tu stałej normy stawiać niemożna, gdyż za tegoż Kazimierza Wielkiego widzimy również M

¹⁾ *Grobowy napis Bolesława Wielkiego*. Poznań, 1856 r., str. 12.

²⁾ Praca ta wyszła świeżo w IX tomie *Rozpraw i sprawozdań wydziału historyczno-filozoficznego akademii umiejętności w Krakowie* p. t.: *O monecie i stopie menniczej w Polsce w XIV i XV w.* Dopelnia ono ważnej luki w naszej literaturze menniczej i stanowi ogniwo, łączące prace Strończyczyńskiego i Ig. Zagórskiego, prace przedstawiające skrajne tylko epoki dziejów mennicy polskiej.

³⁾ Ta mieszanina litery M. uderza zwłaszcza na półgroszach Kazimierza W., najpóźniejszego bicia, świeżo w okolicach Krakowa odkrytych. Porównaj *Wiadomość o wykopalisku krakowskiem monet Kazimierza W.*, przez dr. Fr. Piekosińskiego, wydrukowaną w *Dwutygodniku naukowym, poświęconym archeologii*. Kraków, 1878 r., nr. 16 z 15 sierpnia.

proste, podobne jak na mieczu. Od roku jednak 1370, M okrągłe i w ogóle dążność do tego rodzaju pisma znowu się ustala i odtąd M N E okrągłe stale występują po rok 1502. Mówimy tu o literach, które są pod tym względem najwybitniejsze; inne litery, jak A B D C, nie decydują charakteru pisma dla obojętnej swój formy.

Z porównania monet, pomieszczonych w tablicach numizmatycznych zebranych i objaśnionych przez Czackiego ¹⁾, wypada też samo. Tam okrągłe E i M spotykamy do r. 1510, od tego czasu prostokątne litery wogóle, a w szczególności powyższe dwie ustalają się w swym typie. Co do M prostokątnego, to ono występuje już w swój nowszej, a raczej odnowionej formie w monecie z 1506 r., na owym groszu głogowskim, pierwszej monecie, jaka nosi datę. (*Ibid.*, nr. 18) ²⁾.

Nareszcie, śledząc zmiany pisowni i powolne ustalanie się takowej na monetach z ostatnich trzech wieków dziejów naszych ³⁾, widzimy, że fazy napisów monetarnych u nas, dadzą się ująć w pewne normy. I tak, uogólniając spostrzeżenia nasze na monetach z różnych epok robione, powiedzieć możemy, że pierwotne napisy są u nas przeważnie proste, rzymskie, następnie powoli zaczyna wkradać się niezgrabne pismo gotyckie, scholastyczne (z początkiem panowania Kazimierza W.). Odtąd gockie napisy przeważają aż do początku XVI wieku, a mianowicie w ciągu następnych panowań Ludwika Węgierskiego, Władysława Jagiełły, Władysława Warneńczyka, Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta i Aleksandra Jag. ⁴⁾. Następnie zjawia się epoka pisma prostego. Panowanie Zygmunta I, które słusznie uważa się, pod względem mincarstwa naszego, za przejście od wieków średnich do nowszych czasów ⁵⁾, jest także kresem dla gockiego okrągłego pisma na monetach. Można nawet w przybliżeniu ustalić datę, przynajmniej, o ile to z zachowanych dotąd monet okazuje się. Na pieniądzach głogowskich z 1506 r., przeważają już proste litery (Zagórski, nr. 1 i 2), ale istnieją tam jeszcze *e* okrągłe i *m* nierównoramienne, następnie boki *m* powoli przedłużają się, ale *e* okrągłe jeszcze pozosta-

1) Czacki: *Zbiór ciekawy XIV tablic numizmatycznych*. Wilno, 1844 r.

2) Pierwsze koronne monety datą oznaczone, są półgroszki, czyli kwartniki z 1507 r., z siódmką owoczesną w kształcie V przewróconego.

3) Porów. tablice Ig. Zagórskiego, wydane przez Ed. Rastawieckiego w Warszawie, 1845 r.

4) Porów. monety z tych panowań u Bandtkiego. Napisy tam gockie, prawie bez różnicy, a przynajmniej litery: *a*, *k*, *m* *n*, *e*. Podane u Żebrowskiego (zeszyt II) pieczęcie z epoki Jagiellonów odznaczają się także gotyckim napisem, a mianowicie pismo to panuje w nich od r. 1386 do 1530. Za Zygmunta I. zjawiają się jednak i inne napisy z mieszanymi literami, zwłaszcza *e*. Od Bony ustala się prawidłowe łacińskie pismo na pieczęciach.

5) Porów. tekst Rastawieckiego do tablic Zagórskiego, Warszawa, 1845 r., str. 1.

je ¹⁾. Dalej na półgroszach Zygmunta (od 1507—1523 r.), oraz na półgroszach świdnickich z r. 1518—1526, *e* okrągłe jeszcze istnieje. Słowem, lubo pismo proste przeważa zaraz z początkiem panowania Zygmunta I, to jednak nie jest odrazu jednolitem, ale ustala się powoli. Wszystkie litery proste, a *m* ustalone w kształcie równoramiennym, widzimy dopiero w r. 1527 (tab. Zagór.; u Bandt. pierwsza taka moneta z r. 1533), którą też datę za epokę wznowionego u nas i ostatecznie ustalonego (na monetach) pisma prostego, łacińskiego przyjmujemy.

Ciekawem jest także porównanie napisów na pieczęciach dyplomatarjuszy naszych. Tu także trudno stanowczego co powiedzieć. Zresztą tu podobnie, a nawet więcej niż w monetach, brak materiału. Być może, że z wydaniem czwartego tomu *Kodeksu Wielkopolskiego*, który obejmuje w programacie swoim reprodukcją pieczęci po 1400 r., będzie można cośkolwiek uogólnić. Pan Teofil Żebrawski ²⁾, w cennym dziele, sumiennie wydanem, podał już taki uogólniony alfabet, wskazujący napisy w odstępach trzech epok, od 1050—1200, do 1370 i do 1386 r., t. j. dla Piastowskiego okresu. Otóż tylko trzecia z tych epok ma wybitny charakter w rzeźbionych literach, przeważnie okrągłych ³⁾: dwie pierwsze zlewają się ze sobą, gdyż wiele typów liter wspólnych danym epokom, wprowadza zamieszanie i utrudnia formowanie ogólnych norm. A i te nie są zbyt pomocne przy odczytywaniu napisów, bo w ocenie wieku nie typy ale ich odmiany, najczęściej drobiazgi są decydującymi.

Oto próbka trudności, raz w formowaniu ogólnych norm, zarówno w numizmatyce, jak sfragistyce, a powtóre w podciąganiu danego napisu pod jedną jakąś stałą normę.

Gdyby jednakże zażądano zdania naszego, co do wieku napisu na rękojeści, widzianego na wystawie miecza, na mocy podobieństwa liter a głównie stylu, czyli ich zacięcia, oraz charakterystycznego onych pomieszania, z obawą wprowadzić i z wielkiem zastrzeżeniem odnieśliśmy jednak takowe do X—XIII wieku.

Co do tarczki, téj epokę łatwiej możnaby określić, lubo także w przybliżeniu. Uważamy ją za późniejszą, dodaną w biegu czasu; miejsce jej jedynie możebnem było na pochwie u góry lub w jej środku. Co do kształtów, rysunek orzełka przypomina herb narodowy z czasów Piastowskich i jest najpodobniejszym do orzełka, jaki widzimy na monetach z połowy XIV wieku.

¹⁾ Co do *m* okrągłego, literę tę, jako przybliżę, znajdujemy jeszcze wraz z *e* i *n* okrągłymi na półgroszku litewskim z r. 1510.

²⁾ *O pieczęciach dawnej Polski i Litwy*. Kraków, 1865 r.

³⁾ Tego rodzaju napisy gotyckie, rzeźbione, spotykamy u nas w XIII a przeważnie w XIV w. na sprzętach kościelnych. Patrz *czara obwodowa* i *patyna* z XIII w. we *Wzorach sztuki średniowiecznej w Polsce*, oraz tamże kielich Kazimierza W., w Stobnicy.

Wogóle, przeglądając nasze tablice numizmatyczne, uważamy, że w kolei czasów orzeł jednogłowy, jako herb państwa zmienia swą postać; rzecby można, że powoli coraz więcej skrzydła swe rozwija, i gdy początkowo trzyma je przy sobie równoległe do tułowia i końcami ku dołowi (do XV wieku), następnie coraz bardziej wznosi je do góry, a w miarę tego ruchu rozkracza nogi i głowę zadziera: słowem nabiera fantazyi. Z początkiem XVII wieku ustala się już jego typ ostateczny i odąd skrzydła zawsze do góry, jakby do lotu podniesione.

Z badań pieczęci, oraz medali historycznych ¹⁾, prawie toż samo wynika, spostrzeżenie to potwierdza się. Orzeł z rozpostartemi do góry skrzydłami, jako typ ostateczny zjawia się na nich za Batorego ²⁾. Węzeł u dołu, przedstawiający ogon, z trzylistnego przechodzi w wielolistny; w miarę, jak skrzydła podnoszą się i rozszczepiają i on ulega rozszczepieniu. Wogóle, pieczęcie dają wyraźniejszą charakterystykę kształtów orła. Otóż, porównywając orzełka na mieczu z pieczęciami epoki Piastowskiej, znajdujemy największe jego podobieństwo do kształtów orła, na pieczęciach Władysława Łokietka i Kazimierza W., a mianowicie wspólną ich charakterystyką jest to, że głowę i barki mają wysoko podniesione, zaokrąglenia u góry skrzydeł wydatne, lotki pionowo na dół spuszczone, odstępami oddzielone, a końce na zewnątrz wygięte; a przytém (co wyróżnia je od poprzedzających epok) lotki te przedłużają się ku kadłubowi orła, t. j. skrajne są krótsze.

Itak, porównywając pieczęcie, jakie zebrał p. T. Żebrawski, najpodobniejszego orła widzimy najprzód na owęj sławniej pieczęci Przemysława na dyplomie z r. 1295, dalej na pieczęciach Władysława Łokietka z 1328 r. i Kazimierza W. z 1336 i 1338 r. ³⁾. W tych rysunkach wiele podobieństwa, tylko pierścień, obejmujący węzeł pierzasty

¹⁾ *Gabinet medalów polskich*. Ed. hr. Raczyńskiego, Berlin, 1845.

²⁾ T. Żebrawski: *O pieczęciach dawnej Polski i Litwy*. Kraków, 1865 r. str. 15. Por. tab. VI, XI nr. 29, tab. XII nr. 31, tab. XIV nr. 33.

³⁾ Znajdujemy nadto u Żebrawskiego (L. c. tab. VIII i X) bardzo podobnego orła, na pieczęciach Waclawa, króla czeskiego, gdy był księciem krakowskim i sandomierskim. Są to pieczęcie z lat: 1291, 1293 i 1300. Ale tu może nasuwać się pewna wątpliwość co do polskiej pochodzistości danego miecza. Orzeł na tarczy u jeźdźca, przedstawiającego Waclawa króla czeskiego w epoce, gdy był jeszcze zaledwie księciem morawskim, a z tego względu uważany przez Żebrawskiego za herb czeski, wielkie ma podobieństwo do orzełka, epokę którego określić usiłujemy. Żebrawski uważa ten herb za dawne godło Czech (*Ibid.*, str. 32), opierając się głównie na tém, że pieczęć majestatyczna Otokara V, króla czeskiego, przedstawia na tarczy podobnegoż orła w koronie, a którego Karol Sava uważa za stare godło Czech. Porównaj: *Mittheilungen der K. K. Central-Commission zur Erforschung und Erhaltung der Baudenkmale*, zeszyt grudniowy, 1864 r., str. 264. Wątpliwość tę usuwa tło brunatno-czerwono na tarczy.

sterówek a charakteryzujący orła owoczesnego, nie figuruje na mieczu; gdyby nie ta okoliczność, możnaby tarczę powyższą z pewnością odnieść do czasów Kazimierza W. W każdym razie można go odnieść do XIV wieku. Co zdaje się potwierdzać jeszcze jeden orzeł u Żebrowskiego pomieszczony, z pieczęci królowej Elżbiety z r. 1374. Orły zaś na pieczęciach Jagiellońskich odznaczają się tём, że są znacznie wysmuklejsze, niż ten, jaki na danęj tarczy widzimy ¹⁾.

Na tём kończymy pierwszą część pracy naszej, to jest opis miecza, jaki oglądaliśmy na wystawie paryzkiej. Nie mogliśmy przytём wstrzymać się od dodania niektórych uwag, co do oceny wieku danego przedmiotu. Zauwadamy jednak przekonani jesteśmy, raz o trudności w tego rodzaju określeniach, z drugiej zaś strony o szczupłości materiału jaki dotąd zebrać się dało, by coś stanowczego orzekać. Oczekując przeto rozwiązania zagadki co do wieku danego miecza od specjalnych w tym względzie badaczy, radzi będziemy, gdy opis nasz przyczyni się do pędszego wystąpienia w tём sprawie znanych uczonych starożytników naszych, na stanowczy głos których z niecierpliwością czekać będziemy.

Przystępując teraz do drugiej części pracy niniejszёj, a mianowicie pracy czysto historycznej, na celu mającej krytykę naszych źródeł dziejowych o Szczerbcu mówiących, oraz odszukanie śladów miecza pod nazwą tą w dawnym naszym skarbcu koronnym przechowywanego, przedewszystkiём wykazać musimy łączność, jaka pomiędzy podaniem o Szczerbcu, a mieczem przez nas opisanym istnieje a mianowicie jakie są dowody a przynajmniej wskazówki możliwego prawdopodobieństwa ich tożsamości. Wskazówki te znajdujemy głównie w przejrzanych lustracyach skarbcza koronnego od roku 1455 po czasy ostatnie, to jest po rok 1792; dotąd bowiem nieudało się nam odszukać wcześniejszych *urzędowych* (oficyalnych) wskazówek o istnieniu miecza pod nazwą *Szczerbca*. Rezultaty poszukiwań naszych podamy w dalszym ciągu tём pracy.

Nim jednak rzecz tę obszerniej rozwiniemy, tymczasem podajemy do wiadomości czytelników to, co zdaniem naszym, stanowi nader ważną wskazówkę a z czasem stały punkt wyjścia w poszukiwaniu za-

Co do kształtu samej tarczy dodać musimy, iż ten przypomina nam tarczkę z orłem, umieszczoną na kielichu Kazimierza W., znajdującego się w Stobnicy (wiek XIV), a reprodukowanego we *Wzorach sztuki średniowiecznej* Przędzieckiego i Rastawieckiego. Już tam widzimy pole czerwone na herbie Piastowskim. Czy jednak ta czerwona emalia pochodzi z czasów Kazimierza Wielkiego, co do tego niema pewności.

¹⁾ Styl ich odpowiada charakterowi napisów z tём epoki; podobnie jak litery, lotki ich wąskie, skrzydła pierzaste, pręty dopiero od Zygmunta Augusta szersze. Por. Żebrowski (zozyt II), Ruczyński (*Medale*, tom I).

ginionego klejnotu narodowego, to jest owego miecza tradycyjnego, nazwą Szcerbca ochrzczonego. A mianowicie w lustracyi skarbcza koronnego w roku 1669, 26 stycznia dokonanej, przy opisie przedmiotów znajdujących się wówczas w *skrzyni wtórej* a w *szkatulce* czyli *szustla-dzie dziesiątej*, pod dwoma numerami mamy zapisane dwa miecze temi słowy:

13. *Miecz wązki, pochwa u niego srebrna pozłacana z napisem na stali: Sigismundus rex justus.*

14. *Miecz krótki szerszy, króla Bolesława Śmiałego, Szcerbiec nazwany, pochwa w pozłacane srebro oprawna, na rękojeści czterej ewangelisci ¹⁾.*

Na inném miejscu wykazemy ślady tych mieczów dawniejsze i późniejsze. Tu zwracamy tylko uwagę na opis tak zwanego *Szcerbca*, jedyny opis charakteryzujący go i co do rodzaju, oraz wielkości (*miecz, krótki, szerszy*, w porównaniu z poprzedzającym, *wązkim*) i co do rysunku zdobiącego rękojeść (*na rękojeści czterej ewangelisci*).

Jest to nader ważna wskazówka, wszystkie inne opisy są zbyt ogólne i niedokładne; najczęściej tylko wzmianki o istnieniu miecza pod tą nazwą i opisy pochew. Ostatnia wzmianka o Szcerbcu, jaką podał Tadeusz Czacki (1792), jest także nader ważną wskazówką, ale mniej cenną niż ta, *dawniejsza*.

Otóż, powtarzamy jeszcze raz, opis, jaki znaleźliśmy w *lustracyi* z r. 1669 a zwłaszcza wskazanie na czterech ewangelistów zdobiących rękojeść *Szcerbca*, daje przynajmniej punkt oparcia dla szukania zaginionej pamiątki narodowej, a przytém usprawiedliwia przypuszczenie w mieczu, w antykwarni Bazylewskiego znajdującym się, pewnego podobieństwa ze Szcerbcem, a ztąd i *prawdopodobieństwa* tożsamości przedmiotu. Nie przesadzamy bynajmniej tej sprawy, zbyt mało na to jest danych, ale ta ostatnia wskazówka usprawiedliwia przynajmniej wystąpienie, w celu rozwiązania zagadki tej, podjęte.

Niemcewicz w *Zbiorze pamiątek o dawniej Polsce* (tom trzeci) nie podał tej lustracyi ²⁾, uważamy ją jednak za nader ważną i z innego nadto powodu. W niej mianowicie znajdujemy szczegółową kopią lustracyi odbytej w 1455 r., która w tę ostatnią wcieloną została i tym sposobem treść jej przechowała się w oryginalnym tekście *Rewizji skarbu koronnego* z r. 1669 w archiwum warszawskiem dawnych ksiąg metrycznych. Otóż i w tej pierwszej znaney nam rewizyi wzmiankę o Szcerbcu znajdujemy w słowach:

¹⁾ *Pamiętniki historyczne*, wydał Leopold Hubert, Warszawa, 1861, tom I, str. 123. *Inwentarz skarbu koronnego z roku 1669*. Opis powyższych mieczów na str. 149.

²⁾ W przytoczonej przezeń rewizji z 1730 roku, lustracya ta jest wymienioną. Niemcewicz, *Pamiętniki*, tom III, str. 90. Rykaczewski w wydaném w Paryżu dziele: *Inventarium omnium et singulorum privilegium etc. Lutetiae Parisiorum*, 1862, podaje także niektóre lustracye skarbcza koronnego.

Item gladius Styrbecz in cista ¹⁾.

Powiedzieliśmy już wyżej, że nawet udowodnienie tożsamości miecza Bazylewskiego z tym jaki za Szczerbiec był podawanym, nie rozwiąże jeszcze sprawy Szczerbca. Sprawa ta, a raczej wyjaśnienie legendy o mieczach pierwszych naszych bohaterów dziejowych, wymaga osobnej pracy, osobnego studium. W każdym razie jednak, niezależnie od rezultatów badań w kierunku tym podjętych, może iść równoległe poszukiwanie, czy miecz przez nas opisany jest tym, a może *jednym z tych* mieczów, które naród do legendarnej podniósłszy apoteozy, za klejnot narodowy uważał.

Uprzedzając ostateczny w poszukiwaniach tych wynik, dzielimy się z czytelnikami jeszcze jedną wiadomością, którą dorzucićby można na szalę prawdopodobieństw. Wiadomość tę czerpiemy z listu łaskawie udzielonego nam przez p. E. Swieżawskiego. „Nieobojetną przyczyną będzie Ci może i ta wiadomość, (pisze p. Aut. Por.), że za autentycznością wspomnianego miecza przemawia i to, że w zbiorach ś. p. Rastawieckiego był mieczyk mały, dziecinny, z kości stoniowej, zupełnie na wzór owego jaki opisuje Ciampi, i tego jaki był w Paryżu ²⁾. Rastawiecki przypuszczał, że był ów mieczyk wyrobiony na wzór pradziadowskiego po kądzieli miecza, dla którego z królewiatek, mianowicie zaś dla Władysława IV.”

Nieprzesądzając jednak pytania o tożsamości miecza danego a nawet o związku jego ze Szczerbcem, nadmienić jeszcze musimy, iż w każdym razie, miecz przez nas opisany, zyskał pewne prawo do dziejów archeologii krajowej, choćby i przez to samo, że był już przedmiotem studium w grodzie naszym przez Ciampi'ego dokonanego. Ciampi wprawdzie miecza samego nie widział ³⁾, ale jak o tym już wspomnieliśmy, wyczytał napisy na nim będące z rysunku, jaki mu dostarczył Wincenty hr. Krasiński ⁴⁾. Rezultat tych badań ogłosił Ciampi w pracy pod tytułem: *Gladius antiqui operis illustratus* a umieszczono

¹⁾ Hubert, *Pamiętniki historyczne*, tom I, str. 128.

²⁾ Uprzedzić musimy, że szanowny autor niniejszego listu, miecz ów paryzki zna jedynie z rysunku naszego, jaki miał sobie komunikowany.

³⁾ *Feriae Varsavienses*, r. 1819, str. 4: *non enim potui gladium ipsum oculis subjectum accurate observare*. W przypisku a, do str. 6 mówi Ciampi toż samo, użalając się, że przedmiotu opisywanego przez się niemógł mieć przed oczyma: *non enim... gladium ipsum vidi, neque ex imagine quae tradita mihi est, genus operis colligi clare potest*.

⁴⁾ Z broszury Ciampi'ego pokazuje się, że książę Łabanow, podówczas posiadacz miecza danego, twierdził, iż go przywiózł z Serbii, gdzie go w jakimś rowie (*fovea*) pomiędzy Białogrodem i Ruszczukiem miał jakoby znaleźć wraz z innymi starożytnymi zabytkami i na wyborze tego przedmiotu, sztuką odznaczającego się (*ob artificii praestantiam*), poprzestać. Por. Ciampi *l. c.* str. 8 *in fine* i 9. Otóż wiadomość tę dopełnia poniekąd cytowany już przez nas autor listu uprzejmie udzielonego nam, w którym po stwierdzeniu tożsamości

nę na czele jednego z zeszytów wydawanych podówczas przezeń w Warszawie, a następnie w Medyolanie: *Feriae Varsavienses sive quae vacans ab academicis lectionibus scribebat mense Augusto Sebastianus Ciampi*. W broszurze tej (wydanej w Warszawie u Glücksberga, w r. 1819) znajdujemy w końcu dodany rysunek przedmiotu opisanego, w naturalnej wielkości odtworzonego i to z dwu stron. Po porównaniu rysunku tego z tym jaki sami w Paryżu robiliśmy, przekonaliśmy się o tożsamości miecza widzianego przez nas a opisanego przez Ciampi'ego. Znajdujemy w nim jednakże i pewne zmiany dowodzące, że miecz ten był naprawiany a przynajmniej rozkładany na części a następnie składany nieco inaczej niż w r. 1819. I tak co do gałki albo guza kończącego rączkę rękojeści ta jest przekreconą obecnie. W r. 1819 a raczej w chwili gdy pierwotny rysunek nadesłany przez Łabanowa był robionym, (być może jeszcze dawniej), kwiat czy też ozdoba liściasta na innej figurowała stronie niż obecnie, a mianowicie jeśli stronę na naszym rysunku nazwiemy prawą, to kwiat znajdował się na lewej stronie, to jest tej którą z broszury Ciampi'ego przerysowaliśmy. Przeciwnie, na stronie prawej, zupełnie w najdrobniejszych szczegółach odpowiadającej naszemu rysunkowi, figuruje w broszurze powyższej nie kwiat ów jak u nas ale znak symboliczny Chrystusa, oraz napis wedle czytania Ciampi'ego oznaczający:

Christi Rectoris figura trahet ad amorem Regum. Judicat me et principum iras.

Kwiat zaś zupełnie takiż sam, jak go narysowaliśmy w Paryżu, odwrócony jest u Ciampi'ego na stronę lewą. Dlatego też, by dwa razy rzeczy danej nie rysować, przenieśliśmy powierzchnią guza z napisem na lewą stronę rękojeści a co do pochwy dołączyliśmy obok rysunek, przedstawiający, jak takowa wygląda u Ciampi'ego, przy stronie prawej rękojeści. (Patrz tab. IV). Napis na lewej stronie rękojeści, czyta Ciampi w następujący sposób:

Quicumquae haec Christi nomina Dei secum tulit ei omnino non dabit victoria ullum periculum in Christi nomine.

Podpisy pod symbolami ewangelistów Ś. Jana i Mateusza: *Johannes, Matheus*.

Otóż mamy, dzięki odnalezionemu dziełku Ciampi'ego, całość miecza przed oczyma. Napisy, jakie z rysunku jego skopiowaliśmy, są dość wyraźne i możnaby zgodzić się na *legendę* Ciampi'ego. Co

i zgodności rysunku naszego z rysunkiem w broszurze Ciampi'ego widzianym, powiada, iż miecz ten „od księcia Łabanowa przejść miał do Demidowa, a następnie do dzisiejszego posiadacza. Co zrobiono z pochwą, dodaje p. Ant. Por., nie wiadomo. Stawiano też zarzut w Paryżu, że klinga jest osadzona inna, znacznie późniejsza. Jak przypuszczali *patrowie* (?) w Paryżu, z czasów Władysława Łokietka.”

Ponieważ autor listu powyższego nie przytacza źródła z kąd wiadomość tę zaczerpnął, podajemy ją z zastrzeżeniem.

zaś do napisu z prawej strony rękojeści będącego (na rysunkach przez nas w Paryżu wykonanych pod nr. 3 i 4 tab. III), t. j. owego: *Conditor mundi Deus servabit ab rebelione* (jak czyta Ciampi), niema pewności, owszem czytanie jego jest naciągane. Wogóle Ciampi należał do tych uczonych, którzy w rzeczach archeologii trzymali się ułatwiającej metody, pokonywali oni *trudności bez trudności*; gdzie im litera zawadzała, usuwali ją, a gdzie był brak, luka, dopełniali ją bogatą swą wyobraźnią. Byle tylko wypadło to, co przeczytać zamierzali, archeolodzy owocześni, zwłaszcza amatorowie, nie wstrzymywali się od żadnej, choćby najradykałniejszej *epuracji*, danego im do odczytania tekstu. Za przykład takiej dowolności przy badaniu napisów starożytnych służyć może sposób, w jaki Ciampi odczytał ów niezrozumiały dla nas dotąd napis. Oto argumentacya własnymi słowami jego przedstawiona. Po przytoczeniu całkowitego napisu:

CON . CIT . OMON EEVE SEDALAI . EBREBEL .

Ciampi tak argumentuje:

„Czwarta litera w CONCIT, podobna do pierwszej i dla tego podobieństwa była z nią zmieszana, ztąd też odwracając ją otrzymamy D.

W *mondi*, zwykle litera o, pisze się zamiast v.

W wyrazie EEVE, z powodu takiegoż podobieństwa liter (mówię o literach narysowanych na mieczu), pierwsza litera E, stoi tu zamiast D, podobnie jak ostatnia, zamiast S.

W SEDALAI zmieniam trzecią literę D na R, literę L na B, sylabę AL na LL. *Servabit*.

Co do reszty napisu, wszystko jest jasne; z łatwością bowiem litera A, w dźwięku AB, mogła być pomieszana z E.” (*l. c.* pag. 5).

Dla nas ważnem jest jednak to, że napis, jaki zdjęliśmy z miecza w Paryżu, odpowiada w zupełności napisowi w broszurze Ciampi'ego. Kształt nawet liter ten sam, tylko kropka, po wyrazie CIT u góry przy T, przez nas nie była dostrzeżoną. Ta zgodność napisów usuwa ostatecznie wątpliwość, co do litery okrągłej w wyrazie *Marcus*, a co ważniejsze: nadaje autentyczność wszystkim napisom, na rysunku do broszury Ciampi'ego dołączonej, podanym. Z drugiej zaś strony osłabia argument Ciampi'ego, usprawiedliwiający go w oczyszczeniu tekstu napisu, t. j. że rysownik, w kopiowaniu miecza zapewne poprzestawiał lub poprzekreślał litery (na co zresztą, jak widać ze słów autora broszury, zwracał już uwagę jego Krasiński).

Wobec wierności napisów, na podanej przez nas stronie miecza znajdujących się a rysunkiem moim, jak się zdaje, stwierdzonej, przypuszczać należy, że i druga strona w Ciampim przedstawiona, przynajmniej co do napisów swoich, jest autentyczną; a w takim razie błędy lub przestawienie liter odnieść należy raczej do chwili rycia takowych na mieczu, aniżeli do chwili odtwarzania takowych na rysunku. Za złożeniem zaś błędów na karb twórcy samego, nowe nastrecza się pole dla domysłów, a z niemi i nowe wskazówki. Może miecz ów jest ko-

pią innego miecza i to kopia, dokonana albo przez nieznanego się na piśmie płatnerza lub też z oryginału, na którym napisy już były niewyraźne, koleją czasów lub przez używanie broni zatarte.

Musimy jeszcze zwrócić uwagę czytelników, że jakkolwiek rysunek, podany u Ciampi'ego, zdaje się być bardzo wiernym w odtworzeniu napisów, to jednak w naśladowaniu symbolów i ornamentyki, jest on w stosunku do oryginału *zapięknym, zbyt wykończonym*. Figury w oryginale (mówimy o jednej tylko stronie) są też same, ale daleko niezgrabniejsze, wcale nie tak wykończone, ani cieniowane, jak to z rysunku, w tej broszurze będącego, sądzićby należało. Ztąd też naszą podobiznę uważamy za dokładniejszą i bardziej autentyczną, co do charakteru i wartości estetycznej miecza. Widocznie pierwszą kopią zdejmował dobry rysownik, artysta wyrobiony, który nie mógł niewolniczo odtwarzać niezgrabnych konturów, ani też oprzecz się chęci niewykończenia tam zaledwie naznaczonych tylko szczegółów. O ile więc, pod względem artystycznym, rysunek owego nieznanego nam kopisty, stoi wyżej od naszego, o tyle znowu nie daje on cechy wieku, ani miary wartości estetycznej danego przedmiotu. Jak powiedzieliśmy, jest *zanimowicie piętym*, a ztąd z łatwością w błąd wprowadzić może. I tak, nie mówiąc już wogóle o błędnym wyobrażeniu, jakie kopia nadaje o smaku estetycznym danej epoki przez poprawienie rysunku, zaznaczamy, jako przykład, dwa zmienione szczegóły, które poczęści charakteryzują epokę i styl przedmiotu, a mianowicie: zmieniony kształt kielicha przy *Agnus Dei*, oraz co ważniejsza, zmiana cech orzełka na tarczce, przez zbytnie wykończenie rysunku.

Ciampi nie daje nam opisu przedmiotu, tylko komentuje napisy, oraz daje wnioski swoje *bardzo ogólne* co do miecza tego. Wnioski te oparte są głównie na orzełku, po tém jednak, cośmy o rysunku orzełka nadmienili, nie potrzebujemy dodawać, jaką wnioski te mają wartość; w każdym razie jednak wnioski Ciampi'ego, oraz ocenę takowych przedstawimy niebawem.

Uwaga. Dołączoną na tab. IV, podobiznę odwrotniej strony miecza, zrobiliśmy wedle rysunku, znajdującego się w broszurze Ciampi'ego, zachowując też same co tam rozmiary, które odpowiadają wielkości, widzianego przez nas w Paryżu oryginału; czy jednak rozmiary te są zupełnie wierne, ó tém nie wiemy, w każdym razie mamy pewną wątpliwość, gdyż znaleźliśmy, niewielką wprawdzie, różnicę w wymiarach pomiędzy obiema stronami rękojeści na tymże samym rysunku w broszurze Ciampi'ego.

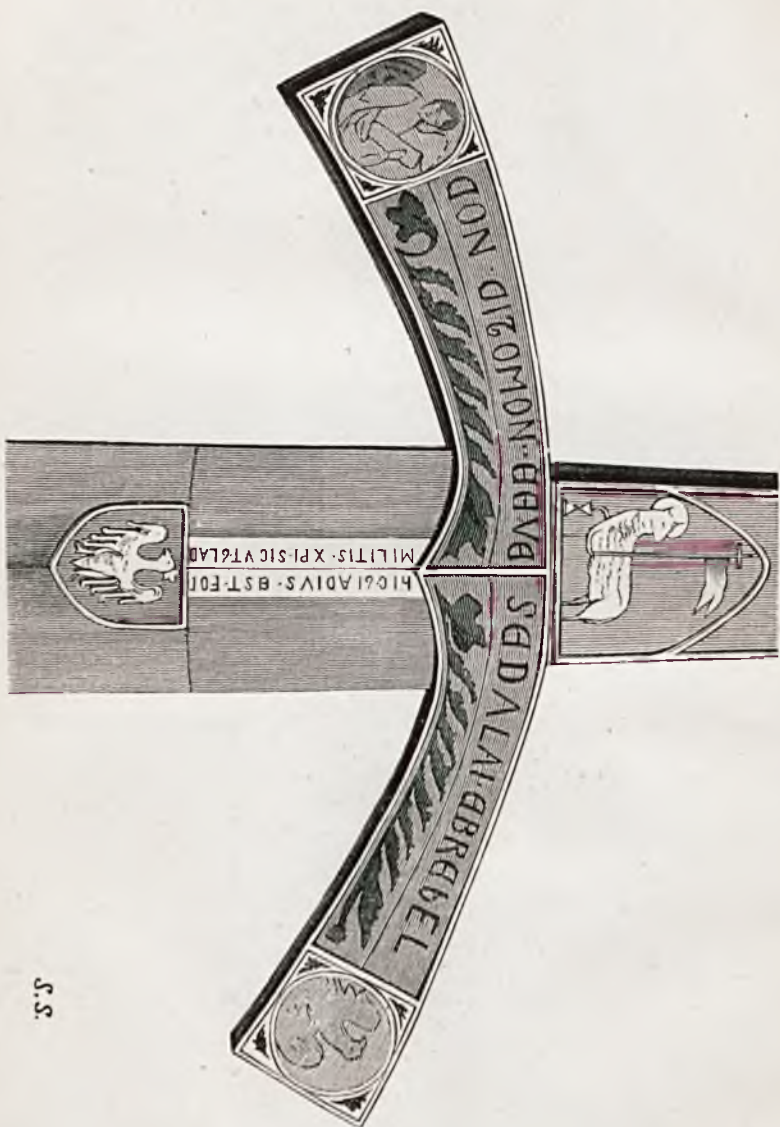
O zmianieniu położenia główki, kończącej rękojeść, już wspomnieliśmy. Jestto jedyna zmiana w rysunku, jaką zrobiliśmy, upoważnieni do tego będąc obecnym stanem oryginału. Trzy monogramy, jakie do napisów podanych na tab. III, pod nr. 9, dołączyliśmy, wzięte są z VII tomu Ducange'a: *Glossarium mediae et infimae latinitatis...* Parisiis, 1840 r., a mianowicie z rozprawy jego o monogramach niektórych cesarzy rzymskich. Są to monogramy cesarza Ottona III w kronice *Mindelnskiej* znajdujące się, przerysowaliśmy jena wszelki przypadek, mając na myśli opis *Szczerbca* przez Czackiego podany, a to w celu ułatwienia porównania tych monogramów z napisem na gałce rękojeści umieszczonym. (Tab. IV).

Otóż uprzedzamy jeszcze raz, że odpowiadamy jedynie za *własne* nasze rysunki robione w Paryżu, to jest: tablice oznaczone numerami I i II, z których pierwsza przedstawia całą rękojeść wraz z częścią klingi i niektóre szczegóły (nr. 1, 2, 3), druga zaś głównie jój ramiona z listewką; oraz tablica III, dodana dla ułatwienia czytania napisów oznaczonych numerami 1—8. Numer zaś 9 na téjże tablicy, przedstawiający monogramy Ottona III, dodaliśmy obecnie (z Ducange'a), podobnie jak i całą tablicę IV, przedstawiającą drugą stronę danego miecza, a którą przerysowaliśmy z Ciampi'ego z niektórymi zmianami wskazanemi i usprawiedliwionemi przez nas na str. 33 niniejszej pracy.



Tab. I.

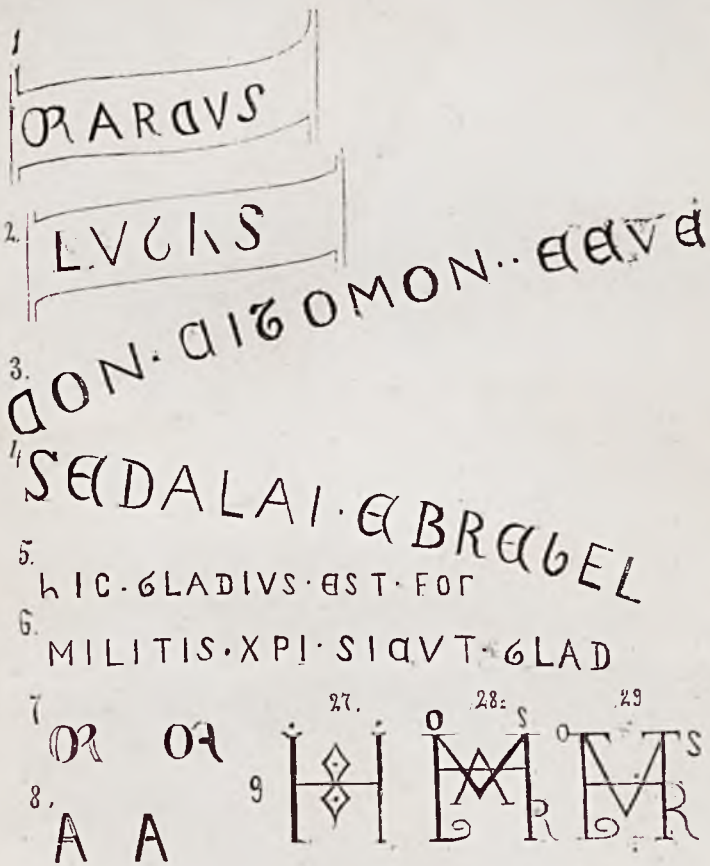
Szczereblec: Podług rysunku S. Smolikowskiego.



S.S.

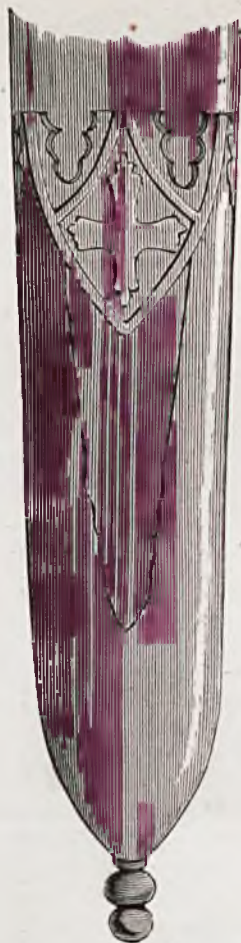
Tab. II.

Szczerbiec : Rękopiśń. Podług rysunku S. Smolikowskiego.



Tab. III.

Napisy na Szczerbcu, oraz trzy monogramy z Ducange'a.
 Podług rysunku S. Smolikowskiego.



Tab. IV.

Szczerblec: Rękojeś naturalnej wielkości. — Osada górna pochwy. — Osada dolna pochwy. Podług rys. Ciampiego.

WPŁYW DRÓG ŻELAZNYCH NA RUCH EKONOMICZNY W ROSSYI.

PRZEZ

Jana Blocha.

Rossya jest krajem zmian odbywających się co chwila oraz rychłych przeobrażeń, nietylko w dziedzinie prawodawstwa i życia obywatelskiego, ale i w porządku gospodarczym. Kiedy inne państwa europejskie przechodziły przez pewien szereg przekształceń politycznych, przedstawiających kolejne zdobycze, dokonywane przez klasy obywateli coraz liczniejsze, Rossya się unieruchomiła, uosabiając się całkowicie we władzy Panujących. Panujący jest dla ludu rossyjskiego ojczyzną, źródłem wszelkiego prawa, porządkiem społeczności ludzkiej. Toż samo pojęcie wszechwładzy Państwa jest również głęboko zakorzenione w umyśle klas ukształconych kraju; tylko przedstawia się im ono w odmiennej postaci. Chłop ma dla niej poświęcenie ślepe, cześć niemal zabobonna; przeciwnie, człowiek ukształcony, mówi tylko o zobowiązaniach Państwa i od władzy nieograniczonej oczekuje on inauguracyi wolności. W gruncie, pojęcie jest toż samo.

W zakres naszego badania nie wchodzi wyszukiwanie przyczyn tej charakterystycznej właściwości, jaką napotyamy w dziejowym rozwoju Rossyi, a polegającej na tém, że wszelka moc początkowania w tym kraju, zdaje się ześrodkowywać w rządzie. Dostyć nam zaznaczyć fakt, a jako przykład dowodzący, że fakt ten objawił się nietylko w formach życia politycznego, ale i w sferze zjawisk gospodarczych, przypomnimy działalność Piotra Wielkiego.

Nie zdarzyło się nigdy, aby jednemu człowiekowi daném było uczynić to, co on uczynił. Ku temu potrzeba było być nietylko człowiekiem genialnym i monarchą potężnym, ale być mianowicie Carem. Tym jedynym sposobem Piotr W. mógł nietylko dokonać istotnego przeobrażenia społecznego, bezprzykładnego w dziejach, ale zdołał w krótkim przeciągu czasu obdarzyć 250 fabrykami kraj, zgoła ich przedtem pozbawiony.

Wielkie zmiany gospodarcze, jakie za dni naszych zaszły w położeniu Rossyi, przedstawiają pewną analogią z tym godnym uwagi faktem, a badanie tych zjawisk nie z jednego powodu obudza zajęcie. Sama nawet szybkość tych przeobrażeń ciekawemi je czyni, ztąd że w okresie względnie szczupłym ukazują one obraz bogaty we wskazówki.

Ale badanie to wywołuje nadto interes ze stanowiska przede wszystkim praktycznego. Ogromna ludność Rosyi, skutkiem samego wzrostu naturalnego, daje przewidywać czas niezbyt odległy, w którym kraj ten przemysłowi naszemu otworzy potężne ujście, obliczone na potrzeby blisko stumilionowej swojej ludności.

Jasna rzecz tedy, że krainy, przyszłość których jak nateraz leży głównie w rozwinięciu sił produkcyjnych, bezpośrednio są interesowane w tém, ażeby każdy mieszkaniec Rosyi stał się względem ich przemysłu konsumentem. Owóż urzeczywistnienie mniej więcej blizkie tego faktu zależy przede wszystkim od rozwoju dobrobytu, oświaty i nowych potrzeb z tych przyczyn w masie ludu rossyjskiego powstających, jakoteż od łatwości komunikacyi, która, skoro potrzeby te się zjawiają, powołaną jest uczynić im zadosyć.

Poświęciwszy kilka lat na zebranie materyałów do obrazu statystycznego, wykazałem na inném miejscu szczegółowo wpływ tegoczesnych sieci dróg rossyjskich na rozmaite gałęzie wytworów przemysłowych, rolnictwa i handlu w tymże kraju. Do téj pracy dołączyłem atlas, w którym zmiany zasze przedstawione są metodą graficzną ¹⁾. Sądzilem, że przedmiot ten nieobojętnym będzie i dla ogółu czytelników interesujących się najbliższemi stosunkami ekonomicznymi. Karty tedy następne streszczają różnorodne fakta, będące przedmiotem dzieła obszernego, którego szczegółów specjalnych unikając autor, w pracy niniejszej zamierzył głównie przedstawić obecność i przeszłość ekonomiczną Rosyi, z uwzględnieniem cech charakterystycznych położenia finansowego i nawet przesilenia ostatniej chwili, po dowody zupełne tego rozbioru odsyłając czytelnika do dzieła wspomnianego.

I.

Jeżeli się zwrócimy do okresu oddzielonego od naszych czasów przeciągiem lat około 35, staniemy wobec osobliwego kontrastu pomiędzy Rosyją i innemi krajami europejskimi. Czas, objęty Restauracją i monarchią Lipcową we Francyi, był dla całej Europy epoką istnie odrodzenia się ekonomicznego. Głębokie zmiany zasze w porządku politycznym, w połączeniu z nowemi a świetnemi zdobyczami w naukach ścisłych i ich zastosowaniach, nadały silny popęd działalności przemysłowej, wymianom i rozwojowi kredytu. Wswobodzenie się mass z ostatnich więzów feodalnych; uwolnienie się jednostki od zawał zadziergających ją wpośród korporacyi i cechów; ośmieszenie się oszczędności do wyjścia nareszcie z ukrycia, dzięki udokładnieniom wprowadzonym do procedury cywilnej; wolne stowarzyszenia następujące w miejsce robocizny przymusowej i monopolu: cały, słowem, szereg faktów nowych, miał prawo do inaugurowania ery nowej w wy-

¹⁾ Praca ta jest pod prasą i ukaże się niebawem.

tworze i rozdziale bogactw. Powstała potężna dźwignia, mająca poruszyć z miejsca świat ekonomiczny: to para. Potrzeba było tylko dla tój dźwigni punktu oparcia, poszukiwanego przez Archimedesę, a punktu tego dostarczyła swoboda.

Nieufność obudzona przez rewolucyą francuzką w rządach europejskich przeżyła pierwsze Cesarstwo i zamykającą je katastrofę. Ale w krajach Europy zachodniej reakcyę, niezdolną już położyć tamy trwałej prądom postępu politycznego, nie pokusiła się nawet o powstrzymanie zmian ekonomicznych i wznowienie zapór w postaci przywilejów i wszelkich monopolów, które ongi dzieliły państwo od państwa, w każdym państwie miasto od miasta, a w każdym mieście i osadzie korporacyą od korporacyi.

Nasamprzód, i same już rządy wychodziły dobrze na rozwoju wytwórczości i kredytu, na powiększeniu i rozprzestrzenieniu przedmiotów, spożycie których będąc obłożone podatkami, przynosiło znaczne dochody. Powtóre, duch inicjatywy i stowarzyszalności, krzepkość w wyszukiwaniu dróg nowych oraz wytrwałość w przeprowadzeniu założeń stanowiły właściwość całej społeczności europejskiej i rysy charakterystyczne jój oblicza, w porównaniu z fizyognomią ludów wschodnich. Dość było rządowi patrzeć przez szpary, a działalność prywatnych dosyć miała siły żywotnej, by służyć za czynnik główny w przeobrażeniach ekonomicznych, rozwijających się w owym okresie z szybkością w dziejach bezprzykładną.

Inaczej rzecz się miała w Rossyi. Kraj ten oddzielały od reszty Europy, nasamprzód wielkie przestrzenie, oddalające jego środkowiska główne od linii zetknięcia z Europą, czyli od jego granicy zachodniej; następnie, natura jego rządu, charakter instytucyi, stopień nierównie niższy kultury i zupełny brak oświaty w ludności wiejskiej, wyłączały Rossyą bardzo długo z ruchu ogólnego. Wiek prawie upłynął, odkąd Rossya dała u siebie przystęp pojęciom europejskim, ale pojęcia te musnęły zaledwie po wierzchu to ogromne państwo, a zmiany jakie się tam dokonały, miały za jedyne źródło działalność rządową. Oczywista więc rzecz, iż w takim kraju, reakcyę zgoła inne wydać musiała owoce niż w reszcie Europy. Dość było rządowi zaniechać usiłowań podejmowanych w celu zbliżenia się z Europą, a wrota przez Piotra W. otwarte nowościom przyciągającym z Zachodu, zamknęły się natychmiast. Ale rząd ówczesny poszedł dalej. Raz przenikniony myślą zasadniczą reakcyi, rząd rossyjski nie potrafił wynaléźć środka pomiędzy niebezpieczeństwem, jakim dla niego samego wynikać mogły z postępów materyalnych iszczących się w Europie. I nic dziwnego. Reformy ekonomiczne i odwołanie się do sił żywotnych kraju, trudno było pogodzić z panującym założeniem utrzymania w całej nieetykalności takiego porządku rzeczy, który wyłączał wszelką wolność osobistą, ujarzmiął pracę, gęstą ostoną tajemnicy okrywał środki państwowe

wraz z ich użyciem, a z niespokojną zazdrością czuwał nad t \acute{e} m, ażeby nie wymknęło się żadne słówko tchnące najmniejszą przymówką do trybu, w gruncie podkopywanego przez nadużycia wszelkiego rodzaju.

Okres t \acute{e} ż reakcyi, który dla Zachodu był epoką rozpowszechnienia kultury i rozwoju ekonomicznego, przez krótką dobę mnożąc w dziesięcioro mienie publiczne, dzięki parze, rozszerzeniu kredytu i rozpowszechnieniu oświaty w massach—dla Rossyi stał się zwrotem do zupełnego niemal odosobnienia i stagnacyi t \acute{e} m zgubniejszej, że była ona pożądaną i zdawała się ideałem doskonałości dla społeczeństwa ludzkiego dostępną. Czas ten w Rossyi miał swoją filozofią, w której idee de Maistre'a, Bonalda i Stahla, dziwnie mieszały się z tradycjami bizantyjskimi, z dzikością tubylczą ozdobioną mianem ducha narodowego, oraz z praktykami kancelaryi tajnych i czarnych gabinetów XVIII wieku.

Owocześni statyści rossyjscy przejęci byli tą myślą, że ludy w ogóle nie dojrzały do tyla, ażeby przyjąć mogły udział w kierowaniu swą dolą i że w szczególności lud rossyjski nie miał tak silnego żołądka, ażeby strawić swobody choćby najelementarniejsze, jak naprzykład rozporządzanie własną pracą, używanie równości obywatelskiej wobec prawa, i słuchania jakiegokolwiekbądź prawdy.

Wzięli oni sobie za prawidło, opierać się wszelakiemu ruchowi i inowacyom, a wielkie zmiany w Europie dokonywające się, które ich oburzały, nie wydawały im się nicz \acute{e} m inn \acute{e} m, jeno szak \acute{e} m społeczeństwa biegnącego fatalnie ku zgubie. Same nawet postępy materyalne nie znajdowały u nich wzgl \acute{e} du. Ci m \acute{e} żowie polityczni odwracali wzrok od obrazu przedstawiającego wzrost potegi innych krajów i ich postęp w dobrobycie. Widzieli w t \acute{e} m tylko odwrotną stronę medalu, to jest przesilenia przemysłowe, od czasu do czasu nieuniknione, które służą za wskazówkę zła cząstkowego, a które same na siebie przynoszą lekarstwo potrzebne, jakkolwiek ciężkie czasami bywają ich bezpośrednie następstwa.

Jeden z najświetlejszych statystów owego czasu w Rossyi, hrabia Kankryn, minister skarbu, wydał orzeczenie nader charakterystyczne co do wpływu kolei żelaznych. Było to w r. 1842, a rzecz o połączeniu dwu stolic Państwa drogą żelazną toczyła się w radach rządowych. Rossya posiadała już od r. 1838 linią, ciągnącą się 25 wiorst pomiędzy Petersburgiem, Carskiem-Siołem i Pawłowskiem, letniami rezydencyami Dworu. Ale minister skarbu, w memoryale przedstawionym Cesarzowi, wyraził się nieprzychylnie o t \acute{e} j zachciance nowości. Koleje żelazne, zdaniem hrabiego Kankryna, „mnożą tylko niepokój, pobudzający jednostki do wyruszenia z miejsca bez istotnej potrzeby, pod wpływem pochopności zanadto właściwej naszej epoce, a tym sposobem narażają jedynie publiczność na wydatki niepotrzebne”. Zdanie hrabiego Kankryna podzieliła większość kommissyi specjalnej, ustanowiona dla zbadania kwestyi dotyczącej wybudowania kolei żelaznej, która połączyć miała Moskwę z Petersburgiem, i tylko na skutek wyraźnej woli Cesarza Mikołaja, budowę tę przedsięwzięto.

Podobnież działo się z próbami stowarzyszeń w celach przemysłowych lub handlowych, towarzystw akcyjnych i komandytowych. W raportach swych do Cesarza, hrabia Kankryn, ideę stowarzyszenia przedstawiał zawsze za „objawiającą raczej chorobę, niż mogącą służyć jako środek właściwy do rzeczywistego ulepszenia naszego stanu społecznego.“ Jednakże dążność ogólna do podejmowania przedsięwzięć akcyjnych, zbyt była silną, aby nie miało się ich kilka utworzyć nawet w Rossyi owoczesnej. Ale czyto skutkiem przeszkód stawianych przez rząd działaniom prywatnym, czy dla braku ludzi umiejętnych i rzetelnych, przedsięwzięcia powstałe w owym czasie mały odniosły skutek.

Owóż, kiedy tak Rossya odosabniała się w nieruchomości prawie bezwarunkowej, Europa zachodnia doczekała się faktu wielkiej wagi, który przyłączył się do tych, jakie odznaczyły wielki ruch ekonomiczny wieku. Nieziarna rozciągłość nadana sieci kolei żelaznych okrywającej Europę, oraz żegludze regularnej, za pośrednictwem statków parowych, utrzymujących stałą komunikacją z drugą półkulą, ułatwiła wychodztwo i nadała mu rozwój dotąd nieznany. Odkrycie w Kalifornii pokładów złotodajnych, nadzwyczaj bogatych, w roku 1848, oraz kopalni złota jeszcze rozleglejszych w Australii r. 1851, doprowadziły wychodztwo do stopnia przechodzącego wszystkie przewidywania. Niebawem wielka masa wychodźców, odstręczona od poszukiwania złota droższą przedmiotów spożywczych, pochłaniającą wszystkie zyski dzienne, jęła się uprawy żyznych pól Ameryki i Australii, a dzięki płodności tych dziewiczych gruntów, jako też swobodzie niekrepowanej niczem, w krótkim czasie powiększyła do rozmiarów istnie zadziwiających ilość wytworów rolnych rozporządzalną na wywóz do Europy. Jednocześnie, napływ złota kalifornijskiego i australijskiego do Europy, ciągnący się nieprzerwanie, wywoływał zarazem wywóz wytworów dokonywanych w Europie na potrzeby osadników i stosownie do środków, jakich im dostarczało rozwinięcie się wytworu rolnego, oraz podniesienie płacy tak w Ameryce jak w Australii.

Tymto sposobem wychodztwo nadawało nowy pęd wytworowi rękodzielniczemu w Europie, popierało w niej potężnie przemysł, a powiększając masę kapitałów puszczonych w obieg i obfitość gotówki, tworzyło nową pobudkę do inowacyi i udoskonalen wszelkiego rodzaju w zakresie przemysłowym.

Rossya tymczasem pozostawała wciąż za obrębem tego wielkiego ruchu, a jej statysci ani myśleli zajmować się kwestyami, które jednak musiały oddziaływać niepomyślnie na rossyjski handel, gdyż Ameryka i Australia występowały w charakterze współzawodników Rossyi, i poczynaly dostarczać wytworów rolnych na te rynki europejskie, które dotąd niemal wyłącznie polegały na wytworach rossyjskich.

Inny jeszcze rys charakterystyczny objawił się w kierunkach przemysłu zachodniego w owym czasie. Przemysł zaczął coraz bardziej stosować się do potrzeb wyszukańszych, zagęszczających się wpośród warstw

niższych. Wytwory spożywcze i rękodzielnicze, przeznaczone przedtem dla małej liczby ludzi zamożniejszych, a mieszczące się w kategorii przedmiotów zbytkowych, stały się dostępne warstwom pracującym, stanowiącym większość ludności.

Handel, ożywiony wzrostem wytworu i spożywu, rozwinął czynność nadzwyczajną. Zaznaczymy i tę nadto szczególność owego czasu, że środkowiska czynności handlowej, mieszczące się dotąd raczej wzdłuż komunikacji wodnych, poczęły zmieniać położenie, sadowiąc się w punktach łączących warunki najprzyjaźniejsze co do siły wytworu i środków kredytu.

Naturalnie, ogromne postępy przemysłu i handlu obróciły się na korzyść narodów najbardziej przedsiębiorczych, najlepiej umieszczonych pod względem geograficznym i najbardziej w przeszłości przygotowanych do roli potężnych pośredników w wielkim rozwoju handlu powszechnego. Krajami, w których warunki te połączyły się, były: Anglia, Francya, Belgia, Holandya i, do pewnego stopnia, Niemcy. Nic dziwnego więc, jeżeli wpośród narodów tych zakwitł dobrobyt, i że tam gromadziły się poważne środki materyalne i umysłowe, zapewniające im zarazem większe znaczenie polityczne.

Ilość złota zwiezionego do Europy z Kalifornii i Australii w ciągu lat 9, pomiędzy r. 1848 a 1856, dochodziła do 5 miliardów franków i stanowiła przeto 13% całkowitej wartości wszystkiego złota i srebra, jakiem rozporządzano wtedy tak w Europie jak w Ameryce. Ten napływ złota rozdzielił się po rozmaitych krajach, stosunkowo do zdolności, jaką posiadał każdy z nich w wymierzaniu w zamian swoich wytworów. Oczywiście, najmniejszy w tej zdobyczy udział należny kapitałom i pracy, przypadł dla Rossyi, której przemysł starczył zaledwie na potrzeby samegoż kraju.

Owocześni statysci rossyjscy, wierni swemu programatowi odzielenia narodu od życia politycznego, okalając go pewnym rodzajem chińskiego muru, bardzo niewiele zastanawiali się nad postępami gospodarczemi, dokonywanemi w reszcie Europy, i nie przewidywali tego nieuniknionego wyniku, że inne mocarstwa o tyle będą silniejszymi, o ile bogatszymi się staną. Siła państw mierzyła się wówczas tylko liczbą wojska. Później dopiero, i to kosztem bolesnego doświadczenia, trzeba było przyznać, że od czasu udoskonalenia środków komunikacyjnych i technicznego materyału wojennego, już nie ilość tylko ludzi rozporządzalnych do walki, ale nadto stan zasobów materyalnych i umysłowych, nagromadzonych przez państwo, stanowią o losie zastępów wojennych.

II.

Rossya tedy pozostała w stagnacyi i nie przyjęła udziału w wielkim ruchu ekonomicznym z pierwszej połowy tego wieku w Europie. Została poza obrębem tych postępów, i nie otrzymała działu z ich ko-

rzyści. Już zacofana dawniej, dała się ubiedz innym krajom w tém wszystkiém, co te pozyskały w potęgde i dobrobycie przy wielkim przewrocie ekonomicznym, który się dokonał. Ale czy przynajmniej we wnętrzu swém, niejako obmurowaném, cieszyła się ona położeniem finansowém zadawalniającém? czy jój dochody wyrównywały wydatkom? czy mogła starczyć samėj sobie, nieświadoma reszty świata, jak niegdyś Paragwaj za dyktatury dr. Francyi? Nieszczęściem, nie; a jeżeli pozory były świetne, rzeczywistość wiele pozostawiała do życzenia.

Pozory mogły istotnie złudzić postrzegaczy współczesnych, i za dni naszych zdarza się nawet, że niektórzy pisarze wyobrażają sobie iż Rossya owoczesna posiadała kwitnące finanse. Fundusz 149 milionów rubli metalicznych, przeznaczony na zapewnienie wymiany biletów kredytowych, których emisya nie przechodziła sumy 348 mil. rubli; nadto 6½ mil. rubli, znajdujących się w rękach bankierów zagranicznych: w ogóle więc 155½ mil. metalicznych dla podtrzymania stanu biernego, wynoszącego 348 mil. w monecie papierowej, z której zresztą tylko 311 mil. znajdowało się w obiegu; bilety kredytowe obiegające przeto na równi z metalem; przeciętny dowóz w latach 1850—1853, wyrównywający przeciętnemu wywozowi w tym samym czasie, czyli 88 mil. rubli; obligacye pożyczki państwowej 6% notowane w r. 1852 po 131%, — wszystko to stanowiło całość, która wydawała się niewzruszoną, a złudzenie trwa po części aż do dziśdnia.

Ale tęgość ta była tylko pozorną, podobną do tych grubych baszt, jakie zarysowują się w zjawiskach powietrznych. Zarząd interesów, choćby najdokładniej uiszczał wypłaty, nie będzie zadawalniającym, jeżeli czerpie z przyszłości, nie przyspasabiając środków równoważących nakładane jój ciężary. A tak właśnie postępował ówczesny rząd rossyjski. Nigdy on nie mógł związać końca z końcem potrzeb państwowych, a przy upływie roku musiał zawsze uciekać się do pożyczki, i to tylko dla uiszczenia rachunków. Deficyty roczne od roku 1832—1852 wzrosły ogółem do 570 mil. rubli, nie licząc wykreślenia z rachunków cyfry 427 mil. rubli, skutkiem wykupu dawnych asygnat po kursie 1 za 3½ niżej wartości ich nominalnej. Ta ustawiczność deficytów nie była wynikiłością ani wojen (gdyż od r. 1835 aż do 1853, prócz krótkiej wyprawy do Węgier, utarczek partyzanckich na Kaukazie, Rossya wojen nie prowadziła)—ani też jakichbądź zaliczeń na przyszłość. Jakoż, ponieważ ideałem rządu była nieruchomość, nie przedsiębrano więc wydatków płodnych czy to na prace publiczne, czy na rozpowszechnienie oświaty, czy na zreorganizowanie administracyi i wymiar sprawiedliwości. Nie: miano na względzie to tylko, co nazywano nieodzowną koniecznością, a z budżetu wynoszącego (w r. 1850) 266 mil. rubli, armia pochłonęła 38,73%, marynarka 6,73%, a umorzenie długu 16,04%; pozostawało więc 38,50% na wszystkie inne razem wzięte potrzeby. Środki regularne, których całość prawie użytą była niepłodnie, nie starczyły na tę nieodzowną potrzebę. Jednocześnie kraj obarczony był podatkami, które musiały być nadmierne, skoro

pobór wpływów corocznie przedstawiał znaczne zboczenie od rubryki do pobrania zatwierdzonej. To zboczenie czyli zaległość roczna w podatkach nigdy nie była mniejszą od 28% całości wpływów zwyczajnych (rok 1833), a nawet w r. 1853 podniosła się do 59 $\frac{1}{2}$ % tejże całości.

W gruncie, takim było położenie. Opodatkowany ponosił ciężary nad siły, a skarb nie korzystał nic. Sprawa szła coraz gorzej, i dzisiaj zbyt jest oczywistém, że taki stan rzeczy doprowadzić musiał do katastrofy, przy pierwszym wstrząśnieniu, jakie przerwie tę naiwną egzystencją z dnia na dzień.

Wstrząśnienie to w finansach rosyjskich sprawiła wojna krymska. Jest faktem obecnie stwierdzonym, że Rosya nie była do tej wojny przygotowaną, nawet pod względem wojskowym. Brakowało jej prochu i materiałów do jego wyrobu; nie miała broni palnej udoskonalonej; nie miała biegłych dowódców. Wszystko poświęcono gwoli armii, a armia nie była zdolną walczyć z wojskiem narodów, mających za sobą zamobność, wyższość umysłową, swobodę. Owóż, jeżeli siła zbrojna, jedyny przedmiot zajęcia rządu rosyjskiego w ciągu lat 28, szwankowała, toż tém bardziej finanse nie były zdolne wytrzymać walki.

Nowe deficyty, powodowane wojną krymską, w ciągu lat od roku 1853—1856 wzrosły do 701 mil. rubli, a dla ich pokrycia, rząd uciec się musiał do pożyczek zagranicznych na sumę 83 $\frac{3}{4}$ mil. rubli, do pożyczek zaciąganych w instytucjach kredytowych państwa na 188 $\frac{1}{2}$ mil., i do nowych emisji monety papierowej aż do konkurencji 390 $\frac{1}{4}$ mil. rubli. Trzeba było wykreślić całą sumę zaległości podatkowych, oprócz cyfry odpowiadającej rokowi 1854: tymczasem w r. 1855 zaległości w podatkach osobistych jedynie, podniosły się do 10 $\frac{1}{2}$ mil. rubli, w porównaniu z rokiem poprzedzającym. A jednakże okazała się potrzeba nowych wydatków dla zreorganizowania armii nanowo i dla reformowania przyrzędu wojennego. Komisya nadzwyczajna, ustanowiona w r. 1857 dla obmyślenia nowych dróg i środków finansowych, doszła do tego wyniku, że podniesienie stopy ciężarów istniejących lub utworzenie ciężarów nowych, ze względu na opłakane położenie kraju, nie doprowadzi do żadnego rezultatu, i że jedynym środkiem mogącym zaradzić brakowi wpływów, jest odpowiednie ograniczenie wydatków. Ale ograniczenie to w słabym stosunku oddziało na wydatki wydziału wojny i marynarki, prawie całkowicie zastosowało się do budżetu innych wydziałów, którym przyznano na trzy lata uposażenie, ogółem nie mogące przenosić cyfry 65,828,000 rubli. Oszczędność więc zwróciła się na niekorzyść tych słabych środków, któremi rozrządzano dotąd na rzecz wydatków najwięcej płodnych: sądownictwa, oświaty, administracji cywilnej i t. p.

Nie zdobywszy się na środki nadzwyczajne, mające zastąpić brak wpływów i pokryć wydatki wojenne, rząd uciekł się nie tylko do pożyczek zagranicznych i do emisji biletów kredytowych, ale nadto do funduszków specjalnych rozmaitych zakładów kredytowych, zależ-

nych od państwa, jako to Bank Narodowy, Komisyja Umorzenia i kasy Depozytów, zostającj pod wyłącznym zarządem instytucyi dobroczynnych. Skarb rozpoczął czerpać z tych sum dobrze jeszcze przed wojną, a podczas wojny zwrócił się do tój formy pożyczki aż do konkurencyi więcej niż 188½ mil., jakieśmy to już zanotowali wyżj. Cały dług rządu względem instytucyi kredytu publicznego dochodził w r. 1857 do 553 mil., z których jedna część użytą została na wybudowanie dróg bitych, oraz na inne przedmioty publicznej użyteczności, ale których bezmała trzy czwarte części pochłonyły potrzeby bezpośrednie skarbu, tak że wydatki na procenta i umorzenie tój ostatniej sumy, dochodziły do 30½ mil. rubli rocznie.

Dla ulżenia temu ciężarowi, umyślono rozłożyć umorzenie na okres 56-letni, z ograniczeniem stopy umarzalności aż do ½% rocznie, a odsetków do 4% nasamprzód, potem do 3, a nareszcie do 2%. Bezpośrednią wynikłością tego środka było cofnięcie depozytów, powierzonych kasie przez osoby prywatne. Ażeby dać wyobrazenie o ogromnym popłochu, sprawionym przez poruszenie kapitałów w kraju, dość powiedzieć, że ogół kapitałów, dochodzący jeszcze 967 mil., kiedy stopa procentu uległa już dwom ograniczeniom (do 3%), obniżył się w ciągu półtora roku (1859 i sześć miesięcy 1860) do 338½ mil. rubli, kiedy skutkiem ograniczenia odsetki do 2%, zażądano wydania z kasy więcej niż 580 mil. rubli w przeciągu 18 miesięcy i kilku tygodni, ażeby je spożytkować gdzieindziej.

Oczywiście, ażeby starczyć temu ogromnemu upustowi i zabezpieczyć banki od grożącej niewypłacalności, należało zwrócić się do środków nadzwyczajnych. Głównemi z nich były: zaniechanie pożyczek hipotecznych, udzielanych dotąd przez kasę kredytu państwowego, oraz nowe zwiększenie monety papierowej. Nastąpiło zjawisko dziwne. Ponieważ kredyt gruntowy prywatny jeszcze nie istniał a państwo odmawiało pożyczek na nieruchomości, przeto właściciele pozostawali czas jakiś zgoła bez możności pozyskania kredytu, chyba wyszukując osobieście kapitalistów, którzyby zgodzili się wydobyć ich z kłopotu.

Rynek przepelniał się już monetą papierową, której ilość przechodziła potrzeby tranzakcyi, a przepelnienie to jeszcze się powiększyło skutkiem emisji nowych. Jednocześnie, gwałtowne wyrugowanie oszczędności prywatnych, powierzonych kasie depozytowej, i służących niejako za zbiornik ochronny przeciw nawałowi papieru będącego w obiegu, zły stan jeszcze powiększyło. Depozyta w biletach kredytowych, znowu puszczone w obieg już przewyższający potrzebę wymienności, spowodowały ogólne podrożenie wartości ruchomych i wywołały mnóstwo przedsiębiorstw niepewnych, spekulacyi ryzykownych i źle obliczonych, które tóż niebawem przywiodły do powszechnego rozstroju przedsiębiorstwa publiczne i zbudziły nieufność ogółu do spraw nawet pewniejszych i lepij kierowanych.

Podrożenie wartości ruchomych objawiło się w przesadzonej zwyżce funduszków publicznych, skutkiem czego niebawem okazał się

napływ do Rosyi tychże samych funduszków przysyłanych z zagranicy, a tego prostym wynikiem był przyspieszony wywóz złota. Już i wtedy dla utrzymania kursu wymiany rząd poświęcał od czasu do czasu sumy znaczne. Jakoż, w roku 1861 operacya ta kosztowała rząd więcej niż 20½ mil. rubli dobytých z funduszu metalicznego, nie licząc sumy przeszło 11 mil. w złocie sprzedanej prywatnym i rozdzielonej na różne gałęzie służby publicznej.

Rząd poszedł dalej. Probował przywrócić obieg kruszcu, rozpoczynając napowrót wymianę biletów kredytowych na złoto i srebro w biurach banku państwa. W tym celu zaciągnięto kilka pożyczek, a ich wartość służyła na podparcie funduszu kruszcowego. Wymiana zaczęła się dnia 1/13 maja 1862 r. i trwała do 1/13 listopada 1863 r., kiedy trzeba było ją znieść, widziano już bowiem wyczerpujący się fundusz kruszcowy. Ogół biletów kredytowych, przedstawionych bankowi i wymienionych na kruszec, doszedł do 72,615,427 rubli papierowych. Niemożność zrównoważenia budżetu powinna była przekonać, że publiczność nie uwierzy w długotrwałość wymiany, i że tém samém ogół nie omieszką z niej skorzystać, dla wydostania z banku tyle kruszcu, ile będzie mógł, tém bardziej iż cena kruszcu niechybnie się podniesie, skoro tylko wymiana z konieczności będzie musiała być przerwana. W każdym razie przyznać trzeba, że ta próba przywrócenia wymiany uprzedziła większe jeszcze obniżenie rubla papierowego. Obniżenie to było możliwem, bo w r. 1846 rubel papierowy wart był tylko 26% ceny nominalnej. Otóż w latach 1862 i 1863 rubel kredytowy szedłszy zrazu na 85,5%, podniósł się do 93, a nawet do 98,2%, opadłszy na 77% w październiku r. 1864 i wzmógłszy się do 80% w grudniu tegoż roku.

Usiłowania czynione dla sztucznego utrzymania kursu wymiany i przywrócenia stopy kruszcowej przy wymianach wewnętrznych, przedstawiają fakt ciekawy sam w sobie, i z tego też tytułu dotknęliśmy tego przedmiotu mimochodem. Cóżkolwiekbydz, jedna rzecz zdawała się oczywistą od pierwszych lat następujących po wojnie krymskiej: trzeba było za jakąbądź cenę wyjść z ciasnoty, w którą duch reakcyjny zaprowadził Państwo.

Nie może wchodzić w ramy niniejszego obraz ważnych reform dokonanych w Rosyi pod panowaniem obecném. Wyzwolenie włościan, reforma sądownictwa, ustanowienie zebrań doradczych miejscowych, wybierających zarząd prowincjonalny, obowiązany do rozkładu podatków miejscowych, do zakładania szkół początkowych, do wytykania dróg prowincjonalnych, do zaprowadzania służby lekarskiej; ogłaszanie budżetów i sprawozdań finansowych, ustanowienie kontroli państwa czyli izby obrachunkowej, działającej na nowych podstawach, reorganizacya armii, dozwole nie dyskutowania w prasie bieżących kwestyi prawodawczych i skarbowych, wybudowanie sieci dróg żelaznych około 20 tysięcy wiorst wynoszącej: wszystko to tworzy całość imponującą, jeżeli zwłaszcza pomyślimy, że wielkie te zmiany dokonywały się w cią-

gu najwyżej lat 20. Prawie niepotrzeba dodawać, że Rosyja taka jaką ją widzimy, daleką jest jeszcze od tego co się nazywa koroną budowy. Nie chodzi jeszcze o jej uwieńczenie, ale o utrwalenie podstaw i zlutowanie części, a by osiągnąć to, praca niemała.

Wszystko cokolwiek uczyniono, dalekiem jest od zupełności; a ograniczenia, namysły i wahania, które łatwo zaznaczyć w wielkiem dziele reformy dokonanej, sprawiają, że niektóre jej strony są źle utwierdzone, inne ułudne. Jakoż, dla zacytowania kilku przykładów, reforma nie dotknęła systemu podatkowego; zebrania wyborcze prowincjonalne, czyli ziemstwa, wyobrażające samorząd, wegetują w kółku atrybucyi tak ścięśnionem, że reprezentacya ta nie posiada żadnej siły żywotnej; nauka początkowa, pierwsza potrzeba kraju liczącego co najwięcej 5 milionów osób umiejących czytać na 80 mil. dusz, zaniedbaną została przez rząd na korzyść wymarzonego odrodzenia nauk klasycznych w szkołach średnich; prawo dyskusyi oddane jest samowoli systemu ostrzeżeń i poufnych przestróg; równowaga budżetu pozostaje na łasce układów pomiędzy zarządami specjalnemi i debatów toczących się po cichu w radzie państwa, złożonej z wysokich dygnitarzy, bez żadnego udziału ze strony kontrybuentów. Wszystko to składa zbiór sztuk źle spojonych i przedstawia lepiankę pojęć kłócących się z sobą, jako to, z jednej strony odwołanie się do zasady reprezentacyjnej, a z drugiej wszechwładztwo policyi państwowej.

Jednakże, pomimo widniejących luk dzieła reformistycznego, Rosyja dzisiejszych czasów nie jest już Rosyją przeszłości, której ogólnemi rysami nakreśliłszy fizyognomią ekonomiczną. Rosyja nie jest już wyosobnioną w Europie. Przegrody wzniesione w duchu wrogim postępowi, upadły. Jeżeli nie idzie ona krokiem dość stanowczym na drodze postępu, utworowanej przez Europę, nie marzy już przecie o pozostaniu na miejscu, pogrążona w kontemplacyi błogości kłamliwej, wyobrażającej ostatnią granicę tego, co społeczność ludzka osiągnąć jest zdolna.

III.

Widzieliśmy wyżej, że z początkiem wojny krymskiej, kwestya ekonomiczna w Rosyji obracała się w zakłętém kółku. Ponieważ skarb był wyczerpany, przeto trzeba było na kraj ciężary nowe; ponieważ produkcya była słabą, rynek zawałony monetą papierową, ujścia na zewnątrz zatamowane przez współzawodnictwo amerykańskie i australskie, wywóz utrudniony brakiem dróg:—przeto należało koniecznie wyjść z ciasnoty, w której kraj się zawikłał przez długi okres stagnacyi. Trzeba było ażeby komunikacye łatwe i liczne przyspieszyły puls ekonomiczny kraju, ażeby jego wytwory mogły świadczyć o sobie stając się dostępniejszemi dla zagranicy; zachodziła potrzeba gwałtowna, ażeby kapitały innych krajów znalazły w Rosyji pomieszczenie korzystne i przyszły w pomoc temu państwu ożywiając w niem pro-

dukcyą, zaś morzom świeżo wyzwolonym dostarczyły nowych płodów pracy i oszczędności: słowem, potrzeba było, aby powiększenie pracy i płacy mające wynikać z wielkich dzieł użyteczności publicznej, ułatwiły kontrybuentom zapłacenie podatków. Tym tylko sposobem pobór podatków mógł stać się skuteczniejszym, równowaga finansowa przestałaby wydawać się mrzonką, a kurs wymiany zdołałby może utrzymać się na stopie wystarczającej przynajmniej do uchylenia możliwej niewypłacalności państwa w zobowiązaniach poczynionych zagranicą.

Widzimy ztąd, jak ważną rolę w gospodarstwie wewnętrznym Rosyi odegrać miała budowa wielkiej sieci dróg żelaznych. I rzecz to bardzo naturalna. Para, która sprawiła istny przewrót w stosunkach innych krajów między sobą, zbyt długo lekceważoną była przez Rosyją. Trzebaż było przedewszystkiem odzyskać stracony czas i starać się skutecznie w lat 10 lub 15 to, czego nie zrobiono przez lat poprzednich 30.

Powiedzieliśmy wyżej, że pierwsza droga żelazna w Rosyi datuje od r. 1838: to linia z Petersburga do Pawłowska, mająca zaledwie około 25 wiorst długości. Gdy osobiste życzenie cesarza Mikołaja wzięło górę, nad trwożliwem zdaniem Jego ministrów, przystąpiono w r. 1843 do budowy pierwszej wielkiej linii, łączącej Moskwę z Petersburgiem: ruch na tej drodze otwartym został w roku 1851. Ta pierwsza droga znacząca (600 wiorst), kosztowała rząd sumy ogromne, których ogół, łącznie z wydatkami budowy i procentami po rok 1852, wzniosł się bez mała do 131½ milionów rubli, czyli do 217,583 rubli na wiorstę. Czysty dochód z wyzysku, po rok 1862, nie przechodził 2½ mil. rubli rocznie, gdy tymczasem procenta od pożyczek, zaciągniętych na budowę, wyczerpywały rocznie 6 do 7¼ miliona.

Wynik ten nie był wcale dla rządu zachęcającym, do przedsięwzięcia linii nowych, a dla nadania nowego popędu do budowy kolei w Rosyi, potrzeba było, żeby aż wojna Krymska okazała całą bezwładność, w jakiej znajdowało się Państwo, gdy chodziło o obronę granic, niezmiernymi oddzielonych przestrzeniami. Nie potrzebujemy zwracać się do skutków moralnych tej wojny, które otworzyły oczy rządu, na nieodzowną konieczność podniesienia sił wytwórczych i poważnych kraju, przez ułatwienie komunikacyi i poddanie pod obieg wymienny niedostępnych zasobów krajowych.

Kilka zaledwie miesięcy upłynęło, od podpisania traktatu paryskiego, kiedy rząd rossyjski, w r. 1857, udzielił sankcyą na założenie stowarzyszenia akcyjnego, pod nazwą: „Wielkie Towarzystwo dróg żelaznych rossyjskich,” grupie kapitalistów, mających na czele domy: Baring, Hope, Stieglitz, Pereira. Stowarzyszenie to, z kapitałem 250 mil. rubli, zobowiązało się wybudować sieć 4 tysięcy wiorst. Emisyje akcyi tego Towarzystwa w latach: 1857 i 1858, na sumę 110 mil. rubli, rozeszły się łatwo, dzięki obfitości monety papierowej i próżnowaniu kapitałów, wycofanych z kasy depozytów. Ale to przyjazne usposo-

bienie nie trwało długo, a gdy Towarzystwo nie zdołało umieścić w całości kapitału dodatkowego, ofiarowanego w obligacjach, rząd musiał mu przyjść w pomoc, przez udzielenie zapomogi 35 mil. rubli, oraz przez zwolnienie go z obowiązku wybudowania kilku linii, figurujących w jego umowie pierwotnej.

Drogi, zbudowane przez „Wielkie Towarzystwo,” ograniczyły się do linii: Petersburg - Warszawa i Moskwa - Niżnijnowgorod. Pierwsza kosztowała: 125,1 mil., czyli 104 tysiące rubli za wiorstę; druga: 36,1 mil., czyli 88 tysięcy rubli za wiorstę.

Wielkie Towarzystwo dróg żelaznych rosyjskich działalność swą zawdzięcza zostającemu wówczas przeważnie pod wpływem p. Pereiry, *Kredytowi ruchomemu*, który, pomiędzy tylu innymi przedsiębiorstwami, uskutecznił i to. Inni współuczestnicy założycielstwa, byli tylko członkami syndykatu finansowego; kredyt ruchomy był istotnym promotorem Towarzystwa i prac przez nie dokonanych, pod kierunkiem inżynierów francuzkich z wydziału dróg i mostów. Rywalizacya między tymi inżynierami francuzkimi a rosyjskimi z korpusu komunikacyi, wzniesiła wielkie trudności w postępie robót i jak to zwyczajnie zdarza się w podobnych wypadkach, naraziła w końcu skarbnika na znaczne zwiększenie ofiar. Lubo zarzucano inżynierom francuzkim, że często spuszczały z uwagi warunki klimatyczne, które wypadało uwzględniać w projektach budowy i rozkładzie robót, słuszność także przyznać z jednej strony, że można im było oszczędzić niepotrzebnych trudności; z drugiej, że inżynierowie francuzcy złożyli znakomite przysługi w budownictwie dróg żelaznych w Rosyi, zaprowadzając w niem więcej systematyczności, oraz sposoby wydoskonalone.

Przychylnie przyjęcie, jakiego działalność „Wielkiego Towarzystwa” doznała od ogółu, wywołało w r. 1858 przedsięwzięcie budowy dwu innych linii, a mianowicie: z Rygi do Dynaburga i z Dynaburga do Witebska, podjęte przez inżynierów angielskich. Rząd zabezpieczył dwum tym liniom *minimum* dochodu czystego, zarówno jak zbudowanym przez Wielkie Towarzystwo, z tą różnicą, że kiedy *minimum* tym ostatnim, jakoteż linii Dynaburg-Witebsk zapewnionem było w stosunku 5%, linia od Rygi do Dynaburga otrzymała tylko 4½.

Po tej, nastąpiły koncesye inne, lecz zrealizowanie ich kapitałów napotkało pewne trudności. Już w r. 1857, koncesya udzielona domowi: Thompson, Bonar i komp., we wspólnie z hrabiami: Rzewuskim, Adlerbergiem II, Goleniszczewem Kutuzowem i Łubieńskim, z książętami: S. Dołgorukim i L. Koczubejem, z pp.: Benkendorfem i Sofronowem, na budowę drogi z Odessy do Kijowa, z przedłużeniem aż do zetknięcia się z jedną z dróg zamierzonych, czyto z Teodozyjską, czy z Libawską, nie mogła przyjść do skutku, dla niemożności zrealizowania potrzebnych kapitałów, pomimo korzystnych warunków, podanych przez rząd, t. j. pomimo zabezpieczenia 5%, w stosunku kapitału 53,000 rubli na wiorstę, przez lat 60. Koncesya ta cofniętą została, kiedy termin wykonania minął bez skutku.

Podobny los spotkał kilka jeszcze koncesyi, udzielonych w latach: 1858, 1861 i 1863, na budowę różnych linii, przeznaczonych na połączenie Moskwy z morzem Czarném, a Odessy z Kijowem i Kurskiem, pomimo zabezpieczenia przez rząd *minimum* dochodu, oraz warunków widocznie korzystnych, zdających się wynikać z samego kierunku tych linii. Niemożność znalezienia kapitałów, w jakiej znaleźli się koncesyonaryusze, zmusiła rząd do przedsięwzięcia na własną rękę budowy rozmaitych tych linii, mianowicie: między Odessą i Bałtą, między Moskwą i Orłem, między Orłem i Kurskiem.

Podobnież niepowodzenie spotkać miało przedsięwzięcie linii Orel-Witebsk, oddane Towarzystwu, które utworzonem być miało przez sir Mortona Pitto w r. 1865, z warunkiem zabezpieczenia rządowego $5\frac{1}{12}\%$, od kapitału 83,449 rubli na wiorstę. Termin, dobiegający bez skutku, przedłużonym został na rzecz brukselskiego domu Bischofstein i spółki, który zastąpił sir M. Pitto, ale i ta nowa kombinacya spełzła na niczem jak pierwsza.

Gdy to daremne poszukiwanie kapitałów przez koncesyonaryuszy, uznanych przez rząd, złe wrażenie sprawiało na kredycie rossyjskim, rząd zamierzył zastąpić koncesye stanowcze, aż do zebrania odpowiednich funduszów, przez świadectwa tymczasowe. Pierwsze podobne świadectwo wydane zostało hrabiemu E. Baranowowi i jego współnikom, na budowę linii z Kurska do morza Azowskiego, z kapitałem rs. 84,037 na wiorstę. Ale i to świadectwo także spełzło bez skutku.

Nowy zwrot w budowie kolei żelaznych w Rosyji, poczyna się od uskutecznienia linii z Ryazania do Kozłowa, oddanej w r. 1865 panu Dervis, z kapitałem 75,965 rubli wartości metalicznej za wiorstę, który utworzyć się miał przez emisją akcyi w wysokości 66% cyfry całkowitej, oraz obligacyi dodatkowych na 33%, z zabezpieczeniem 5%. Kombinacya ta zawierała żywioły nowe, które wpłynąć miały znacznie na uskutecznienie sieci żelaznej w Rosyji. Jakoż, aż dotąd do emisyi akcyi uciekano się najradziej dla zgromadzenia kapitałów. A ponieważ zabezpieczenie dochodu urzeczywistniało się dopiero z chwilą rozpoczęcia wyzysku, przeto budowa linii przedstawiała pewne ryzyko, odstręczające kapitalistów zbyt ostrożnych. I oto powód, dla którego począwszy od epoki, o której mówimy, by zbierać fundusze ucieczono się do innego sposobu to jest, zwrócono się do obligacyi, od których odsetki liczyły się z chwilą emisyi takowych. Stosunek obligacyi do akcyi w gromadzeniu kapitału jeszcze silniej zmienił się potem, w tém znaczeniu, że akcyje stanęły zupełnie na drugim planie i trzy czwarte kapitału pokrywały się obligacyami, a tylko jedna czwarta akcyami.

Innym rysem charakterystycznym nowych koncesyi jest to, że obligacye obliczone zostały na talary pruskie, a to dla ułatwienia obiegu ich na targach niemieckich. Zauważyć nakoniec tę jeszcze wypadła okoliczność, że droga Ryazańsko-Kozłowska zbudowaną była i otwartą w czasie bardzo krótkim, dotąd bez przykładu w budownictwie kolei żelaznych rossyjskich będącym.

Ażeby dobrze zrozumieć doniosłość reformy, polegającej na oznaczeniu ceny normalnej obligacji w talarach pruskich, trzeba wyzrec słowa kilka o widokach finansowych, przedstawiających się onego czasu w budownictwie sieci rosyjskiej.

Fakta, przytaczane wyżej wykazały, jako targ angielski niedostępnym był lokacyi wartości, wypuszczanych przez Towarzystwa dróg żelaznych rosyjskich. Targ francuzki pochłonięty był przez częste emisye, stosujące się do niezmiernych prac budowlanych, przedsiębranych przez rząd drugiego Cesarstwa. Targ holenderski proteguje głównie fundusze publiczne i wogóle nie jest dobrze usposobionym dla wartości tak zwanych spekulacyjnych, w liczbie których onego czasu mieściły się akcyje i obligacye kolei rosyjskich.

Z wielkich targów europejskich pozostawały więc tylko niemieckie, jako dostępne dla lokacyi tych papierów. Owóż, wielcy kapitaliści tego kraju, w czasie, o którym mówimy, głównie zwracali uwagę na fundusze amerykańskie, przynoszące bardzo wysokie odsetki. Tymczasem kapitaliści drugorzędni niemieccy, a zwłaszcza prowincjonalni, poszukiwali przedewszystkiem lokacyi pewnych, dla swych miernych oszczędności i ubiegali się o papiery państw niemieckich, i obligacye dróg żelaznych, mających bezwarunkowe zabezpieczenie rządowe.

Dla otworzenia więc sobie targów niemieckich, koncesyonaryusze dróg żelaznych rosyjskich musieli zwrócić się właśnie do tych małych kapitalistów, przez pośrednictwo tych kantorów bankierskich z Berlina i Frankfurtu n. M., które przez związek swój z drobnymi bankierami i wekslarzami z prowincyi, stają się zwyczajnymi doradcami małych kapitalistów krajowych w umieszczeniu ich funduszków. Dzięki więc wdaniu się pośredników tej kategorii, koncesyonaryusze rosyjscy zdołali wytworzyć sobie całkiem nowe źródło potrzebnych funduszków. Łatwo zrozumieć, że przysługi te opłacić się musiały bardzo wysokimi cenami komisowego, albo też udziałami, przyznanymi pośrednikom w korzyściach spodziewanych z budowy. Wielka liczba znacznych fortun, posiadanych przez domy dziś pierwszorzędne we Frankfurcie, a zwłaszcza w Berlinie, temu właśnie źródłu zawdzięcza swój początek.

Kiedy eksploatacyja drogi Ryzańsko-Kozłowskięj przyniosła nader wielkie zyski, a przykład ten nadał nowy popęd budownictwu sieci rosyjskiej, rząd zarzucony został żądaniem o koncesye, a w liczbie współubiegających się stanął żywioł nowy: ziemstwo; lubo po największej części, ilekroć ziemstwo jakiej prowincyi otrzymało koncesyę, odstępować ją niebawem przedsiębiorcy prywatnemu.

Nie pisząc tu zgola dziejów budownictwa kolejowego w Rosyi, chcieliśmy pokrótce wskazać główne trudności, z jakimi one walczyły w swych początkach. Dla uzupełnienia jednak tego szkicu, dodamy kilka słów o modyfikacyach, przez jakie budownictwo to przeszło następnie.

Pierwszą było wezwanie do współzawodnictwa. Rząd mając za sobą kilka żądań dotyczących koncesyi na pewną linię, układał

licytacją *in minus*, która odbywała się przez podanie cen budowy na całość, w wiorstach, po ujawnieniu z góry przez rząd warunków obowiązujących dla wszystkich konkurentów. Koncesya przyznawana była temu, kto z pomiędzy nich podał cenę najniższą, jeżeli zkadinał współubiegający się ten przedstawił dostateczną rękojmię pewności. Inną inowacją było bezpośrednie wdanie się rządu w utworzenie większej części kapitału. Gromadziło się go około trzech czwartych części przez wypuszczenie obligacyi państwowych na rachunek Towarzystwa, które zobowiązywało się następnie powrócić skarbowi z wyzysku pobudowanej drogi kapitał i procenta tych obligacyi. Reszta kapitału tworzyła się z akcyi Towarzystwa, które po większej części pozostawały w posiadaniu głównego koncesyonaryusza. Nareszcie, rząd rozmaicie próbował oddzielić obie te operacye od budowy i wyzysku kolei żelaznych, usiłując odsunąć koncesyonaryusza zwykle jednocześnie będącego przedsiębiorcą głównym budowy, od przewagi w Towarzystwie akcyjnym. Usiłowania te jednakże nie doprowadziły do pomyślnego skutku. Wspomnieć trzeba nadto i ten fakt, że ponieważ obligacye kolei żelaznych były papierem wypuszczonym przez Państwo, o procencie zabezpieczonym bezwarunkowo; przeto pożyczki przeznaczone na budowę sieci, poczęły być negocjowanemi nietylko w Niemczech. Targ angielski otworzył się z wolna dla nich. Towarzystwo linii Orel-Witebsk było pierwszym, które zdołało zbywać swe obligacye w Anglii.

Coraz liczniejsze współubieganie się sprawiło to, że koszta budowy zniżyły się w stosunku nadzwyczajnym. Jakoż, w roku 1869, kiedy rząd wezwał 12 grup konkurentów do starania się o koncesyę na drogę Libawską, jeden syndykat na odbytej licytacji podał cenę 43½ tysięcy rubli metalicznych za wiorstę, i temu też przyśadzono budowę linii. Owóż, cena ta była o połowę niższą od tych za jakie budowało linią Wielkie Towarzystwo, i stanowiła tylko ⅓ kosztu wiorsty, jaki poniósł rząd na budowę kolei z Petersburga do Moskwy. Budowa drogi Libawskiej miała stanowić uzupełnienie poprawy portu Libawskiego, którego roboty kosztowały już rząd przeszło 1½ mil. rubli. Droga, pomimo niskiej ceny, doprowadzona została pomyślnie do końca, ale roboty dokonane dla pogłębienia portu okazały się niedostatecznymi, a nawet anszlagi obliczyły sumę potrzebną dla osiągnięcia celu zamierzonego na 5 mil. rubli zamiast na 1½. Ponieważ roboty te odłożono, przeto port pozostaje aż dotąd takim jakim był, a droga Libawska, mająca służyć do zasilenia w nim ruchu zbożem pochodzącym z wewnątrz kraju, zaledwie pokrywać może koszta wyzysku. Połączoną ona została z linią Landwerowo-Romny, a nowe roboty około urządzenia portu Libawskiego uznane są za nieodzowne. Lecz taki los spotkał nie tylko jedną Libawską. Jednocześnie z drogami wielkiej doniosłości dla handlu i przemysłu, powstawały drogi nie mające żadnej racyi bytu.

IV.

Rossya w dniu 1 stycznia 1857 r. posiadała tylko 979 wiorst dróg żelaznych; w dniu 1 stycznia 1865 miała ich 3566 wiorst; narazie w ostatnim okresie 1866—1875 r. sieć przybrała rozwój tak nagły, że przestrzeń zajęta drogami żelaznymi doszła do 17,658 wiorst. W dziesięć lat przeto wybudowano przeszło 14 tysięcy wiorst kolei żelaznej. Łatwo pojąć, że zjawisko to nie mogło pozostać bez wpływu na ekonomiczne położenie kraju. Wpływ ten rozważany być może pod dwoma względami, to jest, jako wpływ budowy dróg żelaznych na położenie finansowe Państwa, i jako wpływ ogólniejszy dróg żelaznych, w charakterze czynników ekonomicznych.

Ale nim przystąpimy do tego studyum, winniśmy podać rysy cechujące drogi żelazne w Rossyi, tak iżby czytelnik mógł sobie zdać sprawę z różnic jakie przedstawia charakter budowy i wyzysku dróg żelaznych rossyjskich w stosunku do takichże warunków sieci innych krajów.

Porównywając sieć rossyjską z sieciami znaczniejszych krajów zachodnich za rok 1874, przychodzimy do tego wniosku, że powierzchnia sieci rossyjskiej mniejszą jest od powierzchni okrytej sieciami wszystkich wielkich krajów Europy, wyjąwszy Austro-Węgry i wydaje się mało znaczącą w porównaniu z siecią Stanów Zjednoczonych. Ogół wiorst sieci rossyjskich wynosi zaledwie 14½ procentu sieci dróg żelaznych Stanów-Zjednoczonych, i stanowi nie więcej niż 63% w porównaniu z siecią Wielkiej-Brytanii. Owóż, Rossya posiada powierzchnią daleko większą niż każde z wielkich Państw europejskich. Co zaś do kapitału użytego na koszt budowy, był on także mniejszym w Rossyi niż w jakimkolwiek innym kraju, i stanowi tylko 78% kapitału użytego na ten cel w Austro-Węgrzech, 29% użytego w Wielkiej Brytanii, a tylko 22% kapitału użytego w Stanach-Zjednoczonych. Ażeby nie nużyć czytelnika nadmiernem przytaczaniem cyfr, uzupełnimy to porównanie zwracając uwagę, że chcąc, aby sieć rossyjska rozciągała się w takiej proporcji do rozległości kraju jak sieć belgijska, pierwsza powinna by zająć powierzchnią 32 razy większą niż pokryta w 1872 roku, po który posiadamy dokładne cyfry porównawcze między obu krajami.

Te cyfry porównawcze służą do poświadczenia, że wielki ruch jaki objawił się w Rossyi w ostatnich latach dziesięciu co do rozprzestrzenienia sieci, nie miał nic przesadzonego, i że przeciwnie, mógł być odpowiadać należycie rzeczywistym potrzebom kraju.

Koszt budowy w Rossyi były mniejsze niż we wszystkich znaczniejszych krajach europejskich, nie wyłączając i Stanów-Zjednoczonych Ameryki, a czynność sieci rossyjskiej, to jest wyzysk obrachowany na liczbę podróży i ilość ciężaru przewożonego na wiorstę, niewiele ustępowała czynności dróg belgijskich, przewyższała czynność dróg austriacko-węgierskich, a nawet w porównaniu z sumami przed-

stawiającemi całość czynności sieci wielkobrytańskich, dochodziła do 71%.

Powierzchnia Państwa rosyjskiego jest tak wielką, że wszystkie porównania oparte na stosunku liczby podróźnych, lub ilości ciężaru przewiezionego po drogach żelaznych, czyto do liczby mieszkańców, czy do rozległości kraju, przedstawiają wyniki niekorzystne dla Rossyi; czyli, że w cyfrach otrzymanych przez tego rodzaju porównania, Rosya zajmuje zawsze ostatnie miejsce. Z innój strony, jest rzeczą naturalną, iż odległości przeciętne przebieżone przez podróźnego lub przez ciężar, muszą być wyższe w sieciach rosyjskich niż innych. I tak, średnia odległość przebiegu przypadająca na jednego podróźnego w Rossyi, jest wiorst 114; kiedy w Austrii wynosi ona wiorst 44, we Francyi 35, w Niemczech 28, w Belgii 19 a w Anglii tylko 15. Średnia odległość przebiegu w Rossyi odbywanego przez pud towaru wynosi wiorst 209, we Francyi 142, w Austrii 97, w Niemczech 82, w Anglii 55 a w Belgii 44. Tym sposobem średnia odległość przebiegu podróźnego w Rossyi, jest $7\frac{1}{2}$ razy większą niż w Anglii, gdzie większość podróźnych przebywa zaledwie dwie stacye. Średnia przypadająca na ruch pudu towaru w Rossyi jest prawie 4 razy większa niż w Anglii, $2\frac{1}{2}$ razy większa niż we Francyi. Zauważyć trzeba wreszcie, że długość linii wpływa na te dane. I tak: we Francyi, gdzie większa część sieci dzieli się pomiędzy sześć wielkich towarzystw, średnia odległość, odnośnie do towarów, najbardziej się zbliża do tej, jaką otrzymujemy w Rossyi.

Dochód obrachowany na tysiąc pudów przebywających wiorstę, w proporcji do odnośnych taryf, niższym jest w Rossyi niż gdziekolwiekbądź indziej i czyni tylko 80% od odpowiedniego dochodu według taryfy angielskiej. Co do wydatku za przewiezienie tysiąca pudów przez wiorstę, to niższym on jest w Rossyi, od takichże danych w innych krajach, wyjąwszy Francyi.

Z danych liczebnych, jakie tu przytaczamy, wynika, że w stosunku do dróg żelaznych innych krajów, rosyjskie wyróżniają się: 1) niską ceną budowy; 2) taryfami względnie niskimi; 3) taniością wyzysku w porównaniu do ruchu i 4) długością i ruchem mało rozwiniętym w porównaniu przestrzeni i cyfry zaludnienia. Ostatnia ta okoliczność, oraz nizkość taryfy, powodowana naturą głównych przedmiotów przewozu (materye surowe), jakoteż względną słabością ruchu podróźnych; sprawiają to, że pomimo nizkiego kosztu budowy i taniości wyzysku, dochód czysty sieci rosyjskiej wogóle, nie może pokryć opłaty $5\frac{1}{10}$ procentu od kapitału zakładowego. Ale toż samo porównanie dostarcza dowodu, że przyszłość kolei rosyjskich przedstawia się w warunkach nie więcej niekorzystnych, niż w krajach gdzie poczęto eksploatować gałąź przemysłową dróg żelaznych i że wydatki na ich budowę, ogółem wzięte, były tak przynajmniej użyte produkcyjnie, jak w reszcie Europy.

V.

Teraz, naszkicowawszy rysy charakterystyczne budowy sieci rosyjskiej i jęj względnego znaczenia, musimy powrócić do położenia finansowego i ekonomicznego kraju. Budowa kolei żelaznych, których Rossya, aż po panowanie obecne, była prawie zupełnie pozbawioną, przedstawiała się jako potrzeba pierwszego rzędu, ażeby podnieść siły żywotne kraju, popchnąć go na drogę powszechnego postępu przez wyruszenie go ze stagnacji, a ożywiając w nim produkcją i konsumcją, wzmódz zasoby państwa bez obarczenia ludności ciężarami zbytecznymi i nieprodukcyjnymi.

Niebyłoby zapewne sprawiedliwém, całe ulepszenie jakie można zauważyć w położeniu ogólném, przypisywać jedynie budownictwu kolei żelaznych: inny czynnik potężny stanął w pierwszej linii działania na rzecz dokonanych postępów. Mówimy tu o reformach zaprowadzonych w administracji, procedurze sądowej, finansach, a nadewszystko o wielkim środku usamowolnienia poddanych, który położył kamień węgielny nowego życia dla masy ludowej, modyfikując warunki jęj pracy. Ale wpływ ekonomiczny wywierany przez reformy, nie da się ocenić za pomocą cyfr dokładnych. Bardzo jest trudno, jeśli nie niepodobna, oznaczyć liczebnie udział, jaki na nie przypada w ulepszeniu stanu ogólnego finansów, produkcji i konsumcji. Powrócimy do tęg kwestyi w artykule, w którym zamierzamy mówić specyalniej o zmianach zaszłych w wyzysku, przywozie i użytkowaniu w Rossyi. Dosyć nam nateraz, po wskazaniu innych przyczyn współdziałających, uwydatnić wyniki budowy sieci dróg żelaznych, oraz przeciwstawić je zmianom w położeniu finansowém.

Jakkolwiek wielkim był udział reform w polepszeniu ogólném, niepodobna zaprzeczyć, żeby udział budowy sieci wynoszącej około 20,000 wiorst, w przeciągu lat 20 i w kraju, który dotąd miał pod kolejami żelaznymi zaledwie dwudziestą część powierzchni obecnej, nie był znacznym. Pozostawiając chwilowo na stronie wpływ, jaki drogi żelazne powinny wyrzucić na siły produkcyjne kraju, zauważymy, że sieć rosyjska wyobraża kapitał zakładowy równający się 1544 milionom rubli. Ponieważ z cyfry tęg 441 mil. pochłoneły procenta i kosztta zgromadzenia kapitału, a 337,2 mil. wydano na materyały i różne obsługi zagranicą, przeto 765,8 mil. rubli wydatkowano w samym kraju. Wydatki na skład osobisty, techniczny i administracyjny, korzyści przedsiębiorców wyniosły 217 mil., a rozchód na samą roboczną 405 mil. rubli.

Nie koniec na tém. Kosztta wyzysku przez lat dziesięć, 1866—1875, czynią ogółem 535,7 mil., a rachując od pierwszych lat budowania dróg żelaznych w Rossyi, dochodzą do 674,3 mil. rubli w ogólności. Ograniczając się na pierwszej z tych cyfr, i rozdzielając ją na części składowe, dowiadujemy się że 154,8 milionów przypada na obsługę

wyższą i korzyści przedsiębiorców, 64,3 mil. na materiały zagraniczne, 161,8 mil. na materiały krajowe, a 154,8 na robociznę.

Nie można wątpić, że puszczenie w obieg tak wielkich kapitałów w kraju względnie ubogim, stworzenie nowych źródeł pracy za opłatą znaczną w kraju o przemyśle tak mało rozwiniętym, nareszcie napływ kapitałów obcych na rynek dotąd dotknięty stagnacją: wszystko to musiało spowodować wielkie zmiany w położeniu finansowem i ekonomicznem.

Polepszenie dało się uczuć już w lokowaniu łatwiejszém i w wyższych cenach wartości dróg żelaznych rossyjskich na giełdach europejskich. Jeszcze niedaléj jak w r. 1868, obligacye pięcio-procentowe wypuszczone przez Towarzystwo rossyjskie, nie stały wyżej nad 74 za sto na giełdzie berlińskiej. W r. 1872 podniosły się do 95, w r. 1873 do 96, a w r. 1874 do 99. Obligacye konsolidowane (wypuszczane przez rząd na rachunek Towarzystw), dochodziły w Londynie r. 1870 zaledwie do 83½ względnie do wartości nominalnej, ale skutkiem nieustającego wzrostu, w ostatnich czasach poprzedzających obecne przesilenie, doszły do 105.

To podnoszenie regularne i stałe było wskazówką zaufania jakim drogi rossyjskie, z pomocą kredytu państwowego, potrafiły natchnąć rynki zagraniczne. Zaufanie to wreszcie usprawiedliwiało się w zupełności temi dwoma wymownemi faktami, że rząd nie uciekał się już do pożyczek zagranicznych dla spłacenia deficytów budżetowych, oraz że fundusze zapożyczone u kapitalistów zagranicznych na budowę dróg żelaznych, używane były roztropniej i oszczędniej niż przedtém. Rzeczywiście, te 14,092 wiorst przestrzemi ogólnéj, wybudowane, počąwszy od roku 1865, kosztowały około 38%o taniéj, niż drogi budowane poprzednio.

Równolegle z tym faktem, dotyczącym bezpośrednio dróg żelaznych samych, widzimy występujące inne fakta finansowe znaczenia ogólniejszego i przyczyniające się do wykazania stanowczego polepszenia stanu. I tak: rezerwa kruszcowa wynosząca 85,7 mil. w r. 1866, w r. 1875 wzmagą się do 231,2 mil. Pomimo nowych emisji biletów kredytowych, których suma dochodzi 634,1 mil. rubli w roku 1866, a do 797,3 mil. w r. 1875; kurs wymiany, ten nieomylny barometr położenia finansowego i stanu handlowego w kraju, polepszał się wciąż, aż po rok 1874, a średnia wartość rubla papierowego względnie do kursu, wzniosła się r. 1867 do 0,846, a w r. 1874 do 0,861.

Fundusze publiczne, czyli obligacye pożyczek rządowych rossyjskich, doznawały przez ten czas podwyżki bezprzykładnej, od czasu przymusowego wyparcia kapitałów prywatnych z kasy depozytów. Renta sześcioprocentowa, notowana w r. 1867 po 92%o, a nawet po 82%o; w marcu roku 1876 doszła do 122½%o. Obligacye pięcioprocentowe Banku państwa w r. 1867 podnoszą się do 77½%o, a w pierwszej połowie r. 1876 do 100%o.

Badania ekonomiczne przedstawiają tę niedogodność, że lubo nie można dosadniej przemawiać niż językiem cyfr, boć cyfry są samemiż

faktami przedstawionemi przed oczy czytelników, łatwo jednak chybić celu, odstręczając tych których chciałoby się przekonać przez mnogość takowych. Ograniczymy się przeto na zaznaczeniu kilku cyfr niecodzownych, wykazujących zgodnie polepszenie stanu finansowego Rossyi, od chwili gdy drogi żelazne poczęły kraj ten wyprowadzać z martwoty w jakiej był pogrążony.

Faktem nader ważnym a może najistotniejszym tego polepszenia ogólnego jest znaczny wzrost produkcji i konsumcyi, dowiedziony cyframi porównawczemi przywozu i wywozu. Niema pół wieku, kiedy wywóz roczny w Rossyi nie przechodził wartości 62,8 mil. rubli, a przywóz summy 44,3 mil. Uplłynęło lat 30, a w okresie od 1860 do 1863 wywóz roczny nie przechodził jeszcze 161 mil. rubli, a przywóz 134 mil. Ale przez 15 lat następnych, które były okresem szybkiego rozprzestrzenienia się sieci, cyfry te wzrastają nareszcie tak w r. 1875, że na przywóz wypada do 411 mil., a na wywóz do 498 mil. rubli. Zbytecznym byłoby szukać dobitniejszego dowodu wpływu jaki wywiera na finanse budowanie kolei żelaznych. Stwarzając krajowi nowy system komunikacyi, budowa sieci przyspieszyła obieg ekonomiczny do tego stopnia, że bez mała w 15 lat kraj osiągnął takie rezultaty, do jakich otrzymania trzeba było drugie tyle czasu bez tój potężnej pomocy. I trudno nawet przypuścić, ażeby rozwój handlu osiągnął cyfry z roku 1875, nawet w okresie dłuższym nierównie, gdyby mu zbrakło tego bodźca, o którym mówimy.

Uiszczanie podatków skarbowych staje się też w tym czasie elastyczniejszém i regularniejszém. Wydatki dochodzą do 413 mil. w r. 1866, do 543 mil. w 1875; ale pomimo tego podwyższenia wydatków, spowodowanego reorganizacją armii i wielkimi robotami użyteczności publicznej, pokrywają się one bez trudności odpowiednim wzrostem wpływów. Miasto deficytów rocznych ukazują się pozostałości od wydatków. Remanent dochodzi do 14 milionów w roku 1874, a w r. 1875 do 33 mil. rubli, czyli przedstawia prawie 6% ogółu dochodów zwykłych.

Ponieważ cyfry nasze czerpane są z ostatniej kontroli rachunków państwowych za każdy rok, jasną jest rzeczą że one nie mogłyby wykazać tego rezultatu, gdyby zaległości w uiszczaniu podatków szły proporcjonalnie z wzrostem cyfr budżetowych. I rzeczywiście, okazał się objaw przeciwny w tym czasie; zwiększenie dochodów państwowych odbyło się bez ogólnego obarczenia ludności ciężarami nadmiernymi. Zaległości na rzecz Skarbu wynosiły jeszcze w 1860 r. 10% ogółu dochodów zwykłych, ale ulegają one regularnemu umniejszeniu, z wyjątkiem jedyne go roku 1870. W r. 1871, zaległości wynoszą tylko 9,3% wpływów zwykłych; a w latach następnych obniżają stopniowo do 8,3%, 7,6%, 7,1%, aż nareszcie w r. 1875 dochodzą do 5,5% ogółu dochodów zwykłych.

Wysokość eskonty, pod wszelką formą, również zmierza do obniżenia się. Przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe już nie są

tamowane drożyzną kapitałów i brakiem kredytu, a stopa procentowa skupu weksli w Banku Państwa na początku r. 1875 dochodzi do 4%, cyfry przedtém bezprzykładnej w Rosyji, gdzie kapitały były tak rzadkie a kredyt tak mało zabezpieczony.

Może zdołaliśmy w szkicu niniejszym wykazać, jakim sposobem Rosyja, pod wpływem dobroczynnym reform i utworzenia dość rozległej sieci dróg żelaznych, wydobyła się ze stagnacyi politycznej i marwoty ekonomicznej. Ale czytelnik dostrzeżę zapewne iż cyfry, przywzodzone przez nas na poparcie owęj tezy, zatrzymują się ogólnie na latach 1874 i 1875. Powodem tego jest, iż odtąd ruch normalny, wiodący Rosyję po drodze postępu ekonomicznego, zwichnął się i przerwał, zrazu skutkiem ogólnego przesilenia ekonomicznego, jakie uczuć się dało w Europie zachodniej a następnie skutkiem powikłań politycznych, które wybuchły w r. 1876 i sprowadzając nową wojnę Wschodnią, zawiodyły wiele nadziei i przerwały dokonanie wielu zamiarów pozytecznych. Porównawczy nasz szkic przeszłości i terażniejszości Rosyji, nie mógł, oczywiście, wcielić epoki anormalnej. Dostyc nam było wykazać, że w obszerném tém Państwie istniały już przed wojną wyraźne dane do pomyślnęj przyszłości ekonomicznej.

W następnym artykule postaramy się uzupełnić to studyum, charakteryzując przesilenie sprowadzone okolicznościami obecnemi, przesilenie, które przy pewnych warunkach mogłoby być przechodniem, pomimo nowych i ważnych ofiar, jakie wojna nałożyła na Skarb rossyjski, i powrócimy do punktu naszych badań nad wielkimi zmianami ekonomicznemi, dokonanemi w Rosyji, traktując specjalniej o produkcji i konsumcyi.

WARSZAWA, JĘJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI

W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU *).

(od 1800 — 1830 r.).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

II.

Księstwo Warszawskie.—Organizacya jego.—Departamenta.—Kodeks Napoleona.—Objaśniające podręczniki nowych ustaw.—Stanisław Węgrzecki.—Życie duchowe.—Jan Paweł Woronicz.—Teatr narodowy.—Imieniny Napoleona.—Transparent rzeźnika warszawskiego.—Hugo Kołłątaj i jego dzieło.—Feliks Łubieński.—Bal wydany.—Książka obejmująca mowy i wiersze ówczesne.—Tragicy.—Komedyo-pisarze.—Franciszek Wężyk.—Kajetan Koźmian.—Rok 1812.—Wyprawa do Moskwy.—Klęska.—Rozczarowanie.—Przybycie Napoleona do Warszawy i tajemny wyjazd.—Bitwa pod Lipskiem 1813 r.—Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego.—Zachwiane losy Księstwa Warszawskiego.—Cisza literacka.—Zabytki literackie.—Wyrobienie języka ojczystego.—Klasyczny kodeks.—Podział poezyi.—Gazeta Warszawska.—Listy, dodatek do niej.—Przegląd prac ważniejszych treści.—Pamiętnik Warszawski, pod redakcyą L. Osińskiego.—Ocena i wartość tego organu.—Nowi urzędnicy sądowi i administracyjni.—Tradycye stare i nowe: O królu Sobku i jego nadwornym trefnisiu.—Podania z XVIII stulecia.

Jeżeli słabym płomykiem życie duchowe gorzało w Warszawie, w czasach tak zwanych *pruskich*, to zajaśniało do razu więcej, gdy utworzonem zostało Księstwo Warszawskie w r. 1807.

Organizacya tego księstwka, na sposób francuzki, podział kraju na departamenta, wprowadzenie Kodeksu Napoleona I, w miejsce dawnego prawa polskiego, zmiana w całej administracyi krajowej, wywołały potrzebę objaśnień i wskazówek nowych, nieznanych tak urzędnikom, jak i obywatelom. W téj myśli zaczęta wychodzić coraz większa liczba dzieł, jako podręczników niezbędnych. Na czele tych pra-

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za styczeń r. z.

owników gorliwych, należy postawić Stanisława Węgrzeckiego, późniejszego prezydenta miasta Warszawy ¹⁾.

Jakkolwiek okres istnienia Księztwa Warszawskiego trwał lat tylko ośm, pozostało w literaturze naszej mnóstwo broszur, mów, wierszy, wywoływanych chwilowemi okolicznościami, które żywo zajmując społeczność téj epoki, nie małą wiązanekę stanowią.

Życie duchowe zagrało w całej pełni. Niebrakło téż ludzi gruntownej nauki, poważnych statystów, głębszych myślicieli, utalentowanych mówców i poetów.

Na czele pierwszych stanęli: Stanisław Staszic, Stanisław hr. Potocki, Feliks Żubiński, Józef Kalasanty Szaniawski, Wawrzyniec Surowiecki i w. i.

Wymowa kaznodziejska miała godnego reprezentanta w osobie Jana Pawła Woronicza, który zarówno zachwycał wyższą inteligencją, potęgą myśli i wystąpieniem, jak umiał się zniżyć w prostocie ducha, a jasnością języka, do pojęcia ludu miejskiego i wiejskiego.

Teatr narodowy w tym okresie odegrał w życiu społeczném niepospolitą rolę. Umiał on chwycać zręcznie każde silniejsze poruszenie ogółu i w formie to artystycznej właściwej, to osłoniętej szatą starożytnych wieków Hellady czy Romy, uwydatniać je na scenie.

Gnioła wprawdzie klasyczność, koloryt i wyraz szczerzej narodowości, ale widzowie umieli, z pod téj twardej łupiny, dobrać się zdrowego i smakowitego ziarna.

Zapał, który porywał ogół, objawiał się we wszystkich kierunkach. Imieniny Napoleona I wywoływały niestychane manifestacje. Warszawa oblewała się łuną iluminacji, a liczne przezrocza wymownie świadczyły o uczuciach dla tego zwycięzcy świata.

Pamiętam, na Krakowskiem-Przedmieściu transparent, w wielkiem oknie rzeźnika. Przedstawiony w nim był sam pan starszy rzeźniczy, który ogromnemu wołowi, wielkim, ostrym toporem, łeb odcinał. Strugi krwi tryskały w około, zalewając podnóże, przy którym jaśniał dwu wiersz taki:

¹⁾ Stanisław Węgrzecki, znakomity prawnik, należał do pierwszych pisarzy w czasach Księztwa Warszawskiego i znakomite położył zasługi dla kraju. Urodzony w r. 1765, wykształcony w Krakowie i za granicą, za powrotem do kraju wszedł do służby publicznej; wybrany na prezydenta miasta Warszawy, kilkakrotnie w latach 1814—1815 i 1830 piastował tę godność. Jako członek Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk brał udział w jego pracach. Umarł w Warszawie 12 lutego 1845 r. Ogłosił drukiem wiele prac, które miały w swoim czasie doniosłe znaczenie. Przytoczymy ważniejsze: *Pismo o prawach dla Księztwa Warszawskiego*, 1809 r., *Rozprawa o profesjach oraz o systemacie administracyjnym* (1809 r.). *Uwagi nad powszechném moratorium z dołączeniem historyj o zbiorze praw przez A. Zamoyńskiego* (1810 r.). *Dzieje o znaczeniu władzy duchownej obok świeckiej w Polsce* (1818 r.) i wiele innych pomniejszych.

„Kto nie będzie wierny Polsce i Napoleonowi,
To mu łeb utnę jak temu wołowi.”

Rozważniejsi niepodzielali tego zapalu, w smutnej zadumie rozmyślając nad przyszłą dolą swojego kraju. Do takich mężów należał Hugo Kołłątaj, który wydał wówczas wielce ważne dzieło p. n.: *Uwagi nad teraźniejszym położeniem Księstwa Warszawskiego*; było to po zawartym pokoju w Tylży. W dziele wzmiankowanym wykazuje, że ta część dawniej Rzeczypospolitej, w samym pomysle niedołączna, w zarodzie swoim już nosi śmiertelną chorobę, albowiem małe państwo nie podoła zadaniu, ażeby był swój ustalić i przyszłość zapewnić na gruntownych podstawach.

To przekonanie dzieliło wielu poważnych statystów, ale nie mieli tej cywilnej odwagi, co Kołłątaj, występowania publicznie. Lękali się powszechnego uwielbienia Napoleona I, które w szal nieraz przechodziło, uważając go nawet za coś *wyższego nad człowieka*.

Tymczasem nowa organizacja burzyła wszystko, co było godne poszanowania, co mogło być użytecznie odżywione i odpowiadało zwyczajom narodowym i potrzebom krajowym.

Na miejsce dawnych województw podzielono Księstwo na departamenta; odrzucono dawne prawodawstwo, nad którym wieki pracowały i wprowadzono nowy Kodeks Napoleona.

Trudno zaprzeczyć, że w tej rzeczy zmiana była na lepsze. Tak też współcześni ją przyjęli i gorąco się zabrali do przyswojenia sobie nowego prawa i rozwinięcia władz sądowniczych. Minister sprawiedliwości, Feliks Łubieński położył tu ogromne zasługi. Dla przygięzienia cichych sarkau ludzi starzej daty, co zapamiętali dawne statuta, w dniu 1 maja 1808 r. wyprawil suty bal w swoim pałacu, podczas którego śpiewano pieśni, ułożone z tego powodu. W nich oczywiście należało pierwsze miejsce cesarzowi Francji, to też pieśni te zowią go *najwiękzym czasów mężem*.

Ustanowiono trybunały, sąd apelacyjny, sąd najwyższy, a przy otwarciu każdego odbywały się świetne uroczystości, z odpowiedniami mowami i wierszami, które przepisywano na wyścigi. Łubieński znalazł w społeczności prędko dzielnych pomocników, którzy wykonywali jego polecenia i patrzymy dziś z podziwem i uwielbieniem, w jak krótkim czasie przeprowadzono organizację sądów, wprowadzono Kodeks, podług którego wymiar sprawiedliwości sędzi należy i z pożytkiem dla ogółu.

Formacja nowej armii Księstwa, dawała też obszerne pole do wylewania uczuć: w mowach, pieśniach i wierszach. Pisał je po większej części, znany z talentu Ludwik Osiński i o nie się też skwapliwie ubiegano.

Wyszła wtedy osobna książka p. n.: *Krótki zbiór wierszy, pieśni i mów patrijotycznych*, która obejmuje te wszystkie objawy, odzwierciedla też zarazem wybornie owe gorące czasy.

Na scenie narodowej w Warszawie, obok tłumaczeń Kornela, Rasy, Woltera, wystąpili oryginalni tragicy: Franciszek Wężyk, Ludwik Kropiński, Antoni Hoffman. Dwaj aktorzy ulubieni: Alojzy Żółkowski i L. A. Dmuszewski, w komedyjkach i wodewilach chwytały gorętsze chwile z życia publicznego i przedstawiali na scenie, ku uciesze serdecznój, licznych zawsze widzów i słuchaczy. Poeci współcześni odami, kreślonymi z zapalem w natchnieniu prawdziwem, jak Wężyk i Kajetan Koźmian, podnosili jeszcze nastroj ogółu. Powtarzano sobie strofkę z ody Wężyka:

Czyliż dotąd nie słyszycie,
 Jak Pan niebios gromy miota?
 Dziś lub nigdy, śmierć lub życie:
 Chwała lub wieczna sromota!

Rok 1812 i wyprawa Napoleona do Moskwy, w której cała jego potęga zdruzgotaną została, zapal ten powoli studzić zaczęły: w miejsce jego przyszło u jednych zwątpienie, u drugich wywołana rozpacz bez granic!

Niedowierzenie pierwszym nadbiegłym wieściom o poniesionej klęsce, zastąpiła straszna pewność, gdy sam Napoleon saneczkami przybył do Warszawy, i przemocowawszy w hotelu Angielskim, nazajutrz cicho i tajemnie opuścił mury naszego miasta. Wkrótce wymowniejsze dowody stanęły przed oczyma, gdy oddziały zwyciężkiego wojska ukazywać się zaczęły w granicach Księstwa, a niedługo wkroczyły i w same mury Warszawy.

Przepowiednia Kołłątaja sprawdzać się zaczęła. Niedobitki armii francuzkiej i polskiej wywołały smutek powszechny. Wszystko to po krótkim spoczynku pociągnęło ku Saksonii.

Książę Józef Poniatowski wyruszył z pułkami zagranicę, które zebrać potrafił.

Głosy dawne tryumfu umilkły, wraz z objawami życia duchowego w Warszawie. Przyszłość nie ukazywała się z uśmiechniętym obliczem!

Marzono, że „największy mąż czasu“ jeszcze się podniesie z tryumfem, i losy przeciwne zwycięży. Daremna otucha!

Trzydniowa bitwa pod Lipskiem 1813 r. okazała mylność tej rachuby. Armia Napoleona po krwawym boju cofać się zmuszona, a ofiarą tej bitwy został w nurtach Elstery książę Józef Poniatowski.

Napoleon dobiegał do ostatniego kresu swego zawodu. Bitwa pod Waterloo i klęska poniesiona, postanowiły o jego losach: zmuszony abdykować, na samotnej, skalistej wyspie dokończył żywota.

Losy Księstwa Warszawskiego zachwiały się bez nadziei. Literatura w niem obumarła.

Wiele prac i zacnych pomysłów czekało spokoju, ażeby mogły być spożytkowane. Tak projekt Onufrego Wyczechowskiego o Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém należycie opracowany, dopiero później, w lat jedenaście po upadku Księstwa, przez księcia Lubeckiego podniesiony i prawem sejmowém 1825 roku w życie wprowadzonym został.

Przeglądając zabytki literackie z okresu Księstwa Warszawskiego, widzimy, że ani w poezyi, ani w wymowie nie posunięto się dalej nad wiek XVIII. Jednej zasługi wszelako zaniedbać nie można: że język ojczysty zyskał ogromnie na wyrobieniu swoim. Nabrał on harmonii, melodyi, oczyszczony został z obcych naleciałości, lubo go kaziła jeszcze nieraz składnia francuzka, zwroty i wyrazy nawet francuzkie, czego ślady najwyraźniejsze mamy w utworach literackich tego okresu.

Ale potoczystość harmonijną polskiemu wierszowi dał Ludwik Osiński, jedrność i siłę dawną odnowił Franciszek Wężyk, jasność i dobitność wyrażeń Kajetan Koźmian i Jan Paweł Woronicz w pismach swoich prozą i wierszem.

Przepisy *Kodeksu klasycznego* nie dozwalały żadnego wybryku w formach raz przyjętych, ztąd dzielono poezyą polską na: liryczną (pieśni, ody, anakreontyki, dytyramby i wiersze uczuciowe); poezyą dramatyczną; bajki i powieści; poezyą heroiczną (w dział ten liczono Homera, Wergiliusza, Ossyana, Tassa, Walter-Skotta, *Wojnę Chocimską* Krasickiego); epigramata: satyrę podciągniono do działu dydaktycznego.

Tego podziału trzymano się ściśle aż do czasów Mickiewicza.

Wymowa również na właściwe sobie działy podzieloną została.

I była cisza i spokój w świecie literackim: nikt nie śmiał się wyrwać z jakąś nowostką. Stali bowiem na pilnej straży owych przepisów mężowie zasługi, talentu i wielkiej powagi, których imiona brzmiały chlubnym rozgłosem po całym kraju.

Prasa peryodyczna słabym oddechem zaledwo dawała oznaki życia. *Gazeta Warszawska* jako pismo polityczne, z początkiem roku 1807, bo w pierwszej połowie maja zaczęła dołączać Listy co tydzień, co dwa, poświęcone kwestyom najważniejszym społecznym i sprawom narodowym; w objętości pół arkusza lub arkusza ścisłego druku, nosiły adres do kogo pisane, i więcej żadnego nie miały tytułu. Najwięcej jednakże jest adresowanych do Józefa Kalasantego Szaniawskiego, członka Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, i autora wielu dzieł treści filozoficznej. Jakićś wówczas pisarz ten używał opinii w całym kraju, najlepiej odmaluje nam ustęp z listu pułkownika Neymana do Piotra Maleszewskiego, b. kontrolera wojsk francuzkich, zamieszkałego w Paryżu. Neyman pisze do niego, tak się wyrażając o J. K. Szaniawskim:

„Znasz tego męża wprawne pióro i zajęte miłością ojczyzny serce, znasz jego talenta, geniusz, nieskazitelne i staro-rzymskie cnoty

i obyczaje: są one cenionemi i uwielbiane przez świątłych a zawsze wiernych narodowi Polaków.“

Listy te pisały znakomitsze postacie, które w sprawach publicznych przeważny brały udział.

Rozpoczyna Horodyski konsyliarz w Administracyi publicznej Departamentu Warszawskiego, A. Gliszczyński, poseł na sejm konstytucyjny i Józef Neyman, pułkownik głośnego imienia z 1794 roku. Sam J. K. Szaniawski, Aleksy Dembowski, Jan Nepomucen Małachowski referendarz koronny, Ignacy Stawiarski prawnik, Józef Lipiński tłumacz Tassa *Jerozolimy Wyzwolonej*, Wawrzyniec Surowiecki mąż wielkiej nauki, wykładający wówczas w Szkole Prawa statystykę Księstwa Warszawskiego: drukował obszerny List o potrzebach krajowych, opartych na gruncie podstaw narodowych. Józef Łęski, profesor matematyki i fizyki w Liceum Warszawskim, dotykając nauk ścisłych, ztąd prace swoje nazywał Listy fizyczne. Łęski będąc rytownikiem dobrym na miedzi i stali, do Listu swego (w porządku ogólnego zbioru XXV-go) przyłączył kompozycyą Regnault'a, przedstawiającą: *Wjazd tryumfalny Napoleona do świątyni nieśmiertelności*.

Jestto wyborny rysunek w konturach, a sztychowany przez Łęskiego. Przedstawia na wozie wspaniałym siedzącego Napoleona. Wsparty lewą ręką na księdze praw, prawą ma wspartą na mieczu, który trzyma bożek wojenny, umieszczony na tymże wozie. Minerwa uzbrojona dzidą i egidą, siedzi po lewej stronie mocarza, którego czoło zdoby wieniec laurowy. Cztery dzielne rumaki ciągną ten wóz wspaniały do świątyni nieśmiertelności. Nad siedzącym Napoleonem wznosi się orzeł cesarski i Chwała trzymając wieniec. Na przodzie poprzeda rumakami w galopie ulatują postacie niewieście, uosabiające Sprawiedliwość i Religią. Obok postępującego wozu i koni, widzimy Pokój trzymający gałązkę oliwną, prowadzi Obfitość i Bogactwo, ucharakteryzowane dwoma Geniuszami, z których jeden niesie róg napełniony kwiatami i owocami, a drugi skrzynkę ze złotem i drogiemi kamieniami. Przy tej grupie idzie Lew jako znamię Mocy, na którym siedzi Geniusz Legii Honorowej.

Pochód ten poprzedza Zwycięztwo rozdające palmy i wieńce, bieży wyprzedzając orszak, który się kończy grupą wojowników, obciążonych zwyciężkami łupami. Wokoło Szczęśliwość i Weselość rozrzucają kwiaty, a młode dziewice palą wonne kadzidła.

Na drugim planie, wprost tryumfatora wznosi się Świątynia Nieśmiertelności, przy której frontonie unoszą się w obłokach Francya i jój Geniusz: pierwsza wskazuje bohaterowi tron, który na niego czeka; drugi przedstawia mu koronę i berło dawnych monarchów francuzkich.

Z przeciwnej strony poza wozem tryumfalnym, Herkules uzbrojony w maczugę, gromi ciemnotę, zabobon, niezgodę, anarchią i wściekłego lamparta. Przed tą grupą Czas, który zawsze utrwała pamięć

i sławę prawdziwych bohaterów, ujmuje tablicę spiżową, na której Klio ryje historią Bonapartego.

Oryginał tego obrazu około 30 stóp szeroki a 16 wysoki, uznany był za najlepsze dzieło pędzla Regnault'a, gdyż wedle wyrażenia J. Łęskiego: „ostateczną swą świetność otrzymuje ze świetności karnacyi, żywości draperyi i wdzięku pędzla.“

List ten redakcyja *Gazety Warszawskiej* musiała odbijać w podwójnej liczbie egzemplarzy, a i te nie wystarczyły tłumowi ciekawych, aby ujrzeć apoteozę ulubieńca wszystkich.

Listy te budziły niesłychane zajęcie w kole czytelników polskich. Treścią ich bowiem były: poważne poglądy na stan ówczesny kraju, badanie położenia politycznego, zarazem wskazówki potrzeb naglących i ofiar, poświęcenia, któremi je zaspokoić można. Jeżeli z téj strony wydatnieje wyniosły duch obywatelski co do spraw krajowych, nie spuszczały te listy z uwagi i rozwoju literatury ojczyźstéj, oraz ważniejszych dzieł jak np. *Statystyka Polski*. Zawadzi tu i wiersz przydłuższy. Tak cały List XVIII z daty 3 lipca 1807 r., pisany przez Alojzego Orchowskiego do pułkownika Neymana, obejmuje długi, ale pełen zapału i uczucia jędrny wiersz Orchowskiego p. n.: „Na popis batalionów II i III Legii Polskiej, na żołdzie Rzeczypospolitej Włoskiej zostających, w dniu 27 września 1802 r. przy mieście Pawii pod wodzą generała dywizyi i inspektora Dąbrowskiego odbyty.“

Spojrząwszy na datę, widzimy, że Orchowski pisał ten wiersz w Medyolanie, kiedy jeszcze myśli nie miał Napoleon o Księztwie Warszawskim: nasz poeta-obywatel uniesiony widokiem legionistów, cześć im oddając za ich wytrwałość i bohaterstwo, jakby w wieszczeńm przeczuciu, przepowiada blisko szczęśliwszą dla nich przyszłość, gdy spoczną na rodzinnej ziemi. Sprawdziło się to rzeczywiście, ale w pięć lat później.

List XXIX z tego powodu wielce jest zajmujący, że odsłania nam nieznanne stosunki Surowieckiego z Woroniczem, wówczas kanonikiem warszawskim, nad czém pracowali i co głównie mieli na myśli.

Surowiecki tak ów list zaczyna:

„Do autora *Lechiady*, do miłośnika starożytności narodowych, do tak szanownego przyjaciela, nigdy się nie przemawia innym językiem, tylko tym, który mu jest najprzyjemniejszy.

„Kiedy świat gorzał w pożogach wojny, a ludzie trapiłi się nawzajem mozolnemi wróżbami o przyszłych wypadkach: my w samotnym ustroniu spokojni, zwiędzali naprzemian przedwieczne ludy Indu, Kaukazu, Tanaizy i Erydanu. Przegarniając ich szczątki, rozmięcione od tysiąca burzących czasów, szukaliśmy w nich najdrobniejszych śladów początku, obyczajów, religii wielkiego narodu Słowian. Ta zabawa zawsze nam była najmilszą, zawsze ukazywała nowe coraz ponęty nienasyconej naszej ciekawości. Czasem, gdy szcęg oręża rozszerzył trwożę aż do samych progów naszej samotności, gdy spokojne umysły już przerażał smutkiem, jedno wspomnienie o sławnych wy-

roczniach Światowita, o wspaniałych świątyniach potężnego Trójgłowa, o srogich karach mściwego Prowa, zacierało w momencie cały ten obraz nieprzyjemny. Doczekawszy się nareszcie lepszych czasów, pomówmy jeszcze przed światłymi rodakami o tém, co nam tak wiele sprawiało ukontentowania na osobności.“

I dalej podaje program, a jak sam nazywa „Obraz dzieła o początkach, obyczajach, religii dawnych Słowian.“

Wczytując się w ten obszerny zarys, dostrzegamy, że kreśliła go ręka prawdziwie uczonego męża, znającego ten przedmiot do gruntu, oznajmionego dokładnie z najważniejszymi źródłami do takiej pracy, szukającego pomocy i objaśnień w podaniach, zwyczajach i obrzędach ludowych. To nam wskazuje, że Surowiecki pierwój niż Zoryan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki), oceniał ważność badań etnograficznych, tylko sam ich jak tamten niemiał sposobności zbierać.

Objęmując myślą ogrom dzieła, zwątpiwszy czyby sam podolał tak mozolnemu zadaniu, nie zrażał się trudnościami, ale skrzętnie materiały cenny zgromadzał do budowy, którą czy samby dźwignął, czy silniejszym dłoniom powierzył. Ze skromnością też właściwą mężowi prawdziwej nauki, pisze w tym liście:

„Te trudności nie były mi tajne, nie dałem się im jednak odstraszyć; znalazłem sposoby, które, chociażbym nie ukończył w tak rozmaitych przedmiotach połączoną pracę, zapewniają jej jednak zupełną wartość.“

„Ułożony porządkiem materyi sumaryusz wyjątków z najrzadszych dzieł, wraz z uwagami do 300 arkuszy druku wynoszący, będzie obfitým źródłem, z którego uczeni, bez mozolnego szperania, bez rzadkich lub mało znanych autorów, w pięciu lub sześciu językach, śmiało będą mogli czerpać. Za jednym rzutem oka, znajdują osobno wszelkie podania z wielu przypiskami o bóstwach, obrzędkach, uroczystościach, o obyczajach, o prawach, o charakterze, początkach, o orężu, stroju i t. d. narodów słowiańskich. Obok zaś tych, dla stosunku historycznego pod podobnemi względami Greków, Celtów, Skitów, Persów, Indów, Egipcyan, Gotów, Germanów, Laponów, Normanów i t. d. Za pomocą takiego dzieła nietrudno będzie ciekawym objaśnić się w każdym przedmiocie, a uczonym wypracować i rozszerzyć, a niekiedy sprostać w nawale rzucone moje uwagi. W każdym razie spodziewam się mocno, że ta praca z wielu miar oświeci dzieje narodów europejskich, i obali niejedno błędne zdanie, o którym dotąd nikt nie śmiał powątpiewać.“

Zgromadzeniu tak obfitego materiału poświęcał Surowiecki kilkanaście lat pracy, o której nikt nie wiedział, tylko najbliższy jego przyjaciel J. P. Woronicz. Z listu, o którym mówimy, spostrzegamy, że autor jego w rozświetleniu pierwotnych dziejów Polski, stanął do razu na tém stanowisku, do którego daleko później dobierało się dopiero grono badaczy naszych. Spójrzymy na plan pomyślanego dzieła W. Surowieckiego, jaki sam na początku pomienionego listu podaje:

„Wywód początków wielkiego narodu Słowiańskiego.

„Obyczaje, prawa, postać i charakter tego ludu.

„Religia, bóstwa jego pogańskie, obrządku, uroczystości stosowane z obcemi.

„Zaprowadzenie osad w różne strony świata i los tych do panowania Władysława Jagiełły.

„Przemysł, handel, rękodzieła tego ludu.

„Nakoniec, obyczaje, prawa, przemysł, rękodzieła, charakter, stan topograficzny, polityczny i statystyczny Polski w szczególności, aż do wieku XV.”

Cóż spowodowało Surowieckiego do pomysłu tak ogromnego dzieła, gdy po kilkunastu latach zbierania doń zasobów, przyszedł do wątpliwości, ażali go potrafi sam wykonać?

Spowiedź jego piękną, szlachetną, jako przedwstęp do programu swego pomieścić. Surowiecki przeżył najsmutniejsze chwile w dziejach naszych, bo trzy rozbiory Polski. Z ostatnim ujrzał, że kraj jego stracił nietylko byt swój polityczny, ale jego imię wymazanem zostało z rzędu państw europejskich. Zaprzagnął więc pocziwają jego pamięć przechować w historyi, i dlatego z młodzieńczym zapałem rzucił się do badań dziejów pierwotnych, ażeby następnie zejść do Jagiellońskiej epoki. Do biografii Surowieckiego, który stoi w rzędzie pierwszych literatów polskich w r. 1830, list ten drogocennym jest przyczynkiem.

Głośnego imienia w czasach Księstwa Warszawskiego Rajmund Rembieliński prefekt departamentu, a następnie prezes departamentu Białostockiego, w liście (XXX) do J. K. Szaniawskiego, w wymownym obrazie maluje ostatnie lata XVIII-go wieku, upadek moralny wielu warstw społecznych, wskazując zarazem naglące potrzeby wymagające zaspokojenia.

To ciągłe odwoływanie się i adresowanie listów do J. K. Szaniawskiego, stawia dowód, jak stał wysoko w znaczeniu i opinii publicznej, którą, o ile się nam zdaje, starał się podtrzymywać. Ślad tego widzę w drukowanym w tym zbiorze liście Józefa Bogusławskiego ucznia klasy V Liceum Warszawskiego, który w całości pomieszczamy:

Szanowny Mężu!

„Od wieku dzieciństwa mego jesteś na mnie łaskaw, że mnie i książkami i dowodami gruntownemi prowadzisz do światła. Bądź tym samym dla współuczniów moich, których niedostatek majątku czyni ich niesposobnymi brania edukacyi. Masz więc wpływ do rządu niżeli kto inny, a témbardziej ja, który dopiero żyć zaczynam, wnieść projekt do rządu, aby dla młodzieży otwarte zostało pole nauk, aby biedny bez opłaty jaka teraz panuje, mógł się uczyć wszystkiego. Niech majątny płaci, kiedy mu szczęście dozwoliło mieć się lepiej, a biedny prawdziwie niech będzie od tego wolnym. Im więcej będzie światła w narodzie, tém potężniejszymi uważać nas będą. Szanowny Mężu! robiłeś wiele, czynisz; zrób i to: a kiedy to ułatwisz, wszystko ukończylesz.“

Wdzięczne echo list ten studenta znalazł w społeczności krajowej: znaczenie J. K. Szaniawskiego urosło więcj. Utrzymać go i opinii pochlebnej nie potrafił w następnym okresie, ale to już do późniejszych czasów należy: w epoce Księztwa stawiano go jako wzór cnoty obywatelskiej, uczonego pierwszego rzędu i rozumnego rzecznika, pożytecznych prac dla kraju.

Ogólny zbiór tych Listów przy *Gazecie Warszawskiej* wynosi 44, i zamyka go w dniu 19 grudnia 1807 roku list J. B. Rakowieckiego (późniejszego autora *Prawdy Ruskiej*), stanowiący odezwę: „O potrzebie dzieła elementarnego o rolnictwie i ekonomii.“ J. B. Rakowiecki adresuje swój list do pp.: „J. B. R. Stowarzyszonych w celu roztrząsania Materyów, obraz kraju i narodu rozjaśniających.“ To napomnienie nasuwa myśl, że i publikacya tych Listów wyszła z tego łona Stowarzyszonych, którzy w chęci ich spopularyzowania, przyłączyli do *Gazety Warszawskiej* jako *Dodatek bezpłatny*, sami ponosząc koszt wydawnictwa. I zaprawdę, tym celom odpowiada dobrze treść Listów, gdyż we wszystkich kierunkach społecznych objawia się działalność ich autorów. Jedni badają stan ekonomiczny kraju, drudzy stan ówczesny polityczny Księztwa: jego ustroj społeczny. Badają przeszłość narodu, wykazując jasne strony i błędy.

W. Surowiecki maluje trafnie *charakter historyczny Polaków* i wypowiada tę wielką prawdę: „że Polak XIV i XVI wieku nie różni się co do istotnych przymiotów od Polaka XVIII wieku. To, co go dziś wyszczególnia przed innemi, już wówczas było główną jego własnością.“

W Listach znajdujemy niemało zwracanej uwagi na lud wiejski usamowolniony osobiście. W tej treści zajmującym jest list (XXXIII) pułkownika Neymana do J. N. Małachowskiego, referendarza koronnego, w którym przedstawia nam rozmowę chłopów naszych, jak pojmowali konstytucyą nadaną przez Napoleona. Jestto scena wybornie pochwycona, w której występują do dyalogu: stary Józwa okupnik, wieśniacy, gmina i szlachcic, łącząc się w bratnim uścisku.

Alojzy Orchowski w pięknym Liście (VI) do Horodyskiego, oddaje cześć należną powabnym Polkom jako żonom i matkom, co umiały wychować młode a dzielne pokolenie. Pragnąby im postawić ołtarze za ich poświęcenie i miłość do ojczystej ziemi. Ciekawy nam zarazem daje obrazek, malujący cząstkę współczesnego świata:

„Klasa nieroztropnych trzpiotów (pisze), modnisiów, wprowadziła lekkość i roztargnienie w zabawy i nasze towarzystwa. Gadactwo połamaną cudzoziemczyzną, popsutym narodowym językiem, jakimi was bawią trefnisie, szeptania pod uchem niewinném, szydzącego ze skromności adonisa, mamily wasze umysły, ale wrodzonego wam przywiązania do ojczyzny nie starły. Nie jeden Polak był zdrajcą: Polka jeżeli zbłądziła, było to nierozsądku lecz nie zbrodni rozmyślnej pędem.“

Po roku istnienia, publikacja ta, zajmująca się tak gorliwie najważniejszymi kwestyami społecznymi, przerwana została, i już ani w ciągu istnienia Księstwa, wskrzeszoną nie została, chociaż forma, jaką od początku przybrała, dawała swobodne pole do przeprowadzania najrozmaitszych przedmiotów.

Listy zebrane razem wyszły później w oddzielnej książce p. n.: *Korrespondencya o materyach, obraz kraju i narodu polskiego rozjaśniających*. W Warszawie, 1807. W drukarni *Gazety Warszawskiej* (w 8-ce str. 302).

Pamiętnik Warszawski jako pismo naukowe pod redakcją Ludwika Osińskiego, to z *Gazetą Warszawską* były dwa tylko organa ówczesnej prasy.

Pamiętnik ten wychodził z przerwami, nieregularnie, z powodu zawichrzeń wojennych, szczególnie napadu armii austriackiej 1809 r. pod dowództwem księcia Ferdynanda d'Este i zajęcia Warszawy po krwawej bitwie pod Raszynem, w której poległ bohaterską śmiercią Cypryan Godebski, żołnierz-poeta. Co do swęj wartości wewnętrznej, przewyższał on poprzedni *Pamiętnik Warszawski* Franciszka Dmochowskiego (tłomacza *Iliady*), nietyle bogactwem treści, ile doborem artykułów. Dział poetyczny świetnie się w nim przedstawiał; na szczególną zaś wzmiankę zasługuje umieszczony w nim (bezimiennie) program do napisania *Historji Polskiej* od najdawniejszych czasów do powstania Księstwa Warszawskiego. Znać w nim znakomitego znawcę dziejów ojczystych, głębszego myśliciela, z wyższym poglądem badacza.

Księstwo Warszawskie w krótkim okresie swego istnienia, było jakby szkołą przygotowawczą dla Królestwa Polskiego przez wprowadzenie Kodeksu Napoleona i organizacją licznych sądów, przygotowała się niemała liczba zdolnych i sumiennych prawników, którzy stanowiąc czoło inteligencji polskiej, łączyli naukową teorię z praktyką sądową. W linii administracyjnej przygotowali się również urzędnicy w ministeryach, którzy postęp z nowymi ideami wprowadzali w życie. Nieznane nauki: ekonomii politycznej, gospodarstwa narodowego i finansowości, przy ich pomocy stały się przystępnymi, oznajamiając ogół z nowymi potrzebami społecznymi. Rolnictwo samo przestało się zasklepiac w tradycyjalnej *trzechpolówce*, i z oczynszowaniem włościan, płodozmiany zaczęły kiełkować. Słowem, w każdym kierunku, na każdym polu widzimy pracę sumienną, usiłowania wielkie, ażeby dążnościom wieku nastarczyć.

Resztki dawnęj Rzeczypospolitej w czasie Księstwa dogorywały: to co pamięć z jęj okresu przynosiła, już nie wystarczało potrzebom chwili obecnej.

Jak podwójnym krokiem zwycięzka armia Napoleona przechodziła Europę od Zachodu ku Północy, tak równie szybko na końcach bagnetów przenosiła nowe myśli, nowe idee, z pragnieniem postępu

każdej społeczności. Jak słońce, co obliczem swoim oświeca i ogrzewa ziemię, tak Orzeł Francyi z piorunami w szponach, gdzie zabuwał, przynosił wszędzie radość i swobodę. Siła pięści zwycięzcy gniotąc wroga, zarazem sypała cenne dary duchowe.

Do księgi wspomnień i tradycyi narodowych, Księstwo Warszawskie dołożyło kart niemało; szczególnież téż od czasu wstąpienia armii francuzkiej w granice Polski, a głównie téż z powodu napadu Austryaków na Księstwo Warszawskie w r. 1809. Pomiedzy literackimi zabawkami był jeden osobliwy ze swój treści i układu; dostać go można było za sześć groszy polskich po wszystkich straganach przy-kościelnych, na których wśród szkaplerzy, paciorków, krzyżyków poświęcanych, obrazków świętych i książek nabożnych, przewijały się broszurki światowe. Jedna z nich właśnie wierszem pisana, zawierała opowiadanie huzara węgierskiego, łamanym językiem słowacko-madziarsko-polskim, przygody jego i jego towarzyszków w kampanii 1809 r., gdy byli bici i wypędzani z granic Księstwa, nietylko przez regularne wojska ale przez oddziały powstańców i pojedynczych ochotników.

Jakkolwiek w dowcipnym tém opowiadaniu było niemało przesady, rzeczą jest historyczną, że po bitwie pod Raszynem, pomimo opanowania Warszawy, padł taki popłoch na armię grasującą w Księstwie, że przed patrolami jazdy, pułki całe, brygady i dywizye z trwożą uciekały ¹⁾.

¹⁾ Bawiąc w Węgrzech w latach 1829 i 1830, gdy przyszło wspomnieć te czasy, Węgrzyni zawsze się wypierali, że należeli do armii księcia Ferdynanda d'Este, która napadła niespodzianie Księstwo. Tak się ten szlachetny naród wstydził udziału, jaki wziąć musiał w téj wyprawie najezdniczej.

O strachu panicznym w wojsku austryackim mogą poświadczyć żyjący jeszcze świadkowie. Przytoczę tu wypadek, który mi opowiadał b. kapitan z pułku Rzeczypospolitej, ś. p. Józef Raciborski, dziedzic wsi Załucza nad Prutem, gdyśmy razem przejeżdżali miasto Stanisławów w Galicyi. Miasto leży w nizinie, od strony Lwowa są wyniosłe pagórki, a na jednym z nich wiatrak.

— Spójrzj na wiatrak—mówił do mnie Raciborski—to ten sam, z którego padł postrach na sześciotysięczną dywizyę piechoty austryackiej. W jednym z oddziałów jazdy polskiej, który wpadł do Galicyi, był podoficer i zarazem doskonały trębacz Jaszczold, szalonej odwagi, ale wielki zwolennik kieliszka. Ten po sutój uczcie i wysuszeniu niemało wina i śliwowicy, wraz ze swym towarzyszem trębaczem przyjechali pod ten wiatrak o północy, ale zmęczeniu drogą i rozmarzeniu kieliszkami, przywiązawszy konie do wiatraka, legli na trawie i smaczno zasnęli. Noc była ciepła ale rosista, słońce jak latem, wczesnie weszło i ciepłymi promieniami najpierw ogrzało to wzgórze, na którym dwaj ulani spali. Pierwszy zbudził się Jaszczold: przetarł oczy, przeciągnął się i spojrzął w około. Z miasta usłyszał gwar głuchy: po gestych wedetach zmiarkował, że wojska jest w niém niemało. Zbudził więc swego

Zbiór tradycyi z dawnych wieków przechowywano starannie w pamięci. Przypominano sobie wojnę chocimską z Turkami 1621 roku za Zygmunta III, i bohatera głównego Jana Karola Chodkiewicza, którego potomek po kądzieli mieszkał w Warszawie, miał swój pałac na Miodowej ulicy, i słynął z nauki ¹⁾.

Zachowywanie i powtarzanie tych tradycyi było nietylko najmilszą rozrywką dla społeczności tego okresu, ale stało się niejako potrzebą jęj życia duchowego. Byle zebranie bliżej znajomych w kółku przyjacielskiem, przy lampce węgryzna lub czarce starego miodku rozpoczynała się gawęda o obecnych czasach, przeplatana wspomnieniami dawniejszych wieków.

Najczęściej na czoło występowały wspomnienia o królu Janie III. Że to był Polak z rodu, naród go szczególnie ukochał i pieścizotliwie nazywał *królem Sobkiem*. Warszawianie żywą o nim pamięć przechowywali długo.

Król Sobieski przebywał często w zamku warszawskim, a pod Warszawą, nad łąką wiślaną, po zwycięztwie pod Wiedniem w 1683 r. rękoma brańców tureckich zbudował sobie wspaniały pałac w Willa-

trębacza i radził siadać co rychlej na konia, żeby się niedostać do niewoli. Kiedy już dosiedli siodeł, przypadek zdarzył, że ze wsi pobliskiej owczarz pędził gromadę owiec po drodze piaszczystej, która pobudziła ogromną kurzawę. W tej chwili właśnie piechur austryacki stojący na czatach, ujrzawszy dwóch ułanów polskich, wystrzelił i wydał okrzyk trwogi. To zatrzymało Jaszczolda. Niedługo gwar w mieście powstał wielki, i ujrzał z podziwem, że prawie kłusem dywizya austryacka uchodzi do Stanisławowa. Nienamysłając się więc długo, łyknął wódki z manierki, poczęstował towarzysza a kazawszy mu trąbić do ataku, najprzód kłusem, a potem galopem rzucili się ku miastu. Odgłos trąbki kawalerji dającej hasło do ataku, wielki okrzyk Jaszczolda, a poza niemi ciemna kurzawa zwiastująca jakby gęste szyki idącej jazdy, rzucały popłoch straszny. Mieszkańcy Stanisławowa z podziwieniem spoglądali na uciekających cotechu Austryaków, a niedługo na rynku zabrzmiała trąbka i ujrano dwóch polskich ułanów. Tłumem rzucili się więc ku nim, witając serdecznie. Jeden z bliżej stojących szepnął Jaszczoldowi, że pięciu huzarów węgierskich stoi w murowanej pobliskiej austeryi i chce uciekać. Jaszczold zwraca więc do nięj, wzywa mieszczan do pomocy, i spóźnionych huzarów zabiera do niewoli.

Pojedziemy gościńcem do Chocimierza—mówił mi dalej Raciborski—to ci pokażę drogę, którędy bataliony piechoty zmykały przed Jaszczoldem. Niedaleko za Stanisławowem był lasek.

Tutaj—rzekł—po przemarszu uciekinierów, mieszkańcy z Chocimierza i Stanisławowa, znajdowali kapelusze stosowane, obszywane szerokimi galonami: oznaki godności wyższych oficerów, które uchodząc pogubili.

¹⁾ Aleksander hr. Chodkiewicz, literat i chemik, mąż uczony, który pierwszy u nas wprowadził litografię, nie żałując szkatuły własnej na liczne próby i udoskonalenie tego wynalazku.

nowie, założył obszerny ogród, w którym sadił własną ręką ulubione lipy, dotąd jeszcze przechowane, a grubością pni, wzrostem i olbrzymiemi konarami świadczące o swój starości. Niem mało czasu przemieszkował w Willanowie wraz ze „śliczną swoją Marysieńką“ i licznym dworem.

Bliskość Warszawy ułatwiała stosunki niemal codziennie z dworzanami królewskimi; to też każde zdarzenie na nim, każdy najdrobniejszy wypadek, z niestychanem zajęciem chwytano i opowiadano sobie w kółkach mieszczańskich. Jeden wypadek szczególnie, który się wydarzył w zamku willanowskim, stał się ulubioną gawędką, którą częstowano upragnionych gości jak marcepauem. Opowiedział go uroczyem słowem Wincenty Pol. Powtarzamy go tu dla odświeżenia dykteryjki, będącej rozkoszą zebrań mieszkańców Warszawy.

Na dworze króla Jana Sobieskiego Winnicki był trefnisiem czyli błaznem nadwornym. Król lubił jego żarty i nazywał go „kochanym Winnisiem.“ Kiedy go dzień jaki nie widział, wyraźnie tęsknił za nim; Winnicki też nie odstępował nigdy króla. Jeszcze z hetmanem był na potrzebie chocimskiej 1673 r. i we wszystkich następnych wyprawach, nieodstępując od boku pana swego. Królowa wszakże miała niechęć do Winnickiego, bo ję często Francuzów kąsał. Pomimo to, jakby na przekorę, chwalił się Winnicki przed całym światem, iż się zaszczyca osobistemi względami królowej, tak dalece, że rzecz ta królewskich nawet uszu doszła. Gdy go król zapytał czemu tak kłamię?

— Ja nie kłamię, Miłościwy Panie—odpowiada—lecz gdzie panu radzi, tam też i jego czeladzi. Królowa Pani musi mnie mieć w łasce swojej, kiedy na Francuzów jest tyle łaskawą, bo ja wypijam codzień to piwo, które oni nawarzą. Odpraw mnie, Miłościwy Panie, a zaraz jutro podziękują wszystkie francuziki za służbę, albo rokosz będzie w kraju. Jeżeli nieprawdę mówię, bogdajżem z fałszem (z łatą) nosił żupan całe życie.

— Nie odprawię cię, Winnisiu, nie odprawię—rzekł król — ale staraj się tylko zasługiwać królowej.

Winnicki przyrzekł tak miarkować swe sprawy, iżby sobie zasłużył na względy królowej i to w krótkim czasie. Wszystkich przytomnych zdziwiła ta obietnica, Winnicki bowiem zwykł był danego dotrzymywać słowa, a tutaj potrzeba było poprzestać płatać psikusy Francuzom, których pełno było na dworze, a tęp samém wypaść z łaski dworu całego, samego króla, który z niechęcią patrzył na Francuzów i fawory jakich podówczas doznawali na dworze królewskim. Wszyscy tedy byli w największém oczekiwaniu, jak się Winnicki tą razą wyrąbie. Wyrąbał się jak trefniś, konceptem. Zamknął się w oficynach i niepokazywał się na dworze. A działo się to w ulubionym królowi Sobieskiemu Willanowie.

— Gdzie Winnicki?—pytał król codziennie.

— Słaby—odpowiadano.

Król Jan posyłał do niego księdza plebana i lekarza swojego, ale Winnicki nie chciał nikogo przypuścić do siebie. Tak minął tydzień i drugi, nie było komu bawić pana przy stole: jak na toż nastąpiła słota i dwór cały zesmutniał. Król począł cierpieć na niestrawność, był codziennie gorszej fantazy i odmówił królowej prośb kilka. Dwa starostwa właśnie do rozdania były: rozszafował je król nie według jej myśli. Dąsała się tedy pani, król stawał się codziennie nudniejszym, i nie pojmował sam nawet przyczyny, która mu tyle humor kwasila. Winnicki tymczasem jak siedzi tak siedzi.

Zniecierpliwiona w końcu królowa, kazała przywołać jednego z towarzyszków swoich i rzekła mu w gniewie:

— *Je sais que ce fou Winnicki n'est pas malade! Cotte qui cotte! faites le venir au Roi.*

Francuz, który znał królowę, pomiarkował, że to nie przelewki i jeżeli mu szczęście nie dopisze, to się potrzeba będzie rozstać i z dworem. Udał się tedy do błazna. Długo prosił, długo błagał i pukał podedrzwiami; w końcu, po godzinie prośby i groźby, otworzył mu drzwi pacholek i poprowadził do drugiej komnaty, gdzie na środku, na niskim siedzeniu, dokoła ostoniony, siedział Winnicki.

Winnicki kilkoma językami mówił *expedite*, tém więcej bali się go Francuzi, że częstokroć własną ich bronią pobijał, drwiąc z nich po francuzku, a jak dziś tak i wówczas, nie obawiał się Francuz niczego więcej, jak stać się śmiesznym po francuzku.

— Cóż ci takiego? kochany przyjacielu!—zapytał go Francuz.

— Cicho! cicho! dla Boga!—zasyczał Winnicki, i ilekroć Francuz się odezwał: „cyt!” znowu Winnicki i niewiele brakowało, że się Francuz nie porwał do szpady. Widząc, że go już do ostatniej przywiódł niecierpliwości, powiada w końcu Winnicki:

— Powiedz mi jegomość, czy dobry z niego naturalista?

— Co za pytanie!—odrzekł Francuz rozgniewany—wszak jestem Francuzem i byłem na akademii w Paryżu.

— Powiedz mi jegomość—pytał dalej Winnicki—z kąd się kurczęta na świecie biorą?

— Zamyślasz więc drzwi sobie ze mnie!—rzekł Francuz—*mais eh bien, ce votre metier*—dodał, miarkując swój gniew. Kurczęta tedy, jak wszystko na świecie, rodzą się.

— Więc, zdaniem akademii paryzkiej, powiadasz jegomość, że się kurczęta rodzą? a u nas w Polsce inaczej tę rzecz chcą mieć baby i powiadają, że potrzeba kury nasadzać na jaja i że dopiero z jaj kurczęta wyłazą.

— I do czego ma nas doprowadzić ten uczony traktat?—zapytał Francuz złośliwie.

— Do kurcząt!—rzekł Winnicki—które królowa, a pani nasza najmiłościwsza, tyle lubi. To zapewne wiadomo będzie przydwornym królowej, bo zawsze mnie mówiono, że z Paryzkiej akademii bieglejsi

jeszcze dworacy, niż naturaliści wychodzą. Czy wiesz *monsieur* o tém, że teraz zima?

Francuz jadł się od złości, rzucił się w szerokie krzesło i milczał, a gdy się ta chwila milczenia przewlekła, zinrużył Winnicki oczy i udał że chrapi.

— Panie Winnicki!—zawołał Francuz w końcu żartobliwie—nie dręcz mię, tu o los mój chodzi; król nudzi się bez ciebie, a królowa pani powiedziała mi, żebym jęj się na oczy nie pokazał, jeżeli W Pana nie sprowadzę do króla.

— I przyrzekłeś?—zapytał Winnicki.

— Nie byłem pytany, ale rozkaz rozkazem!—odrzekł Francuz.

— Zły z waszmości dworak, mój panie!—mówił Winnicki—a potrzeba ci znać o tém, że ze mnie dobry myśliwy; idziesz mi na połać, znam słabą stronę! któż ci zaręczy, że cię w miękuszu nie ugodzę?

— Jakto?—zapytał Francuz.

— Miesiąc jeszcze posiedzę tutaj zamknięty—mówi Winnicki,—a jednego Francuza niestanie na królewskim dworze. Sama pani da wam odprawę. Ale nie obawiaj się tego, ja nie jestem tyle złośliwym. Zaczny kawalerze, podaj mi rękę do zgody! Cieszy mię to tylko, żeście przecie w końcu poznali, iż dwór, na którym Francuzi goszczą i bez błazna obyć się nie może. A teraz mów, czego żądasz odemnie?

— Na Boga!—suplikował Francuz—zaklinam Waćpana, pokaż się u dworu i rozwesel nam pana!

— To być nie może!—odrzekł twardo Winnicki, licząc zeicha na palcach, powiada—za siedm, ośm dni uczynię dopiero według waszjej woli.

— Zgubisz mnie!—zawołał Francuz.

— Mój panie!—rzekł Winnicki—my mamy przysłowie, że wojna będzie bez jednego żołnierza. Waćpan dowiodłeś sam tego, nie idąc na potrzebę Chocimską; a jużci więcj znaczy rycerz niż błazen, a kiedy się wojna bez jednego rycerza odbyła, to też i dwór bez jednego błazna nie przepadnie.

— O kim mówisz?—zawołał Francuz—biorąc się do szpady.

— Powoli! powoli! jużci mówię o sobie—rzekł Winnicki.—Złóż gniew i szpadę, bo i coby zresztą świat na to powiedział, że na gołe łby poszedł z błaznem rycerz nawaryjski? Złóż gniew i szpadę, a pomówmy szczerze.

— Czy wiesz o tém *monsieur*, że królowa kurczęta lubi?

— Wiem.

— Czy wiesz o tém, że królowa pani błazna nie lubi?

— Wiem! i cóż ztąd?

— Czy wiesz o tém, że teraz zima?

— No! wiem!

— Czy wiesz o tém, że nawet królowa pani śród zimy kurcząć mieć nie może?

— Wiem! ale dalej cóż ztąd?

— Ztąd wypływa—rzekł Winnicki—iż przez to, co królowa Jéjmość lubi, chce się wkraść do łaski ten, którego nie lubi: przez kurczęta—błazen.

— Nie rozumiem!—zawołał Francuz, i rzucił się znowu na krzesło.

— A przecie za dowcipnych was mają. Słuchaj tedy: żadna kura w całej Polsce nie chce na jajach siedzieć, a więc błazen musi. Tutaj rozkrył kołdrę i pokazał mu gniazdo, pełne jaj kurzych, na którym siedział okryty.—Patrz tu! zacny kawalerze!—mówił dalej—ile sobie cenę względy najmiłościwszej pani naszej, kiedy tutaj tak od dwóch niedziel siedzę? *Mais figurez vous* przynoszą kurczęta na dwór pański; królowa zdziwiona pyta: „Zkąd kurczęta w tym czasie?” Wszyscy zgadują, aż tu się pokazuje w końcu, że Winnicki wywiódł kurczęta. Co za tryumf! co za zaszczyt! zrobić to, czego nikt dotąd nie potrafił.

— To są żarty, panie Winnicki!—rzekł Francuz niedowierzając.

— Jak Bóg żywy, nieżarty!—zawołał Winnicki—i klął na to duszę i ciało. Wyczytałem tę tajemnicę w uczonej księdze i najmniej dni siedm jeszcze siedzieć muszę, bo kurczęta wyłażą dopiero dwudziestego pierwszego dnia.

— Więc, choć na godzinę, pokaż się królowi; dam ci kieszę złota i protekcją moją u królowej.

— Za złoto dziękuję!—odrzekł Winnicki—bo filozofom i błaznom złoto niepotrzebne; lecz jeżeli szczerze protekcją swoją u królowej pani przyrzekasz zacny kawalerze, to...

— To cóż—zapytał nagle Francuz.

— Tobym się zdecydował pójść do króla, ale tylko pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Jeżeli tutaj *monsieur* zajmiesz moje miejsce i pod słowem honoru będziesz siedział póty, póki ja nie powrócę; inaczéj zaziębłoby gniazdo i cała moja mozoła byłaby za nic; tylko ostrzegam, jak będziesz siadał, więc zlekka wspieraj się na rękach: tylko zlekka!

Pasując się z sobą, chodził Francuz długo po pokoju: tu śmieszność, której się więcéj bał niż kuli; tam niełaska królowej, gorsza od śmierci.

— Ha! daję ci słowo honoru!—rzekł w końcu—tylko śpiesz się, bo dzwonią do stołu.

Dał tedy rękę, złożył szpadę i tupet, rozebrał się, siadł na gnieździe i okrył się kołdrą.

Posadziwszy Francuza, szepnął coś Winnicki pachotkowi do ucha, przebrał się i uderzając błazeńską buławą Francuza po plecach, rzekł doń z powagą uroczyście:

— Jak wtóry Karol Wielki, pasując na rycerza i daję za herb kurze jaja.

— A, bałamucie niegodziwy! a gdzież się zadział?—zawołał król Jan ujrawszy Winnickiego, a była to prawie pora, kiedy król zasiadał do stołu.

Jak mógł wylgał się Winnicki i bawił króla jak nigdy. Król kazał sobie nalać wina; śmiał się, jadł dobrze i był dobrej myśli, a Winnicki nadskakiwał Francuzom i pochlebiał królowej.

— *Ce fou est bien aimable, quand le vont rarement!*—rzekła królowa łaskawie.

— *Le dessert fini le repas!*—powiedział Winnicki w pół głośno. Po stole pytał go król:

— Przyznaj się teraz, gdzieś siedział tyle czasu? bo żeś nie podupał na zdrowiu, to już cię widzę, kiedy tak broisz!

— Siedziałem w oficynach willanowskich!—odrzekł Winnicki—gdzie z łaski Miłościwego Pana mam pomieszkanie.

— To nie sekret, żeś w oficynach siedział; ale i cóż tam jeden robił? Przychodzi mi się domyślać, żeś rekolekcyi nie odprawiał, kiedy nawet nasz ksiądz kapelan niemał przystępu.

— Com robił? O! tego opowiedzieć niepodobna, a nawet nanie się nie przyda, bo nikt mnie nie uwierzy; ale niestworzone i po wszystkie czasy niewidziane rzeczy mam w swoim pokoju.

— Cóż takiego?—pytali wszyscy ciekawie.

— Nikt nie da wiary, kto na własne nie zobaczy oczy!—odrzekł Winnicki.

— Dajże mi czapkę!—rzekł król—wszakże Winnicki *wety* nam obiecał.

— I owszem, osobliwości, o jakich w tych królestwach nie słyszano.

Królowa, która tego dnia chciała już we wszystkiem królowi dogodzić, kazała przywołać francymier i cały dwór francuzki. Król kazał prosić panów polskich, którzy pod tę dobę na dworze bawili i wszyscy razem się zebrawszy, szli dużym dziedzińcem, ku oficynie na górkę. Największą cichość zalecał Winnicki. Na znak jego otworzył pacholek w największej cichości drzwi. Weszli wszyscy do pierwszej komnaty, kędy wchód do drugiej ujrzeli oponą zawieszony; na téj oponie była karta, a na niej wielkimi literami był napis: *Osobliwości niewidziane!*

— Król gościem u błazna!—zawołał Winnicki—a zdzierając oponę dodał: *I Francuz na kurzych jajach.*

Z wygoloną, jak kolano, głową, bez peruki, siedział zdrętwiały od trwogi i wstydu Francuz, na gnieździe. Porwał się nagle i chciał w kołdrze uciekać, ale uciekać nie było kędy: w oknie krata, a we drzwiach królestwo! Tu dopiero parsknęli wszyscy od śmiechu, bo Francuz powstawszy, odkrył całe gniazdo.

— *Ce mechant fou!*—zawołała królowa udając gniew, a nie mogąc się wstrzymać od śmiechu uciekła, a za nią francymier panien. Ale król z panami polskimi nie mogli się nacieszyć, a naradować tak dziwnym konceptem. Francuz do komina uciekł.

— A gdzie słowo honoru?—wołał na niego Winnicki—wyłaż panie kawalerze z komina, bo zaziębisz mi gniazdo!

Król śmiał się serdecznie, panowie toż samo, ale Francuzów jak wymiótł. Winnicki opowiedział królowi cały proceder rzeczy i rzekł kończąc: „A że się udało w pole wywieść Tatara, o tém wié niejedem; ale że można Fraucaza na kurzych jajach osadzić, to widzieliście mościwe państwo dzisiaj, poraz pierwszy na własne oczy.

Cały dzień jeszcze śmiano się z Francuza, panowie rozpisali listy po całej Polsce o pociesznój sprawie, a nocą jeszcze opuścił dwór królewski ów Francuz skonfundowany i wielu innych. Królowa chciała się niby gniewać, ale nie wypadalo. Król darował bogaty sygnet Winnickiemu, panowie obdarzyli go także sowicie za pocieszną krotoczwilę, którą im wyprawił. Tegoż samego dnia wieczorem, już cała Warszawa gwarzyła radosna o przygodzie Francuza; powtarzano sobie ochotnie wszystkie szczegóły z upodobaniem, gdyż nie cierpiąc dworskich Francuzów, lubili i kochali Winnickiego, jako swojaka, dowcipniejszego od Paryżanów.

Krażyły też podania liczne z XVIII wieku, z okresu panowania Sasów i Stanisława Augusta o Panu Kochanku Radziwille, o dziłkim Mikołaju Potockim, staroście kaniowskim i o innych magnatach, jak powtarzano dowcipy i anegdoty ze *Czwartkowych uczonych obiadów* u króla na Zamku warszawskim, niezawsze przyzwoite, ani godne pamięci. Zacierała je powoli szlachetniejsza tradycyya, gdy powstały legiony polskie we Włoszech, gdy pułki Księstwa Warszawskiego walczyły w Hiszpanii. Krwawy dramat szturmów i zdobycia Saragossy, wszystkich umysły zajmował.

Te wszystkie podania, w żywém słowie, przechowane w Księstwie, długo jeszcze w czasach istnienia Królestwa Polskiego, były przedmiotem rozmów i zajęcia społeczności warszawskiej.

III.

Królestwo Polskie.—Zmniejszone granice.—Józef Zawadzki zamierza wydawać pismo naukowe w Warszawie.—Jego odezwa do miłośników literatury.—Warunki podane.—Pamiętnik Warszawski.—Pierwsi współzawodnicy i redaktor Feliks Bentkowski.—Fortece Serock i Modlin.—Antoni Górecki.—Kantorbery Tymowski.—Jego utwory poetyczne.—Rozwój Pamiętnika Warszawskiego i ważniejsze w nim prace.—Kazimierz Brodziński.—Historya Polska.—Józef Mroziński.—Oblężenie Saragossy.—Wawrzyniec Surowiecki.—Pierwsze objawy Romantyzmu.—Fryderyk Szopen.—Pierwszy utwór ośmioletniego kompozytora, polonez przypisany hrabiance Wiktorji Skarbek.—Adam Mickiewicz jako krytyk.—*Jagiellonida*, poemat bohaterski Dyzmy Bończy Tomaszewskiego.—

Odpowiedź Mickiewiczowi na jego krytykę *Jagiellonidy*.

Z końcem 1814 roku zamyka się okres dziejów Księstwa Warszawskiego, które z karty europejskiej wymazane zostało, a w jego

miejsce powstaje z kongresu Wiedeńskiego (rozpoczęty 1-go listopada 1814 r. w Wiedniu) Królestwo Polskie, w szczyplejszych jednak granicach. Prusy z Księstwa Warszawskiego zabierają 538 mil kwadratów, odcinając zeń departament Poznański o 327 a Bydgoski o 211 milach kwadratowych, wytwarzając z tego zaboru Wielkie księstwo Poznańskie.

Po wieloletnich krwawych walkach i ciężkich zapasach, zawitał wreszcie pożądany pokój, a społeczność polska, oddychając nieco swobodniej, zaczęła rozmyślać o zaspokojeniu swoich potrzeb dochodowych.

Od r. 1810 niebyło w języku polskim pisma peryodycznego poświęconego naukom, po upadku *Pamiętnika Warszawskiego* pod redakcją Ludwika Osieńskiego, mężowie czuwający nad dobrem kraju, i podniesieniu literatury ojczystej zapragnęli organu naukowego. Pozostało grono, chociaż szczupłe z doby *Wielkiego Sejmu*, szersze daleko koło z okresu Księstwa Warszawskiego, biorące udział przeważny w sprawie organizacyi tej części dawniej Rzeczypospolitej. Wszyscy razem oddychali jedną myślą, wszystkich ogrzewało jedno gorące uczucie, gotowości do ofiary i poświęcenia swęj pracy dla ogólnego dobra.

W takim usposobieniu Józef Zawadzki typograf uniwersytetu Wileńskiego i księgarz Warszawski będąc latem 1814 r. w Warszawie, słyszał w ich poważnym gronie, ogólne życzenie, ażeby mogło powstać w Królestwie nowem, pismo peryodyczne naukowe. Zachęty były ze wszystkich stron, w szczególności zaś od Aleksandra hr. Chodkiewicza, który przyszedł dostarczenia potrzebnych rękopismów. W skutek tego Zawadzki pod datą 5 września 1814 r. wydrukował odezwę: „Do miłośników krajowej literatury, w Warszawie przebywających.”

Mniej na czele położywszy nacisk o potrzebie pisma peryodycznego w Warszawie, zażądał, ażeby jak wyraził: „z talentów i uczonęj swęj pracy, na raz jeden raczyli zrobić ofiarę, i dać rękopismów *gratis* stosownych dla pisma, każdy na dwa arkusze druku. Prace te mają być dostawione na dzień 1 listopada tegoż roku, prosząc zarazem, o rękopisma czysto i wyraźnie napisane.”

W dalszym ciągu pozostawił do wyboru tytuł sam: odnowiony *Pamiętnik Warszawski*, albo *Pandora*, *pismo peryodyczne*, albo wreszcie *Miesięcznik Warszawski*.

Każdy z literatów aprobujący ten projekt, na jednym egzemplarzu raczy napisać: „Przyrzekam i na to się podpisuję.” Wydawca tym sposobem otrzymał bezpłatnie zasobu na kilkadziesiąt arkuszy druku, skromnie się wyrażając o honorarium literackim.

Sam wziął na siebie koszta druku i papieru, i przyrzekł, że od 1 stycznia 1815 r. już pismo naukowe wychodzić zacznie w Warszawie, zeszytami miesięcznymi po pięć arkuszy druku. Roczna prenumerata oznaczoną została złp. 40, licząc XII zeszytów, a trzy tomy rocznie. I z tak wydrukowanym programmatem udał się do znanych pisarzy i do

razu pozyskał przyrzeczenia rękopismów *gratis*, od Potockiego hr. Stanisława senatora wojewody dyrektora edukacji publicznej; Prażmowskiego Adama prałata katedry warszawskiej i członka dyrekcji edukacyjnej; Osieńskiego Ludwika słynnego tłumacza Kornela, pisarza przy sądzie kassacyjnym; Niemcewicza J. Ursyna sekretarza senatu; Molskiego Marcina pułkownika, popularnego wierszopisarza; Chodkiewicza hr. Aleksandra pułkownika; Lipińskiego Józefa członka dyrekcji edukacyjnej; Kruszyńskiego Jana sekretarza generalnego w ministerstwie skarbu; Bandtkiego Jana Wincentego profesora w szkole prawa i notaryusza Księstwa Warszawskiego; Surowieckiego Wawrzyńca autora dzieł ważnych: *O upadku miast w Polsce* i *O rzekach i spławach*, w Księstwie Warszawskim; Szaniawskiego Józefa Kalasantego filozofa, i b. prokuratora królewskiego przy sądzie kassacyjnym; Szwejkowskiego Wojciecha kanonika katedralnego plockiego, profesora wymowy w Liceum Warszawskim (późniejszego zanego rektora uniwersytetu Warszawskiego); Szaniawskiego Ksawerego kanonika katedralnego warszawskiego i profesora w szkole prawa; Woronicza Jana Pawła prałata katedry warszawskiej, radcy stanu.

J. Zawadzki zebrał dorazu czternastu, którzy przyrzekli mu swą pomoc. W ich ślady idąc powiększył to grono orszak młodszej generacji w liczbie siedmnastu: tak, że wydawca miał zapewniłone poparcie od trzydziestu jeden osób.

Pomiędzy temi, którzy w drugim rzędzie stanęli, byli: Górecki Antoni, Brodziński Kazimierz, Kantorbery Tymowski, poeci, a historycy Joachim Lelewel i Majewski Walenty Skorochód notaryusz Księstwa. Nie odmówił też swęj pomocy Stanisław Węgrzecki zasłużony pisarz z czasów Księstwa Warszawskiego i prezydent miasta Warszawy późniejszy, kilkakrotnie wybierany na tę godność.

Zawadzki mając już zapewniłone grono poważnych pracowników zaczął się troszczyć o wybór redaktora głównego, któryby tém wydawnictwem kierował. Szczęśliwie zwrócił uwagę na Feliksa Bentkowskiego, profesora Liceum Warszawskiego i autora przed rokiem wydanego wielce szanownego dzieła p. n. *Historja literatury polskiej w spisie dzieł drukowanych wystawiona*, w dwu dużych tomach. (Warszawa 1814 r.).

Bentkowski przyjął chętnie obowiązki redaktora, którym mógł godnie odpowiedzieć. Nakładca ofiarował mu rocznie za pracę redakcyjną, przeglądanie rękopismów, ich poprawę i dobór, oraz korekty, rocznie dukatów sto, z warunkiem nadto, że się postara o rękopisma *gratisowe* dla zapełnienia XII zeszytów.

Przyjął i ten ostatni, chociaż najtwardszy warunek Bentkowski, licząc na gotową ofiarność literatów polskich, z których żaden wówczas nie zamarzył nawet, ażeby z pióra swego mógł jakikolwiek zarobek osiągnąć. Znał on dobrze swą społeczność, i w zaufaniu swém zawodu nie znalazł.

Zaledwie ogłosił prospekt na *Pamiętnik Warszawski*, stanęli przy jego boku do pomocy: Kazimierz Brodziński, Antoni Górecki, Kantorbery Tymowski. Pierwszy, profesor języka polskiego i literatury w szkołach księży Pijarów, dał się poznać z poetycznego talentu i wykładów swoich. Górecki Litwin, zaciągawszy się do armii Księstwa Warszawskiego, z nudów zaczął pisać poezye. Kiedy Napoleon I-szy utworzył Księstwo Warszawskie, wyszukiwał pozycyi strategicznych dla wzniesienia silnej fortecy, któraby mogła dlań stanowić zabezpieczoną miejscowość na skład amunicyi, żywności, przyborów wojskowych, a niepotrzebowała licznej załogi: Serock, przy ujściu Buga do Narwi, ze wzgórzami swemi, wybranym przez niego najprzód został na taką fortecę; wydał téż rozkazy, ażeby roboty ziemne bezwzględnie rozpocząć.

Stało się woli jego zadosyć; ale gdy wkrótce ujrzał pozycyę Modlina pod Zakroczymiem, przy ujściu Narwi do Wisły, polecił zarzucić Serock, a całe siły tu zwrócić, aby co rychléj Modlin został ufortyfikowany. Do robót ziemnych, kopania fos, a sypania wałów, przeznaczoną została kompania piechoty, w której był porucznikiem Górecki.

Mając dozór nad swoimi grenadyerami, ażeby robota szła żywo, całą wiosnę i lato, aż do mrozów i śniegu, spełniał te obowiązki. Nudniejszego życia nigdy nie miał, szczególniej w gorące lato: to téż gdy mógł dopaść cienistego chłodu, z roskoszą w nim zasiadał, brał ołówki i na kartkach pugilaresu zaczął pisać wierszyki pod chwilą natchnienia. Były to bajeczki, pełne myśli nowych jak i zwrotów, albo téż wiersze liryczne lub wywołane okolicznością. Każdy z tych pierwiastków odznaczał się prześlicznym językiem i wykwintną formą artystyczną. Koledzy nieraz schwytawszy na gorącym uczynku z ołówkiem w rękę Góreckiego, zmusili go że im odczytywał co napisał, a radość i uniesienie ich nie miało granic.

Ze wzgórz piaszczystych Modlina, wprędce sława młodego oficera, a znakomitego poety doleciała do Warszawy; nie dziw więc, że Bentkowski postarał się o pomoc dla *Pamiętnika*, już wówczas kapitana Góreckiego, i w drugim zeszytcie I tomu *Pamiętnika Warszawskiego*, pierwszą bajkę jego wydrukował p. n. *Miejska Wrona*.

Raz miejska wrona wpadłszy między wiejskie ptaki,
By dać poznać słuchaczom, godności jest jakiej,
Poczęła rozpowiadać, jak ona w Warszawie,
Po wszystkich pierwszych domach codzien lata prawie;
Jak po Saskim ogrodzie przechadzki używa,
Jak często pod zamkowym dachem przesiadywa:
Jak nieraz w Willanowie.... Wtém kruk co tam siedział,
Znudzony jej rozmową, tak do niej powiedział:
„Przestań! jakżeś z pochwały swemi naprzykrzona!
Cóż ztąd że wszędzie bywasz? kiedyś zawsze wrona!

Górecki lubił czasem docinki: tak gdy raz podporucznik młody robił mu uwagi, nad sypanemi wałami przez jego grenadyerów, a on widział w tych zarzutach dzieciństwo, zaimprovizował zaraz bajeczkę:

„Co ty mnie gnieciesz daremnie!
 Nie będzie tak kurczę ze mnie;”
 Wołało jajko pod kurą,
 A ta mu rzekła ponuro:
 „Milcz! jeszcze tego nie było,
 By jajko kurę uczyło!”

Młody podporucznik, jakkolwiek otrzymał gorzką nauczkę, roześmiał się wesoło z bajeczki, a jej autora serdecznie uściskał.

Kantorbery Tymowski, również żołnierz z armii Księstwa Warszawskiego, bił się w Hiszpanii, a po odbyciu kampanii 1812 r. do Moskwy, za powrotem do kraju, mianowany referendarzem stanu, stale zamieszkał w Warszawie. Lubo pisał poezye niepośledniej wartości i tłómaczył ody Horacego, ale nie drukował i dopiero poraz pierwszy w *Pamiętniku Bentkowskiego* wystąpił z przepysznym wierszem p. n.: *Dumania żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem*; napisane w r. 1810, które wywołało powszechny zapal i oklask.

Stanisław hr. Potocki, mając wiele prac przygotowanych, wspierał dzielnie usiłowania Bentkowskiego: liczył on też na pomoc innych uczonych, zasiadających w gronie Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, oczekując z upragnieniem otwarcia już zapowiadanego uniwersytetu Warszawskiego, spodziewając się, że po jego zorganizowaniu i obsadzeniu katedr, nowe siły *Pamiętnikowi* przybędą. Te nadzieje sprawdziły się rzeczywiście.

Bentkowski napisał *Przedmowę do Pamiętnika* i położył na nią datę 23 grudnia 1814 r., a zeszyt pierwszy ukazał się już 1 stycznia 1815 r. Pismo więc to z ostatniem tchnieniem słabego Księstwa Warszawskiego, a pierwszym oddechem Królestwa kongresowego powstało i rozpoczęło swe życie.

Pierwszy zeszyt dobrze się przedstawiał czytelnikom i zwolennikom literatury ojczystej, tak doborem artykułów jak i ich opracowaniem. Na czele redaktor położył rozprawę p. n. *Z filozofii: O przyczynach wielu uprzedzeń i sarkau przeciwko prawnictwu*. Drugim artykułem była: *Wiadomość historyczna o życiu ś. p. księcia Józefa Poniatowskiego, naczelnego wodza wojska polskiego, ministra wojny Księstwa Warszawskiego, marszałka państwa Francuzkiego, przez Józefa Lipińskiego*.

Wiadomość ta, o życiu ulubionego bohatera, którego zwłoki Warszawa rok przedtém gorącemi łzami oblała, żywe obudziła zajęcie; wrywano sobie z ręki do ręki ten zeszyt *Pamiętnika*, tém bardziej, że w nim, obok tego, znajdowano owo *Dumanie* K. Tymowskiego, które przepisywano na gwałt i uczono się na pamięć.

Przypomnijmy chociaż początek tego wiersza, jędrnym językiem skreślonego.

„Umilkły bębny, gasną tlejące ogniska,
 Księżyc z srebrnego wozu blady promień ciska;

Drżą w bystrych nurtach Tagu niebotyczne bramy
 Zamku, gdzie panowały kiedyś *Abderamy* ¹⁾.
 Wiatr uparto bałwany roztrąca o wieże,
 Których spisz polskiej broni, a odwaga strzeże.
 Stokroć odgłos: „Kto idzie?” wiekami nieznanym,
 Obija się o czarne sklepienia i ściany.
 Bezpieczni tarczą hasła: *zginę lub zwyciężę!*
 Oparci na żelazie spoczywają męże;
 Noc, spokojność rozlewa na całą naturę,
 Mnie tylko sen przerywa wspomnienie ponure!”

Bo przyszła mu na myśl ojczysta ziemia, od której tak daleko się oddalił i musi walczyć przeciw swobodzie hiszpańskiego ludu. Wspomina walecznych towarzyszków broni, którzy w krawych walkach tu zginęli. Wspomina obok walecznego pułkownika Sobolewskiego, prostego żołnierza Suryna; obaj polegli, pokazawszy nadzwyczajne męstwo. Nie zapomina o zdobyciu sławnych wąwózów Somo-Sierra, przez szwoleżerów polskich, pod dowództwem Koziatulskiego.

Zakończa *Dumanie* wyrażeniem gorącego pragnienia swego w klasycznej formie:

„Marsie! coś z walki w walkę wiodąc krok mój śmiały,
 W utrudach dla ojczyzny, szukać kazał chwały
 I stawiał w rotach mężów na Ibru podbicie,
 Nie oszczędzaj krwi mojej, lecz ochraniaj życie!...
 Pozwól jeszcze widoku ulubionych brzegów,
 Szczęściem mojem śmierć będzie, wśród bratnich szeregów!
 Głowę moję na roli ojczystej położę,
 A dłoń Wandy zaszczepli na mym grobie różę!”

Wcześni poeta-żołnierz doczekał się spełnienia swych życzeń; wrócił do kraju, ale w 21 lat później, opuściwszy go, na obcej ziemi, 1854 r., w Bordeaux znalazł mogiłę dla swoich kości strudzonych.

Tymowski niezawsze swą lutnię nastrojał na taki ton poważny i rzewny, nieraz lubiał przygrywki i humorystyczne, jak np. w *téj Odzie do brzucha*, którą czytamy w III tomie *Pamiętnika*.

„Sprężyno życia, wielowładny brzuchu,
 Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu;
 Także, któremu hołdują i trony:
 Brzmią moje stróny.
 Skroń się odchmurza Olimpijskiego pana,
 Gdy piękna Hebe, ugiąwszy kolana,
 Boską prawicą leje ci nektary
 Z Wulkana czary!
 W obliczu twojem równemi są ludzie:
 Ubogi wieśniak w pochylonej budzie,

¹⁾ Nazwisko kilku kalifów, którzy panowali w Hiszpanii.

Mocarz, przed którym sto narodów klęka,
Ciebie się lęka!

Na twe rozkazy uniża się pycha,
Tyś jednym z celów dobrego jest mnicha;
Nieraz on wspomni, nawet przy ołtarzu
O refektarzu.

Ojczy przemysłu! ojczy twórczej pracy!
Daremnie z tobą walczyć chcą próżniacy;
Leniwa ręka, skoro głód dokuczy
Robić się uczy.

Kiedy poecie żołądek się zcieśni,
Stygnie w nim zapał, przerywa swe pieśni
I z uniesieniem za kawał pieczeni
Dramę zamieni.

Ciąglém o tobie staraniem zajęty,
Poci się rolnik, pracuje z bydłety;
Tobie wybite silnym cepem ziarna,
Trą ostre żarna.

Z twego natchnienia młoty iskry sypią,
Chrupią nożyce i podeszwy skrzypią;
Warczy kołowrót, sprzeczne śruby piszcza
I heble świszczą.

Wiatrak się kręci, prędkie szumią młyny,
Wrą kotły, płoną rozległe kominy;
Goreją piece, kołacz się rumieni,
Garnek szepleni.

Wśród zgiełku miasta i w ustroniu wioski,
Kiedy ty łakniesz, glucho rządzą troski;
Gdyś syt: swoboda i wesołość pusta
Otwiera usta.

Tobiem poświęcił język mój i zęby,
Służyć ci mojej rozkoszy jest gęby;
Miło jój, czyli parzy się, czy dmucha, }
Byle dla brzucha!

Syn poważnego kupca warszawskiego, mieszkającego w Bramie Krakowskiej, w tych czasach, Józef Dyonizy Minasowicz, studyjąc naukę prawa w uniwersytetach niemieckich, pierwszy zapoznał nas z utworami poetycznymi Szyllera i przez to rozszerzył sferę naszej wiedzy, że nietylko w literaturze francuzkiej znajdują się piękności, są one może wyższe i w innych. Po nim Kazimierz Brodziński zabrał się także do przekładów Szyllera. Minasowicz w r. 1816 dał się poznać świetnie z talentu, następnym wierszem oryginalnym p. n.: *Człowiek*, który wszystkich znawców zwrócił wówczas uwagę,

„Nieścigły czas sprężyny ujarzmiac słabemi,
W krótkich znakach, na martwym głos kreślić papierze;

Drogi blask koron z łona twardej krzesać ziemi,
 Na piędzi płótna, życie naturze dać świeże:
 Ziejące śmiercią w spiżu zawrzec błyskawice,
 Dźwięk wabiący, w uczonym znaleźć strun przycisku!
 Postrach ludzkiej natury, srogie kielznać lwice,
 Żar słoneczny w krągłego szkła więzić ognisku.
 Cienką rozbrajać igłą niebios zgubne groty,
 Krążyć w z nikomiej kuli, pod niebem dalekiem;
 Dzikie korzyć bałwany, liczyć gwiazd obroty:
 Jestto być częstką Twórcy, jestto być człowiekiem!

Ale zdradzać niewinność zjadliwą słodyczą,
 Deptać ubogą cnotę, zbrodnię wieńczyć można;
 Tracić żonę i dzieci na kartę zwodniczą,
 Palić stosy niewinnych z wściekłością pobożną,
 Zmysły topić i rozum w powolnej truciznie,
 Mrzeć głód na worach złota, które zbytki strwonią;
 Dla podłych zysków, własnej być wrogiem ojczyźnie,
 Rwać krótki życia watek świętokradzką dłonią!
 Wdzierać się w dzieje świata, przez mordy, pożogi,
 Zabijać się o fryny, co twe łoże splamią,
 W niedoleżnych szemraniach wieczne sądzić bogi,
 Lub bełkotać przysięgi, co na ustach klamią!
 Grzeszyć z młodemi laty, gnuśnić z późnym wiekiem:
 Oto są dzieła twoje, co się zwiesz człowiekiem!
 Tyl coś zwalczył żywioły, zmierzyles świat cały,
 Gdy tak wielkim być możesz! czemuż tak mały?"

Wiersz ten czytano z zajęciem, uczono się go na pamięć, tysiące rąk go przepisywało. Był on zapowiedzią wzorowego tłumacza „Precyzy” dramatu muzycznego, który zachwycał naszą publiczność ze sceny teatru narodowego; pierwszy raz bowiem, po większych przekładach tragedji Kornela, obił się o uszy słuchaczy wiersz poety, mistrzowską mową ojczyzną oddany, w którym jedrność języka XVI wieku umiał z powabem i melodyą wymaganą, później powabnie połączyć.

Resztę tego zeszytu pierwszego *Pamiętnika Warszawskiego* wypełniły prawie same tłumaczenia, jak: z dzieła pani Stael-Holstein, wprowadzie głośnego w owe czasy, ustęp: *O obyczajach i charakterze Niemców*: z poematu Jakóba Delilla, w modzie będącego poety: *O imaginacyi*, pieśń piąta, w przekładzie Tadeusza Matuszewicza. Recenzya dzieła J. W. Bandtkiego: *O potrzebie nauki prawa*. Aleksandra hr. Chodkiewicza z chemii: *O nowej istocie, odkrytej w roślinie zwaney wareck*, a wiadomo, że dostojny autor z zapałem oddawał się chemii i tej nauce, nie tylko najpiękniejsze lata poświęcał, ale i część znaczną majątku; terminologii zaś, w tej nauce, oddał znakomite usługi. Zamyka ten zeszyt powiastka, na dwóch kartach, pod napisem: *Spis Przyjaciół*.

Rzecz godna uwagi, że powieść w *Pamiętniku* żadnej roli nie gra. W ciągu lat 7, istnienia tego pisma, znajdujemy 10 powiastek króciutkich, więcej mających na celu myśl moralną i zdrową, niż dramat, lub romans, a żadna z nich nie przeciąga się na dwa zeszyty, bo obejmuje od 2 do 8 lub 12 kartek.

Pamiętnik Warszawski dobrze się zaleciwszy, szczupłemu kółku czytelników polskich książek, rozwijał się dosyć szczęśliwie; współpracowników ciągle przybywało: na stałego współredaktora Bentkowski przyzwał Kazimierza Brodzińskiego, który najpiękniejsze utwory poetyczne w nim umieszczał. Tu poraz pierwszy ukazała się jego sielanka krakowska: *Wiesław*, oraz doborowe przekłady z Szyllera; później dopiero drukował w *Pamiętniku* głośne swoje rozprawy estetyczne: *O klasycyzmie i romantyzmie*, jakby zapowiedź, zbliżającego się króla poetów polskich, Adama Mickiewicza.

Dział poezji poczyste zajmuje w tym organie miejsce i warto zapisać więcej oryginalnych utworów, niż przekładów.

W rzędzie popierających ten dział w *Pamiętniku Warszawskim*, stoi na wydatniejszym miejscu J. Dyonizy Minasowicz. Woronicz pojawia się poraz pierwszy, jako wzniosły narodowy wieszcz, dając ułomek z poematu swego: *Sejm Wiślicki*, albowiem głośny poemat *Sy-billa* w cztery lata dopiero, przyjaciel mu wykradł z teki i wydrukował oddzielnie.

Wstępuje tu Bruno hr. Kiciński z wyjątkami z *Przemian Owidyusza*; Fryderyk hr. Skarbek, który wkrótce, z podziwieniem wielu z arystokracji, objął katedrę ekonomii politycznej w uniwersytecie Warszawskim, a teść jego dumny szlachcic, namawiał z tego powodu córkę, ażeby się z nim rozwiodła, gdyż podług jego wyobrażenia, zhańbił herb swój szlachecki i mitrę hrabiowską, robiąc się *bakalarzem*. Córka, rozsądna niewiasta, głuchą była na te namowy ojcowe. Skarbek, powtarzamy, dał tu satyrę wierszem p. n.: *Konkurent*. Koźmian, Rajmund Korsak, Józef Lipiński (tłomacz Tassa *Serazolimy Wyzwolonej*), Jan Gorczyzewski, Franciszek Morawski, Ludwik Kropiński, Jan hr. Mieroszewski, Władysław hr. Ostrowski, słowem, wszyscy głośniejsi poeci tamtego okresu, zasilali *Pamiętnik*: już oryginalnymi pracami, już tłumaczeniami. *Walter-Skotta* przekładał K. Brodziński, *Odysseę* Homera Fr. Dmochowski (tłomacz *Iliady*), *Ossyana* Władysław hr. Ostrowski i K. Brodziński. Walenty Skorochód Majewski zapoznał nas z „Rękopismem króldworskim,” dając prozą przekłady z niego, starożytnych pieśni czeskich: *Zaboj, Sławoj i Ludiek* (tom XVII), które później, w lat trzydzieści zgórą, po mistrzowsku przełożył wierszem Lucyan Siemieński.

Jakkolwiek Ludwik Kamiński dawał tłumaczenia z angielskiego, przez cały ciąg istnienia *Pamiętnika*, nie znajdujemy, tylko jeden przekład wiersza z Byrona: *Rozstanie się z żoną*, chociaż już używał poeta Albionu wielkiej sławy w Europie. Znać pod tę dobę niemiął jeszcze wielbicieli w gronie naszych poetów, kiedy niedotknięto więk-

szych jego poematów, gdy tłómaczono Ossyana i Walter-Skotta. Dodajmy do tego, że raz przytoczono jedynie (w t. XIX *Pam. Warsz.*) zdanie Francuzów o Lordzie Byronie i jego poezjach, bo nikt się w kraju nie znalazł, któryby umiał samodzielnie ocenić wielkiego poe-
tę angielskiego.

Historya Polska najświetniej się przedstawia w *Pamiętniku Warszawskim*. Bogate materiały dostarczał, z biblioteki zasobnej Willanowskiej, jej bibliotekarz Hipolit Kownacki i pierwszy opracował obszerną monografię: *Dzieje w Księztwie Mazowieckiem*, które się ciągnęły w 4 zeszytach *Pamiętnika*, a w dwóch tomach XVI i XVII. Tomasz Święcki, który już miał przygotowany *Opis Starożytnej Polski*, w rok później wydany; dał do tomu I *Pamiętnika: Opis Podlasia*. Książd Ks. Szaniawski drukował zajmujący ustęp, z księgi oryginalnej wzięty, a pisanéj w Babinie z biblioteki puławskiej: *O Rzeczypospolitej Babińskiej*, który odczytywano z równem zajęciem, jak *Dzieje Mazowsza* H. Kownackiego. Joachim Lelewel wsparł *Pamiętnik: Dziejami panowania Stanisława Augusta* i rozbiorami dzieł historycznych.

Ze wszystkich jednakże prac, w tym dziale pomieszczonych, najwięcej ogół zajęło: *Obleżenie i obrona Saragossy 1808 i 1809 r. podług dzieł pp. Rogniarda i Cavalleros, ze względem szczególnym na czynności korpusu polskiego*, przez Józefa Mrozińskiego, pułkownika. Przypomnieć tu muszę zajmujący szczegół. Mroziński, urodzony w Galicyi i wychowany w szkołach austryackich, nie posiadał dobrze ojczystego języka. Od r. 1807 wszedłszy do armii Księstwa Warszawskiego, w przemarszach po Europie niemiał czasu i sposobności wyuczyć się go lepij. Gdy przyniósł pracę swoją Bentkowskiemu, ten, po odczytaniu, zwrócił autorowi rękopism, dla niegodziwego języka, a chwalać przedmiot, poradził mu, ażeby popracował nad ojczystą mową i napisaną po polsku tę monografię przyniósł, a on, jako rzecz dobrą i zajmującą, chętnie wydrukuje.

Mroziński usłuchał dobrej rady: zaczął się uczyć pilnie, poprawił pracę tamtą i po trzech latach mozolnych studyów, ogłosił drukiem: *Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego* (Warszawa, 1822 r.). Dzieło to postawiło go w rzędzie pierwszych gramatyków polskich. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk mianowało autora członkiem swoim. Krytyka ówczesnie błędnie osądziła głębokie pomysły Mrozińskiego, który w dziełku: *Odpowiedź na recenzye* (1824 r.) wiele ważnych pytań, należących do filozofii gramatyki polskiej, rozstrzygnął, a krytykom zarazem dał tak stanowczą odprawę, że więcej głosu podnieść nie śmieli. Odtąd poczęto układać gramatykę języka polskiego na zasadach Mrozińskiego. Gdy Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk wyznaczyło z grona swego deputacyą, dla ustalenia pisowni polskiej, Mroziński z całą usilnością w niej pracował. Pomnikiem prac deputacyi zostało dzieło p. n.: *Rozprawy i wnioski ortografii polskiej* (Warszawa, 1830 r.), w którym są zamieszczone i jego rozprawy.

Mroziński poprawiwszy *Obleżenie Saragossy*, przepisał na czysto, które bezwzględnie w tomie VIII Bentkowski wydrukował (1819 r.).

Zaledwie zeszyt się ukazał, w którym był początek tego obleżenia, cała inteligencja miejska niesłychanie się tém zajęła.

— Czytałeś obleżenie Saragossy? czytajże, to się zachwycisz!

Takie głosy brzmiały po mieście przez kilka miesięcy, dopóki druk się téj monografii nie ukończył i później jeszcze dobijano się o te zeszyty.

Rzeczywiście, opis jest malowniczy, a nieraz porywający. Poprzestanę tu na jednym tylko ustępie, gdy po krwawych walkach i szturmach postanowiono wziąć na przebój ulicę Cosso, w środku Saragossy będącą. Owoż, jak tę walkę opisuje Mroziński.

„Nakoniec pułk pierwszy polski i batalion 70, czyli raczej ich oddziały dostały się na Cosso, ulicę bardzo szeroką, ogromnemi domami zabudowaną, do której ulice od bramy Engracia i od mostu prostopadle wychodzą. Wszystkie wychody na Cosso, miały przerwy i tamy, w większej części działami uzbrojone. Bateria, wysypana w środku Cosso, miała kierunek przeciw ulicy Engracia, którą kolumna zwycięzka nadsięgała. Na wychód téj ulicy patrzali Hiszpanie z kilkuset okien obszernego Cosso, z bronią na przykładzie. Polacy rzucili się na baterię i odegnali od niej nieprzyjaciela, lecz Hiszpanie ze wszystkich stron niszczyli garstkę tych mężnych. Ranni kapitanowie: Godlewski, Egersdorf; porucznicy: Borowski, Chajęcki, Narwoy; podporucznik: Borakowski Fabian.

Pułkownik Henriot z pułkiem 16, który za 1-szym polskim, już zajętą (oprócz wieży ś. Franciszka) ulicę Santa Engracia, postępował, pokazał się wtenczas w kolumnie w całej sile na ulicy Cosso. Zjawienie się téj masy, zdawało zatrząść nieco obrońców. Kiedy wtém wyszedł naprzeciw nich ksiądz z krzyżem w ręku, wznoszonym ku niebu i wśród głośno wymawianej modlitwy, prowadzący przy sobie panienkę, ledwo 12 lat mającą, ubraną podług wizerunku *Virgen del Pilar*. Wśród ognia i mordów, widok ten dziecka i kapłana modlącego się, zajął wszystkich; cichość wstąpiła na chwilę. Żołnierze z zdziwieniem poglądali na to zjawisko, lecz nakoniec zniecierpliwienci dali ognia do kapłana; ten spokojnie i bez szwanku ustąpił z Cosso, a w tym momencie ze wszystkich dachów, okien i piwnic grad kul sypnął się wśród okropnego ognia i nowy ten atak bezskutecznym uczynił.

Pułkownik Chłopicki zebrał jednak jeszcze ludzi pierwszego pułku i koniecznie z niemi na drugą stronę ulicy Cosso przejść postanowił. Jakoż, lubo nieliczny już wtenczas był ten oddział, przeszedł jednak nakoniec, tę tak trudną do przebycia ulicę, opanował uliczkę Arco de Cineja, przeciwległą ulicy Engracia, zdobył kilka w niej domów; lecz, będąc rannym, zaledwie z téj uliczki przez żołnierzy wyniesionym został, a pułkownik Fondzielski z trudnością uprowadził resztę oddziału.”

Scen podobnie zajmujących, nie braknie w opisie Mrozińskiego, a tak żywe opowiadanie musiało zachwycać współczesnych, gdzie, wśród walczących znajdowali imiona swoich ojców, synów, mężów, braci i krewnych, którzy brali przeważny udział w *tęj walce na noże*, jak się wyraził dowódzca Saragossy.

Obfitość historycznego materiału, z jakim poraz pierwszy zapoznaliśmy się z *Pamiętnika Warszawskiego*, nadawała mu znaczenie i powagę, a dla młodych badaczy dziejów, otwierała się bogata skarbnica wiedzy. Nietylko z biblioteki Willanowskiej i Puławskiej nowe zdobywaliśmy wiadomości, ale znajdowaliśmy i z dalekich archiwów wydobyte, jak: *List Jana Długosza do Zbigniewa Oleśnickiego*, zaświadczenie z r. 1469, iż Mikołaj Kopernik, obywatel toruński z żoną i dziećmi swojemi przyjęci do uczestnictwa dobrodziejstw duchownych, od prowincyi polskiej zakonu kaznodziejskiego, Kazimierza Jagiellończyka układ w przyjęciu ludzi, w dyalekcie czesko-polskim; wyciągi zajmujące, z rękopismów księdza Stanisława Górskiego i wiele innych.

Adam Czarnocki, pod pseudonimem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, w *Cwiczeniach Naukowych* wystąpił z rozprawą pełną młodzieńczego zapału, p. n.: *O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej*, która wywołała piorunujące wrażenie na młode umysły i stała się powodem, że zaraz znaleźli się ochotnicy do zbierania podań, pieśni i obrzędów ludowych. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk pobudziło nawet do ogłoszenia konkursu do badań etnograficznych. Praca ta, prozą napisana, czytała się jak poemat: wrywano ją sobie. Dobry znawca w tym przedmiocie Wawrzyniec Surowiecki, pomieścił zdanie swoje o niej, wykazując gruntownie i ze znajomością rzeczy, dodatnie i ujemne strony *tęj* rozprawy. Jeżeli surowym, a sprawiedliwym poglądem ostudził zbyteczny, młodzieńczy zapal, nie zniechęcał przecież do badań w tym kierunku i utwierdził raczej gotowych ochotników do wędrówki po kraju.

To bogactwo historycznego materiału nadało i nadaje wysoką wartość zbiorowi tego organu w XXI tomach; ztąd i dziś, pomimo przeszło półwiekowego przedziału czasu, pożądanym jest *Pamiętnik Warszawski* dla każdej staranniejszej biblioteki prywatnej.

W pośród klasycznego spokoju i ślepego naśladownictwa francuzczyzny, która, z powodu bliższych stosunków, trzymała przewagę w wychowaniu domowém i w literaturze; w samym *Pamiętniku* dostrzegamy już objawy romantyzmu, lubo nie pod tym tytułem.

Pieśni Ossyana, nie dziwimy się, że znalazły w ogóle przyjęcie, gdyż wiedziano, że utwory kaledońskiego barda są ulubione przez Napoleona. Ale ukazały się przekłady Szyllera: *Pieśni litewskie, serbskie, czeskie* z „Rękopisu królodworskiego;” ukazał się nawet jeden sonet W. Reklewskiego, rzecz niesłychana w literaturze naszej, od czasów Sępa Szarzyńskiego. Romantyczne dramata Grillparzera, Szyllera, poemata Walter-Skotta, jak: poemat „Ostatniego barda w VI pieśniach.

Największy tu udział, w tych nowościach, bierze Kazimierz Brodziński, który je tłómaczy, a Bentkowski drukuje.

W *Pamiętniku Warszawskim* pojawiają się dwa imiona, zwłaszcza największych geniuszów polskich w muzyce i poezyi: Fryderyka Szopena i Adama Mickiewicza. O pierwszym wyczytujemy w r. 1818 (tom X), następną wiadomość. „Lubo kompozytorów muzyki nie liczymy do pisarzy literackich (niemniej jednak są i ci autorami), przemilczéé jednakże przed publicznością niemożemy, kompozycyi następującej, przez przyjacielskie ręce sztychem upowszechnionéj: *Polonoise pour Piano-forte, dedie a son Excellence Mle. la Comtesse Victoire Skarbek par Frideric Chopin age de 8 ans*. Kompozytor tego tańca polskiego, młodzieniec ośm dopiero lat skończonych mający, jest synem Mikołaja Chopin profesora języka i literatury francuzkiéj w *Liceum Warszawskiém*, prawdziwy geniusz muzyczny; nietylko bowiem z łatwością największą i smakiem nadzwyczajnym, wygrywa sztuki najtrudniejsze na fortepianie, ale nadto jest już kompozytorem kilku tańców i waryacyi, nad któremi znawcy muzyki dziwić się nieprzestają, a nadewszystko zważając na wiek dziecinny autora. Gdyby młodzieniec ten urodził się w Niemczech lub we Francyi, ściągnąłby już zapewne uwagę na siebie wszystkich społeczeństw; niechże wzmianka niniejsza służy za skazówkę, że i na naszej ziemi powstają geniusze, tylko że brak głośnych wiadomości ukrywa je przed publicznością.”

Uznanie Fryderyka Szopena za geniusz muzyczny, nie było czczą przechwałką, późniejsze lata uznały tego muzyka w całej Europie za prawdziwy geniusz.

Adam Mickiewicz występuje w *Pamiętniku Warszawskim*, nie jako poeta, ale jako krytyk. W r. 1818 w Berdyczewie wyszła z druku epopeja p. n. *Jagiellonida Dyzmasa Bończy Tomaszewskiego*. Wyjutki z niéj autor na rok przedtém pomieścił w *Dzienniku Wileńskim*. Mickiewicz temu utworowi poświęca obszerny rozbiór.

„Nim biegleszy krytyk (mówi na początku) dokładniej oceni piękności i wytknie uchybienia poematu o którym mowa, przedsięwziętem tymczasem, krótkie tak co do rzeczy, jako i co do stylu poczynić nad nim uwagi? Następnie podawszy pogląd swój na całość utworu, przechodzi szczegółowo każdą pieśń” (a jest ich XII).

Wspomina o piękniejszych ustępach jako téż i o ujemnych. Z całą ścisłością klasycznego krytyka, nie przepomina usterków języka, jak i wierszy niegładkich, nieharmonijnych. W ogóle w tym przeglądzie wykazuje Mickiewicz niepospolitą znajomość starożytnych literatur, jak i późniejszych: włoskiéj, angielskiéj, francuzkiéj.

Tomaszewski urodził się w okresie Sasów, wychowany w szkołach Jezuickich, niemałych zdolności, pracował w kancelaryi króla Stanisława Augusta, zkąd idąc za popędem wrodzonym przystąpił do konfederacyi Barskiéj, i mianowany w jéj wojsku rotmistrzem, raniony pod Landskroną dostał się do niewoli. Za wstawieniem; się króla Stanisława Augusta z niéj uwolniony, wrócił do poprzednich obowiąz-

ków przy jego boku. Otrzymane ze spadku po ojcu pieniądze, pożyczyl Szcześniemu Potockiemu, wziął od niego w dzierżawę wieś Popówkę i przeniósł się na stałe mieszkanie do Tulczyna. Stawszy się zażyłym ze Szcześnieym i dzieląc jego przekonania polityczne, chętnie przyjął powołanie na sekretarza konfederacyi Targowickiej. Jako autor już drukował swoje utwory w wieku ubiegłym, komedye gładkim wierszem (*Malżeństwo w rozwodzie*, w trzech aktach, 1781 r. *Pierwsza miłość*, w trzech aktach, 1805 r.). Na początku naszego stulecia w Krakowie wydał poemat: *Rolnictwo* (1802 r.), a w r. 1818 *Jagiellonidę czyli połączenie Litwy z Polską*. Poemat ten miał wielkie powodzenie. Drukowano go po dwakroć w Berdyczowie, oraz w Połocku. Drobniejsze jego prace wyszły w dwu tomach w Warszawie p. n. *Pisma wierszem i prozą*, 1822 r. Umarł na Ukrainie r. 1825.

D. B. Tomaszewski w przedmowie daje do zrozumienia, że utwór swój uważa za *poemat rycerski* i pisze dalej, nazywając Jagiellonidę: „za pierwszą na ziemi Polskiej urodzoną dziecinę, która ani z dzieł narodowych, jakiego wzoru, ani z pisarzy krajowych, żadnego nauczyciela niemiała.”

Słusznie więc Mickiewicz mu odpowiada w końcu swój krytyki: „autor, widocznie Jagiellonidę chciał uważać za *epopeę*; historycznych albowiem poematów w polskim języku, liczne mamy wzory, pod tym względem Jagiellonida, *pierwszą dzieciną* nazywaćby się nie powinna. Dalej czytamy: „W kolebce będąca (dziecina) słabemi się tylko tłómacząc wyrazami, nie jest zdolną rozwinąć swój myśli, i niemi zachwycić czytelników.”

„Chce więc autor (dodaje Mickiewicz) tym sposobem wymawiać niedokładność dzieła swojego, bardzo, jak się zdaje niestusznie: co do rzeczy albowiem i co do układu, można w niedostatku polskich, z równą korzyścią zagranicznych wzorowych radzić się pisarzy. Co do języka, chyba go autor uważał za niewyrobiany i niezdolny do wydania górnych epopei myśli. Co iż tak nie jest, dowiodły nam, (że nie wspomnę wojny Chocimskiej, która pomimo swoich niedokładności, jest od Jagiellonidy wyższą), piękne tłómaczenia *Jerozolimy wyzwolonej*, *Iliady* i poezye Trembeckiego, do których gdyby się autor przybliżył, nadałby daleko wyższą wartość dziełu; dziś jednak jako pamiątka czynów narodu naszego, z przyjemnością od ziomków czytana będzie.”

Zamknięcie w tych słowach krytyki Mickiewicza, daje nam miarę małej wartości Jagiellonidy, gdy wyżej nad nią stawia wojnę Chocimską, jeden z najslabszych utworów I. Krasickiego, który jak wiadomo napisał na usilne żądanie króla Stanisława Augusta. Ten bowiem uważał za ubliżenie, że gdy francuzi cieszą się *Henryadą* Woltera, a nasza literatura nic podobnego niema, Krasicki postuszny woli monarchy, przemógł własne natchnienie, i dał podobiznę *Henryady*, równie bladą i słabą.

Autor Jagiellonidy, pisarz kancelaryi królewskiej, konfederat Barski, w końcu Targowiczanin, wielbiony przez współczesnych jako

znakomity poeta; dotknięty żywo krytyką Mickiewicza, chociaż już w latach sędziwych, mieszkając na Ukrainie porwał za pióro, ażeby recenzentowi swemu odpowiedzieć. Ze jednak nie uważał za stosowne samemu występować, uprosił jednego z przyjaciół swoich, który zaraz w następnym tomie Pamiętnika Warszawskiego (tom XIV), złożył redaktorowi pomienionego pisma: „Odpowiedź na uwagi nad Jagiellonidą, umieszczoną w pierwszym numerze Pamiętnika Warszawskiego 1819 r.”

Z niej się dowiadujemy, że Tomaszewski używał takiej sławy pod owe czasy, że go zwano *Delilem polskim* i jego poemat dydaktyczny *Rolnictwo*, przełożony na język niemiecki, wydany został w Wiedniu 1802 r.

Bezimienny obrońca, stając po stronie autora Jagiellonidy, odpierając przywiedzione przez Mickiewicza prawidła, jakich się powinna trzymać epopeja i co ją stanowi: osłania się tarczą powagi Woltera, przywołując we wstępie do *Henryady* wyrzeczone przez tegoż słowa: „Osobliwie też w poezyi, krytycy i rozbieracze napełnili prawidłami całe tomy, nad kilku wierszami, które wyobrażnia poetów igrając z niemi, utworzyła. Są to tyrani, którzy chcieli ujarzmić prawami swemi naród wolny, charakteru jego nieznając. Dlatego też częstokroć, mniemani ci prawodawcy pomieszali wszystko w tym narodzie, którym zarządzać usiłowali.”

Pomijamy dalszą obronę, co do szczegółów wypadków i postaci wprowadzonych do działania jak i słabych wierszy i ustępów wykazanych przez Mickiewicza, ale przywiedziemy jeszcze zakończenie tej odpowiedzi.

„Ze wojna Chocimska Krasickiego jest od Jagiellonidy wyższą, zapewne na to autor się, powodowany zawsze swą skromnością, zgodzi. Nie chciał on iść o spór z tym wielkim naszym poetą: napisał Jagiellonidę nie żeby zostać autorem, ani aby zazdrościć komu nabytęj chwały, ale pisał w chwilach wolnych nachylonego wieku, dla swych przyjaciół i ziomeków, którzy mieć ją potem wydaną pragnęli. Nie drukował jęj w Wilnie ani w Warszawie, dla prędszego się jęj rozejścia, ale w ustronném ukraińskiem miasteczku. Doszło jednakże wprędce to dzieło do zbioru sławnych mężów akademii Wileńskiej, uznali go na posiedzeniu swoim dnia 15 października 1818 r., godném swego przeznaczenia i oddawszy autorowi zasłużone pochwały, w liście pisanym do niego przez JW. Malewskiego rektora, mianowali go tegoż uniwersytetu członkiem honorowym, odsyłając mu do jego domu dyploma. Drukował to dzieło własnym kosztem, nie zbierając za nie prenumeraty, i dla tego za zawód wyłudzonych częstokroć na wiarę autora składek, odpowiadać publiczności nie winien. Życzyłbym krajowi, żeby wszyscy literaci, podobnie życie swoje przepędzając, tak go kończyli. Łatwiej jest krytykować i ganić niż pisać: zbyt ostrą krytyką literatura krajowa się nie wzmoże. Komu los nie dał złota lub srebra, choćby się znał doskonale na ich cenie i próbie, ani sam nie będzie bogatym, ani drugich takimi nie uczyni. Potrzebna jest zape-

wne na dzieła wychodzące, na światło publiczne, uczona krytyka, byle była sprawiedliwą: tą smak się kształci; ona geniuszowi narodowemu, często wyższy polot nadaje, lecz choć mała szczypta *grzechności* do niej przymieszana, nietylko jój nie osłabi, ale ją przyjemniejszą i sposobniejszą do użytkowania z niéj uczyni."

Tak pan A. C. kończy swoje *odpowiedź*. Dyplom nadesłany autorowi Jagiellonidy, nie podnosi bynajmniej wartości tego utworu; dostojni profesorowie uniwersytetu pragnęli poetę wynagrodzić za myśl i treść poematu, ale nie za jego wykonanie. Wiodło ich obywatelskie uczucie, a nie zachwyt z samego utworu. Zatrzymaliśmy dłużej uwagę czytelnika nad tym drobnym napozór sporem; ale wedle naszego zdania zajmującym, raz że występuje w nim po raz pierwszy i ostatni w Warszawie Mickiewicz, a powtóre, że daje nam sposobność bliższego poznania pojęć ówczesnych literackich. We trzy lata później Tomaszewski doczekał się wystąpienia Mickiewicza jako genialnego poety, i nim zakończył dni swoje, imię twórcy *Dziadów* i *Grażyny* zabrzmiało już sławą po całej Polsce.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Kronika lwowska.

Książę Leon Sapieha.—Wystawa obrazów.—Trzy wykłady publiczne Wojciecha Dzierżuszyckiego: *O cnocie i występku*.—Wydawnictwo Biblioteki filozoficznej: Kartezjusza: *Rozprawa o metodzie poszukiwania prawdy w naukach*.—Wydawnictwo księgarni polskiej: *Historja wielkich odkryć geograficznych w XV i XVI wieku*, przez Oskara Peszla.—*Rzecz o pojedynku* przez dra Rosenblatta.—*Choroby Galicyi*, serya druga, przez Józefa Rogosza.—*Wrażenia z podróży na Wschód* przez Józefę Treterową.—Eugeniusz Janota.—Hipolit Stopnicki.

Piszę pod wrażeniem smutnej wieści, która obiegła i żalem przejęła kraj cały, pod wrażeniem wiadomości o śnierci księcia Leona Sapiehy, który zmarł w Krasiczynie w siedmdziesiątym piątym roku życia i tam w grobach rodzinnych w zamkowej kaplicy pochowany. Straty takie, jaką kraj poniósł przez ubytek męża takich zasług i zacności obywatelskiej, jak ś. p. książę Leon, nie mierzą się chwilowém wrażeniem. Pamięć jego pozostanie zapisaną w dziejach Galicyi, ostatnich lat czterdziestu, w dziejach jój najgłówniejszych instytucyi publicznych, których zmarły był po części twórcą, a po większej części osobistym też kierownikiem.

Aby ocenić rozległą działalność ś. p. księcia i jej doniosłe skutki, zwłaszcza w sferze ekonomicznego rozwoju stosunków krajowych, jego prace podjęte w tym kierunku, zasługi jakie położył, stanowisko jakie sobie zdobył w kołach obywatelskich: potrzeba spojrzeć jaką i czém była Galicya przed laty czterdziestu, w chwili, gdy ś. p. książę Leon, przybywszy i stale tutaj zamieszkawszy, jął się pracy publicznej, aby ile siły i okoliczności dozwoliły przyczynić się do podniesienia dobrobytu kraju i otworzyć mu źródła tych zasobów, które kraj wprawdzie posiadał, ale które pozostawały lub całkiem nieznanne, lub zaniedbane, bo nie było nikogo, coby je umiał należycie wyzyskać lub stworzyć, przyłożywszy umiejętną do tego rękę. Śmiało można powiedzieć, że Galicya nie dalej jak przed laty czterdziestu była jakby zupełną pustką, w której nie było nic zgoła z tego wszystkiego, co daje oświatę i zamożność społeczeństwu, co jest warunkiem postępu i powodzenia. Galicya była z natury krajem rolniczym, i z rolnictwa jedynie ciągnęła swe dochody; ale rolnictwo prowadzone nieumiejętnie, stało na najniższym stopniu, uprawiane wedle zasad zwyczajowych, tradycyjnie z pokolenia w pokolenie przekazywanych, a raczej bez żadnych zasad, bez świadomości jego postępu za granicą, bez znajomości jego właściwych podstaw i środków pomocniczych. Galicya posiadała surowe materiały, ale nie miała fabryk, aby takowe u siebie w domu przerobić i zużytkować; a nie miała i mieć nie mogła fabryk ani przemysłu, bo nie miała ku temu usposobionych ludzi, którzyby je umiejętnie i z zastosowaniem do okoliczności miejscowych prowadzić potrafili, bo nie miała ani jednej szkoły technicznej, przemysłowej lub gospodarskiej; marniały więc zasoby, które dobrze prowadzony przemysł gospodarski, fabryczny i rękodzielniczy mógłby być z korzyścią kraju wyzyskać. Handel wreszcie cały był w rękę obcém, a rozwinąć się nie mógł, bo Galicya nie posiadała dwu głównych rzeczy, bez których obrot handlowy nie może się ożywić jak należy: nie posiadała komunikacji i instytucji kredytowych, tych koniecznych dwu warunków rozkwitu handlu i zamożności krajowej.

Wszystko zatem było do zrobienia. Od lat wielu, pod wpływem rozmaitych składających się na to warunków, pozostawała Galicya jakby w śnie apatycznym, w beczynnym letargu, z którego nie było komu ją wyprowadzić. Potrzeba było na to wyższego energicznego umysłu, bogatego świadomością rzeczy, obdarzonego duchem inicjatywy, będącego w stanie objąć szerokim poglądem położenie kraju, jego potrzeby i zasoby, i zdolnego do wytrwałej i wszechstronnej pracy w obranym kierunku. Takim był właśnie ś. p. Leon Sapieha. Oprócz zdolności osobistych, mianowicie wielkiej bystrości w rzeczach finansowych i ekonomicznych, którą szczególnie się odznaczał, przywiózł on z sobą do Galicyi doświadczenie nabyte rozpatrzeniem się w doskonale uorganizowanej wówczas administracji Królestwa Kongresowego, praktyczną znajomość skarbowości, stosunków handlowych, przemysłu w jego rozmaitem rozgałęzieniu, wreszcie rutynę urzędniczą i wytrwa-

łość, znamionującą przez całe życie wszystkie jego czynności. Umiał on gromadzić w około siebie ludzi dobrych chęci i wyższych zdolności. Talent i dobra wola marnowały się przedtém nie mając punktu oparcia, z którego płynęłaby ożywiająca pobudka działań. Tym punktem stał się wnet po przybyciu do Galicyi, książę. Wnet poznał czego krajowi potrzeba, w czém leżały przyczyny wszystkich jego niedostatków i gdzie źródła zaradczych szukać należy. Aby podnieść gospodarstwo rolnicze staroświeckim sposobem prowadzone, podczas gdy wszędzie za granicą rozwijało się torem umiejętnego postępu, książę zawiązał w roku 1840 *Towarzystwo gospodarskie*, które pierwotnie przez wiele lat pod jego rozwijało się kierunkiem. Za jego pobudką, a powiększłej części i za jego pieniądze, gdyż on był jednym z głównych akcyonaryuszów, zakupiło Towarzystwo położony pod Lwowem majątek Dublany i założyło tamże *Szkołę rolniczą*, która obecnie wraz z całym gospodarstwem przeszła na własność kraju, pod opiekę sejmu i władz autonomicznych. Szkoła ta wydała już całe pokolenie umiejętnie wykształconych rolników i gospodarzy, i od jój założenia datuje się wzrost umiejętnego gospodarstwa w Galicyi. Przemysł i handel nie mógł się podnieść, bo potęga spółek i stowarzyszeń była tu podówczas wcale nieznaną. Jeżeli ktoś sam własnymi siłami założył jaką fabrykę, miała ona już w swém założeniu zaród upadku i zazwyczaj też upadała po kilku latach, najprzód dla braku umiejętnego, stosunkom miejscowym odpowiedniego prowadzenia, bo kraj nie mający przysposobionych do tego krajowców, musiał się posługiwać sprowadzonymi z zagranicy ludźmi, nie znającymi zasobów ni potrzeb kraju; powtóre zaś dla tego, iż ciężar tych przedsiębiorstw przechodził pojedyncze siły tych, co się na nie kasali. Tak upadła po niedługim byciu na wielki rozmiar założona fabryka maszyn rolniczych hr. Uruskiego w Biłce pode Lwowem i ogromna pierwsza w Galicyi cukrownia hr. Henryka Dzieduszyckiego w Tłumaczu. Książę Sapiaha usiłował wprowadzić przemysł i handel krajowy na drogę właściwą, przez zawiązywanie spółek w rozmaitym kierunku gospodarskim i handlowym. I tak: zawiązał był spółkę wywozu zboża za granicę, przez co zamierzał wyrwać handel zbożowy z ręki cudzoziemskich kupców, którzy korzystając z nieporadności gospodarzy galicyjskich, opanowali go byli ze wszystkiém. Równocześnie wyjednał u rządu pozwolenie na założenie pierwszej w Galicyi instytucji kredytowej hipotecznej, *Towarzystwa Kredytowego*, i sam zajął się jego organizacją, pracując jako prezes Towarzystwa przez lat wiele, około doprowadzenia go do tego świetnego stanu, w jakim się obecnie znajduje. Miał tu książę najobszerniejsze pole rozwinięcia swych zdolności finansowych i swego w tym zawodzie doświadczenia. Jakoż Towarzystwo Kredytowe rozwinęło się bardzo świetnie i jest dzisiaj pomiędzy instytucjami publicznymi w Galicyi, jedną z najznakomitszych. Podał też pierwszy książę myśl założenia *kasy oszczędności* we Lwowie i zajął się jój organizacją. Zakład ten równie świetnie dzisiaj stojący, posiada już znaczny fundusz

rezerwowo, z którego, w myśl statutów swoich, część pewną obraca na cele dobroczynne i humanitarne, głównie ku podniesieniu oświaty i moralności niższych warstw społecznych. Na dziesięć lat przed rokiem 1848, który sprowadził wraz ze zniesieniem poddaństwa i uwłaszczeniem włościan, zupełną zmianę stosunków społecznych, starał się książę utorować drogę tej wielkiej reformie, podjąwszy wiele wcześniej myśl *oczyszczania włościan* w Galicyi, którą usilnie popierał u rządu, w sejmie i w kołach obywatelskich. Wypadki wyprzedziły jednak jego starania, urzeczywistniając odrazu i niespodziewanie to, do czego w zwykłych okolicznościach nie można było dojść inaczej, jak stopniowo, powolną pracą reformatorską i organizacyjną. Równocześnie mając na względzie podniesienie handlu galicyjskiego, starał się ś. p. książę Sapieha o *budowę kolei żelaznej*, któraby, wzdłuż całą przerywną Galicyą, stworzyła dla handlu galicyjskiego niezmiernie ważną arterią komunikacyjną, łączącą Lwów z Wiedniem i targowiskami zachodniej Europy. Tym celem kazał swoim własnym kosztem wykonać trasowanie tej pierwszej, proponowanej przezeń linii, i wypracować kosztorysy. Wypadki, które przyspieszyły uwłaszczenie włościan, przeciwnie odroczyły budowę kolei. Wszelako nie odstąpił od swej myśli książę i przeprowadził ją później w inny sposób, i w innych okolicznościach; a Galicya jemu przeważnie winna pierwszą swą *kolej*, tak zwaną *Karola Ludwika*, której przez lat wiele był prezesem rady nadzorczej.

Jeżeli zważymy doniosłość tych wszystkich, powyżej wymienionych instytucji, które żyją, rozwijają się i plon przynoszą; jeżeli rozglądnijemy się w dzisiejszym stanie Galicyi i porównamy z tém czém była przed laty czterdziestu, to zrozumiemy zasługi księcia Sapiehy, których mu najzawziętsi nawet nie mogą zaprzeczyć przeciwnicy. W roku 1861 mianowany marszałkiem kraju, złożył prezesostwo Towarzystwa gospodarskiego i Kredytowego, na co już przy nowych zatrudnieniach w wydziale krajowym, czasu nie stawało; i usunąwszy się od prac ekonomicznych, które go wpraw w główne zajmowały, poświęcił się zupełnie niemal sprawom konstytucyjnym i autonomicznym, przewodnicząc sejmom i kierując pracami wydziału krajowego. Na tamtém polu zastąpili go inni ludzie, których zastęp wykształcił się z czasem, których instytucye same sobie zwolna przysposobiły. Okoliczności zmieniły się w ciągu lat czterdziestu. Obudzilo się życie we wszystkich kierunkach i Galicya weszła pod każdym względem na drogę postępu, co jęj i najzawziętsi pesymiści przyznają. Jeżeli porównamy Galicyą dzisiejszą z jęj stanem przed laty pięćdziesięciu, zdumiewającą zobaczymy różnicę! Wówczas ubóstwo zupełne moralne i materyalne—cisza i pustkowie, w pośród którego z Dyogenesową latarką potrzeba szukać człowieka: dziś skrzętnych pracowników na każdym znajdziemy polu; a chociaż wiele do zrobienia pozostaje, choć praca zaledwo zaczęta, przecież niepodobna zaprzeczyć, że weszliśmy przynajmniej na drogę, po której stąpając

zbliżamy się acz zwolna ku temu celowi, u którego oświecone społeczeństwa znajdują dobrobyt i potęgę moralną. Mamy przynajmniej ku temu środki nagromadzone, mamy zakłady publiczne będące źródłem zamożności społeczeństw i postępowego ich rozwoju. Historyk, któryby zamierzał opisać dzieje tych wszystkich instytucji, od pierwszego ich zawiązku do chwili dzisiejszej, i skreślić stan ich obecny, przedstawiłby zajmujący obraz usiłowań podjętych w rozmaitym kierunku, zwłaszcza w zakresie ekonomicznym; pomimo tego w znacznej części pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem, dzięki jedynie niezmiernej wytrwałości i roztropnemu, a umiejętnemu prowadzeniu. Z dziejami temi biografia ś. p. Leona Sapiehy, ściśle musiałaby być połączona.

*

*

*

Wystawy obrazów pominąć niepodobna. Jest to uczta artystyczna, którą nam sprawia co rok nasze Towarzystwo Sztuk Pięknych. Bywa ona bogatszą lub uboższą, wedle okoliczności i zamożności gospodarza, który ją urządza. W tym roku, gdy wszystko co znakomitszego na polu sztuki się znalazło, odbywało podróż do Paryża, na tamtejszy popis międzynarodowy, z której my Polacy z taką wyszliśmy chlubą; wystawa lwowska tém samém musiała być uboższą niżeli lat innych, zmuszona niejako poprzestać na tém, co pozostało w domu. Niemniej przeto było tu wiele pięknych rzeczy, a liczba dzieł wystawionych dochodziła dwustu, co jak na Lwów jest liczbą dosyć poważną. Dodać tu jeszcze winienem, że komitet znawców, oceniający dzieła mające być umieszczonemi na wystawie, staje się z każdym rokiem coraz więcej wymagającym, tak iż od niejakiego czasu nie widzemy już, a przynajmniej z małym bardzo wyjątkiem, owych niedołącznych nieraz prób pędzla, z którymi początkowo bywało zdybywaliśmy się na tutejszej wystawie. Pomyślny to objaw wzrostu sztuki, jeżeli być można coraz surowszym w krytyce, a pomimo tego mieć czém zapełnić doroczną wystawę. Nie będę szczegółowo opisywać wystawy, chociażby dla tego, iż po większej części znajdujące się na niej obrazy malarzy krakowskich, mnichowskich, warszawskich, pomiędzy którymi kilka Gersona i t. d., znane są Warszawie z wystawy Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Poprzestanę zatem na pobieżnej jedynie wzmiance o utworach naszych tutejszych miejscowych artystów, aby dać niejaki przynajmniej wyobrażenie, jak, nad czém i w jakim kierunku pracują malarze nasi lwowscy, nie znajdujący w szczupłym tutejszym zakresie artystycznym innych zasobów i pobudki, oprócz własnego talentu i zamiłowania sztuki, dającego wytrwałość w pracy, wraz z natchnieniem w własnej zacerpniętém duszy.

Mamy we Lwowie kilku malarzy, którzy sławę polskiej sztuki chlubnie utrzymują na wielkich wystawach światowych. Rodakowski, Tępa, Grabowski uzyskali medale lub dyplomy honorowe w Paryżu,

Wiedniu i Filadelfii. Ale mamy już i młodszy zastęp artystów, na których pierwsze niedawno patrzyliśmy kroki, a którzy dziś już tak wysoko stanęli, że godnymi starszego pokolenia będą następcami. Do tych zaliczyć wypada przede wszystkim Sidorowicza, którego dwa krajobrazy i portret kobiecy, powszechną zwróciły uwagę. Szczególniej krajobrazy okazały, jak znakomity w tym rodzaju przybywa nam artysta. Dotąd znaliśmy go tylko z portretów i prób pomniejszych. Sidorowicz, to dziecko lwowskie: kształcił się w wiedeńskiej szkole sztuk pięknych kosztem tutejszej rady miejskiej, która, jak się z świetnych okazuje wyników, nie mogła lepiej użyć udzielonego mu przez lat kilka stypendyum. Dzisiaj to już malarz skończony, nie tylko władający doskonale techniką pędzla, ale umiejący odczuć piękność przyrody i odtwarzać ją w całym wdzięku, widocznym tylko wtajemniczonymu oku artysty i poety. Jego *Droga do wsi* i *Zachód słońca* posiadają urok kompozycji, wynikającej z takiego właśnie pojmwania i zrozumienia przyrody. W pierwszym okolica samotna, na dali wioska, i pusta po piaskach ciągnąca się droga; wreszcie samotny błyskający w dali płomyczek ognia palonego przez pastuszków w lasu krawędzi: wszystko to jakby jakąś melancholijną owiane atmosferą, przypomina wioskę naszą i step podolski, w którym długo i tęsknie buja oko i myśl się kąpie w zadumie. Rozleglejszą gamę barw i wrażeń obejmuje drugi krajobraz, przedstawiający *Zachód słońca*. Ten lazur nieba zorzami zachodu ozłocony, ta wód przejrzystość, ta samotna kępa drzew z rzadka rozrzuconych na wzgórzu, jakże to wszystko urocze, harmonijnie piękne; zdaje się że przeglądamy wielomilowe przestrzenie, taka rozległość perspektywy, taka powietrza obfitość. Słowem w Sidorowiczu będziemy mieli znakomitego pejzażystę, a dziś już widoki jego mogą się śmiało mierzyć nawet z krajobrazami Świeszewskiego, Maleckiego i innych zdawna znanych i doświadczonych w tym rodzaju mistrzów.

Penter to także Lwowianin, chociaż od lat ośmiu bawi stale za granicą. Tu urodzony, tu pierwsze odbywał pole, tu się po części kształcił; ukończonym już będąc artystą, przed wyjazdem do Włoch tutaj stale miał swą pracownią, a na wystawie tutejszej co rok prace jego oglądamy. Penter studjuje starych mistrzów włoskich i na nich się kształci. Z nich bierze szlachetność stylu i harmonią kolorytu, którego tajemnicę w wysokim stopniu posiadali starzy. Pentera kopia z Paliny Vecchio *Głowa kobieca*, tudzież drugie studyum w tym rodzaju jest świadectwem tego kierunku, którym postępując młody Lwowianin, wysokie już w sferze artystycznej zajął stanowisko.—Najmłodszym z lwowskich malarzy jest Gottlieb, ale niemniej utalentowany i także znakomicie wykształcony. Jest to malarz rodzajowy, a dwie jego kompozycje *Uryel Akosta* i *Szyllok z Jesiką* zwróciły już na zeszłorocznej wystawie uwagę na niego, jako na wielce obiecujący talent. Obecnie dał znowuż większą kompozycją *Żydów modlących się w bożnicy w dzień sądny*, tudzież cztery stu-

dya głowy męzkie, i portret zmarłego niedawno w podróży naokoło świata ś. p. Władysława Tarnowskiego, zdjęty przed wyjazdem, z natury. Gottlieb naśladuje Matejkę, usiłuje pochwycić jego styl, jego sposób malowania, jego technikę i z tego względu możnaby go nazwać uczniem Matejki, chociaż kształcił się w akademii Wiedeńskiej. Wszelako wpatwienie się w obrazy Matejki, chęć przejścia się jego duchem, a gdzieniedzie niemal powtórzenie pewnego motywu, lub pojedynczych rysów, daje się poznać w kompozycjach Gottlieba. Dobra to szkoła i dobra droga, którą obrał, a talent wielki, przy gorliwej pracy i zamiłowaniu ideałów sztuki, nabierać będzie coraz więcej samoistnego charakteru i udoskonalenia. Jego studia przedstawiające portrety męzkie, różnego wieku i charakteru, są malowane z taką śmiałością i wprawą, a przytém z takim wykończeniem artystycznym, jakie u najznakomitszych znajdujemy malarzy. Mniej wykończeni są *Żydzi w synagodze*. Byłoby tu co zarzucić kolorystyce, ale jako obraz typowy, pod względem rysunku i ugrupowania, jestto kompozycja odszczególniająca się wielu zaletami. Wszystkie postacie pomimo różnicy osobistej, zachowują typ plemienny, dobrze uchwycony i wydany w każddej z nich, począwszy od starca z Dziesięciorgiem przykazań w ręku, przewodniczącego modlitwom, do małego pacholęcia na uboczu modlitwą zajętego. Na wyższym krążanku widać grupę kobiet różnego wieku, pod sklepieniami, których założony z doskonałym zachowaniem perspektywy rysowane. Jestto już kompozycja większych rozmiarów. Poznać w niej myślącego artystę, posiadającego doświadczone już pędzel i znajdującego się na drodze postępu, którą wysoko zajść może. Portret ś. p. Tarnowskiego jest wprawdzie tylko szkicem naprędce podmalowanym, ale jest w nim to, co stanowi główną istotę i warunek portretu, jest wyraz z głębi duszy wydobyty, jest podobieństwo dające poznać na pierwsze wejście portretowaną osobę. Na tém wysokim czole, w jasno-niebieskim oku, znać myśl przysłoniętą obłokiem marzycielskiej zadumy, poznać marzyciela-poetę, co więcej żyje w świecie idealnym, niżeli na ziemskim poziomie, znać w téj niezwykłej fizygnomii szlachetność i młodzieńczą siłę ducha. Chociaż p. Gottlieb podejmuje się wykończyć ten portret w razie gdyby się znalazł nabywca, wolelibyśmy gdyby pozostał nie ruszany, takim jaki jest, w obawie, ażeby przy wykończeniu z pamięci, nie zatarły się właśnie owe rysy, stanowiące wierność podobieństwa, będące głównym wyrazem portretu. Chociaż nie wykończony, tak jak jest może on znakomicie przyozdobić zwłaszcza galerią portretów rodzinnych.

Mamy dwu znakomitych portrecistów we Lwowie: Rodakowskiego i Andrzeja Grabowskiego, i o nich dodam jeszcze słowo na zakończenie niniejszej wzmianki o tegorocznej wystawie. Rodakowski dał portret ś. p. księcia Leona Sapiehy, zrobiony z polecenia wydziału krajowego do sali marszałkowskiej, mającej zawierać portrety wszystkich z kolei marszałków krajowych, w nowo budującym się

gmachu sejmowym. Książę Sapieha przez lat piętnaście piastował tę godność. Na portrecie Rodakowskiego przedstawiony jest z godłami tego urzędu, z laską marszałkowską w ręku, siedzący w krześle, w stroju polskim. Wykończenie tego portretu nie pozostawia nic do życzenia; Rodakowski celuje w tym względzie. Każdy jego portret jest sam w sobie przepysznym obrazem, gdzie rzecz najmniejsza swém wykończeniem podnosząc wrażenie, tworzy razem bogatą całość. Portret, o którym mowa, malowany ostatnimi czasy, przed samą niemal śmiercią księcia, przedstawia go z siwą brodą, z łagodnym wyrazem dobroci, z obliczem pociągającym otwartością, w którym więcej jest ludzkiej zacności i rozumu, niżeli dygnitarskiej powagi. Jestto portret wykonany w stylu bardzo szlachetnym, właściwym Rodakowskiemu.

Portrety Grabowskiego są jak żywe. Życie przemawia w nich z każdego muszkułu, z każdego pociągu pędzla. Grabowski nie idealizuje, ale przenosi na płótno to, co widzi w naturze, tylko że umie w niej znaleźć to, co jest właśnie godne widzenia, co jest jej istotą i duszą, i oddaje to z prawdą, a wyraziście. Każdy jego portret ma swój właściwy charakter, odpowiedni charakterowi portretowanej osoby. Ztąd i podobieństwo bywa wierne, co wiele także znaczy, bo portret niepodobny, może być pomimo tego dobrym obrazem, ale jako portret traci zawsze. Najnowszém dziełem Grabowskiego jest portret księcia Adama Sapiehy, wypracowany bardzo starannie; jestto nie tylko najnowszy, ale może i najlepszy obraz Grabowskiego. Artysta malował go widocznie ze szczególniejszém zamiłowaniem; jakoż jest to postać godna pędzla. Czoło myślące, wzrok bystry, przenikający, oblicze z wyrazem energii i siły młodzieńczej: wszystko to malarz wybornie uchwycił i połączył w obrazie, który przemawia podobieństwem.—Tępa dał w tym roku tylko jedną, mniejszych rozmiarów akwarelę.

*

*

*

Hr. Wojciech Dzieduszycki, podczas sejmu przebywając tej jesieni we Lwowie, miał w zeszłym miesiącu trzy publiczne wykłady na dochód Towarzystwa bratniej pomocy akademików: *O rozwoju historyczném pojęć o cnocie i występku*. Wykłady te tak treścią, jak i wymowném treści przedstawieniem, a zwłaszcza głębokiém pojęciem przedmiotu ze stanowiska etyki i historyzofii, zwróciły na siebie uwagę powszechną, wyróżniając się pod wielu względami od wykładów publicznych, jakie każdej zimy tutaj miewamy. Założywszy sobie zbadać w toku dziejów czy pojęcie cnoty i piękna jest jedno, czyli też różne, u różnych narodów i w rozmaitych czasach; skreślił prelegent ze znajomością rzeczy, opartą na rozległych filozoficzno-etycznych i historycznych studyach, objawy będące głównym wyrazem ducha ludzkości, z których następnie wyprowadził odpowiedź na zadauc powyżej pytanie. W pierwszym wykładzie objął świat

starożytny, będący, jak wiadomo, szczególniejszym studyów jego przedmiotem. Najpierw podał charakterystykę bohaterów pieśni Homerowych, Achilla i Odyseusza. Być dobrym dla przyjaciela, a strasznym dla wroga, było w owych mitycznych czasach najwyższym pojęciem cnoty. Siła była cnotą i szła w parze z bohaterstwem. Oba te pojęcia łączyły się z sobą nierozdzielnie. Następnie wyłuszczył prelegent treściwie filozofią Platona i Arystotelesa, będące wyrazem dwu kierunków cywilizacyjnych Grecyi, jońskiego i doryckiego, skreślił kontrastując z sobą postacie Aleksandra Macedońskiego i Kaliguli, w końcu filozofią Epikura i Stoików.

Drugi odczyt obejmował charakterystykę pojęć etycznych i religijnych w wiekach średnich. Świat starożytny upadł w poniżeniu i zepsuciu; sąd na siebie znajduje w bezwzględnej satyrze Juwenalisowej. Dawne pojęcia przeobrażają się w półmgliste mrzonki neoplatonizmu; wyobrażenia Kościoła katolickiego objawiają się trzema wybitnymi kierunkami: ascezą wieków początkowych, potęgą kościoła nauczającego i mistycyzmem wieków późniejszych. Prelegent skreślił wydatnymi rysami typowe postacie, będące każdego z tych kierunków wyrazem; między niemi wielką postać Grzegora VII, którą ze stanowiska historyozoficznego, w należytem przedstawił świetle. W dalszym toku dał obraz społeczności rycerskiej, w której pojęcie *honoru* stało się najwyższym cnoty wyrazem. Jako piękny typ owego poczucia obowiązku i godności, przedstawił poświęcającego się, w imię krzyża księcia Henryka Lignickiego, podczas gdy matka jego św. Jadwiga, jest wyobrazicielką pojęć i cnót chrześcijańskich pierwotnej surowości. Jako kontrast, obok Henryka pobożnego postawił prelegent goniącego awanturczo bez myśli i celu po świecie Władysława Białego, sławionego pieśnią *króla Lancelota*. Wykład o wiekach średnich zakończył treściwą wzmianką o reformacyi, wywołanej protestantyzmem Lutera, i o zreformowaniu służby Kościoła przez św. Ignacego Lojotę, które to oba wielkie wypadki wchodzą już w zakres dziejów nowożytnych; są ich początkiem, torując drogę nowym wyobrażeniom, nowemu kształtowaniu się stosunków społecznych i dziejowych.

Skreśleniem umysłowej i obyczajowej charakterystyki świata nowożytnego zakończył p. Dzieduszycki swe wykłady. Przebrzmiały wielkie ideały—walkę orgzną zastąpiła dyplomatyczna, walka państwa na słowa: zasadę—kompromis. Podniosłe charaktery zniżyły się do poziomu powszedniego, a bohatera i rycerza zastąpił człowiek *porządny*, ukazany w *Zwierciadle* Reja i w przykrojonym z włoska *Dworzaninie* Górnickiego. Tym torem postępując, doszedł świat nowożytny do najwyższego wyrazu sceptycyzmu i szyderstwa z wszystkiego co podniosłe i święte; w Wolterze, który także był *porządnym* człowiekiem, czepiał się dworów, rozróżniał ludzi na porządnym i na gmin—*kanalią*. Takim był typ demokracji i liberała XVIII w., a jako konieczny zwrot tego ostatecznego kierunku pojawił się jego antagonistą, marzycielski Rousseau, upatrujący szczęście

człowieka w powrocie na łono natury, po swojemu przykrojonej. Rewolucya francuzka stanowi ten wielki przełom w dziejach, od którego się nowy kierunek ludzkości, nowe jej poczynają ideały. Prelegent podał przepyszną charakterystykę trzech najwybitniejszych postaci wielkiej rewolucyi: Dantona, Marata i Robespiera, jakobinizmu i żyrondy, następnie poezyi Bajronowskiej; a mówiąc o poezyi polskiej, najdłużej zatrzymał się nad Krasińskim, w którego metafizycznych poglądach odbił się wyraźny wpływ filozofii spekulacyjnej niemieckiej; z którego też powodu prelegent dłużej nieco, jakkolwiek trzymając się zawsze ściśle ram swojego przedmiotu, wyłuszczył zasadę filozofii Kanta, jego pojęcia o cnocie i panteistyczne poglądy jego następców, aż do Hegla. Trudny ten sam z siebie niezmiernie przedmiot, z powodu tkwiącej w nim zawitości abstrakcyjnej, wyłożył tak zrozumiale, przystępnie, a zarazem gruntownie, jak tylko rzecz na wskrós siebie przyswojoną wyłożyć można. Treściwy ten obraz rozwoju najnowszej filozofii spekulacyjnej, zakończył skreśleniem charakterystyki pesymizmu i nihilizmu, szerzących się dziś potężnie zwłaszcza w Niemczech.

Zestawiwszy wynik wszystkich tych systematów i poglądów o cnocie, które ludzkość w przebiegu dziejów sobie urobiła, doszedł prelegent ostatecznie do tego zasadniczego pojęcia, że cnota jestto ściśle pełnienie obowiązków, miłość ludzi i wyższa jeszcze nad nią miłość ideału, rodząca zarówno cnotę i szczęście. Zaiste, piękne i podniosłe pojęcie obowiązku, cnoty i szczęścia, które prelegent umiejętnie i wymownie w całym toku swoich wykładów uzasadnił.

Z wielką precyzyą słowa, ze ścisłością pojęć naukowo opracowanych, stylem treściwym i podniosłym, rozstrnuwał p. Wojciech Dzikuszycki przystępnie poglądy historyozoficzne, dotknął najważniejszych chwil dziejowych, najwznioślejszych zagadnień ludzkości, tak wymownie, iż wykład jego improwizowany miał cechy i zalety naukowej rozprawy.

*

*

*

Rozpoczęto tutaj ważne wydawnictwo *Biblioteki filozoficznej*, mającej objąć przekład wszystkich z kolei najznakomitszych dzieł z zakresu filozofii, które na postęp nauk i w ogóle na rozwój cywilizacji stanowiący wpływ wywarły. Przedsięwzięcie olbrzymie, wymagające wiele czasu, sił i kosztów, mogące jednak przynieść pożyteczne owoce. Rzecz dziwna, jak w ogóle mało znane są publiczności polskiej te dzieła, które na postęp umiejętności za granicą największy wpływ wywarły, które w niej epokę stanowiły. Najwięksi myśliciele są nam częstokroć znani zaledwie z imienia, z tytułów dzieł główniejszych, a o duchu i kierunku, o zasadniczym pojęciu i treści ich systematów zaledwie jakie takie powierzchowne z drugiej ręki mamy wyobrażenie. Cóż ciekawszego jak się przypatrzeć zblizka owym wszechstronnym wysiłkom ludzkiego ducha, dążącym do zdobycia prawdy i wiedzy,

jak śledzić dróg geniuszu szukającego prawdy, chociażby nawet nie-raz zoczył na bezdroże, rozświecając je pochodnią oryginalnych po-
glądów, wielkich pomysłów. Dotąd nie posiadaliśmy dzieł ich w pol-
skim przekładzie, a chcąc się z nimi zapoznać, musieliśmy do obcych
uciekać się źródła, co rzecz utrudniało tém samém, iż wymagało
gruntownej znajomości języków nie tylko nowożytnych, niemieckiego,
francuzkiego, angielskiego, ale także łacińskiego i greckiego. Kto
tedy poda publiczności naszój przekład główniejszych systematów fi-
lozoficznych, dokonany gruntownie, z należyтім zgłębieniem ich du-
cha i treści, językiem jasnym i ściśle myśl pierwotworu wyrażającym,
ten, zdaniem naszém, przysłuży się wielce literaturze, a zasługa bę-
dzie tém większa, iż prawdopodobnie wydawnictwo takie nie może
liczyć na zyski. Przeciwnie musi się nawet przygotować na straty ma-
teryjalne, przynajmniej na razie, bo daleko jeszcze u nas do tego, aby
dzieło naukowe, a zwłaszcza filozoficzne, było choć w części tak chęt-
nie czytane i poszukiwane, jak powieść, i ażeby z nią mogło dotrzy-
mać współzawodnictwa. Brzemie trudnego tego zadania przyjęła
zapowiedziana *Biblioteka filozoficzna*. Ma ona, według ogłoszonego
programu, pomieścić dzieła najznakomitszych filozofów i myślicieli.
„Jeżeli, są słowa tegoż programu, Newton lub Laplace, w astronomii
i fizyce; Lavoisier w chemii, Jussieu, Lamarck, Cuvier, albo Lyell
w historii naturalnej; jeżeli Humboldt w geografii, Montesquieu w na-
uce historii, Jakób Grimm w lingwistyce nową epokę wzrostu i roz-
kwitu, a nawet zupełnego odrodzenia utworzyć zdołali: stało to się
przy pomocy ogólnych zasad, ogólnych prawideł myślenia, jakie
otrzymali od filozofów, których zasiewu owocem jest cały postęp i bo-
gactwo wiedzy tegoczesnej.”

Rozpoczynając wydawnictwo od Kartezjusza, pomieścić ma na-
stępnie *Biblioteka* główne dzieła Bakona, owego twórcy metody indu-
kcyjnej, dzięki której tyle prawd nowych odkryto, tyle zdobyto wy-
nalazków, takie olbrzymie postępy w dziedzinie wiedzy na każdym
naukowym uczyniono polu; dalej Lokkego i Condillaca, będących
twórcami psychologii; *Duch Praw* Monteskiusza, będący kamieniem
węgielnym nowożytnych pojęć polityki i prawa; wreszcie najgłówniej-
sze dzieła Spinozy, Hume'go, d'Alemberta i Littrego: naostatek Kanta,
będącego ojcem nowożytnej spekulacyjnej filozofii niemieckiej.

Zakres wydawnictwa niema się wszakże ograniczyć jedynie na
epoce nauki nowożytnej. Wprawdzie pierwszym celem *Biblioteki* ma
być przyswojenie naszemu językowi i literaturze tych dzieł, które
stworzyły tę epokę odrodzenia, nauk, sztuk i przemysłu, oraz życia
społecznego, na którą obecnie patrzymy, w której żyjemy; wszelako,
w dalszym ciągu zapowiada *Biblioteka* przekład główniejszych dzieł
Platona, Arystotelesa i Cycerona; dalej nastąpią Ojcowie Kościoła, Ter-
tulian, św. Augustyn i św. Chryzostom; moralisci: Labruyère, Moeser,
Shaftesbury, Addison i t. d.

Wyliczenie powyższe daje miarę rozległości zakresu wydawnictwa *Biblioteki*. Daj Boże, aby nie była zniewolona ustać w połowie drogi z braku powodzenia, na jakie zasługuje. Wydawcy przystępując do wykonania powyższego zamiaru, przystępują, jak widać z programu, z celem jasno wytkniętym i poczuciem trudności zadania: „Pragniemy, powiadają oni, społeczeństwu naszemu, przeważającą powieściową literaturą rozmarzonemu, podać strawę umysłową jedyniejszą i bardzo pożyteczną. Pragniemy obudzić samodzielność myślenia w szerszych niż dotąd kołach. Nie jestto przedsięwzięcie księgarskie, ale raczej społeczne. Przeciwno przygnębiającemu pesymizmowi, przeciwno niszczącym doktrynom nihilistów, które szerzą wyuzdaną lekkomyślność i rozwiązłość obyczajów; przeciw ogłupiającym niedorzecznościom mistyków i spirytystów; przeciw rozmarzeniu i umysłowej gnuśności potrzeba lekarstwa, a znaleźć je najbezpieczniej w tym umysłowym pokarmie, który Anglii i Francji niespożyte moralnie, umysłowe i materyalne nadał siły.”

Mamy przed sobą pierwszy tom *Biblioteki filozoficznej*, który właśnie co opuścił prasę. Zawiera on *Rozprawę o Metodzie poszukiwania prawdy w naukach*, poprzedzoną *Listem Kartezjusza do księdza Picot*, tłómacza jego *Zasad filozofii*, na język francuzki, wreszcie jako dodatek Kartezjusza *Reguły kierowania umysłem*: wszystko to w przekładzie Wojciecha Dobrzyckiego, wraz z obszernym życiorysem Kartezjusza, przez tegoż, obejmującym przystępnie a treściwie skreślony pogląd na istotę i fundamentalne zasady wielkiego reformatora myśli, od którego rozpoczynają się dzieje nowożytnej filozofii. Kto się chce obznajmić ze stanowiskiem Kartezjusza, z którego wychodząc obalił cały gmach scholastyki średniowiecznej, i nowe myśli ludzkiej nadał tory, znajdzie w tém jego dziele najlepsze objaśnienie. Rozprawa niniejsza jest można powiedzieć kamieniem węgielnym systemu Kartezjuszowego; w niej podał on nietylko główną zasadę, na której cały swój system później zbudował, ale skreślił zarazem genetyczny rozwój swęj myśli, drogę ową, po której doszedł do ostatecznych systemu swego wyników. W dziejach filozofii nowożytnej *Rozprawa o Metodzie* jest jedném z dzieł najważniejszych, jest jakby pochodnią, rozświecającą sklepienia tego gmachu, w który nas wprowadza. *List do księdza Picot* objaśnia co to jest filozofia w ogóle, a *Reguły* zestawiają aforystycznie wynik tych badań, treściwie określone zasady, jestto praktyczny niejako kodeks logiki Kartezjuszowskiej. Trzy te rzeczy są w pewnym związku z sobą, uzupełniając się dają dobry obraz filozofii Kartezjusza, i słusznie uczynił tłómacz, że ją razem zebrał i razem ogłosił. Przekład jest bardzo dobry, można powiedzieć, wzorowy. Tłómaczowi chodzi przedewszystkiém o jasność myśli, o oddanie jak najwierniejsze rzeczy, o przejrzystość tłómaczenia, w którejby duch pierwotny, zasadnicza myśl systemu oddaną została z wszystkimi jęj odcieniami. Wprawdzie Kartezjusz niema tak zawiłego stylu, tak dziwaczного języka, najeżonego po-

tworną frazeologią, jaki sobie stworzyli niemieccy spekulacyjni ideologowie; wykład jego sam w sobie jest przystępny i jasny, wszelako zawsze to rzecz trudna być tłumaczem myśli krążących w sferze wywodów metafizycznych i ścisłości logicznej, w sferze najidealniejszych zagadnień umysłowych. Drugi tom *Biblioteki filozoficznej*, będący już pod prasą, ma zawierać Bakona werulamskiego *Nowe zasady wiedzy*, (*Novum organon scientiarum*).

*

*

Z wydawnictw księgarni polskiej wyszedł *Biblioteki historycznej* tom XXIV-ty zawierający zapowiedzianą już dawniej *Historią wielkich odkryć geograficznych w XV i XVI wieku*, Oskara Peszla, w przekładzie Józefa Tretiaka. Jestto jedno z tych niewielu dzieł, które chociaż napisane w celach naukowych, usiłując wyczerpać przedmiot, zawierają wielki zasób erudycyi, przecież nie odstraszą szerszych kół czytelnicznych, ale bogactwem i różnaitością treści, przeciwnie obudzą ciekawość tych nawet, którym niechodzi o badanie systematyczne postępów ducha ludzkiego w tym lub owym kierunku, lecz o przyjemne zajęcie umysłowe. Jakoż tak tłumaczowi, jak i wydawcy chodziło głównie o przystępność dzieła, o jak najszersze rozpowszechnienie zawartych w niem wiadomości, nie zaś o stronę erudycyjną. Z tego powodu opuszczono w niniejszym przekładzie liczne przypisy, które mi znajduje się zaopatrzony przez autora tekst oryginalny. Przypisy te powiększają część mają wartość tylko dla uczonych, pracujących w dziedzinie geografii. Słusznie uczynił tłumacz, opuszczając w swym przekładzie większą część przypisów z zasady, że tacy powinni poznać dzieło w oryginale; dla całej zaś publiczności nie mają one znaczenia; byłyby więc i tak już obszerne dzieło niepotrzebnie obciążały. Tłumacz tutaj umieścił tylko te, które mogą zająć czytelnika wykształconego, pragnącego obeznac się z dziejami odkryć geograficznych, ale nie będącego samodzielnym badaczem na tém polu.

Nakładem téjże księgarni polskiej wyszła *Rzecz o pojedynku*, przez dra. Rosenblatta. Jestto treściwie przedstawiona monografia tego zabytku średniowiecznego, przypominającego *krwawe sądy Boże*, który jako złe konieczne związał się tak ściśle z pojęciami i obyczajem tegoczesnym, iż niema, jakby się zdawało skutecznego nań lekarstwa, gdyż najzawziętsi nawet przeciwnicy uchylają czoło przed jego tradycyjną powagą. W monografii p. Rosenblatta, pojedynek uważany jest głównie ze stanowiska prawniczego; autor przeszedłszy pokrótce dzieje jego i pojęcie, jakie o nim w ciągu czasu się wyrobiło, wskazuje w jaki sposób zapatrują się na rzecz tę ustawodawstwa rozmaitych krajów europejskich, jak się pojęcia te w kolei czasu przeobrażały w różnych prawodawstwach u różnych narodów, w końcu wyjaśnia pojęcie pojedynku wobec dzisiejszego prawa karnego w kodeksach obowiązujących.

Choroby Galicyi, serya druga przez Józefa Rogosza, opuściły właśnie prasę. Seryą pierwszą wydał autor przed dwoma laty i ma-
 ło która książka u nas była tak skwapliwie czytana, takiego docze-
 kała się pokupu, jak owe satyryczno-powieściowe obrazki Rogosza,
 co zawdzięczały nietylko swęj treści, przedstawiającęj w żywych bar-
 wach stosunki galicyjskie społeczne, które autor surowęj poddał
 krytyce, ale głównie zdrowemu na nie pogładowi, i stanowisku, jakie au-
 tor obrał do ich oceniania. Nie są to powieści, ale tęcz i nie rozprawy.
 Tendencya tutaj zbyt widoczna, nie ukrywa się zbytęcznie poza osło-
 ny artyzmu powieściowego, chociaż autor stara się dodać jej powa-
 bu, kręśląc satyrę obrazkowym sposobem i wydobywając ją z opo-
 wieści z życia branęj. W pierwszęj seryi skręślił p. Rogosz stosun-
 ki lichwiarskie, szeroko zagniędzone w Galicyi, jak chwast pasożytny,
 wysysając najzdrowsze soki jęj dobrobytu, tudzież szkodliwe skutki
 loteryi, rozbudzającęj namiętności, zwłaszcza uboższych warstw ludno-
 ści. W seryi obecnej przedstawia dosadny, a bardzo wierny obraz
 galicyjskiego świata handlowego i tutejszych stosunków kupieckich;
 przyczęm rozsnuwa obszernie pogląd swęj na przyczyny złęgo; wcho-
 dząc szczegółowo w rozbiór wpływów i przeszkód, tamującęch w Ga-
 licyi wzrost kupiectwa i dobrobyt stanu miejskiego, rzuca zarazem
 myśli za wierające nasiona požadanęj w tym względzie reformy. Dru-
 ga, więk sza połowa książki poświęcona jest stosunkom wiejskim.
 Wady ustroju autonomicznego, słabości i próżnůstki społeczeństwa
 wiejskiego, błędy wywołującę nieraz wielkięj doniosłości następstwa
 i domagającę się jak najrychlejszęj naprawy, pijaństwo włościian,
 lichwa pożerając a tutaj więk szą część włościńskiego mienia, a w koń-
 cu bardzo gruntownie wykazane lichwiarskie machinacye tutejszego
Banku włościńskiego, które już tysiące osiadłych niegdęj gospodarzy
 o kiju i żebraczęj torbie w świat puściły, znajdujemy tu skreślone
 bardzo zręcznie, jakby ręką lekarza kręślącego dyagnozę choroby,
 którą doskonale, długiem zbadal doświadczeniem, i zarazem podaje
 na nią skuteczne lekarstwa. Obok tego, co stanowi własciwą istotę
 książki, obok jęj tendecyi społeczno-ekonomicznęj, znajdujemy w nięj
 szereg wybornie z życia uchwyconych typów z rozmaitych warstw
 świata galicyjskiego przesuwającę się, niby tło, na któręm autor
 zbiera swe spostrzeżenia i kręśli uwagi reformatorskie. Ma tedy
 dzieło p. Rogosza podwójną stronę, artystyczną i tendecyjną, które
 się obie uzupełniają i krytyka je, z tego podwójnego stanowiska
 ocenić powinna.

*

*

*

Nakładem księgarni Bełzy wyszły *Wrażenia z podróży na
 Wschód*, przez Józefę Treterową. Kto nie zna Wschodu z licznych
 opisów i opowieści, jakie we wszystkich językach posiadamy o Wschod-
 dzie? Moznaby z nich całe tworzyć biblioteki, a przecież Wschód
 ma zawsze jeszcze jakowyś tajemniczy urok nowości, czar bajki z Ty-

siąca i jednej nocy, która się ciągle niby kończy, a którą zawsze na nowo słuchać można. Opowieść podróży na Wschód chwytały zawsze skwapliwie i czytamy ciekawie, chociażby nie zupełnie nowego dla nas w sobie niezawierała. Podobnie rzecz się ma i z książką p. Treterowej. Nie można powiedzieć, abyśmy w niej znachodzili coś czego jeszcze nie znamy; od wrzasku Arabów, Murzynów i wszelkiej narodowości posługaczy i oszustów, pomiędzy których zgraję popada Europejczyk, stawiający pierwszy krok na Wschodzie w porcie Aleksandryjskim, aż do opisu miejsc świętych i okolic Jerozolimy, którym poświęcona cała połowa książki; wszystko tu nam mniej więcej znane z wielu innych opisów obszerniejszych i świetniejszych. Wszelako właśnie ta prostota nie wymuszona w opisie doznanych wrażeń, ta, rzekłbym, szczerść opowieści, nie kuszącej się o sztuczne wrażenie, nie obmyślanej artystycznie, ale płynącej z duszy, powtarzającej wprost bez żadnej przymieszki obcej, bez żadnych dodatkowych ozdób to—co turystka widziała i uczuła, stanowi powab tej książki, która się z tego też powodu czyta przyjemnie, chociaż nic w sobie nie zawiera nowego.

*

*

*

Smutną kronikę dzisiejszą zacząłem i kończę nekrologiem—wzmianką pośmiertną. Przed kilku dniami zmarł profesor tutejszego uniwersytetu Eugeniusz Janota. Wykładał on na uniwersytecie literaturę niemiecką; wszelako właściwym zakresem prac jego naukowych była historia naturalna, głównie zoologia. W tym zakresie był badaczem samoistnym i pozostawił liczne prace tej treści. Ś. p. Janota był czas jakiś członkiem Rady szkolnej krajowej, której gromada składa się przeważnie z filologów. On więc jako z zawodu badacz nauk przyrodniczych, miał tam pole pożytecznego działania w tej sferze, o ile chodziło o zaprowadzenie i kierunek rzeczonych nauk w szkołach publicznych. Ostatniemi czasy popierał gorliwie usiłowania *Towarzystwa Tatrzańskiego* i zawiązał przed trzema laty tu we Lwowie *Towarzystwo przeciw dręczeniu zwierząt*, którego był prezesem i z którego ramienia wydawał *Miesięcznik* przyrodniczy, poświęcony głównie celom Towarzystwa, a zawierający przytém wiele ciekawych wiadomości przyrodniczych.

Równocześnie umarł Hipolit Stupnicki, postać znana w sferach tutejszego dziennikarstwa od lat blisko trzydziestu. Do pięćdziesiątego prawie roku życia ś. p. Stupnicki służył w straży skarbowej i ani myślał o dziennikarstwie. Opuściwszy służbę, powziął zamiar w roku 1850, w owiej porze zupełnej posuchy na polu literatury w Galicyi, wydawania pisma popularnego dla średnich klas inteligencji, pod nazwą *Przyjaciela Domowego*. Rozpocząwszy wydawnictwo, wpadł na szczęśliwą myśl zaofiarowania części czystego dochodu z przedpłaty na rzecz *ochronek miejskich*, których urządzeniem i opieką zajmowała się podówczas właśnie bardzo gorliwie, namiestni-

kowa hr. Gołuchowska. Zyskał tém odrazu względy i wysoką protekcyą tak dla siebie, jak i dla swego wydawnictwa. Zalecono z urzędu popieranie pisma i przybyło odrazu 60⁰ prenumeratorów, co na razie był pisma ustaliło. W roku 1859, gdy powzięto zamiar wydawania pierwszego po roku 1848 w Galicyi dziennika politycznego, użyto ku temu firmy ś. p. Stupnickiego, który wyjednał na swoje imię koncesyą, nie łatwą podówczas do uzyskania komu innemu. Później kilku z kolei zawiązującym się pismom udzielał swęj firmy. Dziennikarzem właściwie nie był, nigdy sam nic nie pisał; ortograficznie nawet pisać nie umiał. W dziennikach pod jego firmą zakładanych, zajmował się ekspedycyą, manipulacyą administracyjną, dostarczaniem pomniejszych wiadomości miejscowych i tym podobnemi, nierozłącznemi z wydawnictwem gazety zatrudnieniami. Przyjmując na siebie odpowiedzialność w obec ustawy prasowej, kilkakrotnie odpokutował ją, poświęcając się zawsze dla celów publicystyki z gorliwością i znacnem sercem. Odtąd jednak mając rozszerzone szranki publicystyka galicyjska, bujniej rozwijać się zaczęła, a ustawa konstytucyjna ułatwiła możność otrzymania koncesyi na gazetę; dzienniki lwowskie nie potrzebowały już pożyczać firmy, a ś. p. Stupnicki popadł w wielki niedostatek, z którym walczył do końca życia, poprzestając na wydawnictwie *Przyjaciela Domowego* i połączonej z nim *Gazety Wiejskiej*, które to wydawnictwa, jak mógł własnem staraniem i kosztem prowadził. Jakoż prawdziwą jego zasługą jest wydawnictwo *Przyjaciela Domowego*, prowadzone przezeń nieprzerwanie od roku 1850 przez lat 28. Redaktorami rzezonego pisma bywali, kolejno wzywani przez niego znakomitsi literaci tutejsi, zasilając swem piórem pismo, mające pożyteczny cel i zadanie. Redagowali je niegdyś naprzemian Roman Zmorski, Dzierzkowski, Tatomir, Widman. W ostatniem dziesięcioleciu *Przyjaciel Domowy* znacznie podupadł na treści, niemniej przeto zawsze w dobrym duchu i z dobrą prowadzony był tendencyą. Hołd oddany na pogrzebie ś. p. Stupnickiemu przez miejscowych dziennikarżów, słusznie mu należał za wydawnictwo *Przyjaciela Domowego*.

Władysław Zawadzki.

VOLTAIRE I ROUSSEAU

NA POLU EKONOMII POLITYCZNEJ.

PRZEZ

J. K. Corvin Piotrowskiego.

Nauki społeczne od niedawna dopiero zajęły odpowiednie sobie stanowisko w zakresie wiedzy ludzkiej. Cofnijmy się myślą na jakie kilkadziesiąt lat wstecz, a zobaczymy iż je *uważano jeszcze za jakies mrzonki*, za systemy dziwaczne, za produkta wybujałej wyobraźni. W najnowszych czasach szybko jednak poczęły się ustalać, aż dziś wreszcie rozrosły się olbrzymio i ogarnęły wszystkie kierunki życia społecznego.

Ekonomia polityczna od czasów Adama Smith'a ujęta w pewien system, ciągle rozwijana, zajęła dziś niezaprzeczenie jedno z pierwszych miejsc w szeregu nauk społecznych. Ośmnastemu to głównie wiekowi zawdzięczamy przyjście, iż tak rzekę, na świat téj umiejętności. Wiek to, w którym żyli i działali Voltaire i Rousseau. W czasach Adama Smith'a zajeci obaj zadaniami społecznymi, nie mogli zachować się obojętnie w obec kwestyi ekonomicznych, kwestyi tak ściśle połączonych z zagadnieniami, które epoka owa starała się rozwiązać.

W wieku, w którym jubileusze, obchody najróżnorodniejszych, dwudziesto-pięć-, pięćdziesięcio-, stuletnich etc. rocznic, stały się istotną manią, w którym codzien prawie, gdzieś, na naszej półkuli obchodzimy pamiątkę jakiejś zgastéj wielkości, imiona takie jak Voltaire i Rousseau nie mogły przejść niepostrzeżenie. W roku bieżącym obchodzono więc pamiątkę stuletniej rocznicy ich skonu. Obchodził ją każdy jak to uważał za stosowne, każdy, mówimy, gdyż zaiste obojętnych nie było. I my daliśmy się unieść temu prądowi, a gdy interes ekonomiczny zarówno w życiu społeczeństw jak i jednostek, coraz to ważniejszą poczyną odgrywać rolę, gdy coraz to bardziej przebija się w rozmaitych sferach działalności ludzkiej; gdy znaczenie ekonomiki coraz to bardziej, coraz ogólniej zaczyna być uznawaném; pomyśleliśmy iż nie od rzeczy będzie skorzystać z obchodu téj stuletniej rocznicy, aby choć w krótkich słowach skreślić poglądy, zapatrywania i stanowisko Voltaire'a i Rousseau w téj gałęzi nauk społecznych.

Ekonomia polityczna jest nauką nową. Ani w starożytności, ani w wiekach średnich o jój teorii mowy być nie może. Tacy: Ksenofont, Arystoteles, Plato u Greków, Cycero u Rzymian, zarówno jak Tomasz

z Akwinu lub Nicole Oresme, podnosili tylko pojedyncze kwestye. Zresztą śladów nawet jakiegokolwiek systemu nie napotykamy.

Dopiero gdy spróchniałe instytucye wieków średnich w żaden sposób dłużej utrzymać się nie mogły; gdy system skarbowy ze swemi „*taille*,” „*gabelle*” i t. p., nadzwyczaj skomplikowany, bez żadnych zasad i związku, kępujący tylko rozwój bogactwa publicznego, tamujący na każdym kroku cyrkulacją produktów i wolność osobistą, nie mógł dłużej wystarczyć olbrzymim jak na owe czasy wydatkom i ochronić państw od bezwarunkowego bankructwa; gdy wszystkie wady dawnego systemu w jaskrawém stanęły świetle; gdy szumno-brzmiące frazy owych *despotes éclairés* okazały się być fałszem i obłudą: wtedy poczęły ludy wzdychać do lepszego stanu, opinia publiczna się tworzy, a indywidualizm, podtrzymywany przez tę nową a olbrzymią potęgę, staje się coraz mniej usposobionym do rezygnacyi.

Tego rodzaju okoliczności były nadzwyczaj przychylnie tworzeniu się i rozkwitaniu najrozmaitszych teoryi. *Laisser faire et laisser passer* stało się dewizą fizyokratów, domagających się aby pozostawiono wszelką swobodę rozwojowi działalności ludzkiej. Równowaga handlowa również jak inne środki rządowe, któremi samowolne prawodawstwo obciążało działalność indywidualną i gwałciło na każdym kroku prawo własności, tę podstawę każdego ucywilizowanego społeczeństwa, zostało zdyskredytowane przez Quesney'a i jego zwolników. Niepodobna zaprzeczyć jednak, iż fizyokraci obok tych prawd, przeceniając znaczenie rolnictwa popadli w błąd, błąd równie prawie gruby jak zwolenników merkantylizmu, z tą tylko różnicą, iż wprost w przeciwnym kierunku. Ze wszystkich przemysłów, rolnictwo tylko miało być produkcyjnym, ono bowiem tylko stwarza, powiększa najróżnorodniejsze płody ziemi, podczas gdy fabryki i handel, przerabiając, przekształcając surowe produkta i zbliżając je w ten sposób do konsumentów, ograniczają się na przetwarzaniu materji już istniejących. Błędna ta doktryna wywołała błędne także rezultata w praktyce. I zaiste, inaczej stać się nie mogło. Z błędnych bowiem przesłanek (*praemis*), postępując wedle praw syllogistyki, dojdziemy zawsze do błędnych wniosków. Tak też i fizyokraci opierając się na tém, iż tylko przemysł rolniczy daje dochód, przemysł zaś fabryczny i handel nic doń nie dokłada, wywnioskowali, iż wszystkie podatki w jakiejkolwiek bądź formie, zawsze ponoszone będą przez właścicieli gruntu. Opłaty nałożone na przemysłowców i handlujących, spadną zawsze na rolników. Cóż bowiem naturalniejszego, iż pierwsi pokryją je sobie płacąc taniej drugim za ich surowe produkta, podczas gdy ci ostatni nie będą w stanie zmniejszyć w tym samym stosunku kosztów produkcji. Do czegoż zatem cały ten nielogicznie skomplikowany i zagmatwany system podatkowy? Czyż nie lepiej byłoby zastąpić go i uprościć jedną ogólną opłatą od dochodu czystego z ziemi? Gdy dochód gruntowy jest jedynym bogactwem, gdy wszystkie podatki od zużycia zwracają się zawsze pośrednio na właściciela gruntu; czyż nie lepiej zażądać przeto od niego jednorazowo tego, co się za

pomocą tylu tak najróżnorodniejszych środków dotąd pobierało? To uprości system skarbowy, zmniejszy olbrzymie nadużycia i koszta poboru, przez ułatwienie cyrkulacji produktów podniesie handel i przemysł. Podatek taki nie będzie zaciągłym dla właścicieli gruntu, gdyż ci wprowadziwszy go do kosztów produkcji, odzyskają swe pieniądze w podwyższeniu ceny produktów.

Tak więc odbije się on na konsumentach, a podatek przelewając się w ten sposób z jednych na drugich, będzie ponoszonym przez wszystkich, nie ciężąc na nikim. Takie podwyższenie podatku gruntowego mało obędzie ziemianina, ponieważ w każdej chwili będzie mógł podnieść cenę swych wytworów.

Błędy tej teorii uderzają zaiste na pierwszy rzut oka. Czyż cena przy sprzedaży zależy zawsze od woli zbywającego? Czyż przy olbrzymim międzynarodowym współzawodnictwie, tym naturalnym skutku zniesienia wszelkich zapór i cel ochronnych, jednem słowem, przy urzeczywistnieniu *laisser faire, laisser passer*, cena nie będzie zależęć raczej od stosunku zachodzącego między zaofiarowaniem a żądaniem ¹⁾? Podwyższenie zatem podatku gruntowego, któreby wraz z zaprowadzeniem takiego jedynego, wyłącznego przez fizyokratów proponowanego podatku, mieć miejsce musiało, będzie ciężęć na właścicielu niemogącym dowolnie podwyższyć ceny produktu. Bądź co bądź, czy produkcyja zboża była dlań kosztowną, czy nie, nie weźmie za nie więćć nad cenę targową. Powiększenie zaś podatkiem owym kosztów produkcyi zboża w kraju, nie wpłynie o tyle na zmianę ceny tegoż na rynku międzynarodowym, aby podwyżka ztąd wynikła mogła wyrównać temu nowemu ciężarowi. Przeciwnie, cena targowa w skutek otworem stojącego i w każdym czasie odpowiednio do potrzeb powiększyć się mogącego dowozu, pozostanie raczej niezmienną pomimo zwiększenia się kosztów produkcyi w kraju. Tak więc producenci będą musieli sprzedawać produkta po cenie nie pokrywającej często nawet kosztów ich produkcyi. Ruina, bankructwo będzie naturalnem tego następstwem. Ztąd widać, iż podwyższenie podatku gruntowego spadnie na rolników, iż tego nowego ciężaru właściciele ziemscy zrzucić z siebie nie potrafią; że przeto teorye fizyokratów nie były wolne od błędów, które w praktyce do najsmutniejszych przywiodłyby rezultatów.

Błędy te raziły Voltaire'a. W 1768 roku ukazała się praca jego p. t.: *L'homme aux quarante écus*, w której stara się wykazać błędy poglądów i niepraktyczność następstw wypływających z ogólnych teoryi fizyokratów.

Dla dopięcia celu posługuje się znanym dowodem *ad absurdum*, to jest przypuściwszy zrealizowanie zachcianek i marzeń fizyokratów, wykazuje wtedy w jaskrawém świetle zgubne tegoż skutki.

¹⁾ *Zaofiarowanie, żądanie*: wyrażenia te uważamy za stosowniejsze jak powszechnie używano *poaż* i *popyt*.

Bohatérem opowiadania jest człowiek posiadający dochód z czterech morgów gruntu. Zastanawia się on, dyskutuje, roztrząsa najrozmaitsze kwestye. Jego nieszczęścia, kłopoty, troski: to skutki zguźnionego systemu „zasadniczego porządku społeczeństw¹⁾).

Według dość wprawdzie niedokładnych obliczeń (co się da łatwo wytlómaczyć niskim stopniem, na jakim w owej epoce stała jeszcze statystyka), wynosiła ludność Francyi 20,000,000 mieszkańców, przestrzeń całego gruntu francuzkiego 130,000,000 morgów; w najlepszym razie gruntu ornego mogło być *maximum* 80,000,000 morgów, ztąd 80,000,000:20,000,000=4, to jest na każdego mieszkańca przypadłoby 4 morgi gruntu ornego.

Dochód z jednego morga nie wynosił przeciętno więcej nad 25 liwrów. Przypuśćmy jednak 30, aby nie zniechęcać bardzo naszych współobywateli, mówi Voltaire. Niejeden bowiem morg przynosi 300 liwrów, są natomiast wprawdzie i przynoszące zaledwie 3; średnia zaś proporcjonalność między 3 a 300 jest 30, gdyż $3 : 30 = 30 : 300$.

Wprawdzie gdyby było bardzo wiele morgów o 3 liwrach dochodu, a bardzo mało o 300, to wypadłoby może nieco odmiennie, „ale pocóż mamy wdawać się w jakieś szykany.“

Przyjąwszy zatem czysty dochód z jednego morga 30 liwrów, otrzymamy: $30 \times 4 = 120$.

Te 120 liwrów wyraża dochód gruntowy jednego udziału czteromorgowego. Człowiek więc o 120 liwrach czyli o 40 talarach jest ten, który niema nic więcej nad przeciętną dochodu gruntowego.

Na taką więc przeciętną jednostkę spada raptem, jak grom, podatek zastosowany z teoryi Mercier'a de la Rivière, jeden ogólny podatek wyrównywający połowie dochodu gruntowego. Przysłuchajmy się, jak przyjmuje go ten, któremu z jego 40 talarów kazano oddać 20.

„Z radością dowiaduję się w *l'Univers*, mówi on, iż posiadam ziemię, która przynosi mi 40 talarów rocznie: gdy oto pojawia się kilka edyktów pewnych osób, co siedząc sobie przy kominku i nie mając nic lepszego do roboty, rządzą państwem. Wstęp do tych edyktów opiewa, iż władza prawodawcza i wykonawcza zrodzoną jest z praw Boskich, które są współwłaścicielami mój ziemi, w skutek czego powinienem jej oddać przynajmniej połowę tego co sam zużywam. W imię Ojca i Syna, a cóżto za olbrzymi żołądek tój władzy prawodawczej i wykonawczej! Cóżby to było, gdyby jej zachciało się mój ziemi w całości? Do tój pory płaciłem 12 liwrów, — oj, ciężko mi to przychodziło! Zkąd wziąć ich teraz 60. Już i tak raz odsiedziałem więzienie za długi. Właśnie gdy mnie wypuścili, spotykam jadącego w sześciokonnej karecie rumianego spasionego człowieka, którego znałem jeszcze wtedy, gdy

¹⁾ *Ordre naturel et essentiel des sociétés politiques*, Londre, Paris, 1767, in 12, 2 vol. Pod tym tytułem wyszło w 1767 r. dzieło Mercier'a de la Rivière, jednego z najgorliwszych i najrzęczniejszych apostołów fizyokracji.

był biedniejszym odemnie. Sukcesya po wuju zapewniła mu 400,000 liwrów rocznie. Płacąc połowę mego dochodu na rzecz państwa, nie wątpiłem, iż i on jest pozbawionym 20,000 liwrów. Trzeba było widzieć jego oburzenie, gdym mu to wyraził. Jaktó, ja miałbym jeszcze co dawać na potrzeby państwa, ja, który nie mam ani pędzi ziemi! Moje 8 milionów odziedzyczyłem po wuju, i zawdzięczam je jego szczęśliwym operacyom handlowym. Minister finansów żądający czego odemnie, byłby osłem nie umiejącym rachować, nie wiedzącym, iż jedyném bogactwem jest ziemia. Gdyby po opodatkowaniu produktów ziemi, wprowadzeniu jednéj ogólnej opłaty gruntowej, domagano się jeszcze czego od mych pieniędzy, od mych biletów, które są niczém inném jeno tylko reprezentantem wartości tychże produktów: to popełnionoby krzyżącą niesprawiedliwość, opodatkowując jednę i tę samą rzecz podwójnie.“

W usta kapitalisty wkłada Voltaire poglądy i zapatrywania fizyokratów. Bogacz ośmiomilionowy, wolny zupełnie od podatków i ciężarów, jest bijącym w oczy przykładem niesprawiedliwości jednego ogólnego podatku gruntowego. Kupcy, fabrykanci, kapitaliści, najróżnorodniejsi spekulanci, jedném słowem, wszelkie możebne rodzaje przemysłu byłyby w ten sposób wolne od ciężarów, których brzemień przyniatałoby właściciele ziemskich.

W ten sposób wykazuje Voltaire niesłuszność i niepraktyczność proponowanego przez fizyokratów „jednego podatku gruntowego.“ Chcąc jednak pokonać ich zupełnie, niedość dowieść wad tego systemu, potrzeba przedewszystkiém zbić ich teorią przelewu podatków; potrzeba wykazać, iż błędném i nieuzasadnioném jest mniemanie, jakoby wszelkie opłaty, wszelkie podatki musiały spadać li tylko na ziemię, jako na jedyne bogactwo, mogące płacić i jakoby jój posiadacze, dowolném podniesieniem ceny swych produktów, od tych ciężarów uwolnić się mogli.

Tu, w dziedzinie teoryi, występują w jaskrawém, rażącym świetle słabe strony Voltaire'a. Byłto umysł uniwersalny, zdolny obejmować najróżnorodniejsze przedmioty i umiejętności wszelkiego rodzaju. Człowiek jednak, o którym powiedziano: „iż natura, po wydaniu go na świat, musiała sobie wypocząć,“ nie był prawdziwie uczonym. Odgadł, odczuł raczej zdrowym rozsądkiem, instynktowo przeczuł, poznał błąd fizyokratów, ale dowiedzenie go, dowiedzenie ze stanowiska naukowego, dokładne, gruntowne, oparte na analizie zjawisk ekonomicznych, na użytkowaniu logicznie z tych zjawisk wyprowadzonych wniosków, zastąpił zwykłą sobie bronią: ironią, śmiechem złośliwym, jadowitym dowcipem. Prawda, iż zaiste po mistrzowsku ośmieszył niepraktyczność zastosowania teoryi fizyokratów, ale ośmieszył ją tylko, ośmieszył jój skutki, dowieść błędu nie umiał...

Wiek XVIII, pod względem smutnego położenia finansowego, nie tylko Francyi, ale i innych państw, wchodzących w skład systemu państwowego Europy, nie miał sobie może równego. Zbliżała się szybkim

krokiem chwila przesilenia. Bankructwo, jak miecz Damoklesa, zawisło nad głowami. Rządy bezradne z założonemi rękami, niewiedząc gdzie, niemiejąc lub niechcąc szukać ratunku, czekały katastrofy. Była to chwila, w której *Polizeistaat* wystarczyć nie mógł.

Wszyscy widzieli grożące niebezpieczeństwo, wszędzie rozlegały się westchnienia do lepszego stanu. Opinia publiczna była zaniepokojona do tego stopnia, iż każdy czuł się powołanym do szukania ratunku, każdy myślał nad radykalnemi zaradczeniemi środkami. Co projektów śmiesznych i niepraktycznych, co pomysłów dziwacznych, spłodziła wtedy nieudolność przy dobrych chęciach z jednej, przy ambicji i zarozumiałości z drugiej strony? W *Człowieku o czterdziestu talarach* nie zapomniał Voltaire wymierzyć im zasłużonej chłosty.

Wejźmy na chwilę wraz z tym człowiekiem o czterdziestu talarach na audyencyą do generalnego kontrolera finansów. Przybywamy w sam czas: oto kilku ludzi, głębiej zapatrujących się na rzeczy, przedstawia mu swe projekta. Jeden wynalazł podatek nieuciążliwy, ale zaszczytny, o płacenie którego wszyscy dobijają się będą. To *curiosum*, to podatek od rozumu. Lecz cóż to? Minister już z góry uwalnia twórcę projektu od tej opłaty! Ktoś drugi proponuje obłożenie jednym ogólnym podatkiem śmiechu i piosnek, wychodząc z tej zasady, iż Francuzi, jako najweselszy naród na świecie, z ochotą płacić go będą. Lecz minister już oddawna nie słyszał wesołych piosenek i obawia się, aby podobny środek nie wywołał zbytnej powagi. Zuów ktoś inny stara się dowieść, iż niepodobna zebrać z podatków więcej nad 75 milionów liwrow, aby w téjże samej chwili ofiarować z czystej przyjaźni 225 milionów za wydzierżawienie tychże. „Z prawdziwą przyjemnością przyjmujemy jego dobre chęci, skoro tylko państwo spłaci swe długi,” odpowiada p. minister.

W ten sposób chłostuje Voltaire i wyszydza błędy najróżnorodniejszych teorii, przechodząc od jednego przedmiotu naukowego do drugiego, z zakresu jednej umiejętności, wdzierając się na pole drugiej. Tu poruszone nauki przyrodzone, tam muśnięta zlekka fizyologia, ówdzie pedagogika i medycyna. Czego tam niema, ileż najróżnorodniejszych kwestyi nie traktowano w tém dziełku, obejmującym zaledwie 122 stronnic druku? Lecz cóż, wszędzie tak, jak na polu ekonomii politycznej, obok wszechstronności, obok dowcipu i bystrości, ta sama powierzchowność, ten sam brak logicznej ścisłości i dokładności w dowodzeniu, brak jakiegóś obszerniejszej, pewniejszej podstawy; jednem słowem brak prawdziwej, głębokiej, rzeczywistej nauki.

* * *

Poglądy ekonomiczno-polityczne Jana-Jakóba Rousseau, są naturalnym wynikiem jego znanych paradoksów, paradoksów, których Rousseau był tak wymownym, tak żarliwym propagatorem.

W jego *Discours sur l'économie politique* napotyamy porównanie państwa, wziętego indywidualnie, do organizmu. Król, książę, jednem

słowem człowiek, stojący u szczytu, to głowa; prawo i zwyczaj—mózgiem, sędziowie i urzędnicy—organami, handel, rolnictwo, wszelkie rodzaje przemysłu mają być ustami i żołądkiem, przygotowującemi pokarm; finanse państwa—to krew, której obieg *Ekonomia*, spełniając funkcje serca, reguluje w całym organizmie. Obywatele państwa, to jego ciało, to zarazem członki, które poruszają całą tę maszynę i której niepodobna uszkodzić gdziekolwiek, aby ból nie dał się czuć całemu organizmowi. Gdy niema tej wspólności, tej łączności; wtedy ciało to jest w stanie rozkładu—organizm obumarł.

Natomiast zbija Rousseau porównanie państwa do rodziny. Gdyby nawet, mówi on, istniało między nimi podobieństwo takie, jakie chcą mieć niektórzy autorowie, to i wtedy jeszcze nie wynikałoby ztąd, aby prawa i przepisy dobre w rodzinie były odpowiedniami i w państwie. Ojcu, fizycznie już silniejszemu od dzieci, potrzebujących jego opieki i pomocy, natura sama dała tę władzę, którą w Rzymie do tak wysoka, jako *patria potestas* posunęto. W państwie urzędnicy od najwyższych do najniższych władzę swą otrzymali nie od samej już natury, lecz po prostu w skutek dobrowolnego im poruczenia—umowy. Minęły już czasy, w których majestat otaczano jakąś aureolą niebieską, gdy pomazańców Boskich uważano istotnie za jakichś półbożków, gdy ród ich wprowadzano z Olimpu. Możliwem było to jeszcze w czasach ogólnej ciemnoty, gdy na jój tle ludzie istotnie wyżsi, czyto fizycznie, czy umysłowo—imponowali masom. W owymto czasie, panujące rody były istotnie czómś wyższem od tłumów swych poddanych; w miarę jednak postępu cywilizacyi, w miarę rozpraszania się ogólnej ciemnoty, rozjaśniana się powoli samo tło, coraz więcej w niem jasnych punktów: tak zmniejsza się, ginie wreszcie przestrzeń, dzieląca króla od poddanych. Najpierw pojedyncze; potężne rody równają się z królewskim; szybko idą za niemi inne: coraz ich więcej. Coraz bardziej, coraz jaśniej wytwarza się opinia, iż głowa koronowana niczém nie różni się od innych. Wyższość istotna niknie, a w miarę rozpowszechniania się oświaty i cywilizacyi zaciera się coraz bardziej faktycznie, pierwiiej istniejąca różnica. Im bowiem więcej słabych, niewykształconych; tém bardziej odbija siła, rozwinięcie i t. p.; stopniowo zaś z zmniejszeniem się liczby pierwszych, błędniejszą zalety, rozpowszechniające się coraz bardziej. Śmiesznem byłoby zaiste chcieć jeszcze teraz utrzymywać jakąś istotną wyższość pomazańców Bożych, których zbiór cały, tak nieciekawych okazów, przedstawia nam historia.

Różnica więc pomiędzy familią a państwem jest przyczyną rozdziału gospodarstwa prywatnego od publicznego, i jak prawa ludzi, stojących u ich steru, nie pochodzą z jednego źródła, tak też, pomimo wspólności celu—i środki przez nich użyte, muszą różnić się w istocie rzeczy. W ten sposób zbija Rousseau patryarchalny system Filmer'a.

Podstawą, na której opierać się powinien każdy krok państwa na polu gospodarstwa społecznego, musi być prawo i cnota. Gdzie tych dwu warunków nie uwzględniono, tam nie nie pomogą wszystkie

nędzne sposoby i sposobiki, cała polityka gabinetowa. Miłość ojczyzny, poczucie obowiązku: oto *conditio sine qua non*. Lecz jakżeż szukać téj miłości ojczyzny tam, gdzie ludy, upadając pod brzemieniem ciężarów, nie odnoszą z nich żadnej korzyści; gdzie prawo, sprawiedliwość są czczemi frazesami; gdzie państwo domaga się tylko ofiar, narzuca obowiązki, nie dając w zamian praw żadnych. Niech państwo okaże się w rzeczy samej ojczyzną-matką, nie zaś macochą, matką wszystkich bez wyjątku; niech korzyści, które przynosi swym członkom, będą rzeczywistemi nie zaś fikcyjnymi: a gdy prawo da każdemu spokój i opiekę, gdy odpowiednia forma rządu zapewni mu współudział, gdy wszyscy poczują się jak „u siebie:” wtedy miłość ojczyzny będzie miała pewną racjonalną podstawę bytu, wtedy wejdzie ona w czyn, przestając być czczym, szumno-brzmiającym, a w istocie niezrozumiałym frazesem.

Podstawą zatem, na której opierać się powinien każdy krok państwa na polu gospodarstwa społecznego, jest według Rusa prawo i cnota. Aby zadość uczynić tym obu warunkom, potrzeba mieć cnotliwych obywateli. Lecz cnotliwi obywatele nie spadają już gotowi z deszczem, wykształcenie ich nie jest sprawą jednej chwili. Chcąc mieć ludzi, trzeba rozpocząć od dzieci. Od pierwszej chwili należy je uczyć zasługiwać na życie. Jak bowiem od urodzenia korzystamy z opieki praw, tak téż chwila ta powinna być początkiem spełniania naszych obowiązków. Jeśli są prawa dla wieku dojrzałego, powinny téż być i dla dziecięcego. Jeśli słusznie nie pozostawiamy rozsądkowi żadnej jednostki przywileju bycia nieomylnym sędzią jej własnych obowiązków, to tém bardziej niepodobna powierzać wychowania dzieci rozsądkowi lub ciemności rodziców.

Wychowanie publiczne wedle przepisów, udzielane przez urzędników państwowych, oto ideał Jana-Jakóba. Trzy tylko ludy miały coś podobnego u siebie: Kreteńczycy, Spartanie i starożytni Persowie; u wszystkich wydało to najzbawienniejsze skutki. Zadziwiającém jest, iż w Rzymie nie znajdujemy śladów podobnego systemu. Lecz Rzym, mówi Rousseau, był przez lat pięćset czémś niezwykłym, cudownym, czémś, czego nie spodziewajmy się ujrzeć powtórnie. Cnota Rzymian zahartowana nienawiścią i obawą rządów i zbrodni tyrańskich, równie jak miłością wrodzoną ojczyzny, zrobiła ze wszystkich domów prywatnych tyleż szkół, w których kształcili się przyszli *Cives Romani*.

Niedość jednak wychować cnotliwych obywateli, trzeba pomyśleć o ich bycie, o sposobach zapewnienia im egzystencji. Naturalnie nie polega to na napełnianiu zbożem ich śpichlerzy, na rozdzielaniu środków żywności między próżniaków i darmożjadów. Ulżenie indywiduom warunków ich bytu w ten sposób, aby każda jednostka otrzymać mogła przypadającą jej część bogactwa wspólnego, stosowną do usług, jakie społeczeństwu oddaje, tak aby praca zawsze była potrzebną, nigdy zaś bezowocną: oto zadanie państwa na polu gospodarstwa społecznego, oto prawidło, które każdym krokiem jego kierować winno.

Wypowiedziawszy na śmierć wojnę zbytkowi, wynosi Rousseau pod niebiosa zalety rolnictwa. Handel, operacje pieniężne denerwują, osłabiają tylko według niego ludy, budząc w nich egoizm, chciwość i przedajność. Kto chce zyskać „bądźcobądź,” ten zwykle staje się łotrem, oszustem, stłumiwszy w sobie wszelkie uczucia honoru, prawości. Ludzie obracający pieniędzmi, przez których ręce przesuwa się co chwila olbrzymie summy, wystawieni na ciągłe pokusy, ulegają im w końcu, nie wahając się napełnić swych kieszeni groszem publicznym. Czemżeż zaś są ci, którym poruczono ich kontrolę, pewien nadzór? nie ichże to wspólnicy biorący *pro parte rata* udział w tych spekulacjach „lewą ręką?” Chcąc zatem tego uniknąć, chcąc odjąć wszelką pokusę, proponuje Rousseau, żeby zreformować całkowicie system skarbowy, urzędnikom płacić *in natura*, znieść papier stemplowy, mało dbać o handel i przemysł, otaksować zaś bydło, obłożyć podatkiem ziemię, ziemię przedewszystkiem, jak chcieli fizyokraci, „gdyż to co produkuje, płacić powinno.” Znow błąd tak rozpowszechniony w XVIII-ém stuleciu.

Cóż mówić teraz w wieku XIX, w wieku kolei, telegrafów, telefonów i fonografów, o tych pomysłach genewskiego filozofa! W praktyce poprowadziłyby najkrótszą drogą do rządów spartańskich, do praw Likurga. „Uprawiajcie nauki, umiejętności, sztuki; oddajcie się duszą całą przemysłowi, handlowi; postarajcie się o dzielną armią, warowne twierdze, zaprowadźcie przedewszystkiem dobry system skarbowy ułatwiający jak najszybszą cyrkulacyą pieniędzy, a co najważniejsze dostarczający wam ich dużo, a staniecie się ludem chciwym, służalczym, ambitnym, żądnym krwi i zaborów, zdolnym do łotrstw i zbrodni, jak tyle innych. Niepoślednie zajmiecie miejsce w systemie państwowym Europy, staniecie się strasznymi sąsiadom, ubiegać się będą o waszą przyjaźń, skrepują traktatami, układami, w żadnej o was nie zapomną wojnie. Lecz gdybyście wypadkiem nie idąc z duchem czasu zechcieli pozostać ludem wolnym, roztroptym, spokojnym; to oddajcie się rolnictwu, myślcie o zaspokojeniu niezbędnych li tylko do życia potrzeb, obrzydźcie sobie pieniądź, oduczcie się, jeśli można go używać.” (*Du gouvernement de la Pologne*. Chap XI).

Rousseau zapomniał jednak, iż mówiąc o rolnictwie, o opędzaniu najprostszycy nawet potrzeb życia, niepodobna pominąć kapitału, jako jednego z niezbędnych trzech czynników każdej produkcji. Niedosć wołać: „Uprawiajcie dobrze swe grunta, a reszta przydaną wam będzie, wkrótce zaczniecie opływać w złoto, będziecie mieli go więcej nad wasze skromne potrzeby.” W żaden sposób nie będzie można dojść do tych rezultatów bez handlu, bez przemysłu, do czego przecież kapitał jest niezbędnie potrzebnym. To téż system ten doprowadza go do tego, iż życzy sobie zniesienia miast, tych ognisk postępu i cywilizacyi, cywilizacyi, przeciw której wystąpił zaczepnie już w swój rozprawie nagrodzonej przez akademią w Dijon.

Jego filozofia prywacy, oparta na poskramianiu potrzeb, na ciągłej wstrzemięźliwości raczej, niż na wynajdywaniu środków ku ich zaspokojeniu, nie jestże istotnie negacją wszelkiego postępu, zaporą cywilizacyi? Czyż prawo potrzeby, jak mówi Hoefer, nie jest bodźcem geniuszu? Czyż nie pobudza nas ono do wielkich odkryć, znakomitych wynalazków, będących chwałą czasów naszych? To *ascende superius* popychające nas naprzód, to dewiza pracy, czynu. Takie zaś zdania jak np. „Najbogatszym jest ten, kto ma najmniej potrzeb.” „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim;” lub owa zachwalana *aurea mediocritas* to godło próżniactwa, próżniactwa wydającego w praktyce jak najsmutniejsze owoce. Zarówno w życiu narodów jak i jednostek niezliczone spotykamy tego dowody...

Lecz dość już o poglądach ekonomicznych filozofów z Ferney i Genewy. Obecne stanowisko ich na polu ekonomiki oddać można najlepiej jednym wyrazem *überwundener Standpunkt*.

Dorpat, wrzesień 1878.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA ¹⁾.

Dzieła nagrodzone przez Akademię Francuską: dwie konkursowe rozprawy o Buffonie.—*Życiorys kardynała de Retz*, p. Chantelause.—*Monografia domu Saulx-Tavannes*, p. Pingaud.—*Historja Gwizyuszów*, p. Forneron.—*Historja Monteskiusza*, p. Vian.—*Życiorysy generała Pojol i Klebera*, p. Pajol.—*Obraz literatury francuskiej, 1800—1815*, p. Gustawa Marlot.—*Epoka odrodzenia*, p. Gobineau.—*Historja Rosyi*, p. Al. Rambaud.—*Szkoły w krajach północnych*, p. Hippeau.—*Biografia Dawida z Angers*, p. Jonin.—*O harmonii dźwięku*, p. Rambosson.—Przekład z angielskiego dzieła *O Rosyi p. Makenzie Wallace*, przez Bellanger'a.—*Gramatyka historyczna*, p. Desperouse.—*Filologiczne rozprawy Darmestettera*.—*Człowiek dawnych czasów*, p. Costa de Beauregard.—*Montcalm i Kanada francuska*, p. Bouvechose.—*Powieść Dosia*, p. Henri Greville.—*Wśród pastwisk*, Gustawa Levasseur.—*Przy ognisku*, Oktawiusza Noel.—*Życiorys panny Sauvau*, p. Emila Gossot.—*Poemata i pieśni* p. Blanchemin.—*Zarysy krytyki artystycznej*, p. Bougot.—*Wycieczka na Mont-Blanc*, Karola Durier.—*Podróż po Egipcie*, p. Rhone.—*Od bieguna pod równik*, p. Dubois.—Doroczne zebranie pięciu wydziałów Instytutu.—Mowa Laboulaya przeciwko ewolucjonistom.—Ustęp odczytany przez Legouvego z dzieła p. t.: *Nasze córki i nasi synowie*.—Zbiór poezyi Franciszka Coppée: *Les Recits et les Elegies*.—*Questions d'Art et de Litterature*, pośmiertne dzieło Georges Sand, tomów 3.—*Polieukt*, opera Gounoda, libretto Juliusza Barbier.—Ocenienie narzędzi optycznych p. Prażmowskiego, przez dr. Pelletan.—Nowe hipotezy o pochodzeniu Aryów, Teodora Poesche.—Filibrowie prowansalscy w Paryżu.—*Szczerbiec bez szczyrbu*.—Malarze i rzeźbiarze polscy na tegorocznej wystawie sztuk pięknych w pałacu przemysłowym.—Statystyka nagród otrzymanych przez różne państwa na wystawie powszechniej.

Wystawa skończona; czas nam wrócić do literatury. Uplłynione półroczce, co tak hojnym sypnęło plonem na polu przemysłu i sztuk pięknych, nie tyle szczerdrem okazało się w literaturze. Wbrew naszym oczekiwaniom, a z wielkiem zgorzeniem krytyków francuskich, żaden teatr nie wystąpił z żadnym znakomitym dramatem lub komedią. Na jednych odgrywano same dawne sztuki, na drugich farsy nastrzępione swawolnym dowcipem. Dyrektorowie teatrów zbyt lekko traktowali obcą publiczność: wszyscy jak się zdaje, wzięli za hasło: „dla cudzoziemców i to będzie dość dobre!” Sąd bardzo mylny! cudzoziemiec mniej wtajemniczony w polyski dowcipu francuskiego, widział tylko

¹⁾ Spóźnione z powodów niezależnych od woli korespondentki.

plaską i niesmaczną stronę tych krotoczwil, któremi karmiono go do tyła, iż przy najlepszej woli, smutne powziął wyobrażenie o teatrach francuzkich.

W wydawnictwie książek, widoczna też była stagnacya; tę jednak łatwo pojąć. Przeglądy i pisma, zajęte wyłącznie wystawą, nie miały czasu mówić o nowych publikacyach. Przezorni wydawcy woleli też zatrzymać się z niemi do spokojniejszych czasów. Spodziewać się można, iż nowy rok przyniesie nam wkrótce bujne żniwo.

Jeżeli teatra i księgarnie zawiodły obcych przybyszów, nie zawiodła ich przecież Akademia. Raport stałego jej sekretarza o dziełach uwieńczonych, odczytany w sierpniu, dał poznać światłym cudzoziemcom twórczość geniuszu francuzkiego, objawiającą się we wszystkich gałęziach literatury. Od tego raportu i my zaczynamy kronikę naszą.

Przed laty dwoma Akademia ogłosiła za przedmiot do konkursu, *Rozprawę o Buffonie*. Wielki ten pisarz, równie genialny w pomysłach jak i wytworny w stylu, którego Cuvier uznawał za mistrza, upadł był w opinii realistów dzisiejszych. Akademia postanowiła sprostować sąd ogółu: w tym celu głosiła wspomniony konkurs. Nadesłano ośmnaście rozpraw; z tych dwie równej wartości, zwróciły szczególną uwagę. Za każdą z nich przysądzono po 2,000 franków nagrody. Odpieczętowano koperty: jedna zawierała nazwisko młodego profesora Hemon z Rennes, druga Narcyza Michaut, doktora prawa z Nancy: notatka z podpisem ojca i matki, oznajmiała zarazem, że syn ich umarł w trzydziestym roku, ukończywszy zaledwie pracę: nagrodę posłano rodzicom.

Przedmiotem następnego konkursu ma być rozprawa o Marivaux, autorze dramatycznym z początku XVIII wieku, którego sztuki dotąd jeszcze grywane w teatrze, określają wiernie charakter czasu swego.

Wielką nagrodę *Gaubert* w ilości 20,000 fr. Akademia przyznała p. Chantelauze, za obszerne dzieło pod tytułem: *Kardynał de Retz*. Wkoło téj postaci autor ugrupował wypadki XVII wieku, odnoszące się do tak zwanéj *Frondy*, wojny domowéj przeciw Mazaryniemu, za małoletności Ludwika XIV. Dzieło pisane stylem świeżym, pamiętnikowym, obok głębokiéj erudycyi, ma jeszcze tę zaletę, że w jaskrawych barwach odtwarza wiek swój, a tém samém porywa uwagę czytelnika.

Mniejszą nagrodę *Gaubert*, (6,000 fr.) otrzymał p. Pingaud autor *monografii domu Saulx Tavannes*. Jest to historia jednéj rodziny, przedstawiona w szeregu wieków; obyczaje każdéj epoki, odmalowane właściwym kolorytem. Panuje tu nad innemi typowa postać Kacpra de Tavannes, słynnego wodza z wieku XVI. Do jego czasów, Tavanowie służyli książętom burgundzkim; po przyłączeniu feudalnego księztwa do Francyi, Kacper poświęcił się służbie Walezyuszów; stał się potężnym ich ramieniem. Był to wierny typ dawnych rycerzy średnio-

wiecznych, zabłąkany wśród nowych ludzi i nowych czasów. Silny jak tur, odważny, chciwy przygód, lubił wojnę dla wojny, nie gardził także łupem. Bez skrupułu szafował krwią nieprzyjaciół, lecz hojnie wytaczał też i własną.

Dwaj synowie jego Jan i Wilhelm: pierwszy gorący przyjaciel Henryka IV, drugi żarliwy stronnik Ligi, w ciągu trzech lat zawzięcie walczyli przeciw sobie. Potomkowie ich nie umieli utrzymać sławy domu: ród ich wygasł ze szczeni.

Tego rodzaju monografie przypadły szczególnie do smaku nowej szkole historyków francuzkich. P. Fornerou napisał w dwu tomach *Historią książąt Gwizyuszów*. Jest to rzecz można historia Francji XVI wieku, Gwizyusze bowiem trzęśli krajem przez lat ośmdziesiąt. Pierwszy z nich Klaudyusz, najmłodszy syn udzielnego księcia Lotaryngii, występuje na widownię, u boku Franciszka I. Zawołany szermierz, łamie dzielnie kopie na turniejach, z równą dzielnością stawia czoło wojskom cesarskim. Chciwą ręką zagarnia łupy, chwyta ziemie i grody z rąk królewskich, wyciska pot krwawy z biednego ludu. Za jego to czasów powstał charakterystyczny czterowiersz.

Gwizyuszów dom bogaty,
Siła złota ma w szkatule;
Swe dzieci stroi w szkarłaty,
A z ludzi zdziera koszulę!

Drugi z książąt Franciszek, błyszczy w dziejach, odwagą bohatérską, odiera Niemców od Metz, wydiera Calais z rąk Anglików: pada wreszcie ugodzony zdradziecko, pod murami obleżonego Orleanu. Trzeci z rządu Henryk *Szramowaty* (le balafre), staje na czele Ligi przeciwko Hugonotom, a zarazem podkopuje tron Walezjuszów. Okoliczności sprzyjają mu; korona przeszła wtedy na głowę zbiegłego z Polski Henryka III: naród gardzi niedołężnym królem. Gwizyusz korzysta z powszechniej niechęci; zniewala sobie lud, podżega Paryż przeciw monarszej władzy. Zwołał już stany generalne; wnet wymierzy ostatni pocisk: koronę wydarta Henrykowi, włoży na własną głowę. Zrozpaczony król ratuje się zbrodnią od zguby. Henryk *Szramowaty* pada, zamordowany przez siepaczy Henryka Walezjusza.

P. Forneron otrzymał za monografią Gwizyuszów połowę nagrodę *Therouanne*. Drugą połowę przyznano p. Luchaire za *Żywot Alana Wielkiego, pana Albretu*. Wierny to obraz wieku XV, historia ostatniej walki feudalizmu przeciw absolutnej władzy królów francuzkich, skreślona żywotnie, w sposób dramatyczny.

Nagrodę fundacyi *Guizota*, Akademia przyznaczyła p. Vian, za historią Monteskiusza. Autor nie rozbiiera krytycznie prac sławnego prawoznawcy i filozofa, o którym zapisano już całe foliały; kreśli poprostu ciekawy jego życiorys, wzbogacony muóstwem nowych, nieznanych

dotąd szczegółów. Opisuje liczne przejażdżki prezydenta: pokazuje go w codziennem życiu, w stosunkach z domownikami i przyjaciółmi.

Generał Pajol otrzymał nagrodę fundacyi *Halphen'a* za życiorysy dwu generałów: ojca swego Pajola i Klebera. Żywot ojca opowiedziany poprostu, z wielką werwą, obejmuje trzy tomy. Jest to historia wojen Napoleońskich, w których Pajol brał czynny udział. Piękna to postać w rycerskich dziejach Francyi, z początków tego wieku. Zaciągnąwszy się jako prosty ochotnik do wojsk rzeczypospolitej, Pajol przebiegał szybko ze szczebla na szczebel, aż nakoniec stanął na najwyższym, jako generał dywizyi.

Autor dzieła naśladował wiernie ojcowski przykład. Pierwszém jego polem był Alger; z wojny krymskiej powrócił generałem. Między jedną a drugą kampanią, ledwie wypuścił z ręki szpadę, porwał za dętkę, oddał się rzeźbie z najżywszym zapałem. Z pracowni jego wyszły dwa spiżowe posągi: jeden z nich, pierwszy hołd oddany ojcowskiej pamięci, zdobi dziś plac publiczny w Besançon: drugi przedstawiający Napoleona I, panuje nad mostem w Montereau. W końcu generał podjął pióro: styl jego zda się ulany ze spiżu; rąbie słowem jak mieczem: łatwo odgadnąć w nim rzeźbiarza i starego żołnierza.

Nagrodę *Bordn* za prace treści czysto-literackiej, akademia rozdzieliła między dwu laureatów. Summę 2,000 franków otrzymał Gustaw Merlet, autor *Obrazu literatury francuzkiej od r. 1800 do 1815*. Głęboki erudyta wziął sobie za cel przypomnieć Francyi zasłużonych pracowników,, których słowo przebrzmiało w narodzie zgluszone szczęciem stali i hukiem armat. Zapełnił tym sposobem szczerbę w literaturze francuzkiej; pokazał dowodami, że wielcy przewodzcy romantycznego przewrotu, jak Lamartin i Wiktor Hugo, mieli już mniej znanych poprzedników, którzy pierwsi łamali dla nich lody i karczowali drogę.

Pozostałą część nagrody otrzymał hr. Gobineau za dzieło p. t. *la Renaissance*. W dłuższej seryi obrazów, pełnych życia i wdzięku, autor wybornie skreślił ciekawą epokę *odrodzenia*.

Liczba i znaczenie dzieł przysłanych do konkursu, zmusiła również akademię do rozdzielenia nagrody *Guerin* (5,000) pomiędzy czterech autorów: pierwsza przypadła p. Alfredowi Rambaud, profesorowi uniwersytetu w Nancy, za *Historyę Rosyjską*, skompilowaną z rozmaitych dzieł i rozpraw. P. Rambaud należy do téjże samej szkoły co i p. Leger; trudno więc wymagać od niego bezstronności. Styl żywy, przedstawienie rzeczy łatwe i zręczne, a może i uprzedzenia tych którzy rozpatrywali jego pracę, wszystko to razem wpłynęło na przychylny sąd akademii.

Drugą część nagrody (1,000 fr), otrzymał p. Hippeau, członek rady wychowawczej w ministerjum oświecenia, za raport ze stanu szkół w krajach północnych. Uczony ten pedagog, zwiedziwszy dawniej wszystkie ważniejsze instytucje w Europie i Ameryce, odbył nakoniec podróż do Danii, Szwecyi, Norwegii i Rossyi. Owocem téj

ostatniej podróży jest właśnie uwiecznione dzieło, pełne ciekawych szczegółów o wychowaniu w krajach Skandynawskich.

Inna część nagrody przypadła p. Jouin, za nadzwyczaj zajmującą biografią Dawida z Angers, wydaną w dwu ozdobnych tomach z stalorytami. Postać wielkiego rzeźbiarza oddana z miłością. Żałujemy tylko, że autor, pokazując Dawida poza obrębem życia artystycznego, nie postarał się o bliższe szczegóły, dotyczące się przyjaznych stosunków jego z Mickiewiczem. Wzajemna ta sympatya dwu genialnych ludzi, dwu koryfeuszów romantyzmu, zawiązana w Weimarze, jak wiemy z listów szanownego A. E. Odyńca, przetrwała do czasów ostatnich. P. Jouin zbywa ten stosunek zbyt pobieżnym wspomnieniem. Krytyczne ocenie utworów Dawida, stanowi główną wartość znakomitęj zkadinał pracy.

P. Rambosson, autor dzieła o *Harmonii dźwięku*, otrzymał ostatnią część nagrody Guerin. Jestto traktat patologiczno-muzyczny, pokazujący wpływ muzyki na fizyologią człowieka. O tém dziele, pełnym nowych a śmiałych pomysłów, mówiliśmy już w jednej z dawniejszych korespondencji.

Nagroda *Langlois*, za najlepiej dokonany przekład, przysądzoną została p. Bellanger tłumaczowi angielskiego dzieła p. Makenzie Wallace p. t. *Rossya: kraj, instytucye, obyczaje*. Dzieło to wypracowane z głębokim na rzeczy poglądem, tak wielką znalazło wziętość w Anglii, że w ciągu kilku tygodni, rozbiegło się w 35,000 egzemplarzach. Wartość jego niezmiernie téż większa od wspomnianej wyżej, kompilacji p. Rambaud.

Nową nagrodę, fundacyi p. *Desperouse*, za filologiczną publikacją, rozdzielono pomiędzy dwu lingwistów: 2,500 fr. otrzymał z niej pan Marty-Loveaux, wydawca Plejady Ronsardowej, dzieł Rabelais'go i Lafontaine'a, z obszernymi komentarzami. Oprócz tego uczony filolog wydał *Gramatykę historyczną* nadzwyczaj wielkiej wagi. Tłumaczy tu pozorne sprzeczności francuzkiego języka, pokazuje w nich zabytki różnych epok.

Resztę nagrody (1,500 fr.) przysądzono młodemu lingwiście p. Darmestetter, za dwie filologiczne rozprawy o wyrazach składanych i neologizmach. Uczeń nowój szkoły, wkopuje się głęboko w przedmiot, bada rzeczy do gruntu, z cierpliwością benedyktyńską. Sekretarz akademii pochwała ten kierunek, który w oczach sąsiadów zastani Francją od złośliwych szyderstw, z tak zwanéj *leichte literatur*!

Z owych wyżyn naukowych na popularniejsze pole sprowadza nas szereg dzieł uwiecznionych, w myśl fundacyi *Monthonia*. Z pomiędzy dziewięćdziesięciu trzech przedstawionych do konkursu, jednaście otrzymało nagrody, trzy w ilości 2,000 fr. inne po 1,500.

Pierwszą przyznała akademia p. Costa de Beauregad, za dzieło p. t. *L'Homme d'autrefois* (człowiek dawnych czasów). Autor, Sabaudczyk rodem, kreśli obraz dziada swojego. Ów dziad Henryk de Costa, przywieziony był do Paryża w r. 1767. W listach do ojca i matki, do-

tań przechowywanych w rodzinie, wszystko co widzi opisuje najdokładniej, sądzi po swojemu ludzi i rzeczy. Poznał Diderota, od którego stroni ze wstrętem; zaglądał do pracowni najstojniejszych mistrzów: Vanloo, Greuza i Boucher'a; żartuje dowcipnie z ich słabostek, mierzy skalą własnych pojęć: wielkich ludzi współczesnych.

Później zbliża się do Józefa de Maistr'a, wchodzi z nim w przyjacielskie stosunki; lecz nie podziela jego filozoficznych zasad: protestuje przeciw nim całym szeregiem listów, nadzwyczaj zajmujących. Później jeszcze, po zwycięstwach Bonapartego we Włoszech, spotyka tryumfatora; w imię króla Piemontu wchodzi z nim w układy o zawieszenie broni. Spotkanie to opowiedziane w żywy i dramatyczny sposób.

Stary Costa czuł się więcej Sabaudczykiem niż Francuzem; wnuk wyrosł pod wpływem nowych pojęć. W r. 1871 walczył mężnie na czele mobilów sabaudzkich, brat jego poległ w obronie Francji. Te świeże zasługi, dobrze uprzedziły akademią; przyznała nagrodę p. Costa, z wyraznym jednak zastrzeżeniem, że uczone grono nie podziela patryotycznych uczuć jego dziada, przyrostych wyłącznie do kolébki sabaudzkiej.

Drugą nagrodę otrzymał Karol Bonnechose za historyczną pracę: *Montcalm i Kanada francuska*. Mówiliśmy obszernie w swoim czasie o téj znakomitej pracy, w której autor, z wielką potęgą uczucia i talentu, maluje smutny dramat rozwiązany bohaterskim skonem Montcalma, pod murami Montrealu i przejściem Kanady w moc Anglików.

Autorka znana pod pseudonimem *Henri Greville*, odebrała trzecią nagrodę, za powieść p. t. *Dosia*, osnutą na tle społeczeństwa rosyjskiego, tchnącą jak mówi sprawozdawca, aromatyczną wonią salonów petersburskich.

Odmianą całkiem wonią tchnie inne uwieńczone dzieło Gustawa Levasseur: *Dans les herbages* (Wśród pastwisk). Autor, właściciel posiadłości ziemskiej w Normandji, orze z zamiłowaniem swój zagon, zna każdą piędź swéj ziemi, każde źdźbło trawki na żyznych swoich łąkach. W chwilach spoczynku szkicuje obrazki z natury; maluje wieśniaków normandzkich przy pracy, przy zabawie, przy ognisku domowym. Każdy obrazek czy to prozą czy wierszem, uderza barwą prawdziwie oryginalną, i wielką siłą przy całej swéj prostocie.

Inne uwieńczone dzieło Oktawiusza Noel, p. t. *Przy ognisku*, przenosi myśl w inne zupełnie sfery. Nie są to już powiastki z życia, ale ekonomiczne teorye przedstawione jak najpopularniej, dla powszechnego użytku. Autor pragnie, aby podniesione przezeń pytania, dotąd rozbierane tylko naukowo, wnikły w obręb domowych ścian, zajęły umysły tak robotników jak i ludzi światowych. Mówi on o majątku prywatnym i publicznym, tłumaczy utworzenie się własności, znaczenie kapitału, zasady kredytu i instytucji bankowych. Pokazuje dobroczynny wpływ machin, które nie usuwają ręcznej pracy, lecz przychodzą jéj w pomoc; odróżnia wreszcie dobrobyt od nagannego zbytku, zakreśla granice między jednym a drugim... Pożyteczne to dziełko,

wchodzi zupełnie w myśl fundatora konkursu Monthion'a, równie żarliwego filantropa jak biegłego ekonomisty.

Toż samo powiemy o uwieńczonej księżeczce p. Emila Gossot. Jestto życiorys panny Sauvau, zasłużonej w zawodzie pedagogicznym. Mianowana, przed pięćdziesięciu laty, inspektorką szkół żeńskich w Paryżu, wprowadziła zbawienne reformy, zwłaszcza do szkółek elementarnych. Pełna serca i energii, rozsiewała światło szczodłą ręką; prace o wychowaniu wielokrotnie zjednały jej nagrody. Autor uczył godnie pamięć kobiety tak zasłużonej w kraju.

Do konkursu Monthion'a wchodzi jak wiadomo, dzieła z rozmaitych gałęzi literatury: osobne nagrody przeznaczone są za poezyą, osobne za podróż i krytyczne rozprawy. Nagrodę poezyi otrzymał w tym roku Prosper Blanchemin, za tomik p. t. *Poemata i pieśni*. Powiemy o nich po bliższym rozpatrzeniu.

Nagroda za krytyczną pracę, p. Bouqot, autorowi dzieła: *Zarysy krytyki artystycznej*. W pierwszej części autor rozbiera stronę teoretyczną: wykazuje potrzebę krytyki, określa jej prawidła. W drugiej części daje historią krytycznych poglądów we Francyi, zatrzymuje się szczególnie nad Diderotem, twórcą nowych, nieznanych przed nim zasad.

Trzy wreszcie opisy podróży zakończają szereg dzieł z konkursu Monthion'a. Pierwszy podróżnik, Karol Durier porywa z sobą czytelnika na wierzchołek Mont Blanc, wiecznym pokryty śniegiem. Drugi p. Rhone z erudycją ożywioną talentem pisarskim, kreśli ciekawy obraz Egiptu, z jego starożytną cywilizacją i życiem dzisiejszych mieszkańców. Trzeci nakoniec Dubois, przebiega niezmierną przestrzeń od bieguna pod równik; wprawdzie on sam nie widział tych obszarów, wiadomość o nich zaczerpnął tylko z ksiązek i bujnej wyobraźni. Akademia nagrodziła jego dzieło, jako zajmujące i pożyteczne.

Oprócz tych nagród konkursowych, akademia rozporządza jeszcze kilku innymi, których cel pozostawiony wyłącznie do jej uznania, a określony przez fundatorów ogólnym orzeczeniem: *na pożytek literatury*. Jedną z tych nagród, bezimienną fundacyi, w ilości 5,700 fr. rozdzielono w tym roku pomiędzy dwu poetów: Edwarda Grenier i Józefa Souлары. Pierwszy z nich kilkakrotnie zbierał już wieńce akademickie. Ostatni poemat jego *Marcel*, tém bardziej dla nas zajmujący, że akcja dramatyczna odbywa się w kraju naszym, z którym poeta szczerze sympatyzuje. Souлары zamieszkały w Lionie dał się poznać zbiorem bardzo udatnych poezyi. Powiemy o nich później.

Drugą nagrodą *Latour-Laudry*, akademia obdarzyła w połowie Gustawa Toudouze, za pierwsze jego literackie próby, nacechowane pięknym stylem, myślą wzniosłą i zdrową. Powieści: *Czara Herkulesa*, *Skrzynka Salomei*, *Oktawiusz*, zwróciły uwagę sędziów, w sposób zaszczytny dla młodego pisarza. Podzielił z nim nagrodę stary kapitan dragonów, ogorzały słońcem Algeru, Emil Andrieu, autor zajmujących *Scen i obrazów z życia afrykańskiego*.

Ostatnią wreszcie nagrodę, *Lambert*, przeznaczono jednomyślnie Ksaweremu Aubryet. Zdolny ten pisarz, przed dziesięciu laty rozpoczął zawód literacki, szeregiem oryginalnych powieści, i niemniej samodzielnych rozpraw krytycznych. Od r. 1874 dotknięty paraliżem, pozbawiony wzroku, wśród zupełnej bezwładności zachował przecież zdrowy umysł, a co więcej werwę humorystyczną. Ostatni utwór jego p. t. *U nas i u sąsiadów naszych*, pełen trafnych spostrzeżeń, nie ustępuje pracom dokonany w pełni sił, przewyższa je nawet wytrawnością filozoficznych poglądów.

Jak widzimy, akademia rozdała wszystkie nagrody, jakie miała do rozporządzenia w tym roku. Wiele z nich rozdzieliła na dwie lub trzy części, w skutek wielkiej liczby dzieł nadesłanych na konkurs. Pięknie to świadczy o intelligencji i pracowitości Francuzów.

Kilka tygodni temu, w dniu 25 października, pięć akademii składających Instytut francuzki, obchodziło ośmdziesięcio-dwuletnią rocznicę istnienia swego. W tych uroczystościach, jak wiadomo, każda akademia przemawia przez usta najuczestszych przedstawicieli swoich, prezydujący zaś obowiązany zreasumować prace zbiorowego ciała. Na tegoroczném zebraniu prezydował Labouley.

Znakomity mówca przypomniał najprzód słowa Cuviera wyrzeczone sześćdziesiąt lat temu, w podobnej okoliczności, słowa pokazujące silny wpływ nauki na postęp społeczeństwa. Pochwyciwszy tę nić, Labouley wysnuwa ją dalej; rzuca wzrok na wystawę, to żywe świadectwo tryumfu człowieka nad ujarzmioną przezeń przyrodą. Z ogólnego poglądu przechodzi do szczegółów, pokazuje w druku i dziennikarstwie bezpieczną tarczę samorządu; w kotle parowym, rękojmią nie tylko dobrobytu, ale co więcej, równości między ludźmi.

„Cofnijmy się—rzecze—o lat sto; mamy we Francyi trzy ludy: włościan, mieszczan i szlachtę. Wieśniak w siermiędze i sabotach, chodzi pieszo, nie umie wcale czytać. Mieszczanin w kapocie barakanowej, podróżuje *kukulką*, czyta postanowienia parlamentu; szlachcic strojny w bławat i aksamit, z czerwonymi obcasami u trzewików, nosi przy boku szpadę, jeździ kareta, czyta lub przerzuca Encyklopedyą i Woltera. Dzisiaj wszyscy odziani sukniem, obuci jednakowo, czytają też same dzienniki, podróżują ciągnieni tym samym parowozem lub parostatkiem. Kiedy wszyscy żyją w jednaki sposób, kiedy wszystko sprzysięgło się na rzecz równości, co znaczą przywileje?”

Z kolei rzeczy mówca pokazuje wpływ nauk ścisłych na historią, na ekonomią polityczną, na filozofią, a szczególnie na politykę. Przytaczamy tu jego słowa: „Idea porządnego rozwoju, przykład natury, nie działającej nigdy dorywczo, dały nam poznać, że czas, to jeden z najpotężniejszych żywiołów w sprawach ludzkich. Nie wierzymy już w systemata, sławione w końcu zeszłego wieku, nie oczekujemy odrodzenia ludzkości po deklaracji praw człowieka, po jakiejś konstytucyj doraźnie zaimprovizowanej. Mędrsi od ojców naszych, nauczeni ich

doświadczeniem, nie marzymy już o stanie natury, jak marzył niegdyś Rousseau, nie smakujemy w komunizmie Platona, przestrojonym na krój francuzki przez Mablego; przyjmujemy społeczeństwo jakim uczyniły je wieki, społeczeństwo ucywilizowane, oparte na własności i pracy; są w niem zapewne niedostatki, (doskonałość nie jest udziałem ludzkim), ale jedyny to żywioł, zdolny do przyjęcia trwałych reform."

Po tém silném wystąpieniu na rzecz tradycyi, Labouley rzuca jeszcze śmielej rękawicę nowym teoryom, głoszonym w imię postępu: „Dziś, mówi on, weszła w modę doktryna, ponętna dla wielu, jako nowość, doktryna *ewolucyi*. Zamiast wyjaśniać podobieństwo istot, prostotę pierwotnego planu, tłumaczą je pochodzeniem od pierwszego zarodu i stopniową jego transformacją. Postawiono linię pionową, w miejsce linii horyzontalnej; wyznajmy jednak, że nie wiemy nic o początku życia i pokrewieństwie wzajemném żywych istot.

„Bądź że teorya ta przeznaczoną, aby odrodzić nauki przyrodzone, bądź że ma ulecieć w krainę mglistych mrzonek, w każdym razie, zastosowanie jej do życia społecznego, nie należy do szczęśliwych pomysłów. Trudno uczynić prawo i moralność, paragrafem historii naturalnej.

„Walka o byt, t. j. konieczny rozwój siły, walka o byt, ciągnie mówca, sprowadziłaby stan najokropniejszy, cofnęłaby cywilizacją, poza kres świata pogańskiego. Nasze prawa i obyczaje, nawskroś przesiąknięte duchem chrześcijańskim, otaczają coraz troskliwszą opieką, wszystko co słabe, wszystko co cierpi: dzieci, kobiety, starców, chorych, więźniów, kaleki i nędzarzy. Teorya ewolucyi tymczasem, w imię prawa natury, poświęca wszystko co słabe, na rzecz silniejszych jestestw. Ostatniem słowem tych nowych doktryn, gdyby zatryumfować miały, byłby powrót do praw spartańskich, byłoby panowanie arystokracji, prowadzące wprost do absolutyzmu.

„Zwolennicy nowego systematu zapomnieli o tém, że, jeśli nauki mieszają się do wszystkiego, nie są jednakże wszystkiem i niemają wcale tej pretensyi. Świat wolności odmienny od świata przyrody; to dwie odrębne całości dziedziny: niepodobna złączyć ich razem. Są w człowieku porywy, uczucia, idee, unoszące go nad życie czysto zwierzęce. Z instynktu piękna, z pojęcia dobra i sprawiedliwości, zrodziły się sztuki piękne, literatura, prawo, moralność. Są to objawy szczególnego rodzaju, zaprzeczyc im bytu niepodobna; nauki przyrodzone wytłumaczyć ich nawet nie inogą. Odtrącać myśl, że świat jest harmonijnym zbiorem rozmaitych żywiołów, wszystko poświęcać dla jedności, istniejącej jedynie w słowach, byłoby to, jak mówi Arystoteles, chcieć utworzyć muzykę z jednej nuty. Sumienie opiera się takim wynikom, a przy całym talencie, logicy nowej szkoły, nie wmówią w ludzi, że wolność jest utudą dziedziczną, dobro i zło bajką wymysłu nianiek, że prawo synonimem siły, a moralna odpowiedzialność przesądem wychowania!"

Gorący poklask, jakim publiczność odpowiedziała na te słowa, wymownym był dowodem, że teorie ewolucjonistów mało liczą zwolenników w społeczeństwie francuzkiem.

W inną zupełnie stronę uderzył Legouvé, zaraz po Labouleyu. Zdawało nam się, że wymowny akademik, który przed rokiem, w szeregu konferencyi, ośmielił się zarzucić Francuzom, że czytać nie umieją, którego dziełko, świeżo wydane w tym przedmiocie, stało się bodźcem dla rady wychowawczej, iż kurs czytania wprowadza do szkół wyższych; zdawało nam się, powtarzamy, że Legouvé przemawiać będzie dziś na rzecz téj pożytecznej reformy. Inaczej się stało: Legouvé wystąpił w imię innej reformy, daleko ważniejszej, bo sięgającej najdrażliwszych pytań społecznych: podjął rzecz o wzajemnym stosunku panów domu i służących. Myśl swoją przeprowadził racjonalnie, w sposób najzupełniej przeciwny zasadzie, wygłoszonej przez Labouleya. Gdy temu ostatniemu szło właśnie o połączenie całej ludzkości, a zatem wszystkich warstw społecznych, na prawach miłości chrześcijańskiej, Legouvé tymczasem, nad te zasady, przekłada inną, wprost przeciwną, t. j. zasadę *walki o byt!* Wprawdzie nie wyrzekł tych wyrazów, są one przecież treścią i celem całego przemówienia. Miłość wzajemną, w której Labouley widzi cement, łączący wszystkie stany, odrzuca Legouvé, jako przestarzałą mrzonkę; idzie mu raczej o niepodległość jednostek; tę niepodległość pozwala zdobywać odrzuceniem wszelkiej ofiary w stosunkach łączących ludzi pomiędzy sobą.

Poraz pierwszy tego rodzaju pytanie, podjęte zostało w akademii Francuzkiej i to w sposób nadzwyczaj niebezpieczny, gdyż w imię zimnego racjonalizmu, wystąpił najwymowniejszy z akademików, którego słowo, wypowiedziane zręcznie, wsparte pozorną logiką, czarowny wpływ wyrzucić musiało na słuchaczy. Przypatrzmy się bliżej téj sprawie.

Legouvé odczytał ustęp z dzieła, przygotowanego do druku, p. t.: *Nasze córki i nasi synowie*. W ustępie tym pokazuje wpływ domowników na dzieci. Nie jest to bynajmniej jakaś pedagogiczna rozprawa, ale dramacik domowy, pełen życia, przybrany w formę dzienniczka młodej matki.

Ta matka ma dziewięcioletnią córeczkę Julkę. Przed laty dwoma przyjęła do służby Magdalengę, wdowę po robotniku, która ma córkę Teresę, wychowującą się u krewnych, o kilkadziesiąt mil od Paryża. Charakter Magdaleny porywczy i samowolny, ale te wady nagradza sługa wiernością i przywiązaniem do pani swojej, kocha Julkę jak własne dziecko.

Dnia jednego dziewczynka przybiega do matki, opowiada, że Magdalena odebrała list od krewnych, że płacze i łamie ręce, bo córka jęć niebezpiecznie chora, już jęć zapewne nie zobaczy. Uniesiona litością pani, wyprawia Magdalengę z domu; kilkadziesiąt franków, przeznaczonych na suknię, poświęca chętnie na jęć podróż.

W kilka dni wraca Magdalena: córka jęj przetrwała chorobę, ale biędna matka drży jeszcze o nią; powietrze w górach nazbyt ostre, opieka krewnych niedostateczna. Julka znów pośredniczy. Na próśby jęj, pani pozwala słudze sprowadzić córkę do domu. Teresa cały dzień przebywać będzie u Siostr Miłosierdzia, wieczorem tylko powracać ma do matki.

Uplęnęło pół roku z powszechném zadowoleniem. Teresa uczy się wybornie, otrzymuje szkolne nagrody. Julka szczęśliwa z towarzyszkami, w niedzielę biega z nią po ogródku. Magdalena, zniewolona dobrocią pani, służy jęj z zupełném poświęceniem.

Wkrótce potem smutne wypadki 1870 r., pozwoliły wiernęj słudze okazać całą wdzięczność. „Nowy węzeł tém ściślej nas połączył, zapisuje pani w dzienniczku. Magdalena dała mi dowód prawdziwego przywiązania: ocaliła nasz domek za Paryżem od łupiestwa Prusaków, przywozła mi do Bretanii, gdzie schroniłam się z córką, różne pamiątki, do których przywiązuję wielką wagę. Tu poznałam dopiero całą delikatność jęj uczuć, całą szlachetność serca. Mąż wyprawił mnie w drogę z niewielką kwotką, miał wkrótce przysłać więcej, ale komunikacya przerwała się nagle, trudno było liczyć na zasiłek. Otóż Magdalena dokazała cudów oszczędności, odmawiała sobie wszystkiego, byleby mnie i Julce na niczém nie zbywało. Publiczne klęski rozdzierały mi duszę; patriotyzm jęj nie ustępował mojemu. Ileżto razy wbiegła bez tchu, aby mnie pocieszyć jakąś pomyślniejszą, niestety, ułudną nieraz wieścią! Miałyśmy dwa tylko pokoiki, ztąd zbliżenie większe niż dawniej; dzieci nasze kochały się i bawiły razem, jak dwie siostry: słowem, te kilka miesięcy, spędzone w Bretanii, zdala od najdroższych nam osób, zagładziły między nami wszelką nierówność stanów. Za powrotem do domu, stosunek ten utrzymał się w wielkiej części. Magdalena, gorąco przywiązana do Julki, miesza się do jęj zabaw, do jęj ubrania, łąje nawet czasami.”

Wszystko szło najlepiej, kiedy w progi tego edenu wślizgnął się wąż, w postaci elegantki światowej. Wypadek to bardzo zwyczajny, ale co najdziwniejsza, oto: że p. Legouvé, przez usta wychowanki salonów, wietrznej istoty, lekkiej jak puch, błyszczącej jak błędny ogień na trzęsawisku, wypowiada swoje racjonalne sentencye. Przytaczamy charakterystyczny ustęp z dziennika.

„Przyjaciołka moja, rzucona w odmęt świata eleganckiego, zachowała jednak pamięć naszych młodziuchnych związków: od czasu do czasu odwiedza mnie i ciszę moję domową ożywia potokiem dowcipnych słówek, pełnych pozytywizmu i zdrowego rozsądku. Przybyła właśnie wczoraj.

— Kto jest ta dziewczynka! — zagadnie żywo — co się bawi w ogródku z twoją Julką?

— To córka mojęj służącej Magdaleny.

— Jakto? pozwalasz bawić się twemu dziecku z córką służącej?

— Tak jest; nie widzę w tém nic złego!

— Mylisz się!..

— Ależ tu cała historia!...

I opowiedziałam wszystko, co zaszło. Słuchała uważnie.

— Twoja historia—rzecze nakoniec—dowodzi tylko, żeś zbłądziła, wprowadzając do domu tę dziewczynę; że błądzisz, pozwalając jej bawić się z córką twoją!

— I cóżto może szkodzić?

— To niema sensu! posłuchaj mnie... sędzę, że jestem dobrą kobietą i dobrą panią dla sług moich: kiedy chorzy, daję im opiekę; kiedy zmartwieni, daję radę lub pomoc; ale poufałości nie dopuszczam najmniejszej; ich dzieci do moich niemają żadnego przystępu. Studzy tém dla mnie, czém figuranci w tragedyi: są to osoby powolne, uprzejme, gotowe zawsze działać, lecz mówić im niewolno!

— Pamiętaj! że Magdalena oddała mi prawdziwą przysługę!..

— Tém gorzej! zaciągnęłaś względem niej obowiązek; otóż nie powinniśmy nigdy mieć obowiązku dla sług naszych.

— Ależ Magdalena należy do rodzaju starych, pocziwych domowników!

— Starych domowników!—zawołała przyjaciółka moja z głośnym śmiechem—ja utrzymuję, że należy zmieniać ich co pół roku!

— Jakto? nie rozumiem cię!..

— Rzecz prosta. Czy uważałaś, kiedy bierzesz lokaja lub służącą, w pierwszym miesiącu nie dopatrzysz w nich najmniejszej wady, w trzecim zaś i czwartym trudno dopatrzeć najmniejszą zaletę. Rzecz się ma jak z młodém małżeństwem. Często zmiana służących, powtarza nam raz po raz słodczye miodowego miesiąca!

— Żartujesz ze mnie!

— Bynajmniej, mówię seryo!

— Przytoczę ci jednak tysiączne przykłady z dawnych czasów.

Dawniej studzy stanowili część domu: rodzili się w nim i umierali; dziś przebiegają tylko domy nasze, jak przybłądne nomady. Dawniej sługa poświęcał się dla pana, pewien, że spełnia tylko powinność i samém poświęceniem czuł się wynagrodzony; dziś co innego. I ja też miałam starą służbę, kochała mnie, lecz drogo musiałam opłacać tę miłość! I ty prędzej czy później, usłyszysz gorzką wymówkę z ust twojej Magdaleny. W chwili gniewu, powie ci niewątpliwie: „Po tém wszystkiém, co uczyniłam dla pana i dla pani...”

— Dość już!—zawołałam żywo—nroziś mi serce twoim zdrowym rozsądkiem: ja temu nie uwierzę!”

Przyjaciółka odjechała, ale zaród kwasu pozostał w sercu młodej matki. Zapisuje w dzienniczku różne przykre wrażenia, świadczące, według autora, o koniecznej potrzebie usunięcia sług od panów, dowodzące, według nas, że matka Julii należała do najpospolitszych kobiet, że niegodną była miłości pocziwej Magdaleny. Gniewa ją, że Teresa większe czyni postępy w nauce u Siostr Miłosierdzia, niż Julka pod jej

kierunkiem; oburza się na to, że prosta dziewczyna umysł ma bystrzejszy, kibić kształtniejszą, słowem, że ładniej wyrasta od jej córki. „Mój Boże!—mówi z żalem—gdyby ktoś przekładał nad Julkę jedną z jej rówieczek, wcaleby mnie to nie obeszło, ale myśl sama, że córka mojej służki ładniejsza od córki mojej, martwi mnie i oburza: pytam, czy ma do tego prawo?”

Przy takim rozdrażnieniu, łatwo zgadnąć, że przyszło do katastrofy. Dnia jednego, Julka przy obiedzie wyraziła się w sposób nieprzyzwoity. Ojciec podskoczył na krześle z oburzeniem.

— Kto cię nauczył takich słów?—pyta zdziwiony.

— Słyszałam je z ust Teresy.

Odesłano Julkę; małżonkowie radzą, jak się pozbyć źle wychowanej dziewczyny, która przynosi dziś do ucha Julce grube, kuchenne słowa, a jutro wnieść może zaraz do jej duszy.

Autor naciąga rzecz widocznie. Czemuż to, co tak dziś razi i trwoży rodziców, nie raziło ich dawniej? Jak tu przypuścić, aby dziewczę tak bystre, ogładzone w szkole Sióstr Miłosierdzia i w atmosferze wytwornego domu, miało dziś w ustach więcej wyrazów grubiańskich, niż przed laty trzema, gdy matka przywiozła ją z góralskiej chaty? Obraza przyzwoitości nie jestże tu prostym pozorem?

— Potrzeba koniecznie—rzecze ojciec—oddalić z domu tę dziewczynę.

Magdalena słyszała wszystko z przyległego pokoju. Wpada do sali drżąca i blada, staje w obronie córki. Zarzuty sypią się jak grad z jednej strony i z drugiej. Sługa, zraniona do głębi serca, nie mierzy słów, nie umie zapanować nad sobą.

— „Dziecko moje wszystkim tu solą w oku! ona nie zna takich wyrazów, nauczyć ich nie mogła! To kłamstwo!—zawoła z uniesieniem.—I na cóż mi dziś przyszło po tém wszystkiém, com uczyniła dla pana i dla pani...”

Słowa wybiegły same z ust; serce nie wzięło w nich udziału. Biedna Magdalena przeplakała całą noc. Nazajutrz, z oczyma od łez zapuchniętymi, staje przed panią, błaga przebaczenia za porywczosć, obiecuje poprawę. Napróżno!.. wola państwa niezłomna: oddalają z domu wierną służkę; jej ofiarę obliczają na pieniądź. Aby pozbyć się długu wdzięczności, nabywają dla niej jakiś sklepik.

— Po tém, coś uczyniła dla nas—rzecze pani—obowiązkiem naszym zapewnić przyszłość córce twojej!

Magdalena waha się zrazu, żal jej tych progów, do których przyrosła duszą całą. Na to wchodzi pan domu, głosi nieodwołalny wyrok.

— Spełniliśmy—rzecze—powinność naszą. Dawniej marzeniem było służących, pozostać nazawsze w domu panów; dziś дума ich polega na tém, aby czemp prędzej opuścić cudze progi. Czasy się odmieniły; każdy powinien dążyć do samoistności. Służba ma być chwilowym tylko etapem. Wchodźcie do naszych domów, aby zebrać pieniężny za-

siłek, odbyć próbę uczciwości i poświęcenia, mieć przed oczyma dobry przykład, ale waszym celem niepodległość! Pracować u siebie i dla siebie, to przyszłość wasza; dobry sługa nie powinien myśleć o inném!

Tak się skończył ów domowy dramacik, mówi autor. Czy się skończył? my nie jesteśmy pewni. Kto nam zaręczy, że ta Magdalena złamana w sumieniu własném, przyjęciem zapłaty za miłość i za poświęcenie, że skłócona z sobą, nie uczuje w sercu gwałtownej nienawiści ku tym, którzy sponiewierali jęj uczucia, poniżyli jęj godność? Kto nam zaręczy, że rana w jęj sercu nie stanie się jadowitym skirem, że w danęj chwili obrażona kobięta nie pochwyci głowni albo flaszky petrolu?

Ten rozbrat z tradycyą, to racjonalne obliczanie na pieniądz wszelkich uczuć, wszelkich obowiązków wdzięczności; ta walka o byt postawiona jako prawo, nie jestże raczję początkiem strasliwego dramatu, jaki wstrząsnąby musiał społeczeństwem, gdyby takie zasady odnieść miały stanowczy tryumf? Ufajmy jednak, że społeczeństwo nasze, jak wyrzekł Labouley, przesiąkłe na wskroś Chrześciance, potrafi zażegnać groźną burzę i połączyć prawa postępu z nabytkami odwiecznych tradycyi.

Franciszek Coppée wydał nowy zbiór poezyi p. t.: *Les Recits et les Elegies*. Pierwsza część tomu składa się z dwudziestu kilku małych obrazków, przypominających formą i treścią *Legendę wieków* Wiktora Hugo. Nie można przecież zwać ich ślepem naśladownictwem. Coppée wyrobił sobie własny rodzaj; jest on prawdziwym mistrzem co do formy; pod tym względem nikt go nie prześcignął, mało kto mu dorównał. Żałujemy tylko, że poeta wielki swój talent rozprasza niekiedy na drobnostki. Druga część tomu obejmuje kilkadziesiąt erotycznych utworów; każdy z osobna pięści ucho wytwornością prawdziwie atycką, ale wszystkie razem, powtarzając wkółko też same kwilenia miłosne, budzą niesmak i przesyt. Całą wartość zbioru stanowią przedmiotowe poemaciki, objęte w części pierwszej. Znajdziemy tu kilka ślicznych obrazków, jak *Paryszu, Głowa sultanki, Odpowiedź ziemi, Żniwo mieczów*. Ostatni z nich dajemy w przekładzie:

Na śnieżno-białej klaczy, w szyszaku i zbroi,
U bram staje dziewica:

— Dalej, bracia moi!

Zawoła na mieszkańców—pochwycieź za miecze!“

Zgromadził się tłum starców, a jeden wyrzeczę:
„Próżno! głos twój umarłych pod ziemią nie zbudził
Anglicy nam zabili co przedniejszych ludzi;
Wczoraj Talbot nad nami pastwił się do syta:
Koń jego we krwi dzielnych zczzerwienił kopyta.
Dziś w grodzie sami starce, sieroty i wdowy,
Na cmentarzu nam przybył szereg krzyżów nowy.“

Żrenica Lotarynki tryumfem zaświeci,
 Wykrzyknie: „Chodźcież do mnie, wy starce i dzieci!“
 Starzec głośno zapłakał, wskrosz zdjęła go trwoga:
 „Niestety, oręż wszystek przeszedł w ręce wroga:
 Oszczepy, dzidy, miecze, i luki, i strzały.
 Iść za tobą, dziewico, pragniem z duszy całej,
 Ale noża marnego nie znaleźć w tém mieście!“
 Ona ręce złożyła; przez usta niewieście
 Zbiegła cicha modlitwa; i obróci głowę
 Ku starcom:

„Na cmentarzu macie krzyże nowe,
 Wszak słyszałam przed chwilą?“

„Tak, siła ich mamy!“

„Ile tehu śpieszmy, bracia, do cmentarnéj bramy!“

Rzekła i klacz swą białą za uzdę pochwyca.
 Tłum idzie, nie jednemu srom upadł na lica,
 I nowy żar zapala starców pierś wychłodłą.
 Święty Michał nie wzgardził bohaterki modłą,
 Bo zaledwie stanęła na ziemi cmentarnéj,
 One krzyżów tysiące, wśród zielonéj darni
 Zatknięte ręką bratnią nad umarłym ludem,
 Nagle w tysiące mieczów przemienia się cudem:
 Jaskrawo promień słońca w ich główniach odbłyska,
 Wnet zawre bój ostatni, godzina już bliska.
 Posłuszne woli niebios trumny się rozwarły,
 Oręż w rękę żywemu kładzie brat umarły.

Wówczas tłum przed Joanną upadł na kolana,
 A ona słodko rzecze:

„Za mną, w imię Pana!

Powstań wierny mój ludu! Kto żyw, miecz do ręki,
 Bóg działa mém ramieniem: Jemu cześć i dzięki!“

Pod tytułem: *Questions d'Art et de Litterature*, spadkobiercy Georges Sand ogłosili drukiem dawniejsze jej rozprawy, przedmowy i artykuły rozrzucone po rozmaitych pismach. Zbiór ich obejmuje trzy tomy. Większa część tych krytycznych rozprawek wybiegła zpod pióra autorki między rokiem 1840 a 1860. W tych czasach Georges Sand zajmowała się gorliwie polityką, a bardziej jeszcze wychowaniem ludu. Powstała wtedy między robotnikami cała plejada poetów, na wzór majstersengerów niemieckich; na czele ich stał tkacz Magu, mularz Poincy i kilku innych jeszcze. Georges Sand wzięta do serca ten ruch, popierała szczerze poetów ludowych: pisała przedmowy do ich książek, broniła ich w dziennikach od pocisków prasy konserwatywnej. Przedmowy te i obrony pomieszczone w pierwszym tomie nowéj publikacji, zwróciły uwagę Francuzów; malują bowiem i osobiste przekonania autorki, i czas w którym powstały.

Wśród krytyk jakie pojawiły się o tym zbiorze, uderzyły nas uwagi p. Bernhard-Varagnac, znanego publicysty. Utrzymuje on, że Georges Sand, uważana dotąd powszechnie jako żywotny wyraz ducha francuzkiego, kierunkiem myśli przybliżyła się raczej do Niemców i do Słowian. „Kto wie, dodaje krytyk, czy nie odziedziczyła tego upodobania w filozofii niemieckiej, od dostojnego naddziada z Polski i Niemiec?”

Wiadomo wprawdzie, że Georges Sand wywodziła się w prostej linii od Augusta II; mogła więc odziedziczyć w spadku usposobienie do mistycznej filozofii niemieckiej; ale pytamy, byłże August Polakiem dlatego że panował w Warszawie? Zresztą, krytyk wyrokuje o duchu filozofii naszój jak ślepy o kolorach. Któż nie wie, że mistycyzm niemiecki, lubo nieraz szczeplony na gruncie polskim, nie mógł tu znaleźć warunków odpowiednich, i nie wydał nigdy owoców?

Świat muzyczny żywo poruszony *Polieuktem* Gounoda. Ta opera, wysnuta z Kornelowskiej tragedyi, wywołała najsprzeczniesze sądy. W oczach wielu, przedmiot zanadto jest chrześcijański, muzyka zabardzo religijną; ogół jednak przyznaje najwyższe zalety kompozycyi mistrza. PP. Juliusz Barbier i Carré w librecie swojém usiłowali trzymać się o ile można Kornelowskiego tekstu; w recitatiwach zwłaszcza całe ustępy żywcem pozostawione z tragedyi. Oto treść w kilku słowach.

Paulina, córka Feliksa senatora rzymskiego, wielkorządcy Armenii, przyrzeczoną była rycerzowi rzymskiemu Sewerowi. W mniemaniu, że Sewer poległ w wojnie przeciwko Scytom, zaślubiła Polieukta, potomka dawnych królów armeńskich. Ten pod wpływem przyjaciela swego Nearka i starca Symeona, skłania się do wiary chrześcijańskiej, głoszonój potajemnie.

Pierwszy akt wprowadza nas w progi Pauliny. Brzask tylko co zaświtał: młoda poganica rozpala ogień na cześć bogów domowych. Pragnie odpędzić dręczące ją przeczucia. Opowiada wiernój Stratonice sen, jaki miała téj nocy. Widziała Polieukta z czołem ku ziemi pochyloném; wody chrztu spływały mu na głowę. Nagle grom uderzył: ołtarz rozsypał się w gruzy. Polieukt pada martwy u jój stóp i oblewa je krwi potokiem.

Wtém rozbiega się wieść ó przybyciu Sewera, walecznego pogromcy Scytów.

Zmienia się obraz: scena przedstawia plac za miastem i bramę tryumfalną strojną w palmy i wieńce. Tłumy ludu garną się ze stron wszystkich. Nadciąga orszak: żołnierze niosą orły i zwycięzkie trofea; za niemi Sewer w rycerskiej zbroi wjeżdża w bramę na wozie tryumfalnym. Chór przy podźwiewku trąb bojowych, wita go radosnemi oklaski.

Wszyscy szczęśliwi, sam tylko tryumfator rażony jakby gromem. Miłość Pauliny miała mu być nagrodą; ona dziś małżonką innego!

Paulina spotyka bez trwogi Sewera; Polieukt wypełnia jej duszę. Akt pierwszy kończy się prześlicznym finałem.

W drugim akcie prokonsul Armenii wyprawia ucztę na cześć zwycięzcy. Scena odbywa się w ogrodzie. Odblask zachodzącego słońca oblewa świątynię Westy. Sewer opuścił salę, pragnie w cieniu drzew odetchnąć pełną piersią. Paulina w orszaku niewiast wychodzi także; ma złożyć ofiarę na ołtarzu bogini. Spotykają się oko w oko. Napróżno Sewer w imię dawnych praw błaga o jedną żonę, o jedno westchnienie.

— Zwycięzco Persów i Scytów—odrzecz z godnością Paulina—umięj sam siebie zwyciężyć!—I wchodzi do świątyni.

Nowy obraz przedstawia parów najeżony skałami; w głębi przepływa rzeka. Noc; księżyc oświeca ciemną przestrzeń.

Grupy chrześcian wysuwają się z pomiędzy skał; przewodniczy im starzec Symeon. Neark przyprowadza Polieukta; podczas gdy chór śpiewa pieśń pobożną, Symeon wodą chrztu oblewa głowę neofity. W chwili obrzędu Sewer ukazuje się pośród skał i odchodzi niepostrzeżony.

Akt trzeci w pałacu prokonsula. Arcykapłan Albin oskarża chrześcian: teżby nocy zbirowie uwiadomieni przez pasterza, ujeli całe grono. Polieukt wszedł; i on obecnym jest naradzie. Napróżno szlachetny Sewer podnosi głos w imię nieszczęśliwych; wyrok śmierci wnet ogłoszony będzie w świątyni. Odchodzi prokonsul; arcykapłan i Sewer oddalają się z nim razem. Pozostają na scenie dwaj chrześcianie: Polieukt i Neark; rozmowa ich dosłownie powtórzona z Kornela.

Neark.

Gdzie idziesz?

Polieukt.

Do świątyni: tam powinność woła!

Neark.

Jakto? chcesz-li głos podnieść wśród niewiernych koła?
Ty miałbyś zapomnieć żeś złany chrztu zdrojem?

Polieukt.

Zaliż pamięć téj chwili zgasła w sercu twojem?

Neark.

Nienawidzę ich bogów!....

Polieukt.

Przejmują mnie wstrętem!

Neark.

Cześć ich grzeszna....

Polieukt.

Ja pragnę zniszczyć ją ze szczętem!

Neark.

Nam strzedz się ich ołtarzy!

Polieukt.

Obalić je raczój!
 I umrzeć w ich świątyni pod ciosem siepaczy!
 Idźmy, drogi Nearku, nie tracić nam czasu,
 Idźmy, hydrę pogaństwa wyzwąć do zapasu;
 Rozwiąć zmrok, co zaślepią zmysł braci zbłąkany;
 Idźmy, w proch te kamienne zdruzgotać bałwany!

Neark.

Daż-ci Pan część swój mocy? Mdłe ramię człowieka!

Polieukt.

Kto wątpi, ten w swój duszy Boga się wyrzeka.

Neark.

Śmierć niechybna!

Polieukt.

Chcę umrzeć!

Neark.

Tweż siły wystarczą?

Serce może się zachwiać!...

Polieukt.

Bóg mi będzie tarczą!

Neark.

Lecz tam, w progu świątyni upadnie twa głowa!

Polieukt.

Ależ tam, w progu niebios już palma gotowa!

Neark ulega, idzie za Polieuktem. Obraz zmienia się znowu: przedstawia na placu świątynię Jowisza uwieńczoną kwiatami; posągi bogów otaczają przedsionek. Orszak przeciąga z wolna; na czele herold, dalej kapłani i ofiarnicy; gęźbiarze przygrywają na fletniach. Za nimi Albin idzie między prokonsulem a Sewerem, Polieukt między Nearkiem a Pauliną, nakoniec wojsko i lud. Część orszaku wchodzi do świątyni, reszta staje rzędem po obu stronach sceny. Między tłumem widać Polieukta i Paulinę.

Następuje balet. Satyrowie i bachantki pływają na cześć Bachusa i Wenery. Legioniści zataczają rycerskie koło na cześć Bellony i Marsa. Nagle arcykapłan ukazuje się na stopniach świątyni. Płasy ustają, wrzawa milknie.

— Ludu! zaprzestań igrzysk! — woła kapłan. — zagniewane bogi gardzą ofiarą twoją! Dym kadzideł nie płynie w górę, niebiosa przemówiły! Aby przebłagać mściwych bogów potrzeba krwi chrześcian!

Styszy to Polieukt; wydziera się z rąk Pauliny.

— Kłamiesz kapłanie! — woła z uniesieniem, i biegnie z Nearkiem ku świątyni, druzgocze bożyszczka rozstawione w przedsionku.

— Śmierć im! — wołają wścickłe tłumy.

Albin porywa topór z rąk ofiarnika, ale Paulina zasłania męża własnym ciałem; sam tylko Neark ugodzony w głowę, pada na próg świątyni. Sewer tymczasem rozkazuje żołnierzom zasłonić Polieukta przed wściekłością kapłanów i ludu.

W czwartym akcie, Polieukt za kratą więzienną czeka rychło spełni się wyrok. Paulina przybiega potajemnie. Ona wyblaga mu życie i wolność, niech tylko wyrzeczy się swęj wiary, i szczyptą kadzidła przeblaga znieważonych bogów. Polieukt wydobywa kartkę z zanadrza, czyta słowa, które Neark nakreślił niegdys na nięj:

Już godzina się przybliża:

Zsieczonego, w czoła pocie,

Powleczono ku Golgocie

I przybito Go do krzyża.

A kiedy święte wyciągnął ramiona,

W grubym pomroku utonął świat cały;

Pękła na dwoje w świątyni zasłona:

Z żalu niebiosa płakały.

Rygle żelazne pękły, silną szarpniętę ręką. Wpada szlachetny Sewer. On bądź cobądź wyrwie ztąd więźnia, wyśle go z Pauliną daleko gdzieś za morze; tam będą żyć swobodni i szczęśliwi. Niestety, już zapóźno! Prokonsul przybywa ze strażą: zbrojny oddział uprowadza Polieukta.

Akt piąty bardzo krótki. U bram areny, wobec ludu i kapłanów, Polieukt wyznaje się chrześcianinem. Paulina rzuca się w objęcia małżonka.

— Jam ochrzczona łzami boleści!—woła z uniesieniem—pragnę cierpieć i umrzeć z tobą!

— Śmierć im!—wołają tłumy.

Wrota cyrku rozmykają się i zamykają znowu. Polieukt i Paulina, wtrąceni w głąb areny, kłękają, gotowi na męki; promień słońca oświeca ich jasną aureolą.

Kompozytor umiał odpowiedzieć godnie wzniosłej treści Kornewskiego poematu. Znakomici krytycy wysoko stawiają ten utwór. Scena chrztu pełna religijnego namaszczenia; zdruzgotanie bałwanów i klątwy pogan oddane z nadzwyczajną siłą. Ostatni akt godnie uwieńcza całość. Wbrew sarkazmom realistów, którym niepodobna wznieść się do wysokości przedmiotu, sztuka francuzka chlubi się nowym muzycznym arcydziełem.

Wystawa zamknięta już od miesiąca, wrzawa dziennikarska którą wywołała, ustaje, dziennikarzom bowiem potrzeba coraz to nowych wrażeń; ale za to ludzie rzeczywistęj nauki, w chwili właśnie kiedy gorączka przeszła, starają się skierować opinią publiczną ku chłodnemu ocenieniu najgłówniejszych przedmiotów teje wystawy.

Czytamy co chwila skargi na niesprawiedliwe sądy przysięgłych. Skargi te zpod pióra interesowanych osób, nie miałyby tyle znaczenia; miłość własna może zaślepić nie jednego. Inaczej rzecz się ma, kiedy zarzut wychodzi od poważnych specjalistów, w imię samej nauki. Ciekawe szczegóły dotyczące tego przedmiotu, znajdujemy w przeglądzie miesięcznym *Journal de Micrographie*; nakreślił je d-r Pelletau, redaktor tego pisma. Pokazuje on najsamprzód wielkie trudności w utworzeniu kompetentnego a bezstronnego sądu (jury), zwłaszcza kiedy potrzeba było rozdzielić go na dziewięćdziesiąt komisji, stosownie do liczby klas, obejmujących 40,000 wystawców! Jeśli trudno znaleźć tylu odpowiednich ludzi, tém trudniej skłonić ich do podjęcia służby tak uciążliwej. Dowcipnie uczony doktor opisuje kłopoty przysięgłych, którzy poddali kark pod jarzmo. On sam był już sędzią na nie jednej wystawie, znane mu zatém ostre kolce, pokryte błyszczącym pozorem. Jak wszędzie tak i tu, odwrotna strona medalu odmienna od zewnętrznej.

„Wyobraźmy sobie, mówi humorystycznie, co to jest biegać tu i tam, od rana do wieczora, wśród szalonego ruchu, zgiełku i wrzawy, oglądać z zajęciem przedmioty, które cię wcale nie zajmują, słuchać wyjaśnień, których częstokroć nie rozumiesz, skłaniać ucho na reklamacye zagorzałych przemysłowców i wynalazców, którzy wszelkimi sposobami, we wszystkich językach, usiłują wmówić w ciebie, że to białe, co oni widzą biało!

Odchodzisz wieczorem zmordowany, z nogami podeptanemi, głowę bolącą i oszołomioną. Taki to los sędziego, przez ośm lub dziesięć dni z kolei! A jakaż za to nagroda? Jeśli próżny, to rad że się pokazuje w tłumie, z pliką papierów pod pachą, z mnóstwem katalogów i prospektów po kieszeniach, z ołówkiem i książeczką w rękę, z medalem zawieszonym u guzika. Jeśli gastronom, nagrodą mu wytworne śniadanie zakropione szampanem. Jeśli zaś radby poprzestał na wewnętrzném zadowoleniu, że spełnił sumiennie twardy obowiązek, że przyczynił się do wyświecenia pożytecznego wynalazku, do uczczenia rzeczywistej zasługi, cóż odbiera w zapłatę? oto powszechną niechęć. Na dziesięciu wystawców, dziesięciu zżyma się i skarży: kto otrzymał pochwałę spodziewał się medalu; kto dostał srebrny medal, pyta czemu nie złoty lub honorowy? Wielu zresztą utyskuje, bo ma do tego najsluszniejsze prawo, bo sąd omylny, bo nazbyt często błędzi!”

Od ogólnych uwag, doktor Pelletau przechodzi do szczegółów, w przedmiocie specjalnie go obchodzącym. Wymienia dziesięciu sędziów, którzy na wystawie przeznaczeni byli do ocenienia narzędzi naukowych, objętych ogólną nazwą *Instruments de precision*. „Tu, mówi uczony doktor, obok fizyków, astronomów, meteorologów, wystąpił jeden tylko mikrograf, znakomity profesor anatomii patologicznej, któremu przypadł nazbyt trudny obowiązek, osądzenia wartości mikroskopów, i trudniejszy jeszcze, porównania takich narzędzi i szkieł przedmiotowych, jakie wystawili pp. Prazmowski, Spencer, Gundlach,

Ross, Nacet, Dalbmeyer, Swift, Verich, Cronch i t. d., co wymaga nie tylko nauki zupełnie specjalnej, ale długiego doświadczenia i wprawy w obchodzeniu się z mikroskopem."

Pomijamy zarzuty jakie d-r Pelletau czyni przysięgłym, dotyczące się obcych nam wystawców, przytaczamy tylko ustęp nie obojętny dla nas, bo uznający wielkie zasługi naszego ziomka, p. Adama Prażmowskiego.

"Wszyscy muszą uznać wraz ze mną, mówi d-r Pelletau, że medal złoty, przyznany p. Prażmowskiemu, niedostateczną jest nagrodą. Uczony ten optyk, który sam jeden we Francyi współzawodniczy z firmami Powel i Lealand, Tolles, Spencer, Zeiss; który mimo tylu przetrwanych trudów, utrzymuje biegłą i dzielną ręką starą chwałę firmy Oberhaeusera, potem Hartnacha, później Hartnacha i Prażmowskiego, dziś samego tylko Prażmowskiego; który z równem powodzeniem wyrabia lunety astronomiczne, teleskopy, obiektywy fotograficzne i narzędzia mikrografii: p. Prażmowski zasługiwał, i nikt mi nie zaprzeczy, na nagrodę wyższą od złotego medalu. Przekonany byłem, i tak przekonani byli wszyscy, że wielki medal będzie mu przysądzony!"

Przeglądy francuzkie i włoskie zajęły się w tych czasach nową hipotezą tyczącą się Aryów: dało do tego pobudkę dzieło antropologa niemieckiego, Teodora Poesche, p. t. *Die Arier, ein Beitrag zur historischen Anthropologie*. Autor utrzymuje, że Aryowie pierwotni, zawiązali się w społeczeństwa w Europie, na bagnach ciągnących się między Niemnem a Dnieprem. Niegdyś jak mówi, mieli oni czarne włosy i także oczy; wpływ klimatu oddziaływał na nich. Cera im zbiałała, włos stał się płowym, oko przybrało błękitną barwę. Poesche zapewnia, że ten fenomen niema w sobie nic nadzwyczajnego; w wilgotnej bowiem okolicy, w pobliżu Mińska i Pińska, gdzie zamieszkali pierwsi Aryowie, przyroda cała jest, według niego, bezbarwna: „liście drzew mają kolor blade zielony, konie rodzą się zazwyczaj siwe albo srokaty, wypadki albinizmu częste pomiędzy tubylcami."

W miarę wzrostu ludności, Aryowie rozchodzą się znad Niemna i Dniepru, w rozmaitych kierunkach; na zachód i wschód, na północ i południe, nad Bałtyk i Ocean Atlantycki, nad morze Czarne i zatokę Bengalską. W nowych siedzibach pomieszali się z ludami ciemnej cery; ztąd w każdym kraju widzieć można brunetów i blondynów. Typ jednak jasnowłosy przedstawia czystego Aryę, wyższego intelektualnie, od człowieka z czarnym okiem i ciemną cerą. Teorya ta niska stawia Greków na szczyble społecznym, gdy tymczasem wysoko podnosi ród niemiecki. Do tego to jak widać celu, autor nakreślił swoje naukowe wywody.

Uczni włoscy silnie powstali przeciw tej hipotezie. Bartolomeo Malfatti wystąpił w *Bassegna* z ostrą protestacją. Utrzymuje on, że wpływ klimatu nie działa tak przeważnie; pokazuje w wilgotnych okolicach mieszkańców z cerą śniadą i ciemnym włosom, jak przeciw-

nie znów, w krajach suchych, blondynów z błękitnymi oczyma. Co do wyższości Niemców nad Grekami, zaprzecza jój w stanowczy sposób.

Rozprawy te i spory nie mogą być dla nas obojętne. Ze wzajemnego starcia zdań, wybiłyście zapewne nie jedno światełko, co rozjaśni pomrok zapadłych wieków.

Felibrowie prowansalscy przybyli w końcu października na wystawę paryzką. Przyjmowało ich tu uroczyście Towarzystwo *Cygaliaków* czyli *Koników polnych*, złożone z prowansalów zamieszkałych w Paryżu. Na wielkiej uczcie danej na powitanie przybyłych, obecni byli pierwsi koryfeusze świata naukowego, między nimi sam minister oświecenia Bardoux, akademik St. René Taillandier i kilku członków Instytutu. Prezydował poeta Bornier, autor *Córki Rolandowej*; po toaście na cześć ministra, odczytał piękny wiersz do Felibrów.

Minister gorącemi słowy odpowiedział na toast. „Kocham poezją, zawołał, kocham ją sercem i duszą całą, szczególnie gdy ożywna uczuciem patriotycznym, jakie przepełnia serca wasze. Jeden z was wyrzekł piękne słowa, niech one będą szczęśliwym godłem tej biesiady: „kochamy Francją nadewszystko!” I ja przekonany jestem jak wy, że prawdziwą, jedyną poezją, godną tego imienia, jest ta, która czerpie natchnienie w gorącej miłości ojczyzny!”

W końcu uczty wniesiono toast na cześć Wiktora Hugo.

Najznakomitszy z Felibrów Fryderyk Mistral, nie przybył do Paryża, zarówno jak Roumanille, twórca pierwszych pieśni w odrodzonym języku prowansalskim; przewodniczył bratniej drużynie Aubanel, uważany przez centralistów za najzawziętszego wroga jedności. Sądźmy, że poeta złagodził obawę podejrzliwych i uwolnił się od zarzutu. Niedawno bowiem wypowiedział on w jasny sposób pragnienia Felibrów, wykazał, że jeśli upominają się gorąco o swój język, myśl separatyzmu daleką przecież od nich. Przytaczamy własne jego słowa.

„Prowansale są częścią wielkiej Francji, i nazawsze z nią pozostaną. A ponieważ kochamy tę Francją błogostawioną, jaką Bóg stworzył i jaką uczyniły wieki, pragniemy, aby przez pamięć naddziadów, przez wzgląd na pełną chwały przeszłość, Bretończyk przemawiał swobodnie mową bretońską, Bask używał mowy baskiej, Prowansalczyk mówił po prowansalsku. I cóż w tém złego? pytam: jakież niebezpieczeństwo zagrażać nam ztąd może? Pod słońcem i rosą, pod kłębam chmur i mgły, pod szronem i śniegiem, Bóg posiewa ziarno i rozwija kwiat właściwy każdej ziemi. Tak samo rzecz się ma z językiem. Dla tego to niechaj każdy lud używa mowy macierzystej; dla tego to, wbrew wszystkim, pragniemy utrzymać nasz język, tak harmonijnie odpowiadający błękitnym polom naszym, lazurowi naszego nieba, srebrnej barwie oliwnych gajów naszych! My utrzymamy ten język, bo on jeden wyrazić może w pełni, każde drgnienie serca prowansalskiego, uczucia miłości i nienawiści, uwielbienia i gniewu; on jeden odmaluje piękność naszych dziewic, dumę junaków naszych! Oto myśl Felibrów, oto cel naszego stowarzyszenia!”

Słowa te nie przekonały zapewne wszystkich, nie zniszczyły zakorzenionych uprzedzeń, ale przynajmniej postawiły rzecz jasno i stały się ważną wskazówką dla przyszłości.

Powracamy raz jeszcze do Szczerbca. Spełniając obowiązek korespondenta, byliśmy dla Warszawy echem krążącej tu opinii, jakoby miecz z orzełkiem białym w czerwonym polu, wystawiony w zbiorach p. Bazilewskiego, miał być Szczerbcem wielkiego Piasta. Byliśmy zarówno echem z Warszawy dla osób, którym pogłoska o odkryciu wiekowej pamiątki, nie mogła tu być obojętną. Zdumienie było wielkie na wiadomość, że archeolog warszawski znalazł dowody, upoważniające go do twierdzenia, iż miecz tutejszy był wistocie mieczem Bolesława Chrobrego, wbrew naszym powątpiewaniom. Dziś wątpliwość znikła zupełnie. Oto wyjątek z listu p. Władysława Mickiewicza, uproszonego przez nas w tym względzie: „P. Bazilewski, na zapytanie, uczynione mu przez wspólnego naszego znajomego, odpowiedział, że Szczerbca wcale nie posiada; że mniemany Szczerbiec jest mieczem z czasu wojen krzyżowych” ¹⁾.

Pośpieszamy z zakomunikowaniem téj odpowiedzi archeologom warszawskim. Oświadczenie antykwaryusza tutejszego, w części tylko umniejsza ważność rzeczy. Herb polski na mieczu, sięgającym wojen krzyżowych, godzien szczególnej uwagi naszych archeologów. Nie byłżeby on własnością Henryka, księcia na Lublinie i Sandomierzu, syna Krzywoustego?

Sprawozdania z wystawy powszechnéj nie pozwoliły nam zająć się jak zwykle opisem obrazów, wystawionych w ciągu lata na Polach Elizejskich. Widzieliśmy je przecież i wśród utworów obcego dłuta i pędzla, obliczyliśmy pilnie obrazy, rzeźby i pomniejsze prace ziomeków naszych. Liczba ich w tym roku większą była jeszcze, niż zazwyczaj; zapisano bowiem w katalogu trzydzieści trzy polskich imion. Są między nimi nowe, nieznanne dotąd w świecie artystycznym; tém większy zaszczyt dla debiutantów naszych, że z powodu napływu cudzoziemców, sąd przyjmujący dzieła, surowiej oceniał je, niż w innych latach i wybierał z nich same tylko godne przedstawienia utwory.

Nie pora dziś dla nas, wdawać się w szczegółowe ocenienie tych prac; uważamy jednak za obowiązek, zapisać imiona ziomeków, którzy zdala od kraju, powtarzają, według sił swoich, znane słowa Galileusza: *e pur si muove!*

P. Stanisław Chlebowski, jak zwykle wziął przedmiot ze świata wschodniego. Przedstawił dwu jego reprezentantów: *Bajuzela i Tamerlana*. Obaj, niby starożytni Augurowie, patrzą na siebie, a wyraz

¹⁾ Zwracamy uwagę czytelników na artykuły pp. K. Kraszewskiego i S. Smolikowskiego znajdujące się w obecnym zeszycie *Bibl. Warsz.* i pomieszczone tam rewizyc. (Omyłką za 1475 wydrukowano przy jednéj w ostatnim 1455).

szydlerczy odbija wydatnie w ich oku. Chromy Tamerlan mówi do paralityka Bajazeta: „Allah, jak widać, mało waży panowanie nad światem, skoro go oddał takim, jak my niedołączom!” Wymowny ten obraz powszechną zwrócił na siebie uwagę.

Wspomnienia z Ukrainy Józefa Chełmońskiego, znane w Warszawie z reprodukcji, pozyskały chlubne ocenienie krytyków, którzy przedewszystkiém szukają życia w artystycznym utworze; jakoż w rzeczy samej, każdy rzut pędzla Chełmońskiego tryska życiem i niezrównaną siłą.

P. Władysław Bakałowicz znalazł odpowiednie pole do swego talentu, przedstawiając w wielkim obrazie *Henryka Walezyusza*, otoczonego gronem zniewieściatych jak on ulubieńców, przy weselnym festynie hrabiego St. Luc. Bogate stroje XVI wieku oddane z całą wytwornością.

P. Kazimierz Zier, rodem z Warszawy, w pięknym obrazie ściśle historycznym, ukazuje *s. Małgorzatę królową szkocką*, wpośród gromadki dzieciak, wykładającą im zasady wiary. Syn artysty Edward wykonał scenę biblijną: *Debora* siedząc na wzgórzu, pod drzewem palmowem, godzi zwaśnionych synów Izraela.

Wśród rodzajowych scen, zachwycił nas obrazek p. Kazimierza Alchimowicza, przedstawiający *uśpionę dzieciątko*, przesłizne jak aniołek.

P. Walery Brochocki oddał wiernie *lud nasz wiejski*, zebrany przed gospodą. P. Jan Rozen: *Polowanie na zająca i Rycerza polskiego z chorągwią*, wspomnienia XVI wieku. P. Przepiórski: *Dziweczkę wiejską na łące*. P. Jan Piątkowski: *Śmierć młodej kobiety*, oczadzonej zapachem kwiatów.

Z pejzażystów jeden tylko p. Artur Gąsowski przedstawił w ła-dnym krajobrazie: *Wspomnienia z Dordonii*.

Portrety pędzla artystów naszych zasługują wszystkie na uwagę. Paryż wyborną jest szkołą, w tym szczególnieij oddziale sztuki. PP.: Szyndler i Krabański, uczniowie Cabanela, wystawili udatne portrety mężczyzny. Panna Izidora Mikulska, w dwu pięknych pracach okazała wysoki talent: portret jój stryja p. M... bardzo znaczący. Nietylko że piękny model oddany wiernie, z uderzającym podobieństwem, ale co więcéj artystka umiała podchwycić stronę psychiczną, tój prawdziwie typowój postaci. Jakaż to smętna zaduma w owém błękitném, nieco przymgloném oku, zwróconém gdzieś w daleką przeszłość. Jakże te bruzdy na czole wymownie świadczą o długiej tęsknocie i przetrwanych zawodach!

Portret kobiety zasługuje tóż na uwagę. Postęp w młodej artystce naszej widoczny od roku do roku.

Z przyjemnością ujrzelśmy pracę młodego Kossaka: portret jego własny, w mundurze oficera austriackiego. Śmiałe rzuty pędzla wróżą nam, że jabłko niedaleko padnie od jabłoni.

W dziale akwareli uderzyły nas konie, wykonane przez ojca prawdziwie po mistrzowsku. Dwa obrazki Juliana Kossaka: *Elekeya*

Jana Kazimierza pod Wolą i *Przeprawa przez Dźwinę jazdy polskiej w XVI wieku*, były prawdziwą ozdobą tego działu wystawy.

Zauważyliśmy tu jeszcze ładną kopię: *Świętej Rodziny*, z obrazu Bonguereau, pędzla panny Maryi Płużańskiej; *Krajobraz Normandyi* i *Wnętrze pracowni* p. Bolesława Sokołowskiego, *Goląbkę* panny Przepiórskiej, cztery miniatury p. Władysława Ciesielskiego, bardzo starannie wykonane; między temi: jedna Adama Mickiewicza, druga Wiktora Hugo. Wspomnijmy także ładne trzy miniatury panny Felicji Amplewskiej.

Obrazki na porcelanie i fajansie, utworu naszych Polek, ładnie odbijały, w przeznaczonj na nie galeryi. Panna Eufrozyna Rakowska wystawiła śliczną kopją z obrazu Matejki: *Jan Kochanowski nad umarłą Urszulką*; panna Gabryela Kownacka: *Śpiącą dziewczynkę według Chapelin'a*; pani Konstancya Boulard: *Portret d-ra Stanisława Lewenhardta*; panna Jaraczewska: *Madonnę* z Rafaela. Co do narodowości ostatniej zachodzi wątpliwość. W katalogu czytamy: panna Jaraczewska, z domu Remond (?).

W pośród rzeźb znajdujemy także pięć imion polskich: p. Cypryan Godebski wystawił dwa bardzo piękne marmurowe popiersia; p. Grabowski z Angers statuetkę Wenery; p. Marcelli Gnyski biust hrabiny A. P.; p. Hegel z Warszawy, również popiersie marmurowe i medalion brązowy.

Pięte nazwisko polskie było dla nas prawdziwą niespodzianką; poraz pierwszy bowiem widzieliśmy na wystawie rzeźbę utworu Polki. Panna Walentyna Dąbrowska rodem z Wilna, uczennica pani Bertaux, słynnej francuzkiej rzeźbiarki, wystąpiła z pięknym buldokiem, pełnym życia i ruchu.

Wspomnijmy tu jeszcze utwór włoskiego rzeźbiarza p. Lauzirotti, który ma wkrótce ozdobić kościół w Czerwonym Dworze na Litwie. Są to dwa posągi marmurowe, przeznaczone do ozdoby grobu wznoszonego przez hr. Benedykta Tyszkiewicza. Jeden przedstawia *Miłosierdzie*, drugi *Wdzięczność*.

Jako dopełnienie sprawozdań naszych z wystawy, dajemy tu statystykę nagród, otrzymanych przez rozmaite państwa. Cyfry to ciekawe, określają bowiem miejsce, jakie zajmuje każde z państw w stosunku do drugich, o ile to mogło się okazać na wystawie.

Francya z koloniami otrzymała w ogólności 14,517 nagród i chlubnych wzmianek. W liczbie tój wielkich medalów 237, złotych 3,213; Hiszpania z koloniami: nagród 2,500, wielkich medalów 20, złotych 147; Anglia z koloniami: nagród 2,455, wielkich medalów 43, złotych 326; Austria i Węgry: nagród 1,770, wielkich medalów 34, złotych 424; Belgia: nagród 1,223, wielkich medalów 22, złotych 162; Włochy: nagród 1,152, wielkich medalów 17, złotych 140; Rossya: nagród 804, wielkich medalów 26, złotych 97; Stany Zjednoczone: nagród 802, wielkich medalów 15, złotych 130; Portugalia: na-

gród 779, wielkich medalów 9, złotych 40; Szwajcarya: nagród 698, wielkich medalów 13, złotych 73; Szwecya i Norwegia: nagród 590, wielkich medalów 11, złotych 59; Rzeczpospolite Ameryki środkowej i południowej: nagród 528, złotych medalów 21; Holandya: nagród 472, wielkich medalów 13, złotych 57; Japonia i Chiny: nagród 387, wielkich medalów 10, złotych 31; Dania: nagród 312, wielkich medalów 6, złotych 21; Grecya: nagród 180, wielkich medalów 1, złotych 11; Egipt: nagród 25, wielkich medalów 3, złotych 3; Tunis: nagród 21, wielkich medalów 2, złotych 3; Monaco: nagród 10; Syam 7; kilkanaście przypadło na Persyą, Maroko, St. Marino i Andorrę.

KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Od lat ośmiu prowadząc poszukiwania tak zwanych *stacy krzemionych*, czyli niejścowości, w których leżały sadyby starożytnych mieszkańców naszego kraju, w czasach użytku krzemienia, mam zwyczaj corocznie podawać do pism naszych wyszczególnienie nowo-odkrytych *stacy*. Plony zebrane na tém polu w roku 1878, nie były wcale obfite; pomimo to, czuję się w obowiązku zanotować je tutaj.

1. Najprzód więc pod wsią Klizówką, o pół mili od Drohiczyzna na Podlasiu, dziś w gub. Grodzieńskiej, na piaskach w pobliżu rzeczutki (o ćwierć mili do Buga wpadającej), znalazłem wprawdzie nieliczne ułamki krzemienia ręką ludzką obrabianego; strzały żadnej, tylko kawałki nożyków i jedną skrobaczkę krótką, szeroką (*racloir*).

2. Pod wsią Giełczynem w gub. Grodzieńskiej, pow. Białostockim, także na dawném Podlasiu, o pół ćwierci mili od Narwi, również napotkałem nieliczne, ale dostateczne dowody pobytu człowieka w czasach użytku krzemienia.

3. Już więcej daleko udało mi się zebrać zabytków, przerzuciwszy się na lewy brzeg Narwi i błotnistych jój wybrzeży: z gub. Grodzieńskiej do Łomżyńskiej, z Podlasia do Mazowsza, ze wsi Giełczyna do Streńkowa. Już dawniej pod Streńkowem wyszukałem stacyą krzemioną, a raczej dwie miejscowości zamieszkiwane przez starożytnych osadników.

W roku bieżącym natrafiłem tam na miejscowość trzecią, o kilkaset kroków od pierwszych odległą, w pobliżu drogi do wsi Wieczork potożoną. Znalazły się tu na wywiaum piasku wśród jałowców: i no-

że krzemienne, i skrobacze, i inne narzędzia, a zawsze jak wszędzie pełno okrząsków powstałych przy łupaniu krzemienia przez starożytnych; okrząsków, dowodzących jasno, że w owych czasach człowiek wszędzie przygotowywał sobie te narzędzia, gdzie tylko miał jakąkolwiek sadybę. Narzędzia te bowiem, choć łatwo złamaniu ulegające, jednak w niedostatku kruszcowych były jedyną jego ucieczką. Między znalezionemi w téj ostatniej miejscowości, odznacza się jeden nóż z pięknie obrobionym trzonkiem do osady, i charakterystyczne narzędzie o dwu końcach ostrych, które prawdopodobnie służyło jako belt do strzały na grubszego zwierza.

4. W stronie południowej wsi Leśnik, o milę drogi od Tykocina, w pow. Mazowieckim, na niewielkiej wydmie piaszczystej przy zarosłach, które wedle podania mają być starym cmentarzem wiejskim, napotkałem także okruchy obrabianego krzemienia. Miejscowość powyższa zaledwie zasługiwałaby na wzmiankę, gdyby nie to, że poblizkie wzgórze było przed wieki jakimś punktem dość ważnym w téj okolicy. Na wzgórzu tém znajdują się ślady kolistego wału kamiennego, który przypominał mi grodziska noszące ten sam charakter, na szczytach niektórych gór krakowskich, np. pod Lipowcem (na górze sąsiadującej z zamkową). Tu i tam wał kamienny został zniszczony w najwyższym stopniu, z powodu łatwego staczania kamieni z pochyłości, co stanowi zabawkę dla dzieci wiejskich. Tym sposobem stopniały niejedne nawet ruiny, np. kamienne baszty z czasów pogaństwa Litwy pod Liszkowem, na stromiej górze nad Niemnem, w którego korycie połowa zamku liszkowskiego grób znalazła. Kolisty wał pod Leśnikami tém się różni od grodzisk krakowskich, że jest szczuplejszych rozmiarów. Cała bowiem przestrzeń którą zajmuje, licząc razem z wewnętrznym placem, nie przenosi pół morga. Wedle podania miejscowego, miał tu stać kiedyś kościół. Rzecz jednak wiadoma, że okolica ta należała już w wieku XV do parafii Tykocin, a o kościele w Leśnikach żadnej wzmianki i śladu dotąd nigdzie niema. Natomiast znalezione tu dwa kamienie wyłobione, podobnego kształtu jak mikorzyńskie, tylko ma się rozumieć bez napisów, które to kamienie w starożytności do rozcierania ziarna służyć miały, dowodzą, że grodzisko leśnickie z dawniejszych pochodzi czasów. Jeden z tych ciekawych kamieni który posiadam, ma 23 cali długości, 16 szerokości, wklęsłość owalna głęboka jest w środku na cali 4.

5. Ostatnią stacją krzemienną którą w roku bieżącym znalazłem, jest miejscowość dziś odludna i dzika, wśród lasu przy granicy wsi Sierk i Herman o pół mili od Tykocina położona. Na przestrzeni około włóki ciągną się tu wydmy i doły, a wśród nich były kiedyś dwa małe jeziora. Miejscowość sprzyjała osadnikom pierwotnym, którzy w piaszczystej ziemi robili swe mieszkania a wody potrzebowali dla potrzeb życia. Znalazłem tu dwie przedziwnie piękne strzały i parę nożyków. Na 90 mniej więcej osad z czasów użytku krzemienia, które w przeciągu lat ośmiu wyszukałem nad: Niemnem, Bugiem, Wisłą,

Narwią, Sanem, Biebrzą i w okolicy rzek pomniejszych, jest to pierwsza, gdzie obok narzędzi krzemiennych nie znalazły się wcale okrzoski, gdzie więc prawdopodobnie narzędzi tych nie robiono, ale przyniesiono je z sobą. Co prawda, miejscowość ta odznacza się brakiem dzikiego krzemienia, tak pospolitego w całym prawie naszym kraju, lubo gdzieindziej w takim razie przynoszono dziki krzemień z sobą.

6. Od pana K. D. otrzymałem piękny nożyk krzemienny, przeszło 8 centymetrów długi a 1 centymetr szeroki, znaleziony na polu folwarku Stelmachowo w stronie wsi Jeżewa. Poszukiwania, które później robiłem na tych polach, nie doprowadziły mnie jeszcze do wykrycia miejsca osady starożytniej. Tę zresztą mogło tam wcale niebyć, a narzędzie było tylko przypadkowo zgubioném.

Ze stacyi dawniej mi już znanych zwiedzałem w roku bieżącym: Zambrzyce w pow. Łomżyńskim, Pajewo w Mazowieckim, Wnory, Burzyn i Szostaki w Kolnieńskim i Kępę w Białostockim. Wszędzie znalazły się nowe przedmioty, wszędzie dawnego, przedhistorycznego życia naszych poprzedników szczątki. O tej ostatniej bardzo ciekawej *stacyi*, na tak zwanej Kępie Giełczyńskiej, gdzie ciekawy zbiór zabytków krzemiennych zgromadził już właściciel, którego dwór leży w miejscu przedhistorycznej osady, podana była dość szczegółowa wiadomość w numerze 207 Gazety Warszawskiej z r. b.

Jeżewo, w grudniu 1878 r.

Zygmunt Gloger.

Do Redakeyi Biblioteki Warszawskiej.

Nigdy jeszcze nie otrzymywaliśmy tyle przekładów z języków obcych, ile obecnie. Tyle co rok nowych pism naukowych, historycznych i politycznych, tyle powieści. Z przekładów tych jakież wypada nam wniosek pod względem języka? Wniosek nie jest wcale ujemny. Tam gdzie idzie o ścisłość, dobitność, bogactwo zwrotów i terminów, nawet ozdobę, jako o moc, wymowę, poezyą i t. p., zalety języka są świetne. Jest jednak w tych przekładach szczegół, a szczegół w utworach historycznych i powieściowych wcale nie rzadki, który brzmi nie raz jak karykatura, a jest to szczegół odnoszący się do oznaczenia stosunku jednostek do jednostek, czyli ich przemawianie do siebie. Wiadomo, że pierwotna, a naturalna forma przemawiania jednostek do siebie (zamiast *ty*), we wszystkich nowożytnych językach zatrzymaną została tylko w stylu uroczystym i przyjacielskim, zaś w stosunkach pośrednich, zatém najczęstszych, forma ta zmienioną jest na liczbę mnogą (*wy*); i wiadomo jest także, iż język nasz (który, jak lud nim mówiący, był w swoim bycie i losach oryginalnym) wyrobił sobie oddzielne i wyjątkowe w tym względzie formy. Zwyczaj mówienia do osoby pojedynczej przez *wy* był oczywiście niegdyś i w języku naszym powszechnym; dowodem tego jest istnący dotąd ten zwyczaj w ustach ludu wiejskiego, dowodem jest ta forma u wszystkich prawie dawnych

pisarzy naszych spotykana (widzieć np. o tém artykuł w Bibliotece Warszawskiej z r. 1874, zeszyt za maj); dowodem wreszcie są dotąd powszechnie używane: *wasza* Król. Mość, *wasza* Książęca Mość, a niedawno jeszcze do każdej jednostki *wasza* mość, czyli *waszmość*, ale wiadomém jest także, iż przy rosnących przywilejach, a ztąd i dumie osobistej każdej jednostki, wyrażenie to *wy*, już od połowy XVI wieku za niskim wydawać się u nas zaczęło, a na to miejsce miano mówić *wasza* miłość, a następnie przez całe jeszcze półtora wieku, grzeczność tę potęgować wyrażając *wielmożna* *wasza* miłość; wielmożna *wasza* miłość *pan*, i wreszcie wielmożna *wasza* miłość *pan* *dobrodziej*, czyli *W.W.M. Pan Dobrodziej*. Dopiero w wieku XVIII z różnych zapewne powodów zaczęło wyrażenie to skracać, i mówiono już *waćpan* *dobrodziej*, a w końcu *waćpan*. Ale początek wieku naszego ukazał nową odmianę, odtrącono od owego pierwotnego *wy* szumny początek i koniec, odtrącono nawet samo *wy*, i z owej przeciągłej formuły XVII-go wieku, zatrzymano tylko środkowe *pan*, a forma ta będąc i krotką i grzeczną, tak się okazała dogodną, iż mimo rozrzucenie i rozdziak prowincyi językiem polskim mówiących, w ciągu krótkich lat kilkunastu we wszystkich stanach i klasach ukazała się jednocześnie przyjętą. Zaprzeczyć nie można, iż ta forma mówienia przez *pan* i w ogóle przez osobę trzecią, z rozmaitem uosobieniem przedmiotu, w wielu razach, a mianowicie w stosunkach nie ścisłej znajomości, i znowu w familijnych, do osób starszych i wyższych i t. p., jest nawet krótszą i dogodniejszą, niż w językach innych; wszakże i to jest pewnem, że dla oznaczenia stosunków pośrednich (między uniżonością i poufałością), które języki inne oznaczają samą liczbą mnogą, bez dotykania osobistości, forma ta niewłaściwą się staje. Jednostki przez mowę przynajmniej winnyby się równać i zbliżać; kiedy zatem jednostki np. jednego wieku i stanu, towarzysze jednego zawodu, jednych wspólnych zajęć, powinowaci i t. p., mówią do siebie u nas co chwila *pan*, kiedy nawet używają tej formy zwierzchnicy do swych podwładnych, majstrowie do czeladników, kupcy do swych subjektów, urzędnicy przy indagacyach (choćby złoczyńców) i t. p.; tedy nie można uznać, iżby forma ta w pierwszych razach była zbliżającą, w drugich loiczną, i w nie jednym razie stawać się może powodem upowszechnienia języków mających ową dogodniejszą ogólną formę; jakto już niegdyś uważała pani Tańska, mówiąc o powodach upowszechnienia się u nas francuzczyzny. Dziwić się można, iż przy istnieniu od tak dawna tylu urzędów, instytucyi, tylu towarzystw, spółek i t. p. nie upowszechniono u nas w mówieniu i korespondencyach żadnej pośredniej formy. Przypominam, iż niegdyś (było to zdaje mi się w roku 1846 i jest zapewne w aktach) podawałem właśnie redakcyi Biblioteki projekt odważenia się na inicjatywę w tym względzie, przedstawiając zarazem i odpowiedni artykuł; na drukowanie artykułu zgadzano się jednogłośnie, ale wprowadzenie projektu w praktyczny użytek po dwakroć podawane było pod wotowanie i po dwakroć ukazało *paritas*.

Artykuł mój cofnąłem jako bezskuteczny, jakkolwiek cofnięcie to wymawiał mi redaktor z owego roku Biblioteki, stronnik także projektu. Przypadek ten nie przesądza jednak niczego. Być może iż duch języka w danej chwili zapragnie powrócenia do formy pierwotnej, a jeżeli dla wprowadzenia nowej formy mówienia z usunięciem zupełnym dawniej, kilkanaście lat wieku naszego były dostateczne, tedy przy tylu środkach zbliżających obecnie ludzi (koleje, prasa i t. p.) okazałyby się dostateczną zapewne połowa tego czasu dla wprowadzenia jedynie *dodatkowej* formy, bez usuwania już istniejących. Lecz oto nie o tém tu wcale powiedzieć chciałem, wtrąciłem nawias, mając tylko rzecz słówko z powodu przekładów.

Jak się więc rzekło wyżej, ta forma przemawiania do osób drugich, w naszych przekładach jest zwykle kamieniem obrazu dla tłumaczących. Pomijam już utwory imaginacyi, dziwaczném jest zapewne czytać, jak w tych utworach (np. powieściach) para kochanków wśród poufalej schadzki mówi do siebie „pan, pani,” jak dwaj codzienni towarzysze nie przemawiają do siebie inaczej jak „pan, pan,” jak nasi tłumacze zapominając nawet na istnące w języku zaimki, szafują co chwila tym wyrazem pan, jakby liczmanem, i zamiast np. rzec „niech mi pan wierzy, że w *jego* położeniu, pozostaje *mu* tylko,” tłumaczą: „wier mi *pan*, że w *pańskim* położeniu, pozostaje *panu* tylko,” lub też mieszając formy i osoby tak to wyrażają: „wier mi *pan*, że w *twojem* położeniu, pozostaje *jemu* tylko.” Z takim *galimatias* czytelnik spotyka się dziś ledwo nie na każdej karcie w wielu przekładach; ale pomijając już mówię utwory imaginacyi, gdzie zależném jest wszystko od imaginacyi, nie tak łatwo się jest rozmyślając z prawdą historyczną. W utworach gdzie są na placu figury historyczne, ich stosunki do siebie, do osób innych, winny być określane z całością odcieni tekstu. Te odcienia czyliż są jednak przestrzegane w naszych przekładach? Bynajmniej. W przekładzie dyalogów, które się spotykają tak licznie w opowiadaniach historycznych, pamiętnikach, podróżach i t. p., albo ich forma zimna przemieniana bywa na poufałą, lub co częściej, forma ta zimna, czyli nieokreślona, na zbyt uprzejmą. Nie jestże niewłaściwém i dziwaczném, kiedy np. w tak licznych przekładanych utworach, o głównym bohaterze naszego wieku, czytamy, jak ten monarcha, takiéj absolutnej woli i duszy w dniach swoich, mówi do sekretarza swego: „napisz *pan*,” do codziennych doradców, do każdego z poddanych, nawet do osób duchownych, do biskupów, do każdego z t. p.: „pomyśl *pan*,” „nie zapomnij *pan*,” „oddal się *pan*” i t. p., gdy podobnie przemawia do każdego z swych dworzan taki Fryderyk II, i wreszcie każdy władzca, gdy formę tę znajdujemy w instrukcyach monarchów dawanych posłom, w listach ich do prywatnych osób i t. p.

Pytanie naturalnie wypada, w jaki sposób można usunąć tę i tym podobne karykatury w przekładach, jak im zaradzić? Sposób jest nader łatwy i naturalny, i nie rozumiem zupełnie dlaczego jest uchylany. Wymagać od pisarzy oryginalnych, aby w utworach swoich, jak np. dra-

matach i powieściach wprowadzali nową formę mówienia, byłoby niewłaściwem, utwory te bowiem winny być odbiciem rzeczywistości, jej przechowaniem. Ale nie tak rzecz się ma z przekładami. Pierwszym warunkiem dobrego przekładu jest wierność, a ta wierność jest wtedy, kiedy w przekładzie zachowany jest i odbity charakter tekstu. Jeżeli więc tekst dyalogu przełożyć się mającego (czyli to w piśmie historycznym, czy artystycznym), wyraża się przez liczbę mnogą, nie pojmuje zupełnie dlaczego ta forma nie miała być zachowaną i w tłumaczeniu, gdy zwłaszcza ta istnieje nawet w języku i tylko nie jest upowszechnioną. Forma ta używaną już nawet była nieraz w naszych pismach i takiej treści i innej, i w każdym razie brzmiała i właściwie i jasno.

Jakżeby mianowicie pożądanem było, gdyby nasze codzienne pisma, te pisma którym niepodobna zaprzeczyć pod tyłu względami zalet, a w których fałszywą nutą jest tylko ten właśnie szczegół, o którym mówimy; przytaczając dyalogi spółczesne, zwroty słowa np. monarchów do pojedynczych osób, instrukcyje ich, spory parlamentarne i t. p., wszędzie téż i ową formę tekstu zachowywały. Nie byłoby to, że powtórzę, żadną nowością. Formy przez liczbę mnogą w swoich utworach i korespondencyach używali między innymi u nas pisarze takiej pamięci, jak Niemcewicz, Malczeski, Lelewel i tyłu innych.

Dnia 18 grudnia 1878 roku.

A. T.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Marya Malczeskiego, w nowym przekładzie niemieckim przez Alberta Zipper.

Coraz to szerszy, w oczach prawie naszych dojrzewający pogląd prasy niemieckiej na umysłowość polską, nietylko jest zjawiskiem *dla nas* pożądanem; zadaje on przytém kłom zbyt upowszechnionej opinii, jakoby potężna intelligencya niemiecka nie była w stanie głosem prawdy uczcić klejnotu poezyi, nie zapytawszy się z góry o szerokość geograficzną, pod jaką został on odkrytym. Miło jest dla nas, a zaszczytnie dla owéj prasy, że coraz rzadziej spotykamy się tam z anachronizmami, przypominającemi baśnie prowansalskie o pasowaniu Aleksandra W. na rycerza stołu okrągłego, a co gorsza, z rozmyślnem przeoczeniem naszych skarbów. Francya przewodniczyła niegdyś Zachodowi w uznaniu naszych zasług piśmienniczych. Już przed laty czterdziestu

czytaliśmy w *Bibliotece powszechnej* genewskiej o *Konradzie Wallenrodzie* obszerne studyum, z którego główne wywody wielceby się przydać mogły do uzupełnienia literatury Mickiewiczowskiej. W tym samym prawie czasie były w żywym obiegu przekłady jego pism prozą, opatrzone wybornym wstępem głośnego podówczas myśliciela francuzkiego Lammenais. Dziś pod tym względem przodkują mężowie niemieccy, naturalnie mężowie nauki i serca. Tak monografie, jak i głosy pomieszczane w pismach czasowych, mają dla nas ten wyjątkowy urok, jaki pisarzowi nadać jest mocną: 1) obiektywność stanowiska, wyzwalająca autora od tych słabostek atmosfery, które na małą skalę parafianstyczną się zowią, a na wielką skalę fanatyzmem jaźni etnograficznej (Najmilsze pod tym względem wrażenie co do naszej społeczności zostawił po sobie nieodżałowanej pamięci niedawno zmarły Herman Fichte, filozof, syn przywódcy transcendentalistów); 2) obiektywna postawa w obec samej treści i zadania utworu. I na tém to polu, w dziedzinie poezyi, zagojonemi poniekąd zostały szczyby zadane naszej przeszłości przez areopag niemiecki w dziejopisarstwie jej obrabianiu. Uznano tedy widocznie, że w świątyni piękna Bożego, wszelkie podszepty nawiasowych pobudek za bluźnierstwo poczytanemi być winny.

Dwadzieścia lat upływa od chwili, jak Albert Weiss, tłumacz *Kirgiza* i *Stepów* Gustawa Zielińskiego (oba te utwory wyszły niedawno w ponowném wydaniu), powiedział: „Małej tylko liczbie utworów literatury polskiej udało się po dziś dzień w szacie niemieckiej, wyjednać sobie wstęp i trwałe stanowisko tu, w ościennym kraju. Wyjąwszy Mickiewicza, Malczeskiego i Kraszewskiego, publiczność nasza zna pisarzy polskich zaledwo z nazwiska. Owszem, nawet dzieła tych trzech koryfuszów dla większości czytelników są również obcemi, jak obyczaj Kirgizów, z którymi zapoznać ich, lub jak cuda świata stepowego, w który wprowadzić ich zamierzam.“

O święta prostoto! pokazuje się więc, że dla napatrzenia się dzieł genjuszu, zwanego ciemnotą etnograficzną, niekoniecznie potrzeba docierać aż do Izb pewnego królestwa.

„Nic przeto dziwnego, mówi dalej Weiss, że w Niemczech często spotykamy się z przesądami, stanowczo odmawiającemi temu narodowi samoistnej literatury. I ja niegdyś hołdowałem takiemu przesądowi.“ Następnie tłumacz opowiada nam, jakim sposobem doszedł do poznania języka polskiego; jak zachwycony prawdziwie poetycznemi, a nawskroś samotwornemi obrazami poematu Malczeskiego, uczuł w sobie popęd do przedstawienia go przed oczy ziomków, w postaci o ile można było najwierniejszej.

We dwa lata później, Henryk Niezman wydał w Gdańsku Antologią z liry i epiki polskiej, a przed trzema laty ukazało się już czwarte wydanie jego *Parnasu*, o którym w swoim czasie *Biblioteka Warszawska* podała sprawozdanie.

Jedynym murem chińskim, poza który zaledwo muzyka nasza i malarstwo przedrzeć się zdołały, jest kanał brytański. Wprawdzie dosyć głośny w swoim czasie poeta Smith, w swoim *Dramacie życia* (*Life-Drama*) pokazuje wydatnie, że jest pod wpływem Słowackiego, ale *pośredniej* nici tego wpływu nie mogliśmy dotąd odgadnąć.

W przedstawianym corocznie, ku końcowi grudnia „obrazie literatury stałego ładu“ (*Continental Literature*), mamy dosyć obszernie odmalowany ruch piśmiennictwa powszechnego we wszystkich jego gałęziach. W tym obrazie (w *Athenaeum*) niepominięto żadnego narodu, żadnego plemionka grupy europejskiej. Wiele plemionek ztamtąd może dopiero dowiadyuje się, że posiada literaturę. O naszej zupełnie przemilczano. Uderzmy się w piersi i zapytajmy, czy i nie nasza w tém wina?... Jeśli się nie mylimy, rok upłynął od chwili, jak jedno z naszych pism (*Kuryer Warszawski*) napełniło nas tą otuchą, że na karcie, gdzie figurują pisma nawet pigmejczyków kultury, ujrzymy przynajmniej wzmiankę treściwą i o naszym. Oczekiwaliśmy więc z niecierpliwością miesiąca grudnia 1877 r., i w końcu jego doczekaliśmy się... milczenia. A przecież: *Aut vere aut nihil*, nie znaczy to *vere=nihil*.

Poglądy prasy niemieckiej przeciwie w téj dziedzinie mężnieją i wzbogacają się ilościowo i jakościowo. I zaprawdę, chyba ostatnim już będzie głos Szepnera (Shöppnera) o poezyi polskiej, wydany przed sześciu laty. Szanowny autor „Kursu literatury (*Literaturkunde mit Proben aus den Meisterwerken der alten und neuen Literatur*), z wyjątkami z arcydzieł piśmiennictwa starożytnego i nowożytnego“, który nie poskąpił miejsca nawet literaturze chińskiej i wyjątkom z jej pieśni i przypowieści, tak się odzywa o poezyi polskiej: „W piśmiennictwie polskiem, naśladowanie wzorów obcych, a szczególnie francuzkich, stało na przeszkodzie rozkwitowi poezyi prawdziwie narodowej. Najślawniejszy z nowoczesnych poetów Mickiewicz, utworwał nową drogę w prawdziwie swojskim duchu, ale ideałem jego jest Bajron, ulubiony w kraju Mickiewicza apostoł ducha nowożytnego. Jest on bezwątpienia największym poetą słowiańskim; głównemi jego utworami są *Konrad Wallenrod* i *Pan Tadeusz*.“ Cóż dalej? zapyta czytelnik... Dalej następuje kréska, i autor znowu kilku wierszami zbywa tak samo Puszkińskiego; dalej następuje Węgier również w małej dozie i t. d. Naturalnie o naszym wieku XVI, o wieku XVIII, o kilku *wiekach*, *wieku* XIX, nasz autor nie wie i nie chce, aby jego uczniowie wiedzieli.

Otóż w chwili obecnej te i tym podobne baki Kalderońskie, stanowczo poszły pod klosze. Poezya polska jest dziś w Niemczech już nie przedmiotem „Rozmaitości gazeciarskich,” lecz przedmiotem studyów. Niedawno w uniwersytecie Tyblińskim, dwa poemata Mickiewicza były treścią kursu półrocznego (*Dziady* i *Grażyna*).

W *Magazynie literatury zagranicznej* stale pomieszczane są artykuły obszernych rozmiarów, naszego piśmiennictwa dotyczące. Najpoważniejszym z nich jest rozprawa o Słowackim, prowadzona

w nastroju wysoko poważnym, filozoficznym (artykuł Lipnickiego), głównie na podstawie *Listów*.

Z najświeższych przekładów niemieckich zasługuje na szczególne uznanie: *Marya* Malczeskiego, poemat opowiadający, w przekładzie niemieckim Alberta Zipper (*Maria, Erzählende Dichtung von Anton Malczeski, deutsch von Albert Zipper*, Hamburg. Grüning 1878).

Tłómacz należy do rzędu gorących wielbicieli poezji polskiej wieku XIX. Jego zdanie o *Maryi*, mogłoby się przydać jako przestroga i tym z krytyków, którzy w poemacie Malczeskiego widzą za wiele sentymentalizmu i paniczowatęj gładkości, a zamało hartu; którzy zarzucają mu zapatrzenie się w jedną warstwę kształtów społeczeństwa i natury; wynikiły ztąd duch kwietyzmu i spaczenie typów. Jak gdyby jądro typu tej albo innej doby, istotowo stanowić miał w poezji pewien styl w pokręcaniu wąsem lub brzęczeniu szabelką. Jak gdyby nie było fałszem ostatniego stopnia, sądzić: że z ustaniem pewnych krojów życia zewnętrznego, przerywa się wewnętrzna, prawdziwa ciągłość.

Tłómacz w przedmowie powiada, że trudność w przekładaniu utworów naszej poezji, wynika z jej charakteru wyłącznie rodzimego, że z tego powodu, szczególnież poezya nowożytna, ze strony ducha swojego, nie tak przystępną być może pojęciu obcego ludu. Ale z drugiej strony, mówi A. Zipper, „lud ten posiada tylu poetów i poematów pierwszej wielkości, że nawet w przekładzie, byle tylko z miłością i wiernem zrozumieniem dokonanym został, jeszcze wiele ujrzymy piękności, które zachwycić mogą prawdziwego miłośnika poezji.” „A wreszcie rdzeń każdego utworu pieśniowego jest czysto-ludzka, wszyscy równie zdolni jesteśmy pojąć i poczuć szczęście i ból najgłębszej starożytności, jak i najodleglejszej krainy.”

Niezawsze wprawdzie adoracya daje rękojmię braterskiego usposobienia, szczególnież w stosunkach pomiędzy grupami etnograficznymi; ale cześć artysty dla artysty, ale słowo uznania, przed majestatem arcydzieła, kłamanem być nie może. W tej jedynej oazie, po dawnemu jeszcze obowiązuje teoria Onufrego Kopeczyńskiego, że w mowie wyraża się to, co myślimy. Dla przekonania się o niedwulicowym poglądzie Zippera, trzeba by posłuchać, z jaką żarliwością powołuje on ludzi pióra, do zebrania rozproszonych rysów żywota Malczeskiego. Ułożony przez siebie życiorys autora *Maryi*, dostojny tłómacz tak zagaja: „Nie mogę wszakże potłumić głosu żywego pragnienia, aby kiedykolwiek, ktoś z literatów polskich zechciał wnikliwież zająć się dziejami poety i zasadniczém przedstawieniem genetycznego toku, chciałem powiedzieć: historii jego ducha (bo czémże inném jest biografia apostoła sztuki), zapełnić ten smutny rozziw w dziejach poezji. Ostatnia, kresowa chwila na to przychodzi; żyją jeszcze niektórzy, co znali poetę i jego współczesnych; ale ci już się pochylają ku grobowi i prędko, zbyt już prędko wszelkie badania i dziś już tak wątpliwie, coraz trudniejszemi, co większa nadaremniemi będą. A więc do dzieła!

czujnie, żarliwie, póki czas jeszcze, aby żal nie przyszedł po niewczasie" (str. 5).

W całym życiorysie, skreślonym przez tłumacza, zpod opowiadanych szczegółów kolei, jak z pod pięknego haftu, przebija tło życzliwości i uznania dla wieszca i jego kraju.

Ale najwymowniejszém o nich świadectwem jest sam przekład; Zipper, obok artystyczności (co już jest rzeczą talentu), wmarzył się, jak widać, w serce poety. „Zrozumiał go, a to dlatego, że zapuścił się w jego krainy.”

Zdanie o wykończeniu formy mniej do nas należy, możemy tylko powtórzyć sąd recenzenta niemieckiego, który, uznając zalety przekładu dawniejszego (przez Niczmana), wyżej stawia tłumaczenie Zippera. Z naszej strony dodać winniśmy, że jest on przytém wierniejszym. Zipper wsłuchał się, nietylko w naturę myśli i ducha mowy, ale nawet w te odcienia, które nazwałby można dramatyczną intonacją w języku, którą, jeśli jaka, tedy nasza mowa pochłubić się ma prawo. Tak np. apostrofę wstępną do kozaka, pędzącego po stepie, tłumacz intonuje tęp samém *wyzywającym* zacięciem, jak pierwowórca *Maryi*: „A dokąd to, stepów synu, na lotnym rumaku? czy zwierzyłeś zajączka, pędzącego wśród trawy? czy duch twój, wykradłszy się z ziemi, w słodkich fałuje marzeniach; czy rwiesz się do zapasów z nawałnicą?”

Gdyby *Marya* Zippera była jego utworem własnym, tedy wpatrując się w jój plan główny, w przecięcie budowy i ozdoby architektoniczne, powiedzielibyśmy: „jest tu i Mars rycerski i miłość rycerska, jest majestat grozy, grzmot namiętnej dumy i promyki niebieskie najsubtelniejszych wzruszeń.”

Tak np. w ustępie VII, pieśni III-jej:

„Dano znak: wrzasły trąby, szczęknęły podkowy...”

gdzie nad głęboką warstwą basową, nad łoskotem zastępów, sunących się przez bramę gotycką, spostrzegamy spokojny krajobraz niebokregu i wzniosłą, pociągającą postać bohaterskiego młodzieńca; w całym tym ustępie tłumacz zachował najwierniej wszystkie akcenta sytuacji, obok dosłownej prawie ścisłości:

„Dopiero teraz w otwartém polu, gdzie już potężny swój okrąg wytoczyło słońce, serca płoną gorąco i nim skronie zyskają wieniec sławy, jak orły kąpią się w żywołśniącym strumieniu słońc;” co w oryginale brzmi tak:

„Dopiero to na polu, gdzie ogromne koło,
Wytoczyło już słońce, bujają wesoło
I pstrym swoim proporcem, nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła, jak orły się kąpią.”

Jak widzimy, oprócz *pstrych proporców*, obraz cały oddanym został dosłownie.

Równie szczęśliwie powiodły się tłumaczowi: *Dumania miecznika pod szaremi lipami* i romantyczne ich zakończenie, przypominające Mickiewiczowskie widmo i odgłos dzwonka porannego:

„To nie dla niego (mówi tłumacz) i spłoszony widokiem ludzi szczęśliwych, cofnął się w zmierzch zamkowego pustkowie, podobny owym straszidłom, które trwoga nocy spostrzega, a które giną w nicłość, skoro zaświta poranek.”

W pierwotworze czytamy:

„Nie dla niego—on nie chciał na widoku zostać,
W nękających cieniach zamku zanurza swą postać;
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennéj nocy—poranek odstrasza.”

Niepodobna także pominąć nam owéj perły ludzkiego patos, już dziś unieśmiertelnionéj w muzyce, w żywém słowie pamięci estetyków, literatów, uczniów i uczennic naszych:

„Przy nim młoda niewiasta“ (XI, pieśń I).

Tłumacz tak oddaje to miejsce, jakby bezpośrednio z jego duszy płynęło; oto jego wyrazy:

„Przy niém oblicza niewieście zapadły w księgę wiekuistą; jak trwożna gołębnica, pochyliła ona myśl swoją ku pierwoźródłu światłości, płochliwe jéj skrzydło zatęskniło do gniazda, tam daleko od dni ziemskich, na gniazdach. A że miłszém nam skinienia daje cicha pokora, niżeli pycha... i drży nić, która serec i niebo wiąże spójnie, więc kropla rosy słodko sączy się na ranę jéj duszy.”

Wierniejszym zaprawdę być niepodobna.

Ale prawdziwym tryumfem tłumacza nad trudnościami zadania, jest scena w łóżnicy śmiertelnéj, owe straszliwe unisono, z którym chyba tylko Bajronowska wystawa śmierci porównaną być może. W téj scenie tłumacz zamyślał nawet prawdopodobnie o oddaniu ech rozpaczliwego krzyku Wacława, tak przynajmniej zdaje się z rymowego układu, czterech środkowych wierszy.

Albert Zipper znakomitą wyświadczył przysługę ziomkom dobréj woli; jesteśmy pewni, że p. :Amelia, której pracę swoją w braterskim upominku poświęca, poemat germański o Maryi, jak my nasz, przyciśnię do serca.

F. J.

Poezye Goethego wybrane, tłumaczył Hugo Zathej. W Krakowie w drukarni „Czasu” pod zarządem J. Łakocińskiego 1879.

Żadna może z wielkości duchowych nie wywołała utworami swemi tak krańcowych głosów w swoim czasie, jak Jan Wolfgang Goethe. Kiedy z jednéj strony zapaleńcy samobójstwami oddawali tragiczny hołd jego Werterowi, kiedy Bajron na czele swojego Wernera pisał: „prześwie-tnemu Goethemu tragedia ta poświęconą zostaje przez jednego z naj-

korniejszych jego wielbicieli," tymczasem Menzel podnosi najzjadliwszą filipikę przeciw „mniemaemu geniuszowi” przepowiadając rychłe rozczarowanie świata.

Do jakiego stopnia spełniła się przepowiednia, najlepiej o tém świadczą studia, naśladowania i przekłady utworów Goethego, na starym i nowym lądzie dokonywane. Napoleon I-szy, zapewne nie pod urokiem majestatycznej powierzchowności, widząc podobno po raz pierwszy Goethego, zawołał: *Vous êtes un homme*. Rzeczywiście, można mieć głębokie przekonanie, że ów lakonizm cesarski *brevitas imperatoria*, która tak piorunująco oceniała wagę autorską Cezara i Wergiliusza, nie prędko zaprzeczoną zostanie.

Ponieważ w téj chwili mamy przed oczyma przekład utworów Goethego, pozwolimy sobie przytoczyć *jego* zdanie o przekładach. Goethe odróżnia trzy rodzaje tłumaczeń, zaznaczając w nich epokową kolejność: 1) przekład zmierzający do zapoznania nas z zagranicą—i tu najstosowniejszym krojem jest proza; 2) przekład, który wprowadzie przenosi czytelnika w dziedzinę stosunków obczyzny, ale przyswaja dla nas, tylko ducha obcego, kształtując go na ducha krajowego; 3) przekład, zdaniem Goethego, najwyższy, w którym tłumacz zamierza sobie utożsamić się z pierwowotorem, poświęcając mniej więcej oryginalność narodową (swojego języka) na rzecz typu danego. Do rzędu ostatniego z trzech należą przekłady Vossa i takie właśnie zaleca Goethe ze względu, że na téj drodze zachowania wszystkich barw pierwowoturu, dostarcza kształcącemu się pokoleniu zapasu najróżnorodniejszych zwrotów typu, miar, rytmów, jakoby z pierwszej ręki.

Znany chlubnie nasz pracownik, p. Zathy, który nas w téj chwili darzy *wybranymi poezjami Goethego*, bezwątpienia miał na uwadze trzeci rodzaj zadań przekładczych, wytkniętych przez Goethego. Widać to przedewszystkiem z nader starannie zachowanej ścisłości metrycznej, oraz w pracy *utożsamienie* się z myślą pierwowoturu. Zbiorek niniejszy, w piękném wydaniu o 103 stronicach, zawiera przeszło trzydzieści utworów, częścią pieśniowych, częścią ballad, przytem z romansu (*Wilhelm Meister*): *Mignon*, *Harfiarz* i wiersz *do Barona*. Są to, jak widzimy roboty, na drobną skalę, lecz do zaokrąglenia charakterystyki poety wcale przydatne. Kwestya wymiaru zadania do krytyki wchodzić nie może. Poeci pierwszej potęgi niejednokrotnie w drobnych ruchach siłę i giętkość talentu wykazują. Czyliż np. Bajron nie jest całym Bajronem w wierszu swoim umieszczonym w imienniku? albo Szyller czy nie jest całym sobą w dwuwierszu *Nieskończoność*? Jedynie może nie zgodzilibyśmy się na wybór tego rodzaju małości pojęciowych, jak np. *Chodzący Dzwon*. Sądzymy, że sam tłumacz czuł się zakłopotanym kiedy mu przyszło łamać się z puchem tego rodzaju, jak np. *Matka mówi*, (grożąc dziecku, które nie chciało w święto chodzić do kościoła):

„To nie żarty!
 Ej! uważaj ty na siebie,
 Gdy woiąż będziesz tak uparty!
 Przyjdzie dzwon i weźmie ciebie.“
 Myśli dziecię: dzwon ten przecię
 To nie człowiek i nie chodzi;
 Czy to słyszał kto na świecie?
 To mię tylko mama zwodzi i t. d.”

Te i tym podobne gwarzenia drzemiącego Homera snadnie opuściłyby się dały, skoro tu nie idzie o całkowity przekład dzieł poety, *Kwiatek Cudowny* (str. 89—94) przeciwnie, jest datkiem serdecznym, udatnie przestrojonym w szaty polskie. Dalej mamy piękną balladę o *Śpiewaku*, z nadzwyczaj zręcznie zachowanym taktem metrycznym:

Co to za głos przed bramą tam,
 Rozlega się na moście?
 W sali ten śpiew niech zabrzmie nam!
 Biegnijcie—i poproście.
 ...Panowie moi, witam was,
 Witam was, piękne panie!
 Jak gwiazd na niebie, tyle was,
 Ach! trudneż ich nazwanie.
I wziął do ust i duszkiem pil:
 Gdzież napój rokoszniejszy?
 Oby dom taki długo żył,
 Gdzie to, jest dar najmniejszy¹⁾.
 Wspomnijcie mię w szczęśliwsze dni
 I wdzięczni Bogu bądźcie wy,
 Jak wam dziś, śpiewak wdzięczny.

To wiersz rwący się do lotu, prawdziwy śpiew.

Taką samą ścisłość znajdzie czytelnik bezwarunkowo wszędzie; wszakże, jak widzimy, nie kępuje ona pióra tłómacza w pociągach artystycznych. Nie zgadzamy się tylko na nieuwzględnienie przez tłómacza pojęciowej subtelności, jaką sobie duch naszego języka zastrzega. *nieodwołalnie* pomiędzy skróconemi a pełnemi formami pewnych części mowy (me, moje—gdy, kiedy i t. p.). Jeżeli język posiada zapas z dwu (a niekiedy i więcej) okresów kształtowania, tedy, jak wiadomo, owe bogactwo fonetyczne zużytkować należy pojęciowo; formę więc dłuższą zachowujemy sobie na wyrażenie przycisku. Otóż zamiast „gdy już prosić” i t. d. powiedzielibyśmy raczej: „kiedy już prosić.” Podobnież w *Uczniu czarownika*:

„Dzisiaj sam rozpocznę czary.
 Niech raz, przecie, jego duchy
 Spełnią téż i *me* rozkazy”

¹⁾ Śpiewak nie chciał przyjąć ofiarowanego sobie w nagrodę, słotego łaucucha, prosił tylko o gościnną czarę wina.

lepiej byłoby poświęcić akcent fonetyczny dla myśli, aniżeli odwrotnie.

Z powodu przeslicznej i szczęśliwie przełożonej ballady: *Joanna Sebus*, która ocalając tonących w czasie powodzi, sama pada ofiarą i ginie w nurtach, nasuwa się nam pewna uwaga co do używania archaizmów w poezji. Tłómacz tak rozpoczyna balladę:

„Już wał przerwany, już fala huczy,
Szalona fala w szalonej tuczy...”

Co do wierności, przekład nic nie pozostawia do życzenia, jak o tém przekonać się może czytelnik z pierwszego lepszego ustępu. Jak np. w pierwotworze ballady *Śpiewak*, czytamy przekład dosłowny:

„Król rzekł tak, paż pobiegł; paż powrócił; król zawołał: wpuście mi tu starego.”

Tłómacz mówi:

„Tak kazał król; paż zaraz biegł;
Powrócił wnet; król głośno rzekł:
Wprowadzić mi starego.”

Śpiewak, ofiarowanego sobie podarku przyjąć nie chce i mówi:

„Ja śpiewam, jak śpiewa ptaszek, który mieszka wśród gałęzi; pieśń, przeciskająca się z piersi, jest nagrodą, która odplaca sowiocie; lecz jeśli wolno prosić, proszę o jedno: pozwólcie z czystego złota spełnić puchar najlepszego wina.”

Tłómacz tak to oddaje:

„Ja śpiewam, jak w gałęziach drzew
Swobodne ptaszę śpiewa,
Nagrodą hojną jest sam śpiew,
Co z piersi się dobywa;
Gdy już prosić, proszę o to:
Każ mi czarę szczerozłotą
Najlepszego dać wina.”

Archaizm jestto jakby kostium staroświecki, którego powaga już nie w nim samym leży, ale w dziedzinie abstrakcyi, i z owéjto dziedziny widza zasięga rysów, dopełniających wrażenie wzroku uczuciami tradycyi. Archaizm przeto może być usprawiedliwionym jedynie wtenczas, jeżeli myśl sama wymaga podobnego zgrupowania żywiołów: danych i domysłowych. Forma staroświecka tym sposobem zakrawa na symbolizm. Jeżeli Mickiewicz w hymnie mówi: „Ninie dzień Tobie (Maryo), usłwęcamy wierni” baczny czytelnik dozna tu zdwojonego wrażenia, to jest „dośpiewa sobie coś w duszy,” coś dalszego poza dane wyrażenie przez poetę. Wytwarzanie zmarszczków, bez wyrozumowanej estetycznie potrzeby, wkraczanie w narzeczca, albo okresy rdzą pokryte: są to czynniki zbyt silne na bieżące sytuacje i dlatego w ich zażywaniu oględność zachować należy, choćby ze względu na to, iż one to właśnie najłatwiej dają przystęp pociskom humorystyki.

Oświadczając się zresztą z zupełnym uznaniem dla tłumacza, nie możemy pominąć milczeniem wyrazów jego, wyrzeczonych we wstępie do przyjać: przyznajemy z tłumaczem, że „kto zabiera się do takiej pracy, t. j. do przekładu prześlicznej pieśni, która była tak prostą, tak pełną uczucia i rozumu, gdy się z własnej piersi wydobyła—ten pokonać musi wiele trudności.” Przyznajemy również, że nasz język ani lubi, ani może korzystać z prawa elizyi, ściągania zgłosek. Owszem, twierdzimy nawet, że ta niezdolność (do elizyi) dowodzi, iż nasz język wolnym jest stanowczo od niegodnego zazdrości: odrętwienia, które pozwala, gdzieindziej, na odcinanie najistotniejszego organu żywotnego, jakim jest samogłoska. Ale wręcz nie podzielamy zdania, jakoby nasz język niemiał tylu bogatych swobód, co niemiecki. Aby zaś nie zbywać ogólnikami, zadajmy sobie najprostsze zapytanie: gdzie jest owe pełne morze, na którym swoboda języka wszystkie żagle rozwinąć, wszystkich obrotów dokonywać zdoła, jeżeli nie w jego składni? A składnia niemiecka *w porównaniu z naszą* jestże tak bogatą, aby nasz język mógł jęj pozazdrościć? Nie przekład utworów Goethego, ale przekład poezyi wogóle jest zadaniem trudnym i gdybyśmy chcieli aż do dna wyczerpać całą ścisłość dyalektyczną, w takim razie uważałoby wypadło każdy utwór poetycki, za *semel dictum*, za rzecz raz nazawsze wyrzeczoną tak, a nieinaczéj, raz nazawsze wcieloną tak, a nieinaczéj, a tém samém zawyrokować stylem Johnsona, że przekład jest rzeczą niepodobną! *E pur si muove*, czyli innemi słowy: Mickiewicz nie przełożył *Giaura*, lecz stworzył drugą osobę *Giaura*. Albert Zipper w nowym przekładzie *Maryi*, mówi także o trudnościach, ale nie tam nie słyhać o braku swobody w mowie niemieckiej; każdy z wielkich języków jestto świat w sobie skończony, który jest, żyje i porusza się w pewnym porządku sił, twórczo sobie nadanym. Każdy więc jest i uważanym być winien nietylko za całość uczyłkowaną glosów, ale i za jednostkę metafizyczną. Ile posiada rytmu nasz język, spytajmy o to jednego z tych mocarzy, którzy wiedzieli „co to być ptakiem.”

Wreszcie, na dowód przytaczamy ustęp z przekładu ballady: *O wygnanym i powracającym hrabi*, dokonanego piórem naszego tłumacza; ustęp ten najlepsze da świadectwo o zaletach niniejszej pracy p. Zathey'a, oraz o zbrojności naszego języka, ilekroć idzie o wystawienie rzeczy wielkich.

(Hrabia, w chwili gdy nieprzyjaciele zamek jego zdobywają, uchodzi, zakopawszy w ziemię skarby i unosi pod płaszczem córeczkę, z którą następnie rozstać się musiał. Wśród pielgrzymki, a raczój żebraczego tułactwa, jako śpiewak obchodzi on świat Boży i w końcu dwaj synkowie ksiąźęcia, naówczas nieobecnego, zapraszają starca do zamku, gdzie później nastąpić ma nadzwyczajne odkrycie. Staruszek, zaproszony przez nich, opiewa im bajeczkę o hrabi; dzieci słuchają go chętnie):

Srożyły się wrogi i burze szalały,
Gdy hrabia opuszczał swój zamek wspaniały,

A skarby zakopał był w ziemi.
 Dlaczego tak śpieszy? dlaczego drży,
 Co objął rękami silnemi?
 Co ukrył na piersi i płaszczem otula,
 I w dal co unosi tak skrętnie?
 Córeczka to była, na rękach mu lula
 (A dzieci słuchają tak chętnie).

Zaświtał poranek, a świat tak szeroki,
 Murawa mu łozem, a dachem obłoki;
 We wioskach ugoshczą śpiewaka:
 Tak mijał on góry, doliny, potoki,
 A broda mu rośnie ot taka.
 I dziecię mu rośnie, aniołek ów złoty,
 Uśmiecha się mile, ponętnie,
 On płaszczem je chroni od zimna i słoty
 (A dzieci słuchają tak chętnie).

F. J.

Kilka uwag o recenzji książki „Filozofia i jej zadanie“ (w zeszycie wrześnieowym Bibl. War. z r. 1878).

Jednanie filozofii z religią, ta najżywotniejsza z kwestyi, które kiedykolwiek rozum ludzki zajmowały, w dwojaki sposób się przedstawia. Można je najpierw pojąć jako *kompromis*, w którym filozofia i religia robią sobie nawzajem jakieś ustępstwa, względem niektórych punktów podają sobie rękę na znak sklejonej przyjaźni, używają tych samych wyrazów; kwestye zaś, w których się zgodzić nie mogą, zamilczają całkiem albo ogłaszają za podrzędne, nie przeszkadzające zgodzie i tolerancyi wzajemnej.

Po drugie, można to pogodzenie pojąć jako *sąd*, w którym filozofia i religia legitymują się w obec rozumu z swoich pretensyi. Rozumié się jednak, że nie na téj saméj stopie obie na tym sądzie stają. Religia wykazuje tylko właściwemi sobie dokumentami, że to a to było jéj od Boga objawioném, a cokolwiek w ten sposób wykaże, to zaraz rozum z czcią i wiarą uzna. Filozofia dowodzi, że to i owo logicznie wynika z pewników oczywistych; a co w ten sposób udowodni, to jéj rozum przyzna; gdzie zaś dowodów ścisłych nie starczy, powie jéj: to nie twoje. W ten sposób na zasadzie, że prawda rozumowa nie może się sprzeciwiać prawdzie objawionéj, wszelki spór i wszelkie nieporozumienie się usuwa.

Jakoż, aby w ten sposób pojąć jednanie filozofii z religią, trzeba oczywiście być pewnym, że nie zdarzy się wypadek, aby w téj saméj kwestyi co innego wykazała religia jako objawione, a co innego udowodniła filozofia jako rozumowo pewne. Trzeba więc wierzyć w praw-

dę, t. j. być przekonany, że jest coś absolutnie prawdziwego, a prawda i fałsz nie są tylko pojęciami względnymi; trzeba też wierzyć w religią i *wierzyć w rozum*, t. j. być przeświadczonym o nieomyślności obojga w odpowiednich zakresach i należytych warunkach. W czasach zaś jak nasze, gdy i przekonania religijne rozwiewają się w zamieć bezwyznaniowych doktryn, i pewniki rozumowe rdzewieją sceptycyzmem; gdy pod imieniem filozofii nie rozumie się już *systemu prawdy*, ale tylko panoramę różnobarwnych systemów, którym się widzowie z kolei przypatrują jako ciekawym antykom, i każdemu mniej więcej hołd admiracji oddawają ¹⁾: w takich czasach, mówię, ów drugi sposób godzenia filozofii z religią musi się wydawać niepodobnym i niedorzecznym; pierwszy zaś, t. j. wspomniany kompromis, staje się jedynie możliwym, ba, nawet bardzo łatwym; bo cóż łatwiejszego, jak nagiąć do siebie rzeczy tak wiotkie, jak religia i filozofia w ten sposób pojęte? Nic więc dziwnego, że gdy dzisiaj ktoś wspomni o jednaniu filozofii z religią, to powszechnie narzuca się na myśl ów rodzaj kompromisu, i to nie tylko ludziom bez wiary i zasad, ale nawet ludziom dobrze myślącym i z przekonaniem religijnym; bo, jak powiedziałem, ten sposób pojmowania kwestyi jest w atmosferze umysłowej naszego czasu.

Ta okoliczność była powodem wielu nieporozumień i zarzutów przeciwko książce, którą wydałem w r. 1877 pod tyt.: *Filozofia i jej zadanie*. Właściwem téj książki założeniem nie jest godzić filozofią z religią, ale określić istotę, zadanie i prawa kierunek filozofii; jednakowoż i to jednanie filozofii z religią na dnie tego założenia leży; i tak być musiało, gdyż nie pojmuję filozofii, któraby pomijała swój stosunek do religii, i nie pojmuję filozofii rozumnej, któraby ten stosunek inaczej określała jak ugodliwie. Jakoż ta ugoda w wspomnionj książce pojęta jest i przeprowadzona w ów drugi sposób, który do sądu przyrównałem. Filozofią nazywam nie historyczny przegląd systemów, nie to co Spinoza, Kant, Hegel (i inni mistrzowie) powiedzieli, ale tylko *prawdę rozumową, z pewników oczywistych logicznie płynącą*. O téj filozofii utrzymuję, że takowa w niczem się prawdzie objawionj nie sprzeciwia. Panteizmu zaś, materyalizmu i tym podobnych doktryn nie myślałem nigdy godzić z dogmatem katolickim, ale raczj usiłowałem pokazać, że te teorye, o ile są w sprzeczności z dogmatem, o tyle téż są niezgodne z filozofją, t. j. z rzetelnemi rozumem ludzkiego zdobyczami. Ten sposób jednania filozofii z religią uważam za jedynie możliwy i prawdziwy. Ów zaś kompromis jest, mojem przekonaniem, mylny w zasadzie, gdyż zasada się na mylnych filozofii i religii pojęciach; jest zgubny dla religii, bo prowadzi do fałszywego rozumienia i przekrzywania jój dogmatów; i zgubny dla samj filozofii, bo przywodzi do chwiejności wszelkich pewników i mieszaniny pojęć.

¹⁾ Tak opiewa dosyć powszechna dziś zasada: *Die Philosophie ist die Geschichte der Philosophie*.

Tymczasem, z powodów wyżej nadmienionych, zdarzyło się, że niejeden z moich czytelników, postrzegając na tle téj książki zamiar jednania filozofii z religią, pojął, a przynajmniej przypuścił, że ja przyjmuję to jednanie na sposób owego kompromisu, i ztąd, rzecz naturalna, znalazł całą książkę w sprzeczności z założeniem. To nieporozumienie uderza mianowicie w recenzji téj książki, napisanej przez pana Aleksandra Tyszyńskiego i umieszczonej w zeszycie wrześniowym (r. 1878) *Biblioteki Warszawskiej*. Na tę recenzją winienem odpowiedzieć, nie z powodów osobistych, gdyż ona jest w wielkiej części łaskawą i życzliwą; ale dlatego, że niewłaściwie przedstawia moje zdania w tych właśnie rzeczach, w których mi najbardziej idzie o dokładne mego stanowiska określenie, t. j. w kwestyi stosunku filozofii do religii, tudzież w powiązaném z tą kwestyą ocenieniem idealizmu i materyalizmu. Zaniechanie więc odpowiedzi i wyjaśnienia rzeczy z mojej strony byłoby chybieniem głównego celu mojej pracy.

Poczyna tedy pan T. od zarzutu, że w rozdz. I przedstawiam filozofią „jako całość wszytkiego, co może być przedmiotem myśli ludzkiej“, a w ostatnim rozdziale: „filozofią i religią, za zupełną oddzielność uważam i przeto, rzecz można, cały przedmiot téj ostatniej oddzielam od filozofii rzetelnej,“ nieco niżej nawet podstawią mi „założenie z góry, że religia i filozofia są dwa działy niepojednane;“ i przeciwko temu mniemanemu założeniu silnie występuje. Tu już pokazuje się owo nieporozumienie, o którym wyżej mówiłem, nieporozumienie, do którego przecież w mojej książce nie dałem powodu. Zkądże bowiem pan T. wnosi, że tak odgraniczam dziedziny filozofii i religii? Wszak i w rozdziale I (str. 28, 29) i w ostatnim, i w innych miejscach wyraźnie tłumaczę i z naciskiem powtarzam, że „filozofia i wiara spotykają się mniej więcej w tym samym przedmiocie, na tém samym polu siedzą, te same zagadnienia podejmują i rozwiązują;“ różnicę zaś główną między nimi oznaczam nie w odrębności przedmiotu, ale w powodzie uznania prawdy, czyli w sposobie, jakim każda w tym przedmiocie prawdę poznaje: „wiara mówi: tak trzymam, bo Bóg tak naucza,—filozofia mówi: tak twierdzą, bo wiem dlaczego tak jest“ (str. 29) ¹⁾. Dalej, nie tylko nigdzie nie stawiam założenia, że religia i filozofia są niepojednane, ale przeciwnie, zaraz na wstępie (str. 9) twierdzą, że taka niezgoda jest niemożliwą; następnie w całym ciągu książki, ilekroć się spotykam z systemami anty-religijnymi, tyle razy pokazuję, że takowe są oraz anty-filozoficznymi, i równie rozumowi jak wierze przeciwnymi; w ostatnim zaś rozdziale szczegółowo dowodzę, że przypuszczenie opozycji między prawdą filozoficzną a prawdą wiary, jest zarazem i grubym błędem przeciwko rozumowi i herezyą przeciwko wierze

¹⁾ Cały ten stosunek filozofii czyli wiedzy rozumowej do wiary, to jest odróżnienie ich pod względem powodu (*motivum et principium*), zgodność pod względem prawdy, wzajemne popieranie się i t. d., orzeczonym został w ten sam sposób na soborze watykańskim. Tekst soboru podałem w rozdz. XV.

(str. 310, 311); w końcu pozytywnie wykładam, jak wiara i filozofia zgodnie kroczą, i jak wielkie sobie wzajemnie oddają przysługi (str. 313—327).

Jak widać więc, zarzut pana T. nie da się inaczej wyrozumieć, jak tylko przez to, że pojął albo sądził, że ja pojmuję pod imieniem filozofii zbiorowisko wszystkiego, co filozofowie myśleli, a pod imieniem jej zgody z religią, rzeczony kompromis. W takim razie, istotnie pokazuje się w mojej książce opozycja między filozofią i religią; inaczej, téj opozycji niema śladu.

Jakoż i tę opozycją między fałszywemi teoryami, mianowicie idealizmem i materyalizmem, a wiarą i religią, nie tak pojmuję i przedstawiam, jak mi pan Tyszyński podkłada. Szanowny recenzent zarzuca mi, że pojednanie uniemożliwiam przez to, że z jednej strony przesadzam zarzuty przeciwko idealistom i materyalistom, wmawiając w nich skrajniejsze opinie, niż mieli rzeczywiście, a z drugiej strony przesadzam wymagania dogmatu, przedstawiając jako należące do wiary, to, co do niej niekoniecznie należy. Zarzut ten, gdyby był słusznym, byłby dla mojej książki zabijającym, gdyż, jak powiedziałem, główna jej dążność jest pojednawcza: idzie mi przede-wszystkiem o to, aby wykazać, że można i trzeba filozofować na wspólnych zasadach i zgodzie z wiarą. Atoli sądzę, że na ten zarzut wcale nie zasługuję i że się wiernie trzymałem mego założenia: „niezaprzeczania bezwarunkowo jak tylko temu, co się sprzeciwia (bezwarunkowo) prawdzie katolickiej i głównym zasadom zdrowej filozofii” (str. 16).

Obacmy to w rzeczy samej i zacznijmy od idealizmu transcendentnego. P. Tyszyński zarzuca mi najprzód wogóle, że „uważam ten kierunek za zgubniejszy, niż sam materyalizm.” Przeciwnie, powiedziałem: „że ten kierunek jest niezawodnie szlachetniejszy od sensualizmu i materyalizmu” (str. 70), poczytałem mu za zasługę, że „upadlającą doktrynę materyalistów, do czasu przynajmniej stłumił” (tamże); powiedziałem i pokazałem, że materyalizm jest daleko zgubniejszym od transcendentalizmu (str. 180). „Nie odmówiłem więc temu zwrotowi dobrego słowa.”

W szczególności o Kancie mówi p. Tyszyński, że „jego przekonania o bytności Boga i nieśmiertelności duszy, spać mu nie dawały,” że takowe we „wszystkich swych traktatach objawia, że nawet osobne wydał pismo z tytułem: *Dowód bytności Boga* i t. d. To wszystko jest bardzo budujące, ale to nie znosi w niczem moich zarzutów przeciwko filozofii Kanta. Zamiary Kanta mogły być najlepsze, a obok tego wypadki jego filozofii najgorsze. Samego Kanta nié mam za ateusza ani za panteistę, twierdzą jednak, że system Kanta był logicznym powodem i zarodkiem teoryi panteistycznych i ateistycznych, które niebawem w jego szkole wybujały i to udowodniam rozbiorem głównych zasad tego systemu, w *Krytyce czystego rozumu* wyłożo-

nych. W téjto książce, jak powiedziałem, Kant „sadzi się” na zbijanie bytności Boga, bo nietylko poświęca 48 stronnic¹⁾, na zbijanie właściwych i klasycznych dowodów, na których przekonanie rodzaju ludzkiego o istnieniu Boga od początku świata, aż do dziś dnia spoczywało²⁾; ale nadto przychodzi do ostatecznego wniosku, że pojęcie Boga jest *ideą a priori*, t. j. (podług jego systemu) czysto subiektywnym prawem naszego myślenia, mającém „jeszcze mniej (wartości przedmiotowej, niż kategorye,” które jęj wcale nię mają; tudzież, że rozum spekulatywny nie może wcale dojść do pewności o Bogu, co znaczy innęmi słowy, że nięma *dowodu* na to, że jest Bóg, że tego wcale nie możemy *wiedzieć*. Gdy zaś Kant w *Krytyce rozumu praktycznego* rekonstruuje Boga, co nie cofa tego, co pierwęj powiedział, nie daje właściwego dowodu istnienia Boga, ale daje tylko powód przyjęcia téj idei, jako postulatu praktycznego. Innęmi słowy: podług Kanta w praktyce mam uważać istnienie Boga za prawdę, aby mi to do życia moralnego pomagało, ale czy rzeczywiście Bóg istnieje, tego wcale nie wiem i wiedzieć nie mogę. Prawda, że Kant w tém przeniesieniu idei Boga z pola spekulacyi, na pole praktyki, ma, jak powiada, za cel, uchronić tę ideę od pocisków ateizmu i panteizmu. Ale, jakem powiedział w książce, dziwny to zaiste sposób ratowania fortecy, aby jęj nieprzyjaciele nie zdobyli, wysadzić ją w powietrze.

Co się tyczy następców Kanta, mianowicie Fichtego, Schellinga i Hegla, p. Tyszyński twierdzi w ogólności, że „byli to nietylko pisarze chrześciance, ale gorliwi chrześciance, którzy wszystkie swe prace poświęcali na racjonalne sprawdzenie głównych twierdzeń swego wyznania.” Czy oni byli chrześcianami w prywatném życiu, to nas obecnie nie obchodzi i w to się wcale nie wdawałem; ale twierdzić, że oni byli chrześcianami jako pisarze, że bronili pojęć chrześciańskich, to do prawdy trudno. Cóż to jest, pytam, chrześcianin? Nie wdaję się w subtelności teologiczne, ale podług powszechnego pojęcia, *crasso modo*, chrześcianinem jest człowiek, który wierzy w Boga, t. j. w istotę wyższą, która go stworzyła, nim się opiekuje i na cześć jego zasługuje. A czyż wierzy w Boga ten, co jak Fichte mówi, że Bóg to nic innego, tylko porządek społeczny; czy wierzy w Boga ten, co jak Schelling i Hegel twierdzi, że Bóg to najogólniejsze, najoderwańsze pojęcie, którego wszystkie rzeczy stworzone są tylko szczegółami, u którego nię masz ani osobowości, ani wolności, ani samowiedzy, chyba dopięro w człowieku. Panteista, jakem to w kilku miejscach wykazał, w sobie uznajęc najwyższy rozwój absolutu, tylko sobie cześć Boską odda-

1) Od str. 611 do str. 659, wydanie 4, 1794 r.

2) Św. Paweł do Rzymian roz. I, str. 20: *Invisibilia enim Ipsius a creatura mundi per ea, qua facta sunt, intellecta conspiciuntur etc.*

Księga mądrości roz. XIII, str. 1: *Vani autem sunt.... (qui) de his quae viderunt bona, non potuerunt intelligere Eum qui est etc.*

wać może i przeto w gruncie rzeczy od ateisty wcale się nie różni ¹⁾. Dalej chrześcianinem nazywamy człowieka, który wierzy w przyszłe indywidualne życie. A czyż wierzą w takowe tacy, którzy z Fichtem, Schellingiem i Heglem, sądzą, że każdy z nas jest tylko chwilowym objawem absolutu, momentem w jego rozwoju, mającym niebawem rozplynąć w głuchym ogóle, nie zachowując żadnego swęj indywidualności śladu? Niedosyć na tém; osobowego Boga i przyszłe życie uzna i żyd i turek, chrześcianin zaś od nich przynajmniej tém się różni, że wierzy w Chrystusa. A czy wierzy w Chrystusa ten, u którego Chrystusem jest dziejowy rozwój ludzkości, jak u Schellinga, a Odkupieniem poznanie identyczności człowieka z naturą, jak u Hegla? Iście na takiego Chrystusa z takiem odkupieniem i żyd i turek przystanie. Prawią téż ci filozofowie o Trójcy i innych Chrystyanizmu dogmatach, ale tak je „racjonalnie sprawdzają,” że czynią z nich coś podobniejszego do indyjskich teogonii, niż do chrześciańskiej myśli. Lepiejby nie byli tykali tych świętych tajemnic, ani imienia Boga wymawiali; bo temi „wyteżeniami swęj myśli” nietylko Chrystyanizmu nie wsparli, ale raczej *mutaverunt gloriam suam in idolum*.

Przeciwstawia mi p. Tyszyński późniejsze pisemka Fichtego i Schellinga. Cóżto ma do rzeczy? Alboż się nie zdarza ludziom wpadać ze sobą w sprzeczność lub w ciągu dłuższego życia zmieniać zdania? Wiadomo wszystkim i sam p. Tyszyński nadmienia, że Fichte na stare lata pisał ascetyczno-mistyczne traktaciki, że Schelling w późniejszym wieku z gruntu odmienił swe poglądy i niemal wyraźnie odwoływał, co dawniej twierdził. Gdyby szło o osądzenie tych ludzi, oczywiście te późniejsze zmiany i retraktacye należałoby przedewszystkiem uwzględnić; ale kiedy nie idzie o ludzi, lecz jedynie o ocenienie idealizmu transcendentálnego w jego ogólnym rozwoju, wówczas nie należało uwzględniać jak tylko główne dzieła i główne systemy w skład tego rozwoju, jako istotne momenta, wchodzące. Te zaś dzieła i te systemy są w swych najistotniejszych pojęciach i zasadach panteistyczne, a zatém ateistyczne i antychrześciańskie takie, jakem je przedstawił.

Przytacza mi znów p. T. pojedyncze wyrazy Hegla i łaskawie przekłada je na takie niewinne zdania jak np. „Chrystyanizm jest prawdą, Bóg jest Duchem, Bóg jest Jeden we trzech Osobach” i t. d. Powtarzam znowu, że tu nie idzie o same słowa, ale o treść w tych słowach zawartą. Tém zgubniejszy jest Hegelianizm, że używa słów chrześciańskich, podkładając im pojęcia najbardziej antychrześciańskie. Gdy Hegel mówi, że „treść (der Inhalt) Chrystyanizmu jest prawdą,”

¹⁾ Nie pojmuję dlaczego p. Tyszyński na str. 475 przyznaje, że system Hegla jest panteistycznym, a zarazem zarzuca mi, że Hegla o panteizm obwiniam. Alboż nie oświadczyłem kilkakrotnie w pomienionęj książce, że nie krytykuję ludzi jako takich, ale ich systemy? Zresztą komuż przypisać panteizm systemu Heglowskiego, jeśli nie Heglowi?

rozumieć on, że pod chrześcijańskimi dogmatami jako grubą powłoką, kryje się jego panteistyczna teoria. Chrystyanizm mówi, że Bóg jest Duchem; u Hegla, to znaczy, że trzecim momentem rozwoju Absolutu jest Duch, nie Duch Twórca i Rządca świata, ale ten Duch, który we mnie myśli i który w pierwszym swym momencie bywszy abstrakcją, w drugim materją, w trzecim dopiero t. j. w człowieku przychodzi do świadomości o sobie. Chrystyanizm mówi, że Bóg jest Trójcą i rozumieć przez to troistość Osób realnie różnych: u Hegla Trójca znaczy, że Absolut o ile jest w sobie (an sich) abstrakcją, logicznym pojęciem, ma być *Ojcem*, o ile się na zewnątrz wyłania, stając się naturą, czyli światem widzialnym, ma być *Synem*; o ile zaś znowu się włania przez poznanie się w umyśle ludzkim jest Duchem. Doprawdy, *Trimurti* Braminów podobniejsze jest do chrześcijańskiej Trójcy niż to dziwactwo. Wymawia mi p. T., że chwytam autorów za słowa. Sądzę, że odwrotnie, on sam trzyma się słów, abstrahując od nich znaczenia; ja zaś w całej osnowie i w głównych zasadach systemów transcendentalnych pokazałem, że są najistotniej niezgodne z chrześcijańską myślą. Ciekawym np. gdzieby p. T. znieścił Boga w głównym systemie Fichtego? czy po stronie Jaźni, czy po stronie Niejaźni? Gdzieby Go znieścił u Schellinga? czy w jego obojętności nierozróżnionej, czy w jej rozwoju subiektywnym czy w obiektywnym? Nie o słowa idzie, ale o rzeczy: pomijawszy zaś słowa, ile mi p. T. pokaże chrześcijańskiej myśli w głównych systematach transcendentalnych, tyle ja ich pokażę u Indyjskich Vedantystów i greckich Eleatów.

Co się tyczy skutków tego kierunku, p. T. mi zarzuca, że jeśli obwiniam tę filozofią za jej zgubne następstwa, to tém samym prawem obwiniać trzeba Ewangelią za zbrodnie sekt, co się z niej wyrodziły. Zachodzi przecież mała różnica: ta, że te sekty, jak p. T. przyzna, niezgodne były z Ewangelią, Ewangelia mogła im dać okazyją ale nie powód. Zgubne zaś następstwa, o które obwiniam filozofią transcendentalną, zawierają się w niej jak kwiat w pączku i wynikają z jej zasad koniecznością logiki, com o każdym z nich dowodnie wykazał (Roz. VI).

Muszę się jeszcze wytłómaczyć z zarzutów „nieszczerości” i sprzeczności ze sobą samym. W krytyce Kanta, twierdzi p. T., powstaje na *aprioryzm*, a jednak gdzieindziej cały swój system opieram na *aprioryzmie*; w krytyce Schellinga zowią jego *intuicyą* mrzonką, a jednak za podstawę pewników mego systemu biorę *intuicyą*; *konieczność* raz uważam za ideę zgubną, drugi raz sam się nią posługuję. Ha! gdybyśmy mieli w filozofii słowa wyrażające myśli, jak w matematyce cyfry wyrażają ilości, to dyskusya szłaby łatwo. Ale ponieważ, niestety, tak nie jest, to oprócz pojedynczego słowa, trzeba zobaczyć kontekst, zwłaszcza gdy pozorna zachodzi sprzeczność. Dawniej *a priori* znaczyło powszechnie to samo, co wiedza dedukcyjna, czyli analitycznie wyprowadzona z pojęcia rzeczy, z jakkolwiek nabytego; u Kanta zaś *a priori* znaczy wiedzę, której umysł znikąd nie nabył, ale z su-

bjektywnego swego prawa wysnuł. Ja używam tego słowa w dawném i utartém znaczeniu; ganię zaś aprioryzm Kanta jako do sceptycyzmu wiodący. Zresztą nie ganiłem nigdy jak tylko *aprioryzm bezwzględny*, t. j. filozofią zamierzającą wszystko zbudować *a priori*; twierdziłem zaś, że filozofia powinna kojarzyć wywody *a priori* i *a posteriori*, czyli opierać się łącznie na analizie i empiryi i tego się wiecznie trzymałem. Gdy więc w jakiejś szczególnej kwestyi broniłem jakiegoś wniosku *a priori*, nie było w tém niekonsekwencyi ani „nieszczérości.” Zresztą, w miejscu, do którego p. T. robi aluzją, nie o tém wcale mowa, na czém filozofia ma się opierać, ale tylko jak się ma filozofia dzielić, ten zaś podział musi się oczywiście wyprowadzić z pojęcia jęj zadania i przedmiotu.

Takie same zachodzi nieporozumienie względem *intuicyi*; tylko tutaj tém łatwiej można go było uniknąć, że w tém samym miejscu, z którego p. T. czerpie zarzut (str. 257), w przypisku wyraźnie objaśniłem, że ta intuicya, którą uznaję, jestto całkiem co innego niż intuicya Schellinga, i właściwie na to samo wychodzi, co bezpośrednia oczywistość, subiektywnie uważana.

Co się tyczy *konieczności*, nie wiem z kąd p. T. wnosi, że to pojęcie w ogóle za zgubne uważam i że zaprzeczam jego rzeczywistości? Przecież jak sam p. T. zauważył, na wielu miejscach konieczność uznaję; twierdżę tylko, że gdzie jest wolność, tam (przynajmniej pod tym względem) niema konieczności; mianowicie, że Bóg z wolnej woli stworzył świat, więc to stworzenie nie było konieczném. Ale p. T. i temu zaprzecza i przypuszcza, że wolność i konieczność wcale się nie wykluczają. Doprawdy! cóż więc nazywamy wolnością? a co koniecznością? Wolnym jestem w działaniu, gdy mogę działać albo nie działać, tak albo inaczej działać; wolnym jest czyn, który wykonywam, mogąc go nie wykonywać. Gdybym zaś był party musem, tak żeby wcale nie mógł nie działać ani inaczej działać, wówczas czyn byłby konieczny. Jedném słowem: wolność jest o ile jest możność działania i niedziałania, lub działania inaczej; konieczność jest, o ile niema możności, aby było inaczej jak jest; konieczném jest to, co tak być musi, a nie być lub inaczej być nie może. Bóg rodzi odwiecznie Syna, *koniecznie* a nie dowolnie, tworzy zaś świat *dowolnie* a nie koniecznie. Nie tu miejsce podnosić o tém filozoficzną dyskusyą; ale kiedy p. T. powołuje się tu na naukę katolicką, oświadczam z zupełną świadomością i pewnością tego co mówię, że taka jest a nie inna w tej mierze nauka wiary katolickiej¹⁾. Byłoby zaś wielkim przeciwko tej nauce błędem, mniemać, że zdanie Spinozy: *iz wolność nasza zależy na tém, że jesteśmy swia-*

1) Nie szukając dalej, Pius IX w liście dogmatycznym z r. 1857, w którym błędy Güntera potępia, między innymi i to zdanie, że stworzenie było konieczném, wytyka jako zupełnie przeciwne nauce katolickiej: *Quae catholicae doctrinae de suprema Dei libertate a quavis necessitate soluta, in rebus procreandis plene adversatur.*

domi swego czynu a nieświadomi wpływów, które ten czyn wywołują, jest równobrzmiącym z tém zdaniem chrześcijańskim, iż człowiek nie czyni niczego bez woli Bożej ¹⁾).

Mylnie również wytyka mi p. T., że odrzucając idee wrodzone „staję w tém przeciwko większości katolickiej.” Kwestya ta oczywiście nie wchodzi w zakres dogmatu; ale jeśli idzie o większość głosów katolickich, to warto wiedzieć, że od Alberta W. i Św. Tomasza aż do Kartezjusza, *wszyscy* filozofowie i teologowie katolicy odrzucali idee wrodzone ²⁾; dawniejsi od Alberta nie traktują w ogóle téj kwestyi *ex professo* i trudno właściwie ich zdanie oznaczyć; późniejsi od Kartezjusza dzielą się już na różne mniemania, ale jeszcze, jak sądzę, obrońcy idei wrodzonych są w mniejszości. Więc wszystkich razem wzięwszy, na jednego obrońcę idei wrodzonych wypadnie może dziesięciu przeciwników.

Jeszcze słówko o Hegłowskiéj apoteozie państwa, w czém pan T. zarzuca mi niedokładność cytacyi. Prawda, że słowa *dieser wirkliche Gott*, które przytoczyłem, odnoszą się gramatycznie do poprzedniego słowa *die Idee*. Ale idea, o której tu mówi Hegel, jestto właśnie idea państwa, zrealizowana jako ogół w przeciwstawieniu do państw poszczególnych ³⁾. Zresztą cały kontekst (t. j. cały § 258 *Phil. des Rechts*) najdobitniej tę apoteozę państwa wyraża. Parę wierszy wyżej od przytoczonego miejsca, Hegel powiada: „Państwo jestto Duch (czyli Bóg-Absolut w swym najwyższym rozwoju), który staje wśród świata, i w nim się realizuje z samowiedzą, podczas gdy w naturze ten sam Duch realizuje się jako przedsobność: jako Duch drzemiący. Duch ten będąc świadomy siebie, znający siebie jako rzeczywisty przedmiot—to jest państwo.“ Innemi słowy, Bóg urzeczywistnia się bez świadomości a to jest natura; i ten sam Bóg urzeczywistnia się z świadomością siebie—to jest państwo. Sądzę więc, że nie skrzywdził Hegla, przyznając mu zaszczyt takiego ubóstwienia państwa, jakiego nikt inny dotąd nie wymarzył.

Teraz o materyalizmie. Tu zwłaszcza pan T. podnosi zarzut, że przesadzam wymagania dogmatu, a przez to „zamiast nawracania materyalistów, zmierzam ich opozycyą.“ Otóż śmiało oświadczyć mogę,

¹⁾ Mat. XXIII 37, „Ileokroć chciałem zgromadzić syny twoje jako kocz... a nie chciałeś.“ I Tym. II 4, „(Bóg chce aby wszyscy ludzie byli zbawieni i przyszli ku uznaniu prawdy;“ a jednak „mało ich znajduje... drogę która wiedzie do żywota“ (Mat. VII 14). Sobór Trydencki, sess. VI can. 4: „Jeśliby kto powiedział, że wolna wola człowieka, od Boga poruszona i pobudzona, nie może się sprzeciwić, jeśli chce, niech będzie *anatema*.“

²⁾ Nie ignorowali idei wrodzonych, ale pozytywnie je odrzucali. Ob. Św. Tomasza, Sum. th. p. I 9. 84 a. 3.

³⁾ Pan T. nazywa tę ideę *twórczą*. Mniejsza o słowo, ale pamiętać trzeba, że Idea Hegłowska nie *tworzy*, w chrześcijańskim tego słowa znaczeniu, t. j. nie czyni z nicości istot od siebie odrębnych; ale sama będąc *an*

że i tu nie wystąpiłem ani na krok poza wymagania zasad katolickich. Ale pan T. w niektórych punktach przypuszcza, że ja potępiam, czegom nigdzie nie potępiał; w innych zaś przypuszcza, że nie należy do dogmatu, to co do niego najistotniej należy. I tak zaraz w pierwszym kroku, t. j. w kwestyi o wieczności materji, pan T. suponuje, że ja *możliwość* tej wieczności materji odrzucam, jako niezgodną z wiarą; ja zaś takowej nietylkom nigdy nie odrzucał, ale nawet wyraźnie powiedziałem, że „św. Tomasz i inni chrześcijańscy filozofowie, tę możliwość przypuszczają“, o ile, że przypuszczają możliwość odwiecznego tworzenia. Ale co innego bezwzględna możliwość, a co innego fakt. Możliwość odwiecznego tworzenia leży poza obrębem dogmatu; i w tém się różnią katolicy. Że zaś faktycznie świat został stworzony, nie odwiecznie, ale w czasie, to jest dogmatem wiary, w którym się wszyscy katolicy zgadzają. Mnie w pomienionym sporze z materyalizmem, nie szło o możliwość ale o fakt; powiedziałem, że materyaliści chcąc swą teorią uzasadnić, musieliby dowieść, że materya faktycznie i koniecznie bez początku istnieje; i pokazałem, że tego faktu dowieść nie mogą. Spodziewam się zaś, że pan T. nie powie, że twierdzenie, iż materya *faktycznie* istnieje odwiecznie, da się pogodzić z dogmatem katolickim ¹⁾.

Daléj pan T. przechodząc do samego aktu tworzenia, poucza mię, że w téj mierze mamy porzucić wyobrażenia w dzieciństwie nabrane; że kreacya ziemi, roślin, zwierząt i t. d., nie były to sprawy nagłe nakszałt poruszania maryonetek, ale jakieś majestatyczne a harmonijne objawienie się faktów;“ pyta mię: „dlaczego formacya ziemi nie mogła mieć miejsca przez miliardy lat?... dlaczego nie mogły w niej stopniowo rozwijać się coraz wyższe utwory?“

Ja na to wszystko odpowiadam pytaniem: zkąd pan T. wnosi, że ja temu przeczę?... Może ztąd, że na str. 137 przytaczam liczby lat, które Büchner podaje dla różnych transformacyi ziemi. Ale odczytawszy ten ustęp, łatwo się przekonać, że tam nic nie zarzucam przesłankom Büchnera, t. j. tym epokom i tym liczbom, ale śmieję się z jego niedorzecznej konsekwencyi, iż z długości tych peryodów wnioskuje śmiało *wieczność* materji. Jeśli zaś idzie o wypowiedzenie mego zdania w téj mierze, sądzę, że Bóg, w samém pierwotném stworzeniu materji, nadał jój taki ruch, z którego mocą praw mechanicznych, w przeciągu wieków (choćby i miliardów lat), cały ten świat materyalny wytworzyć się musiał: tak, iż w pierwszej chwili stworzenia, materya była w stanie, który w porównaniu do obecnego był chaosem, *tohu wabohu*; ale ten chaos już był brzemienny dzisiejszym światem. Ten sposób pojmowania kosmogonii narzuciłem dosyć wyraźnie w rozdz. V, i pokazałem, jak zgodnym on jest z chrześcijańskim pojęciem Boga

sich abstraktem, staje się z jednéj strony naturą, materyą, z drugiejj strony duchem, państwem i t. d.

¹⁾ *Concedi potest, quod mundus ab aeterno fuerit.* Teza Ekkarta potępiona przez Jana XXII r. 1329.

„szanującego samodzielność stworzeń“ i „chcącego, aby stworzenie zdziałało wszystko co może, i własną siłą dorabiało się swęj doskonałości“ (str. 97).

Póty więc zupełna zgoda z panem T.; należało się tylko porozumieć. W następującym zwrocie, t. j. kwestyi powstania życia, pan T. powiada, że Bóg mógł obrać rozwój materji jako sposób tworzenia organizmów. Ja twierdziłem, że organizmy nie mogły powstać z materji bez przyczyny rozumnej, jaką jest Bóg; więc jeszcze jakotako się zgadzamy. W trzecim zwrocie, t. j. w kwestyi powstania czucia, już się więcej rozchodzimy; bo ja sędzę, że istota czująca (dusza zwierzęca) jest czémś niematerialnem i z materji wywiązać się nie mogącém, i sędzę, że mam na to dobre dowody, z których kilka wyłożyłem na str. 145—149. Lecz mniejsza o to; i tu się nie będę spierał. Dalej się jeszcze posuwałem, bo nie zaprzeczyłem bezwzględnie przemianie gatunków zwierzęcych podług Darwina, i powiedziałem, że „na tém ani filozofii ani religii niewiele zależy“ (str. 144). Nie tknąłem nawet kwestyi: czy ciało ludzkie nie mogło być wytworzone przez transformacyą z jakiegoś niższego rodzaju. Ale kiedy w końcu pan T. pyta: „dlaczegoby nawet u człowieka objawy duchowe, jak *myśl* i *dusza*, nie mogły być *wypływem* materji“, to już bezwarunkowo i kategorycznie odpowiadam: dlatego, że to „sprzeciwia się prawdzie katolickiej i głównym zasadom zdrowej filozofii.“ Że się to sprzeciwia rozumowi i filozofii, to udowodniłem od str. 149 do str. 159; że się zaś sprzeciwia nauce wiary, to suponowałem jako znajome; a zresztą nie należało mi się w to wdawać, ponieważ trzymałem się wyłącznie na stanowisku filozoficzném. Ale kiedy pan T. porusza kwestyą nauki Kościoła, wypada powiedzieć, że ledwo który dogmat tak wybitnie w tój nauce występuje, jak ten, że dusza nie jest wpływem z ciała, jak pojmują materialści, ale substancją realnie od ciała różną, duchową, z natury swęj nieśmiertelną. „Mocno wierzymy i wyznajemy (mówi Kościół na soborze laterańskim IV), że Bóg swą wszechpotężną mocą razem, na początku czasu, oboje z nicości uczynił stworzenie: duchowe i materialne, t. j. aniołów i świat; a następnie naturę ludzką, niejako wspólną, t. j. z ducha i ciała złożoną.“ Sobor wienneński orzeka, że dusza jest formą ożywiającą ciało; laterański V orzeka, że jest z natury swęj nieśmiertelną i t. d.—Ale poco tyle teologicznych cytat; wszak każdy mały katechizm uczy, że po śmierci, gdy ciało rozpada się w grobie, dusza staje na sądzie Bożym, a potém idzie na miejsce kary lub nagrody. A mogłaby dusza żyć odrębnie od ciała, gdyby tylko była, jak chcą materialści, jakimś ruchem organizmu, jakimś wpływem z ustroju materji? Więc w tój mierze dogmat katolicki nie przypuszcza tranzakcyi z materializmem.

Zbyt różowo, zaiste, na rzecz patrzy, kto sędzi, że „wystarczy mieć w myśli, iż *ręką Bożą są prawa natury*, aby zginął z ust materialistów pośmiech z wierzenia w Boga, a z ust wyznawców religii zarzut ateizmu naturalistom.“ Nie wystarczy to dla materialistów, bo

oni (a przynajmniej ich koryfeusze) nie dla bronięcia praw natury odrzucają Boga, ale odwrotnie: wymyślają sobie prawa lub raczej hipotezy najnierozumniejsze, aby tylko nie uznać Boga (jakem to wykazał w rozdz. VIII i IX). Nie wystarczy to również dla wyznawców religii katolickiej, bo ci nie tylko mają wierzyć w Boga, ale też wierzyć powinni w wiele innych prawd, od tegoż Boga objawionych, i mieć za błąd i fałsz wszystko, co się tym prawdom sprzeciwia, choćby się to sztychowym naukowości płaszczykiem pokrywało (jakem to pokazał w rozdziale XV).

Pomijam drobniejsze zarzuty przez pana T. na ostatniej stronie narzucone, bo rozbiór ich zadługoby nas zatrzymał, a zresztą uważne przejrzenie odpowiednich ustępów mojej książki, samo nastarczy odpowiedź i pokaże, że po największej części są to tylko nieporozumienia, których winę przyjmuję na karb braku jasności w pewnych częściach mej pracy. *Brevis esse laboro, obscurus fio* ¹⁾.

Na zakończenie, streszczając moją odpowiedź, powiem, że zgadzam się najzupełniej z panem T. w tym względzie, że w obec materializmu i filozofii transcendentalnej trzeba być pojedynczym, o tyle, aby nie żądać dla pojednania więcej niż potrzeba i nie podstawić swego widzimisię zamiast dogmatu wiary. Ale nie zgadzam się na to, co pan T., widocznie w najzaciewniejszym zamiarze, zdaje się wymagać: t. j. aby różnice jak najwięcej zacierać, kładąc nacisk na wspólne sposoby mówienia, a pomijając przeciwieństwo w sposobie pojmowania tych wyrazów. Prawda, co mówi pan T., że wielu materialistów, skoro natrafi w jakiej książce na pojęcia chrześcijańskie Boga, duszy i t. p., zaraz odrzuci książkę ze wstrętem. Ale czy dlatego trzeba pisać filozofią bez jasnego określenia tych najważniejszych pojęć i stanowczego rozstrzygnięcia najwyższych zagadnień? A zresztą, cóż z tego przyjdzie, że materialista przeczyta książkę, w której nie spotyka ani Boga stwórcy, ani duszy niematerialnej, ani nieśmiertelności, ani żadnej z tych rzeczy, o których słyszeć nie chce? Czy go taka książka zbliży do chrześcijańskich zasad? Jeśli chcemy, aby prawda zapanowała, przede wszystkim trzeba ją otwarcie na świeczniku postawić, nie zaś, jak to apostoł dawnym filozofom wyrzuca, „prawdę w niesprawiedliwości więzić“ ²⁾. Trzeba materialistom pokazać, że żadna z istotnych zdo-

¹⁾ Pomijam też kwestyą o *obrzędach, litaniach, godzinkach*, którą pan T. porusza na str. 481, bo nie widzę co ona tu ma do czynienia. Zauważę tylko, że co innego modlitewki prywatne, jak litanie i godzinki, co innego właściwe *obrzędy kościoła*, będące wyrazem jego wiary i wypełnieniem jego obowiązku zewnętrznej czci Boga. Między temi obrzędami są nawet niektóre (mianowicie ofiara Mszy Św. i Sakramenta) od samego Chrystusa, jak naucza wiara, ustanowione i do istoty Chrystyanizmu należące.

²⁾ Rom. I, 18. *Ira Dei... (super eos) qui veritatem Dei in injustitia detinent.*

byczy umiejętności nie sprzeciwia się dogmatowi, a że to, co oni przeciwko dogmatowi stawiają, jest tylko nielogicznym ich wnioskiem, albo bezzasadnym przypuszczeniem. Trzeba idealistom pokazać, że wiara katolicka zgadza się z wszystkiem, co rozum logicznie wywodzi, a że to, co w ich systemach sprzeciwia się wierze, to téż nie jest istotnym rozumowi wymaganiem, ale dowolnym ich wymysłem, najczęściej samemu rozumowi przeciwnym. Trzeba jedno i drugie pokazać wierzącym, aby uchronić ich ile możności od niebezpieczeństwa uwiedzenia się fałszywemi wnioskami materializmu i panteizmu, niebezpieczeństwa grożącego im zewsząd dlatego właśnie, że niedosyć umieją odróżnić tych ciarek od rodzinnych umiejętności owoców. *Propterea captivus ductus est populus meus; quia non habuit scientiam.* (Is. V, 13).

X. M. M.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Grudzień 1878 r.—Wszystkie pisma, istniejące dotąd, ogłosiły dalsze wydawnictwo na rok 1879. Pocieszającym jest zjawiskiem, że żadne z nich nie upadło, ale się utrzymuje i pozyskuje, chociaż potrosze większą liczbę prenumeratów. Co do ich liczby, na czele wszystkich stoi *Kuryer Warszawski*, który ma z górą 12,000 prenumeratorów. Cyfra dotąd niesłychana w naszej prasie peryodycznej. Pisma illustrowane po *Kuryerze*, mają najpoważniejszą liczbę prenumeratorów, przechodzącą 6,000. Na czele ich stoją: *Kłosa*, *Tygodnik Illustrowany*. *Biesiada*, najmniejszych rozmiarów ilustracya, podąża za starszą bracią, nie chcąc się dać im wyścignąć, i trzeba przyznać, że dzielnie im dotrzymuje kroku. *Tygodnik Powszechny*, najmłodsza ilustracya, od czasu przejścia w umiejętnę rękę nowego wydawcy, staje śmiało do współzawodnictwa, ze starszemi w tym rodzaju publikacyami. Jakoż czytelnicy dorazu dojrżeli znakomity postęp i rozwój *Tygodnika Powszechnego* nietylko w części artystycznej, ale i literackiej. Zakłady nasze typograficzne miały niemało pracy w odbijaniu kilkudziesięciu tysięcy rozmaitych prospektów, tak pism illustrowanych jak i innych. *Tygodnik Mód*, pod staranną redakcją Jana Kantego Gregorowicza, zadawalnia swoich czytelników.

Michał Glücksberg, wydawca *Bluszczu*, ogłosił nowy prospekt na drugie wydanie dzieła p. n.: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, podług tekstu łacińskiego Wulgaty ks. Jakóba Wuyka, zatwierdzone przez Stolicę Apostolską*, ozdobione 230 drzeworytami Gustawa Doré. Publikacya ta w przepyszném wydaniu, jak przychylnego doznała przyjęcia, dowodzi najlepiej to, że pierwsze wydanie, złożone z 2,000 egzemplarzy, zupełnie wyczerpane zostało i wydawca obecnie ogłasza drugą edycyę.

Kronika Rodzinna, w ciągu ukończonego obecnie dziesięcioletniego istnienia swego, zyskując coraz szersze koło czytelników i współpracowników, w roku przyszłym 1879 wychodzić będzie w tymże samym kierunku i warunkach. Obok rzeczy poważnych, dotyczących kwestyi społecznych, naukowych i pedagogicznych, zamieszczając utwory bel-

letrystyczne, drukować najpierw zamierza powieść Deotymy pod tytułem: *Zwierciadlana Zagadka; Branka, opowiadanie z XVII-go stulecia*: D-ra Antoniego J.; *Obrazki ludzi i rzeczy z czasów odrodzenia*, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego; *Opowiadania o trzęsieniach ziemi*, przez uczonego rektora uniwersytetu w Sant-Jago, Ignacego Domejkę; *Wspomnienia z przeszłości* przez Antoniego Edw. Odyńca; *Wyjątki z pamiętników Sabiny z Gostowskich Grzegorzewskiej*. Prócz tego mieścić się będą, podobnie jak w roku bieżącym korespondencye: z Londynu, Rzymu, Paryża, Berlina, Petersburga, Jerozolimy, z Krakowa, Lwowa i Poznania, o rzeczach i kwestyach ogólnego interesu. Prenumeratorowie otrzymywać mogą po cenie niższej *Dzieła Ignacego Chodźki i Poezye A. E. Odyńca* wydanie nowe, oraz w bezpłatnym dodatku kilka książeczek wydanych nakładem Redakcyi. Roczna prenumerata Kroniki wynosi w Warszawie rs. 4, na prowincyi pocztą rs. 5, stosownie do tego liczy się półroczna i kwartalna.

Listy z pieniędzmi adresować należy wprost do Redakcyi, ulica Ś-to Krzyżka Nr. 14.

— *Echo Muzyczne*, które ograniczało się dotąd na wydawnictwie tylko utworów muzycznych, z nowym rokiem 1879 powiększa swoje ramy i składać się będzie z dwu działów: muzycznego i literackiego. Tym sposobem wypełni brak pisma, dający się uczuć na polu muzyki. Do pomocy dawnego redaktora Wincentego Kruzińskiego, przystąpił Władysław Banarski, właściciel księgarni w Warszawie. W prospekcie znajdujemy liczny poczet pracowników do części literackiej. Wielu imiona są już zaszczytnie znane na polu sztuki, ztąd można mieć otuchę, że dział ten odpowiednio potrzebom redagowany będzie.

— Nakładem księgarni Adolfa Kowalskiego wyszło dzieło p. n.: *Pogadanki i spostrzeżenia z dziedziny fizjologii, psychologii, pedagogiki i nauk przyrodniczych*, przez Juliana Ochorowicza dr. filozofii, docenta psychologii i filozofii natury w uniwersytecie Lwowskim (Warszawa 1879 r., w 8-ce, str. 366). Zwracamy uwagę czytelników naszych na ostatni rozdział pomienionego dzieła, w którym maluje pojawiające się nowe typy w gronie niewiast polskich i jakie oznacza dla nich stanowisko.

— Nakładem i drukiem S. Lewenthala wyszła powieść z życia żydów, przez Elizę Orzeszkową: *Meir Ezofowicz*, z 26 ilustracyami M. Andriollego. Powieść ta drukowana była poprzednio w czasopiśmie *Kłosa*; teraz wyszła w oddzielnj książce. Papier, druk, szczególnież drzeworyty, najstaranniej wycięte, pokazują w całym blasku talent artystyczny rysownika.

— Pomiędzy grami dla dziatwy naszj na „kolendę,” ukazała się w księgarni Gebethnera i Wolffa jedna z najszlachetniejszych, p. n.:

Portrety cieniowe królów polskich. Prawdziwa to zabawka pedagogiczna. W ozdobnym pudełku mieści się 40 portretów królów polskich, poczynając od Mieczysława I, a kończąc na Stanisławie Poniatowskim. Wizerunki te, podług danéj wskazówki, wycinają się i pokazują na ścianie. Grający powinni odgadnąć któregoś króla oblicze? Książeczka dodana, redakcyi Wł. L. Anczyca, pokrótce daje życiorys każdego króla, a portrety są rysowane podług wizerunków Aleksandra Lessera.

Publikacya ta znalazła wielce przychylne przyjęcie. Koszt na wydanie podnosi gry téj cenę, gdyż egzemplarz kosztuje rs. 2 kop. 50. Czyby niemożna obmyślić tańszego wydania dla uboższej dziatwy?

— Pan. K. Saryusz z Szydłowca pisze do naszéj redakcyi: „Mając zamiar w niedługim czasie wydać poemat ś. p. Karola Pieńkowskiego p. t. *Nawróceni*, poprzedzony jego życiorysem i oceną prac, z autobiografii jego widzę: że w Lipsku skradziono mu przekłady z Goethego *Götz von Berlichingen*, *Clavigo* i *Ksenie*, Heinego różnych poezyj 6,000 wierszy, jak równie przekłady z Szyllera i Lessynga; we Lwowie zaś *Niewolnika* i *Kłatwę Wieszcza* (Sängersflucht) Uhlanda z muzyką Beethovena. Zaznaczając ten smutny fakt i zapobiegając nieprawemu przedrukowi ich przez jakiego pseudo-literata pod własném nazwiskiem, nadmieniam, że niektóre z tych poematów posiadam, i że upoważniony do wydania ich przez rodzinę w celu uczczenia pamięci zgasłego poety nagrobkiem, liczę na zbudzenie się sumienia u przywłaszczycieli w obec mogiły nieszczęśliwego, oraz na zwrot wymienionych przekładów pod adresem moim, w księgarni W. Banarskiego, Krakowskie-Przedmieście nr. 71.“

— Wiadomo, że Matejko, dla nabrania sił nowych, do twórczych swoich kompozycyi, opuścił Kraków na kilka miesięcy i do Włoch wyjechał. W Rzymie powitany został przez artystów polskich w d. 14 b. m. bardzo uroczyście. Na uczcie przy toastach wielu głos zabierało, najgoręciéj jednak Kulczycki. Między zebranymi zaujadował się także młody malarz, zaszczytnie ze swych dzieł w Warszawie znany, Gottlieb z Drohobyczy. Jestto polak-izraelita, dumny z obu tych tytułów swego pochodzenia a talentem zwracający na siebie uwagę. Na jego więc cześć wzniesiono także toast. Wzruszony tym dowodem uznania młody artysta, opowiedział historiją swego życia, na które Matejko stanowczy wpływ wywarł. Pierwszém zaś i decydującém tego wpływu wrażeniem był widok obrazu „Rejtan.“

— Lwów. Następujące sztuki nadesłane zostały na konkurs dramatyczny lwowski imienia Aleksandra hr. Fredry na r. 1879: 1) *Murzynek*, komedia w 3-ch aktach. 2) *Komedia bez tytułu*, komedia w 3-ch aktach. 3) *Wanda i Rulygerus*, komedia w 5-u aktach wierszem. 4) *W starym piecu dyabel pali*, komedia w 2-ch aktach. 5) *Na*

bezdrożach życia, komedia w 4-ch aktach. 6) *Kantor małżeństw*, komedia w 3-ch aktach. Warunki konkursu są następujące: fundusz konkursowy stanowi kwota 900 złr., z której 600 zlr. przyznane będzie najlepszej komedii, wypełniającej cały wieczór, a 300 zlr. drugiej po niej najlepszej komedii, bez oznaczenia liczby aktów. Termin ostateczny do nadsyłania utworów ustanawia się dzień 1 lutego 1879. Przyznanie nagród odbędzie się w następujący sposób: utworzone będą dwie komisye. Zadaniem pierwszej będzie odczytać utwory nadesłane i zasługujące na przedstawienie, polecić do odegrania na scenie lwowskiej. Komisya ta składać się będzie z reprezentantów dziennikarstwa i z artystów sceny lwowskiej. Utwory polecane przez tę komisję będą kolejno przedstawiane na scenie lwowskiej, w miarę ich nadsyłania i polecenia przez komisję; w każdym razie nie prędzej niż od 1 października 1878 r. zaczawszy, a nie później niż do końca maja 1879 r. Druga komisya, złożona z członków komitetu artystycznego, mianowanego przez wydział krajowy dla sceny lwowskiej, z przybraniem pp. Jana Aleksandra Fredry i Jana Dobrzańskiego, obecna na przedstawieniach sztuk polecanych, po odegraniu ich przyzna dwom najlepszym komedjom nagrody powyższej wymienione. Autorowie wszystkich na konkurs nadesłanych a polecanych do przedstawienia i przedstawionych utworów, otrzymają 8% tantiemy od dochodu brutto z pierwszego przedstawienia a po 5% od następnych. Rezultat konkursu ogłoszony będzie d. 15 maja 1879 r. Do każdej nadsyłanej sztuki ma być przyłączone nazwisko autora w opieczetowanej kopercie, opatrzonej zewnątrz tym samym napisem lub znakiem, którym oznaczona sztuka sama. Tajemnica nazwisk autorów ustaje z dniem ogłoszenia rezultatu. Odnosi się to i do autorów, których sztuki były zalecone do grania i przedstawiane, ale nie uzyskały nagród. Utwory należy nadsyłać pod adresem: „Dyrekcya teatru polskiego we Lwowie.”

— We Lwowie, w drukarni *związkowej* wyszły: 1) Program wykładów w C. K. Uniwersytecie imienia cesarza Franciszka I we Lwowie, w zimowém półroczu 1878/9 odbyć się mających (w 4-ce str. 23); 2) Skład C. K. Uniwersytetu we Lwowie w r. 1878/9 (w 4-ce str. 15). „Dzieje Polski za panowania Zygmunta III^{ic}“ wykładu dr. Hirschberg trzy razy na tydzień; „historja literatury polskiej od r. 1740—1820“ prof. dr. Pilat, dwie godziny tygodniowo. W Seminarjum Historyczném ćwiczenia z dziejów powszechnych wykładu bezpłatnie znany z prac naukowych prof. dr. Ksawery Liske, dwie godziny. Senat akademicki składają: *Rector magnificus* dr. praw Leon Biliński, pro-rektor Zygmunt Węclewski prof. filologii klasycznej. Dziekani: ks. Sylwester Sembratowicz dr. filozofii, Leonard Piętek dr. praw, Wawrzyniec Żmurko dr. filozofii. Pro-dziekani: ks. Klemens Sarnicki dr. św. teologii, Ferdynand Źródłowski dr. praw, ks. Emil Ogonowski dr. filozofii. Delegaci Zgromadzeń profesorów: ks. Józef Watzka dr. św. teologii, Tadeusz Pilat dr. praw, Bronisław Radziszewski dr. filozofii.

Stale prowadzący biuro, Stefan Koźma sekretarz i notaryusz Uniwersytetu, referent spraw ekonomicznych senatu akademickiego.

— Dnia 18 grudnia r. 1878 wieczorem odbył się w Pradze Czeskiej, w pięknej salce małego pałacyku, na wyspie Zofii wieczorek, urządzony na cześć Kraszewskiego przez stowarzyszenie „Slavia.” Jestto stowarzyszenie literackie, do którego należą głównie akademicy, a w którym odbywają się naprzemian odczyty i przemowy w rozmaitych językach słowiańskich. Na wspomniany wieczorek zgromadziło się wielu profesorów uniwersytetu, literatów czeskich i kilka znanych rodzin, zwłaszcza państwo Brauner'owie (dr. Brauner jest jednym z najstarszych posłów czeskich i członkiem grona dwunastu, tak zwanych powierników narodu czeskiego). Z Krakowa przybył na tę uroczystość dr. Adam Asnyk, witany serdecznie przez poetów czeskich. Pan Jelinek odczytał wykład o literackich zasługach Kraszewskiego. Artyści i artystki teatru czeskiego odśpiewali kilka stosownych pieśni, poczem rozpoczęły się tańce. Wieczorek minął wesoło i serdecznie, składając dobitny dowód, że na polu literackim wzajemność słowiańska nie jest i nie powinna być czczym frazesem.

† Dnia 23 grud. 1878 r. w Warszawie umarł *Fryderyk Henryk Lewestam*, dr. filozofii i profesor uniwersytetu Warszawskiego, który zajmował katedrę historyi literatury powszechnój. W piśmienictwie polskiém zapisał swe imię licznemi pracami, a głównie współpracownictwem w *Encyklopedyi Powszechnej* t. XXVIII S. Orgelbranda i wydaniem wielkiego w 4-ch tomach dzieła: *Historya literatury powszechnój*. Szczegółowy jego życiorys wraz ze spisem bibliograficznym prac jego, podały już nasze pisma codzienne i tygodniowe.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*